

WOŁODIMIR KISIELOW

TRZECIA MIŁOŚĆ

ISKRY

ISKRY

TRZECIA MIŁOŚĆ

WOŁODIMIR KISIELOW
TRZECIA MIŁOŚĆ

PRZEŁOŻYŁ
WITOLD DABROWSKI

ISKRY · WARSZAWA · 1974

Tytuł oryginału ukraińskiego
WESELYJ ROMAN
Radianskyj Pyśmennyk
Kijów 1971

Opracowanie graficzne
ELŻBIETA ZUBOWSKA

Aby odpowiedzieć „tak”, trzeba zakasać rękawy i pracować w pocie czoła, trzeba czerpać z życia pełnymi garściami i zanurzać się w życie po uszy. Odpowiedzieć „nie” jest łatwo, nawet jeśli będziesz musiał umrzeć. Wystarczy siedzieć w bezruchu i czekać. Czekać, żeby przeczekać, a nawet czekać na śmierć.

JEAN ANOUILH, „ANTYGONA”

Koniec końców nie udało mi się wczoraj dowiedzieć, na czym się zasadza sens życia.

Gnaliśmy nocnym Kreszczatikiem jak widma. Jak Marsjanie. W białych kaskach. W czarnych skórzanych kurtkach. Przy akompaniamencie nieziemskiego jazzu, w którym szalał sturęki perkusista.

Na ulicy — żywej duszy. Tylko na rogu przed hotelem „Moskwa” stał milicjant. Przeraził się, dmuchnął w gwizdek.

— Jak wy to robicie, chłopcy?

— Lot kosmiczny, ojczulku — odparł Mykoła.

Milicjant na oko nie starszy był od Mykoły. Sierżant, malutkie jasne wąsiki.

— A czemu wy tak?...

— Wygraliśmy zawody. Cross... Chcesz spróbować?

— Chyba nie mogę — stropił się milicjant.

— Naczalstwo śpi i słodko śni o mołojckiej sławie — zaśpiewał Wilia. — Taka okazja się nie powtórzy.

— No, dobrze — niezdecydowanie powiedział milicjant. — Tylko raz. A wyście co, wypili?

— Motocykliści nie piją — odrąbał Mykoła starając się, żeby chuch szedł w bok. Trochę przyciszył tranzystor. — Jazda.

Pochyliłem się, wparłem dłonie w kolana, a kiedy sierżant wziął rozbieg i odbił się od moich barków,

z lekka uniosłem je do góry, a on przeskoczył przeze mnie, pobiegł, utrzymując równowagę, i natknął się na Wilię.

— N-no! — krzyknął Wilia.

A ja biegłem już za milicjantem, już szybowałem w powietrzu wśród piekielnych rytmów oszalałego perkusisty.

— Wystarczy, chłopcy — powiedział milicjant. Zaspisał się. — Wy dokąd?

— Na wystawę.

— Nieżle — powiedział milicjant. — Ale jak się tam dostaniecie? Do samej wystawy będziecie skakać?

Wilia pokazał swoje zwarte zęby.

— Dolecimy.

Milicjant zatrzymał przejeżdżającą ciężarówkę.

— Dokąd jedziecie?

— Do chłodni — odpowiedział ponury niemłody kierowca.

— Po drodze — uznał milicjant. — Nie podwieźlibyście chłopców?

— Niech wsiadają — niechętnie zgodził się kierowca. Znaleźliśmy się w skrzyni.

— Z chłodni będziecie mieli bliżej — machnął ręką milicjant. — Do zobaczenia, chłopcy.

— Wszystkiego najlepszego, towarzyszu sierżancie! — niezbyt zgodnie wrzasnęliśmy w odpowiedzi, milicjant podniósł palec do ust — „nie hałasujcie!” — i ciężarówka ruszyła.

Staliśmy w skrzyni trzymając się oburącz zaabinę, od czasu do czasu potracaliśmy się ramionami. Po raz pierwszy w życiu znalazłem się dzisiaj na podium zwycięzców.

Nie, nie były to zawody międzynarodowe. Ani nie republikańskie. Ani nawet nie ogólnomiejskie. Były to wewnętrzne zawody naszego klubu motorowego. „Bra-

tobójstwo”, jak mawia Wilia. A jednak było nam strasznie przyjemnie, że zajęliśmy pierwsze miejsca. Mykoła zaproponował, żeby to uczcić. Wprost z finiszu ruszyliśmy do letniej restauracji nad Dnieprem, a kiedy ją zamknięto, okazało się, że Wilia ma przy sobie butelkę cierpkiego bułgarskiego „Mielnika” i nieśpiesznie po kolei pociągając to wino wprost z butelki długo jeszcze siedzieliśmy na skarpie naddnieprzańskiej wśród zapachu rozparzonych traw i gaworzyliśmy o tym i owym.

— Co to znaczy: sens życia? — mówił Mykoła. — Takie pytania z samej swojej istoty nie mają sensu. Przyroda to nie Bóg, kiedy stwarzała człowieka, nie mogła wytykać sobie świadomie jakiegoś celu. Więc sensem życia jest — życie.

— Jakiekolwiek? — ironicznie zapytał Wilia, którego przewali Talmudystą, ale który chętnie reaguje również na przydomek Celowniczy. Zresztą w ogóle nie ma na imię Wilia tylko Igor. Wilią nazywają go nie wiadomo dlaczego bliscy przyjaciele, a także w domu.

— No... nie każde.

— Otóż to! — powiedział Wilia i potarł swoją nowiutką bródkę. Zacytował jakiegoś Greka ze starożytności, który napisał, że prawda, piękno i dobro to jest właśnie to, w imię czego ludzie pracują, a niekiedy nawet składają ofiarę ze swego życia.

— Prawda, dobro, piękno — powtórzył Mykoła. — A ci, co pracują nad bronią bakteriologiczną?... Albo... Ukazała się w prasie informacja, że pierwiastek, który znalazł się w tablicy Mendelejewa pod numerem dziewięćdziesiąt osiem, ma masę krytyczną, która wynosi zaledwie kilka gramów.

— No to co?

— Nic. Jeśli to prawda, to można będzie robić atomówki wielkości ziarnka grochu...

— A może silniki atomowe wielkości ziarnka grochu? — zaprotestował Wilia.

Podtrzymałem Mykołę, a Wilia znowu zasunął cytate z tego jakiegoś swojego Greka od filozofii i rozmowa ostatecznie zeszała na jedną z największych zagadek bytu i natury — na dwutakty, gdzie nie sposób wyliczyć, jak wzajemnie oddziaływują na siebie fale błędzące w układzie rozruchu, więc konstruktorom pozostaje tylko działanie metodą prób i błędów.

To Mykoła zaproponował, żeby pokonać Kreszczatik susami. Zdjął swój tranzystor z ramienia i włożył go do kieszeni. I ta muzyka, i ta niezwykajnie pusta ulica, i te loty — wszystko to razem wzięte składało się na jakies osobliwe, drażniące i podniecające uczucie chłodku w piersiach.

Kiedy spotykam na ulicy moich dawnych kolegów ze szkoły, oni mówią:

— Czołem klasie robotniczej!

A ja odpowiadam:

— Powitać biurokratów!

Ale, jak się tak zastanowić, to ani ja nie jestem „klasą robotniczą”, ani oni „biurokratami”.

Kiedy zdałem ostatni egzamin na świadectwo dojrzałości i przyszedłem do domu, tato otworzył lodówkę, wystawił na kuchenny stół ćwiartkę „Moskiewskiej” i powiedział:

— Ot, co... wypijmy po kieliszeczku i porozmawiajmy o życiu.

Taki się zrobił odważny, bo mama pojechała do Fiedi. Fiedi urodziło się kolejne dziecko. Czwarte. Chłopczyk. Miał już Loszę, Miskę i Mykołkę. Czwartego — jeśli to będzie chłopiec — obiecał Fiedia nazwać po mnie, Romaś.

Tato nalał nam po kieliszku, wypiliśmy, zakaśliśmy zimnymi pomidorami i sajrą wprost z puszki, potem znowu wypiliśmy, tato ze zdziwieniem zauważył, że się nie skrzywiłem, i burknął bez aprobaty:

— To tak?... To już i pal.

Ukradkiem paliłem, teraz także miałem w kieszeni paczkę „Szipki”, ale zapaliłem z tatą jego „Bielomora”.

— Co zamierzasz robić dalej? — zapytał tato.

W naszej rodzinie mówiło się na ten temat już od dawna. Mama uważała, że powinienem iść do szkoły oficerskiej. Armia przytrze mi rogów. Fiedia uznał, że powinienem zdawać na medycynę, bo on ma tam znajomości. Mój kolega z klubu motorowego Mykoła zapewnił, że jeśli pójdę na wydział budowy samochodów, to będą mnie tam nosić na rękach.

A ja byłem niezdecydowany.

— Znasz Dokoszeńkę? — zapytał tato.

— Znam.

Dokoszeńko to nasz sąsiad, mieszka piętro wyżej. Młody inżynier. Pracuje w tej samej fabryce co tato.

— Ale jaki z niego inżynier — tego nie wiesz — ciągnął tato. — Dobry z niego inżynier. Ma przyszłość. Jest majstrem. I zna się na rzeczy. A wiesz, ile on ma na rękę?

Nie wiedziałem, ile ma na rękę Dokoszeńko.

— Dziewięćdziesiąt osiem. A ile ja mam?

To wiedziałem. Tato miał na rękę prawie trzy razy tyle.

— Otóż to. I taka moja rada — przychodź do nas do fabryki. Rozejrzysz się, popracujesz. A uczyć się można na zaocznym.

Stała mi przed oczyma składnica sportowa, drewniane skrzynie, w których kryją się nowiutkie czerwone „Jawy-350”. A sprzedawca wraz ze mną wyciąga

młotkiem gwoździe ze skrzyni. Wyprowadzam motocykl na ulicę.

— Fajno — odpowiedziałem. — Sam tak myślałem.

— Motocykl sobie kupisz — powiedział tato.

Popatrzyłem na niego nieprzyjaźnie. Nie lubię, kiedy ktoś odgaduje moje myśli.

Powiadają, że nasze czasy to czasy wielkich prędkości. Tylko kto je odczuwa? W odrzutowcu w ogóle nie zauważasz ruchu. Siedzisz w fotelu, a pod tobą przesu- wają się powolne chmury. W prześwitach między chmu- rami przeziera ziemia. Leciałem „TU” z Kijowa do Mo- skwy.

Pociąg? Mieszkanie na kółkach. Nie ma nawet tego rytmicznego stukotu na stykach szyn, który tak mi się podobał, kiedy jeździłem pociągiem w dzieciństwie. Te- raz układają szyny bezstykowe, wagony wyposażają w jakieś nowe łożyska kulkowe i amortyzatory.

Samochód? Docierałem „Wołgę” Fiedi. Automatyczny wyłącznik i kiedy wóz jest na dotarciu, nie wyciśniesz z niego więcej niż sześćdziesiątkę. A kiedy jedziesz sześćdziesiąt na godzinę, zdaje ci się, że samochód peł- nie jak żółw. Ciężarówki cię wyprzedzają.

Tylko motocykl. Tylko motocykl daje człowiekowi autentyczne poczucie szybkości. Jesteś niewysoko nad ziemią i szlak pędzi pod tobą, a wiatr bije w twarz i trzmiel uderza w przezroczystą osłonę jak pocisk. Mo- tocykl to jedyny sposób odczucia rzeczywistych pręd- kości końca dwudziestego wieku.

Kiedy zawieram z kimś znajomość, staram się nie wy- mieniać swego nazwiska. Na użytek kontaktów z dzie- wczętami wykombinowałem nawet taką formułkę: „Ro- man, syn Ołeksy”. Brzmi to niezrozumiale i archaicznie. Rzecz w tym, że nasi przodkowie, zaporoscy Kozacy,

obdarzyli nas pociesznym nazwiskiem Puzo*. Roman Puzo. Z takim nazwiskiem nie można zdawać ani do szkoły teatralnej, ani na akademię sztuk pięknych. Aktor Roman Puzo. Artysta-malarz Roman Puzo. Można pęknąć ze śmiechu.

Mam w Leningradzie stryjaszka. Rodzonego. To wybitna osobistość. W dniu święta marynarki wojennej zawsze wymieniają go w gazetach. Wiceadmirał Michajło Iwanowicz Pazow. Tak, tak. Nazywa się nie Puzo, ale Pazow. Tak sobie przeinaczył jeszcze za młodu.

Mego starszego brata Fiedię tytułują na francuską modłę, jakby: profesor Pusseau.

Wszelako kiedy przyszedłem do fabryki, nazwisko Puzo nikogo nie zdziwiło, nikogo nie pobudziło do śmiechu. Wręcz przeciwnie, spoglądano na mnie z niejakim uszanowaniem. To nazwisko znane jest w fabryce od dawna. Nosi je mój tato, ceniony ślusarz-ustawiacz.

Taka to jest ta nasza rodzina: tato robotnik, a stryj — wiceadmirał. Ja — robotnik, tokarz, a mój starszy brat Fiedia — profesor, dr med... Co prawda staramy się nie korzystać z jego usług. Kiedy już ktoś zachoruje, wzywamy lekarza z rejonu. Z Fiedią są zawsze jakieś komplikacje, prawdziwy kącik humoru. Zachorowała niedawno babcia od sąsiadów, Maria Panasiwna. Prosiła: „sprowadźcie Fiedię”. Sprowadziliśmy. Obejrzał ją, przetarł okulary i powiada:

— Przeziębiliście się, Mario Panasiwna. Trzeba będzie brać etazol. Zaraz wypiszę receptę.

Kława, synowa Marii Panasiwny, ekspedientka z naszego spożywczego, z miejsca się wtrąciła:

— Mama dostaje od etazolu wysypki na całym ciele. Może by lepiej sulfodimezynę?

— Można i sulfodimezynę — zgodził się Fiedia. — Nie zaszkodziłyby i bańki.

* Po ukraińsku p u z o znaczy brzuch, bandzioch.

— Jak mi postawią bańki, to mnie serce boli — powiedziała starszka. — Może lepiej gorczyczniki?

— Pewnie, pewnie — podchwycił Fiedia. — Bardzo dobra rzecz — gorczyczniki.

— A może trzeba by jej dać penicylinę, zastrzyki? — zapytała Kława.

— A nie zaszkodzi — powiedział Fiedia. — Zaraz wypiszę receptę, niech jej zrobią penicylinę.

Nie ma on tej autorytatywności, z jaką przemawia zwyczajny lekarz rejonowy. Co prawda możliwe, że kiedy wypadek jest poważniejszy, Fiedia nie godzi się tak łatwo z tym, co mu podpowiadają. Możliwe, że w takich wypadkach przemawia z nieco większą pewnością siebie.

Jeden z moich stryjów, jak już wspomniałem, jest admirałem i mieszka w Leningradzie. Drugi zaś, właściwie wuj, brat matki, Stepan Hnatowicz Kniaziuk, jest giserem. Jego córka, a moja cioteczna siostra, Łesia, jest krawcową, pracuje w atelier. To ona uszyła mi farmerki, z których jestem tak dumny. Nie są to bikiniarskie džinsy, jakie teraz noszą wszyscy, ale prawdziwe farmerki, brezentowe, nie do zdarcia. Postawione mogą stać same, bez człowieka w środku. Właśnie takie potrzebne są motocykliście, niestraszne im ani wiatr, ani deszcz. A błyszczące zatrzaski wszędzie, gdzie tylko się dało, przyczepił mi zegarmistrz z budki na rogu.

Trzeba przyznać, że nie pożałował metalu.

Czarną zaś skórzaną kurtkę z dziewięcioma zamkami błyskawicznymi i z białymi naramiennikami ze skórzanej plecionki przywiózł mi z Australii Fiedia. Biały kask motocyklowy i plastikowy osłaniacz wydali mi w klubie. Rękawice z wyłogami wyśledziłem w sklepie sportowym. To wszystko to nie żadne bikiniarstwo. Pewnego razu jechałem szosą bez rękawiczek. Szybkość nie była

wcale jakaś nadzwyczajna — może siedemdziesiątka, może osiemdziesiątka. W mały palec uderzył mnie lecący z przeciwka chrabąszcz majowy. Myślałem, że stracę palec. Słowo daję.

A motocykl kupiłem sobie dopiero w miesiąc po tym, jak poszedłem do fabryki. Na raty. Wszyscy kupujemy motory na raty. „Jawa-350”. Maszyna — smok. Ja i Wilia mieliśmy z nią roboty co niemiara. Zamontowaliśmy wyścigową kierownicę ze szpulowym pokrętle przyśpiesznika. Jeden ruch dłonią i zawór otwarty do oporu. To taka moda u nas — jakiegokolwiek kupisz trupa, kierownicę przecie zakładasz wyścigową, osiemdziesięciopięciocentymetrowką. Od razu inaczej to wygląda. Odpolerowaliśmy też ręcznie komorę spalania i kanały. Od razu wchodzi na dziewięćdziesiątkę.

Był tu u nas w Kijowie inżynier Czech z fabryki „Jawa”. Kiedy obejrzał nasz motor, cmoknął tylko i pokręcił głową.

— Precyzyjna robota. Jubilerska. Można się nią pochwalić na międzynarodowych targach.

Jasne, że oni tam, w fabryce, przy taśmowej produkcji nie mogą tak wyszlifować każdego detalu.

Kocham mój motor. I ufam mu.

— Po co ci tyle jajek? — zapytałem Mykołę.

— Ciotka kazała kupić.

Mieszkał z ciotką.

— A jak je dowieziemy?

— Nie martw się, jakoś dowieziemy.

Zdecydował się na kupno stu jaj. Warto było popatrzeć, jak je kupował. Mykoła na co dzień to chłopak małomówny, uśmiech ma tylko jakiś osobliwy, jakby trochę przepraszający. A jednak wszyscy sprzedawcy

uśmiechają się do niego. Zawsze. Coś takiego ma w sobie. Bodaj raz go zobaczysz, a już wiesz — do-rzeczny chłopak.

— A nie zepsują się? — zapytał nagle Mykoła. — Przez miesiąc?

— Zaraz się dowiemy.

Zapewniłem sprzedawczynię, ładniutką blondynę o ciele dojrzałej kobiety i jasnym, dzieciennym spojrzeniu, że Mykoła zbudował sobie w domu inkubator i zabiera się do hodowli kurcząt, i chciałem wiedzieć, czy można wyhodować kurczęta z tych spożywczych jaj. Ona tego nie wiedziała i pobiegła na konsultację do kierownika działu, który też nie wiedział. Powiedziałem wreszcie, że zbadamy to eksperymentalnie, zaś jajka, z których nic się nie wykluje, przyniesiemy z powrotem do sklepu.

Diabli raczą wiedzieć, jak to się dzieje! Jeżeli jakikolwiek inny klient zawraca sprzedawcy głowę, pozostali kupujący zawsze denerwują się, zaczynają wymyślać. Kiedy natomiast robimy to my z Mykołą, okazuje się raptem, że nikomu się nigdzie nie śpieszy, wszyscy wtrącają się do rozmowy — ubaw po pachy.

Sprzedawczyni również była zadowolona. No, nic w tym szczególnie dziwnego. Po prostu tak z nią trzeba rozmawiać, żeby wyczuła, że interesuje cię ona jako człowiek. Ale nie może w tym być krzty obłudy. Trzeba się tym interesować rzeczywiście. Sprzedawczyni zapewne odczuwa swą ladę jako rodzaj bariery, która dzieli ją od klientów. Cały sekret polega więc na tym, żeby przestała czuć tę barierę.

Kupowaliśmy jajka w spożywcym na Kreszczatiku, przy placu Leninowskiego Komsomołu. Wyszliśmy ze sklepu, Mykoła niósł w ręku pudło z pieczołowicie zapakowanymi jajami, ja zaś cztery pierożki z mięsem zawinięte w papier, przez który natychmiast przesiąkł

olej, i zobaczyliśmy raptem, że idzie nam na spotkanie o n a.

Zarówno ja, jak Mykoła i jak wszyscy nasi chłopcy dobrze wiemy, co to znaczy o n a. Trudno to tylko wytłumaczyć komuś postronnemu... O n a — to dziewczyna, którą chciałbyś natychmiast poznać, dla której opuściłbyś każde towarzystwo. Może to być nawet dziewczyna niezbyt ładna, kiepsko ubrana, może iść z ojcem albo z mężem, my jednak nie wiedzieć czemu od razu wyczuwamy, że to właśnie o n a.

Dziewczyna, która szła nam naprzeciwko, miała ja-
koś szczególnie rzucającą się w oczy figurę, właściwie nie figurę nawet, tylko nogi, no, takie nogi, jakie mie-
wają manekiny na wystawach, ale nie wydawało się to obrzydliwe, jak wtedy, kiedy patrzysz na wysta-
wowe manekiny, przeciwnie, było nader ponętne. I za-
różowione policzki o delikatnej i czystej skórze, i jej
włosy z dwoma kosmykami na czole, przewiązane czer-
woną batystową chusteczką skreconą jak postronek.
I lekkie pantofelki bez pięt — pod hasłem „ani kroku
w tył”. I w ogóle było w niej coś takiego. No, trudno
to wyjaśnić w paru słowach.

Uśmiechnęliśmy się do niej jednocześnie. Ona się led-
wie-ledwie uśmiechnęła w odpowiedzi i minęła nas. Po-
patrzyliśmy w ślad za nią, ale się nie obejrzała. Wów-
czas pobiegliśmy do swoich motorów. Stały w bocznej
ulicy, za rogiem. Mykoła przymocował pudło z jajkami
do bagażnika. Motocykle ruszyły z kopyta. Wypadliśmy
Kościelną na plac Kalinina, odstawiliśmy motocykle i
znów poszliśmy na spotkanie dziewczynie.

— Dzień dobry — powiedziałem. — Dawnośmy się
nie widzieli.

Dziewczyna roześmiała się i minęła nas. Doszła do
wniosku, że wyprzedziliśmy ją idąc po przeciwnej stro-
nie ulicy.

Zawróciliśmy na plac Kalinina, nabraliśmy takiej szybkości, żeśmy zdążyli zauważyć numery własnych motocykli, i pognaliśmy na ulicę Swierdłowa.

— Dzień dobry — przywitałem się znowu z taką miną, jakbym widział ją po raz pierwszy w życiu. — Nie zauważyła tu pani dwóch takich chłopaków, jak my? To nasi bracia, wie pani? W naszej rodzinie przydarzyło się sześciu bliźniaków.

Tym razem dziewczyna była szczerze zdziwiona.

— Jak wy to robicie? — zapytała i odniosłem wrażenie, że jej głos jakoś dziwnie pasuje do jej powierzchowności — był śpiewny i głęboki.

— Machina czasu — odparł Mykoła. — Dysponujemy machiną czasu. Dopiero co złożyliśmy wizytę w dalekiej komunistycznej przyszłości, potem cofnęliśmy się do starożytnego Egiptu Nefretete i wszędzie spotykaliśmy panią.

— Nie chciałyby pani rzucić okiem na ten cud nowoczesnej techniki? — wtrąciłem się.

Słowo honoru, żeśmy się nie zmówili. Ale rozmawialiśmy tak, jakbyśmy zawczasu zrobili parę prób tej sceny.

— Chętnie — od razu zgodziła się dziewczyna.

— Wystarczy, żeby pani wypowiedziała czarodziejskie zaklęcie: „trzy, pięć, siedem, dziewięć, kto nie buja ten nic nie wie”, a nasza machina przeniesie panią do dowolnie wybranego punktu na kuli ziemskiej — oświadczyłem ujmując dziewczynę pod rękę. Mykoła złapał ją z drugiej strony i popędziliśmy do motocykli.

— Dokąd pani sobie życzy? — zapytał Mykoła podszadzając dziewczynę na siodełko.

Nie usłyszałem odpowiedzi, bo motocykl Mykoły o mało co nie wyskoczył spod jeźdźca. Zdążyłem tylko krzyknąć w ślad za nim:

— Jajecznicza!

Sto jaj! Dziesięć sztuk — osiemdziesiąt kopiejek! Ciotka Mykoły ucieszy się jak dziecko.

Niedziela. Jeżeli leżeć bez ruchu, to w ogóle nie boli. Ale wystarczy byle ruch, a noga już tak dokucza, że chce się człowiekowi wyć. Dobrze, że to się stało w sobotę. Dziś mogę sobie poleżeć, a jutro pójdę do roboty. Kostka spuchnięta, obok kostki — siniak. Hematoma, jak mówiono w naszej klasie. Lekarz szkolny, stara i powszechnie szanowana Rozalia Benediktiwna, nigdy nie mówiła, że Romek się pobił i ma pod okiem śliwę, nie, zawsze wyrażała się naukowo — „utworzyła się hematoma”. Po tym słowie można poznać każdego absolwenta naszej budy.

Boli noga. Ale dobrze, że na tym się skończyło. Mogło się to wszystko skończyć znacznie gorzej.

Długo się zastanawiałem, co mam powiedzieć mamie. I nie wymyśliłem nic lepszego, niż oświadczyć, że spadłem ze schodów. Może to dziwne, ale uwierzyła i powiedziała, żebym na nią chuchnął.

— Co, mama, zupełnie jak milicjant do kierowcy, który przejechał czerwone światło — skrzywiłem się w odpowiedzi, obrażony.

— Czemu to ja przez całe życie — zapytała mama — nigdy nie spadłam ze schodów?

Ja też nigdy nie spadłem ze schodów. Ale przecież jeśli się zastanowić, to taki wypadek jest możliwy, prawda?

A naprawdę to poleciałem. Teraz już wiem, co to takiego — stan nieważkości. W kabinie statku kosmicznego, na przykład.

Koło mostu Patona jest taki skręt w lewo. Chwała Bogu, że zmniejszyłem szybkość, bo z przeciwka jechały samochody. Na zakręcie miałem ze trzydziestkę. No,

może czterdzieści. Nie więcej. Nim skręciłem, spojrzałem w lewo. I raptem motocykl po prostu uciekł spode mnie. Wyrwało mi z rąk kierownicę. Wyniosło mnie w powietrze. Ku górze i w lewo. Zdawało mi się, że lecę niewiarygodnie powoli. Jak we śnie. I jakoś tak lekko i płynnie prasnałem o szosę. Nawet się nie potłukłem. Zwichnałem tylko nogę. I tylko cudem nie znalazłem się pod kołami ogromnej mińskiej wywrotki. Dawno nie słyszałem, żeby ktoś tak kłął, jak ten kierowca. Ten człowiek umiał wyrazić swoje myśli. Motocykl zaś leżał na boku i kręcił kołami w najlepsze.

Jakieś bydlę rozlało na szosie smar. Jak mogłem tego nie zauważyć? Koła nagle straciły przyczepność i zaczęły buksować jak w próżni. Dlatego wyleciałem. Mogło być gorzej. Mogło być znacznie gorzej.

Mama prała. Dobiał z łazienki jej głos. Śpiewała. Słyszałem tę piosenkę chyba z tysiąc razy, ale teraz dlaczegoś odczułem ją jakoś szczególnie.

*Ponad łuhom zeleneńkym,
Ponad łuhom zeleneńkym,
Brała wdowa lon dribneńkyj.
Wona brała, wyborała,
Wona brała, wyborała,
Tonkyj hołos podawała.*

I jaskrawo, wyraziście, jak w kinie, zobaczyłem tę łąkę i tę kobietę, jak pochylona wrywa drobne, niewyrośnięte łądygi lnu. Śpiewa, głos ma wysoki, podobny do głosu mojej mamy. Jest to ów szczególnie wysoki głos kobiety, która w latach dziewczęcych śpiewała na wieczorynkach.

*Tam Wasylko sino kosyt',
Tam Wasylko sino kosyt',
Tonkyj hołos perenosyt'.*

Kosa dżik-dżik. I trawa kładzie się równymi pokosami, a Wasylko... a co Wasylko? Co to znaczy — „tonkyj hołos perenosyt’”? W mowie potocznej tak nie można powiedzieć. Tak można powiedzieć tylko w pieśni. Z pewnością przeżywa coś, kiedy słyszy ten głos. I głos ten jakby kraje mu serce. Tak? A może „tonkyj hołos perenosyt’” ma zupełnie inne znaczenie? Wasylko podchwytuje pieśń, jakby przynosił ją do siebie na łąkę?

*Kynuw kosu dodotońku,
Kynuw kosu dodotońku,
A sam pizow dodomońku.
Siw do stołu, pochylywsia,
Siw do stołu, pochylywsia,
Tiażko-ważko zażurywsia.*

Cisnął kosę na ziemię, ostrze zanurzyło się w krótką szczotkę skoszonych trawy, a sam nie oglądając się za siebie poszedł do domu. Siadł do stołu, wsparł głowę na rękach i zapadł w zadumę.

*Pryjszła maty ta j do chaty,
Pryjszła maty ta j do chaty,
Stała Wasyla pytaty.*

Przyszła matka i zaczęła wypytywać Wasylę, czemu jest taki smutny. Tak samiusieńko zrobiłaby i moja mama.

*Oj Wasylu, szczo dumajesz,
Oj Wasylu, szczo dumajesz,
Czom ne pjosz i ne hulajesz?*

A czemu Wasyl miałby pić i hulać? Może to była niedziela, jak dziś. A w niedzielę zawsze pili i hulali.

*Dozwol, maty, wdowu braty,
Dozwol, maty, wdowu braty,
Todi budu pyt'-hulaty.*

Pobrać się z wdową?... Ależ w takim razie... zatem ona nie była stara jak moja mama. Była młoda. Jak żona naszego sąsiada Aleksiejewa. Może miała dziecko. Chłopczyka, jak Aleksiejewa. Albo była jeszcze młodsza i w ogóle jeszcze nie miała dziecka. Jak Olena, którą Mykoła wziął na motor i z którą chce się teraz żenić. Dziwne. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Mąż jej umarł młodo. Spadł z motocykla?... Czy może wtedy nie było jeszcze motocykli?... Ciężko zachorował?...

*Ne dozwołu wdowu braty,
Ne dozwołu wdowu braty,
Wdowa wmije czaruwaty.*

Matka sprzeciwia się temu, żeby syn się żenił z młodą wdową. Wdowa umie czarować? Ale — w jakim znaczeniu czarować? Jak wiedźma? Czy po prostu umie człowieka oczarować?

*Wczaruwała muża swoho,
Wczaruwała muża swoho,
Pryczaruje j syna moho.*

Mama umilkła. Ale przypomniałem sobie, że dalej było jeszcze tak:

*A ja czariw ne bojusia,
A ja czariw ne bojusia,
Ta j na wdowi ożeniusia.*

Ożeni się z wdową. Ale pieśń nie wspomina o tym, jak im się będzie żyło. Z tą jego matką. Nie chciałbym się ożenić z kobietą, która nie spodoba się mojej mamie. To by nie było życie. Mama by nas zadziobała.

Co tu dużo gadać — wszyscy u nas boją się mamy.

I ja, i tato, i Fiedia. Ojcu od małości mówię „ty”, a do mamy mówię „mamo”.

Nie, z naszą mamą nie ma żartów. Choćby i teraz — przysłała z łazienki z zakasnymi rękami, z twarzą mokrą, rozpaloną, spojrzała na mnie tak, jakbym zrobił coś strasznie niewłaściwego i zapytała zjadliwie:

— Ty w ogóle nie zamierzasz wstać?

— Wstaję już od godziny — uśmiechnąłem się czym prędzej, żeby mama nie zorientowała się, jak boli ta przekłeta noga.

— Przynieś ze spożywczego chleba. Ukraińskiego, czarnego. Czy może ja mam chodzić po chleb?

— Zaraz pójdę.

Przekłeta noga. Tak spuchła, że nie mogłem włożyć buta. Kuśtykałem po pokoju szukając sandałów.

— Uważaj, Romka — powiedziała mama — jak sobie jeszcze raz coś połamiesz, to zobaczysz motocykl jak własne uszy. Bez lustra — dodała, żebym nie żywił żadnych złudzeń.

Starając się nie kuleć, wyszedłem do przedpokoju, wszedłem do naszego kompleksowego węzła sanitarnego.

To jednak coś bardzo idiotycznego. Nie wiem, czy dużo oszczędzają budowlani na umieszczeniu ubikacji i łazienki w tym samym pomieszczeniu, ale wiem, że mieszkańcom ta oszczędność bokiem wychodzi.

Może gdzieś w hotelu, gdzie w pokoju mieszka jeden człowiek, to nie przeszkadza, ale nawet w takiej małej rodzinie jak nasza takie udoskonalenie to wielka niewygoda. Teraz na przykład mama prała w wannie. Więc co, miałem ją prosić, żeby wyszła?

Ktoś zadzwonił do drzwi wejściowych. Ktoś obcy. Swoi u nas dzwonią krótko, dwa razy. Mama poszła otworzyć. Ktoś wszedł. Ale się nie przywitał, tylko z ogniem, z uczuciem:

— *Cyhanoczko Hału,
I dosi ja żywyj...
Cyhanoczko czorna,
Ty poworoży.*

Głos był młody, czysty, ale pomyślałem sobie, że należy do człowieka już niemłodego.

— Brunetom nie wróżę — powiedziała mama tak, jak się odpowiada na hasło.

— A ja jestem blondyn — dobiegł ten cudzy głos jak odzew.

— To wchodzi. Siadaj. Daj rękę. Nie tę. Lewą. Od serca.

Nie wiedziałem, co robić. Należałoby wyjść z naszego „połączonego węzła”, ale wszystko, co słyszałem, było tak niezrozumiałe, że nieco uchyliłem drzwi i nasłuchiwałem.

— Ty, oczywiście, nie wierzysz w chiromancję. Nie wierzysz, że linie na dłoni mogą zdradzić nie tylko przeszłość, ale i przyszłość człowieka — mówiła mama jakoś tajemniczo i tak, jakby recytowała. — Chiromancja to stara nauka, nauka tajemna. Niewielu też jest takich, co potrafią wywróżyć człowiekowi jego los. A żebyś uwierzył w znaki, które wybite są na twojej dłoni, powiem ci z początku o tym, co już było. Od twojego serdecznego palca idzie linia losu. My ją nazywamy linią Saturna. Twoja jest nieprosta. Głęboko ją przecina linia serca i linia głowy. Przeszedłeś przez wielkie niebezpieczeństwa i wielkie lęki, twoi przyjaciele ginęli na twoich oczach, przyszłość cię przeraża i nikomu nie wierzysz...

Po cichutku wyszedłem do przedpokoju. Nigdy nie słyszałem, jak mówi zawodowa wróżka. Ale przypuszczam, że właśnie tak, jak mówiła moja mama.

— Jak masz na imię? — zapytała mama, jak gdyby śpiewała.

— Oleg.

— A nazwisko?

— Iwanow.

— Nikomu nie wierzysz i dlatego kłamiesz. Popatrz, jaka posiekana jest tutaj linia Saturna. A to świadczy, że na imię masz nie Oleg tylko Serhij. I nie Iwanow tylko Sztejn. Ale ludziom trzeba wierzyć. Widzisz, to linia życia. Ciągnie się ona u ciebie daleko. A linię serca, o, tę, jasną masz i równą. A to oznacza, że pokochasz piękną kobietę, a ona urodzi ci syna.

— Dwóch, Halu, dwóch. I już dwóch wnuków...

Usłyszałem pocałunek. Potem męski głos mówił dalej:

— No, witaj. Wiedziałem, że tak właśnie będzie. Że odezwiesz się na stare hasło, jak wtedy. I po staremu poczęstujesz mnie wróżeniem... Nie jesteś na mnie obrażona? — cicho, delikatnie zapytał głos.

— Nie — nie od razu odpowiedziała mama.

— Cieszysz się, że przyjechałem?

— Tak — nie od razu powiedziała mama.

— Twój zdrowi? Syn?

— Synowie. Zdrowi.

— A mąż?

— Mąż też.

— Co on robi? Czym się teraz zajmuje?

— Jest ślusarzem. W fabryce obrabiarek.

— A ty?

— W domu.

— Po staremu bezpartyjna?

— Tak.

— A odznaczenia?

— Nie.

— No, Halu... — zdziwił się głos. — Ale ja nie o tym chciałem... Tyle ci miałem opowiedzieć... W samolocie przez całą drogę myślałem o tym, co ci powiem... Ja na

kilka dni... Chciałem ci powiedzieć... Chciałem podziękować...

Dłuższe podsłuchiwanie byłoby nieprzyzwoitością. Odkaslnąłem i zacząłem się krzątać po przedpokoju.

— Już kupiłeś? — zdziwiła się matka.

Nie odpowiedziałem.

— Serhij Arkadijowicz — podał mi rękę niemłody krępy człowiek o rzadkich siwych włosach. Wyglądał przekonywająco, choć nie miał na sobie niczego takiego, co by się szczególnie rzucało w oczy. Szary garnitur, biała koszula, ciemny krawat, wszystko to nawet niezbyt wyprasowane, nie można powiedzieć, żeby prosto od krawca, a jednak dobrane ze znajomością rzeczy, z zamiłowaniem, wszystko to nowe, drogie.

— Roman — odpowiedziałem.

Gdyby mama zrobiła raptem salto mortale, nie byłbym bardziej zaskoczony. „Czy rzeczywiście — myślałem — każdy, jak mówi Wilia, ma swój szkielet w szafie? Albo teczkę z napisem »ściśle tajne«? I co mama ma w tej teczce?”

Ludzkość podąża prostą drogą. To bzdury, że wybiera zawsze drogę okólną. W naturze człowieka, by tak rzec, leży chodzenie prosto. Na przełaj, niezależnie od wszelkich przeszkód.

Niedaleko od naszego domu jest nieduży skwerek, na którym zasadzono młode drzewka. Rosną tam topole i bzy, a na klombach róże. Skwer ten zaplanowano tak, że wszystkie alejki są okropnie symetryczne, skwer jest kwadratowy i od połowy każdego boku idzie alejka do środka. A na ukos, po przekątnej, wydeptano ścieżkę. Chodzą nią ludzie do trolejbusu.

Jakichże przeszkód nie instalowano na tym naszym skwerku! Przegradzali ścieżkę barykadą z parkowych

ławek. Pomiędzy drzewami przeciągali stalowe liny, a nawet drut kolczasty. A przechodnie uporali się z każdą przeszkodą.

Obliczyłem, że jeśli ktoś idzie nie alejką, lecz tą ścieżką, zyskuje na czasie pięć do sześciu sekund, nie więcej. A po to, by, nawet w sześć osób, rozebrać barykadę z ławek trzeba dwu lub trzech minut.

Od dawna zamierzam poczekać tam kiedyś i zobaczyć, co to za ludzie z takim zdumiewającym uporem budują te barykady. I co za ludzie z uporem nie mniejszym je rozbierają.

I po co ludzie w ogóle w ten sposób skracają sobie drogę? Żeby zyskać na czasie? Te pięć czy sześć sekund? Co te sekundy znaczą dla człowieka, który jest w stanie przestać na ulicy godzinę, kiedy spotka znajomego!

Najwidoczniej działa tu coś w rodzaju instynktu. Wiem to po sobie. Dla motocyklisty nic chyba prostszego, niż pojechać nie tą przeczną, tylko następną. Tymczasem wściekam się, ile razy wisi gdzieś „cegła”. I jeśli tylko nie ma w pobliżu inspekcji drogowej, staram się przemknąć pod znakiem zakazu, choć mogę mieć za to grube nieprzyjemności. Tfu, żeby nie zapeszyć, dotąd jakoś mi się upiekło.

Nie, ludzie chcą chodzić prostymi drogami, choć pewnie sami nie zawsze zdają sobie z tego sprawę.

Dziś podczas przerwy obiadowej zebrali nas na pogadankę. Na miejscu, w hali. „Praca jako potrzeba życiowa”. Mówił na ten temat jakiś profesor Sołowiow, młody jeszcze, barczysty, gruby, rudy, cały w piegach, które w formie brunatnych plam miał na twarzy, na szyi, na rękach. A głos ma ten profesor taki, że mógłby bez megafonu regulować ruch w dniu meczu piłki nożnej.

— Bódźce skłaniające do pracy w budownictwie komunistycznym — mówił profesor Sołowiow — to przede

wszystkim wewnętrzną podnieta, będąca rezultatem chęci zaspokojenia potrzeb człowieka. Od bodźców skłaniających do pracy odróżnić należy stymulatory i motywy pracy. O ile bodziec jest wewnętrzną podniętą do podjęcia działalności mającej charakter pracy, o tyle stymulatory są to podniety zewnętrzne, związane nieodłącznie z ambicjami i z odpowiedzialnością za powierzony wycinek działania.

Osobiste materialne zainteresowanie w warunkach socjalizmu charakteryzują dwie cechy: po pierwsze, socjalistyczny poziom rozwoju mocy produkcyjnych powoduje konieczność dokonywania podziału produktów spożycia według pracy, ponieważ sposób ich podziału w istotny sposób uwarunkowany jest przez ilość tych produktów, po drugie, praca nie jest jeszcze dla tych, którzy ją wykonują, pierwszą życiową potrzebą. Traktowana jest przeważnie jako warunek istnienia.

Formacja komunistyczna, która obecnie się kształtuje, stawia pracującym coraz to nowe wymagania, stawia też przed nimi coraz to nowe cele.

A zakończył tak:

— Każdy z nas uświadamia sobie proste i jasne zadanie, jakie przed nim stoi: wywalczyć szczęście dla ludzkości.

Można by było, oczywiście, puścić to mimo uszu. A jednak czułem się głupio, wstyd mi było za niego. Przecież nic podobnego, nikt z nas nie uświadamia sobie takiego zadania. Lektor też nie. Bo gdyby choć raz pomyślał, że ma wywalczyć szczęście dla całej ludzkości, to by nie krzyczał o tym, ale ukradkiem, w samotności napawałby się sobą, a także przeraziłby się, jak trudne, a może nawet niemożliwe jest to do osiągnięcia.

A tak jego słowa są nic nie warte. Myśmy się przyzwyczaili i już chyba w ogóle na nie nie reagujemy. Choć z pewnością ludzie nawet widząc przed sobą by-

najmniej nie tak wiekopomne zadania, ale po prostu chcąc zarobić, dostać nowe mieszkanie, pojechać latem na południe albo dostać dla dziecka miejsce w przedszkolu w gruncie rzeczy każdym swoim wysiłkiem jakoś tam sprzyjają temu, żeby ludzkość żyła lepiej.

Ale gdzie jest ta szczęśliwa ludzkość? Szczęśliwa ludzkość powinna się zapewne składać ze szczęśliwych ludzi. Mam mnóstwo znajomych, którym się nieźle żyje. Tymczasem spośród wszystkich, których znam, o jednym dziadku Petrze mogę powiedzieć: oto szczęśliwy człowiek.

I dziwna rzecz: dziadek Petro u prawej dłoni nie ma dużego palca, a u lewej małego i serdecznego. Odłamek miny urwał mu je na froncie. Brakuje mu też końca nosa. To już kula, innym razem.

Dziadek Petro mieszka w tym samym domu co my, tylko na innej klatce, Wilia jest jego krewniakiem. Ojciec i matka Wili umarli w jednym i tym samym roku i dziadek Petro wtedy sprowadził się tu, zamieszkał z Wilią i z jego siostrą, Natalką, która chodzi do ósmej klasy. Podobno miał kiedyś własną rodzinę, ale zginęła podczas wojny.

Nieraz widzę, jak dziadek Petro chwiejnym krokiem, ale starając się utrzymać równowagę, wraca wieczorem do domu. Co wieczora wypija w piwiarni na rogu swoją normę. Nalewają mu, nie pytając, dwa kufle piwa, on zaś pod stołem rozlewa do nich ćwiartkę gorzalki. Picie wódki w piwiarni jest wzbronione. Pije ten swój koktajl powolutku. Zawsze ma o czym porozmawiać ze stałymi bywalcami piwiarni. Nie upija się tym. Tylko chwieje się na nogach.

Mama mówi o nim: „Dobroho korczma ne zipsuje, a lychoho j cerkwa ne naprawyt”.

Zawsze się zdumiewałem, że też on potrafi tak dobrze pracować bez palców. Jest doskonałym modelatorem.

W fabryce rezerwują go do wyjątkowo skomplikowanych prac, a o tym, co wychodzi z jego rąk, mówią, że to dzieła sztuki.

Niedawno dziadek Petro trafił do szpitala. Na całych plecach miał pęcherze. A winowajcą był, jakby to nie było dziwne, nasz profesor Fiedia. Fiedia bardzo lubi dziadka Petra. Więc kiedy dziadek Petro się przeziębził, przyjechał Fiedia, żeby go wyleczyć. Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że dziadka Petra zabrano do szpitala ze strasznymi oparzeniami. Od gorczyczników. Pytamy, jak to się mogło stać.

— Fiedia kazał przyłożyć gorczyczniki. Profesor przecież.

— Ale czemuście je tak długo trzymali?

— Ja go pytałem, ile mam trzymać. Powiedział: dopóki można będzie znieść. No, to znosiłem.

A jednak słowo każde i każdy uczynek dziadka Petra to słowa i uczynki człowieka absolutnie szczęśliwego, który z pewnością nawet nie wyobraża sobie, jak ludzie mogą być nieszczęśliwi, skoro żyją w pokojowych czasach, skoro mają pracę, kawałek chleba, a jeszcze wieczorem mogą się napić piwa, dolawszy do niego w odpowiedniej proporcji gorzałki.

Kiedy wracam z fabryki, już przed samym naszym domem niepostrzeżenie zmniejszam szybkość do trzydziestu, potem targnięciem szarpnię kierownicą w lewo, tak że motocykl skręca, kładzie się na bok i z miejsca staje. To taka sztuczka. Wielce efektowna. Asfalt — o dwadzieścia centymetrów od oblicza. Przechodniom zapiera dech. Zwłaszcza dziewczynom. Zdaje im się, że zaraz wyrzną głową o mur.

— No, pracusiu — zawołał do mnie dziadek Petro — nie uderzyłeś się?

— Nie, dziadku Petro, wszystko w porządku.

— No, młotku! — Dziadek Petro zapożycza te modne

słówka od swojej kuzyneczki, ósmoklasistki Natalki. — Wstąpimy do piwiarni?

— Możemy wstąpić — zgodziłem się.

W piwiarni dziadek Petro zręcznym ruchem rozlał pod stołem gorzałkę do swoich kufli. Jestem pewien, że gdyby ktoś zważył te kufle na aptekarskiej wadze, to by się okazało, że do każdego dolano równo po sto dwadzieścia pięć gramów.

— Mówię do niego: co, nie poznajecie mnie? — powiedział dziadek Petro tak, jakby kontynuował jakąś przerwana rozmowę.

— Do kogo, dziadku Petro?

— No, do tego zawałowca... Nie poznaję, powiada.

— Jaki zawałowiec?

— No, ten, z trybunału. Major.

— Z jakiego trybunału?

— Ja ci opowiadam, a ty ciągle przerywasz. Poczekaj.

Nic o tym nie wiedziałem. Na froncie stalingradzkim dziadek Petro kontuzjowany przeleżał cztery doby na ziemi niczyjej. Pułk, w którym służył, przerzucono tymczasem na inny odcinek, więc kiedy doczołgał się do własnych linii, posłano go jako dezertera do trybunału. Major z trybunału, którego teraz spotkał, nie uwierzył wtedy ani w jedno słowo dziadka Petra i wcielił go do batalionu karnego.

— Zdawało mi się — mówił dziadek Petro siorbiąc piwo i pocierając palcem obcięty koniuszek nosa — że jeśli go, bydlaka, kiedyś spotkam, to połamię mu rękę i nogi. I właśnie go spotkałem. A ten mnie nie poznaje. Mówię mu, że jestem taki a taki. A on mnie i tak nie poznaje. „Stalingrad?” — pyta. „Stalingrad” — powiadam. „Nie przypominam sobie” — mówi. Patrzę ja na niego, a on już tego... Zawałowiec. Widywałem ja takich w szpitalu. Więc mówię do niego: „Skoro tak, to chodźmy się czegoś napić. To przeczyszczca pamięć”.

Poszliśmy. A ten, chociaż zawałowiec, pije jak normalny człowiek. Ale i tak sobie nie przypominał. Kij mu w oko. Gdzie by tam pamiętał. Dużo nas było.

Były major z byłego trybunału tak się zabzdryngolił, że, jak to określili dziadek Petro, „dwa razy pokazywał zakąskę”. Dziadek Petro nauczył go, jak się pije ten jego eliksir.

A tymczasem są na świecie sceptycy, którzy utrzymują, że ludziom jakoby trudno jest znaleźć wspólny język.

Do drzwi ktoś krótko zadzwonił dwa razy.

— Wilia — powiedziała mama.

Otworzyłem. Wszedł Wilia. Przedstawiłem go Serhijowi Arkadijowiczowi.

— O wilku mowa, a wilk tuż — powiedziałem mami-
ne przysłowie. — Dopiero co wspominaliśmy ciebie.

— Bardzo mi miło. Bo filozof-materialista ze starożytniej Grecji Tales mawiał: „O przyjaciółach pamiętać trzeba nie tylko w ich obecności, ale i pod ich nieobecność”. Coście o mnie mówili? Źle czy dobrze?

— Dobrze — powiedziałem. — Opowiadałem, jak to klóciliśmy się z tobą i bili po sto razy na dzień, aż wreszcie zostaliśmy przyjaciółmi.

— Normalka. Filozof i wybitny poeta ze starożytniej Grecji Hezjod mawiał: „Nie godzi się zmieniać przyjaciół co godzinę”. I choć wtedy nie byłem jeszcze otrząskany z filozofią, nie sprzedałem cię za sznytki z jajecznicą, które zawsze przynosił do szkoły Saszko Lisowski. Ani za możliwość chodzenia za darmo do kina, którą proponowała mi za to, żebym ją pokochał, Hanna Vincente.

— Na każde słowo macie cytaty? — zapytał Serhij Arkadijowicz, ze zdziwieniem przyglądając się Wili.

— Na każde — ochno odpardı Wilia. — W pracy rozmawiam samymi cytatai. W ten sposób wcielam w życie myśl filozofów. Bo jeszcze rzymski filozof Lucjusz Annaeus Seneka powiedział: „Nie interesuje mnie pozyskanie jakiejś wiadomości, choćby najkorzystniejszej, jeśli tylko ja jeden mam ją mieć”.

— A gdzie pracujecie? — nie wytrzymał Serhij Arkadijowicz.

— W bazie taksówkowej numer jeden. Jako kierowca. Powiedziałem, że Wilia studiuje filozofię. Zaocznie. Serhij Arkadijowicz popatrzył na Wilię ze współczuciem, jak na chorego.

Przyszedł tato. Wydał mi się dziś jeszcze chudszy i jeszcze bardziej przygarbiony niż zwykle. Czy to może dlatego, że siedzi u nas młodzieńczy, wytworny Serhij Arkadijowicz?

— Pora na kolację — powiedziała mama. — Siadajcie do stołu — dodała, zwracając się do Serhija Arkadijowicza i do Wili.

— Jacyś tacy smutni jesteście, wujku Ołeksu? — zapytał Wilia.

— Nie... Czym bym się miał smucić? — jak zawsze nie od razu odpowiedział tato.

— Może co w fabryce?... W naszej robocie na przykład sto razy na dzień można sobie popsuć humor. I chociaż starożytny rzymski filozof Epiktet mówił, że nie ma na świecie niczego takiego, przez co warto by było szarpać sobie nerwy, to przecież dzisiaj skończyła się moja cierpliwość.

— A co się tam u was stało? — zapytał tato, kierując rozmowę na Wilię.

— Spór czysto filozoficzny. Na zebraniu związkowym. Wydano u nas walkę napiwkom. Napiwki poniżają godność radzieckiego kierowcy, przynoszą uszczerbek pasażerom. A tu akurat wsiadł do mojego zmien-

nika, do Omeljanenki, znasz go — zwrócił się do mnie — jakiś facet. Pojechał aż na Woskriesienkę. Płaci, daje dziesiątkę. Siowa wydaje mu resztę co do kopiejki. Wtedy pasażer daje mu dwadzieścia kopiejek. Ponad to, co na liczniku. Omeljanenko bierze. Wtedy pasażer mówi: „Jestem inspektorem, jak wam nie wstyd brać napiwki, dajcie no prawo”. I zabiera prawo. Zadanie brzmi następująco: kto postąpił niemoralnie, ten inspektor czy kierowca?

— A jak uznało zebranie? — zapytał Serhij Arkadijowicz.

— Zajęło słuszne stanowisko — Wilia posmarował chleb masłem i pasztetem z wątróbki, popatrzył z zainteresowaniem na butelkę, którą mama przyniosła z kuchni. Był to szampan. — Uznało, że ten inspektor to prowokator. A Omeljanenko — dureń. Trzeba umieć wyczuć, кого się wiezie.

— Trzeba też wiedzieć, z kim się jedzie — powiedziała mama. — Odkorkuj — zwróciła się do taty.

— Może ja — wtrącił się Wilia. — Nową metodą. Bez wystrzału. Tylko czym by można przedziurawić korek? — Przekłuł korkociągiem polietylenowy korek. — W ten sposób nadmiar gazu uchodzi i wszystko jest na azur.

Ostrożnie, tak aby wino nie wypieniło się z butelki, Wilia nalewał szampana do kieliszków.

— Mnie nie nalewaj — nieoczekiwanie kategorycznie powiedział tato. — Ja tego nie piję. Przyniesz no z lodówki — zwrócił się do mnie — ćwiartkę.

Przyniosłem butelkę „Stolicznej”, która od razu zapotniała.

— Była tylko półlitrowka.

— No, mniejsza o to... — odparł tato. — Może wódeczki? — zwrócił się do Serhija Arkadijowicza.

— Nie. Serce nie pozwala.

— Jasna sprawa — nie od razu powiedział tato. — A tobie nalać gorzałki? — zapytał Wilię.

— Nie, skończyłem z pićciem. Jako wzorowy kierowca nie mogę. A jako filozof tym bardziej.

Unikając spojrzenia mamy tato nalał mi kieliszek wódki.

— No cóż, oby nam się...

Wypiliśmy.

— A jak się odnosi do waszych filozoficznych zajęć kierownictwo bazy — zapytał Serhij Arkadijowicz Wilię, ale tak, jak się pyta, kiedy przedłużające się milczenie staje się niezręczne, a mówić nie ma o czym.

— Wywiesili mnie nawet na tablicy honorowej — odparł Wilia. — Dają premie. Bylebym tylko nie zabierał głosu na zebraniach. Bo cytując można powiedzieć takie rzeczy, których inaczej nigdy byś nie powiedział. Na przykład zacytowałem na ogólnym zebraniu filozofa ze starożytnej Grecji, Demokryta. Demokryt powiedział, że łatwiej być podwładnym durnia niż zwierzchnikiem durnia. A niech kto spróbuje własnymi słowami powiedzieć, że jakiś kierownik jest durniem!...

— Pewnie — przytaknął Serhij Arkadijowicz.

— A jak w Nowosybirsku... z pogodą? — zapytał tato, żując powoli kiełbasę.

— Taka sama jak w Kijowie... Mniej więcej taka sama — odparł Serhij Arkadijowicz.

— Tak... A wy... To jest, chciałem powiedzieć, czy w Nowosybirsku też się tak dużo buduje?

— Tak. Mnóstwo budują. Można powiedzieć, że ogromnie dużo.

— To dobrze — powiedział tato.

Pomyślałem sobie nagle, że tacie jest nie po myśli ta wizyta Serhija Arkadijowicza. Wydało mi się, że wychywa to nawet Wilia.

„Jest zazdrosny o mamę, czy co? — pomyślałem o ojcu z rozdrażnieniem. — To po prostu śmieszne”.

Raptem sparzyła mnie dziwna myśl.

„Czyżby?... Niemożliwe — pohamowałem się. — Który to ja jestem rocznik?” Jakoś nie mogłem sobie tego uświadomić i zacząłem odliczać lata od roku bieżącego.

— Kiedy byliście po raz ostatni w Kijowie? — ni w pięć ni w dziewięć zwróciłem się do Serhija Arkadijowicza. Coś tam opowiadał o swoim Nowosybirsku.

— Bardzo dawno — Serhij Arkadijowicz przez chwilę milczał. — Zresztą niedługo. W czterdziestym drugim.

— W czterdziestym drugim Kijów był okupowany. Przez Niemców — powiedziałem. — Pamiętam.

— Nie każdy może się pochwalić, że pamięta to, co się działo przed jego urodzeniem. A Kijów rzeczywiście był pod okupacją. Niemniej zdarzyło mi się być tu wtedy. Od tamtych czasów miasto co prawda zmieniło się nie do poznania. Niedawno byłem także w Berlinie. Berlina też nie widziałem od czterdziestego piątego. Też bardzo się zmienił.

— W NRF też byliście? — zainteresował się Wilia.

— Nie. Tylko w NRD. Na delegacji.

Wydało mi się, że tato trochę sobie podchmielił.

— Myśmy zwyciężyli — powiedział. — A oni przegrali. Ale my im dajemy żyć. I zachodnim, i wschodnim. A jakby oni wygrali? Jak byśmy żyli? Odbudowalibyśmy wtedy Kijów? O tym nie wolno zapominać...

Mimo wszystko dobrze jest czuć się obywatelem wielkiego mocarstwa. Jakoś pewniej człowiek stoi na ziemi.

U Wiry nad tapczanem, na kosmatym, kolorowym jak tęcza huculskim kilimie wisi obraz, który sam namalowałem. Staram się na niego nie patrzeć. Moim zda-

niem jest tak nieprzyzwoity, że nie można go pokazywać ludziom. Ale Wira mówi, że tego tak czy owak nikt nie rozumie. Nawet Wiktor, jej mąż. A to jest portret Wiry. Portret Wiry bez ubrania.

Nie umiem malować. Ani trochę. Sam nie rozumiem, co mi strzeliło do głowy, że namalowałem takie coś. Po prostu zobaczyłem u dziadka Petra fornir z gruszy. Okleja się nim drogie meble. Kolor tego drzewa wydał mi się jakiś... No, jakiś znajomy. Wira ma cerę takiego dziwnego koloru, jakby skóra podświetlona była od wewnątrz.

Poprosiłem dziadka Petra o kawałek tego gruszonego forniru i przygotowałem części składowe portretu. Najpierw obrysowałem cyrkle i wyciąłem nieduże koło. Do tego koła dołączyłem dwa wąskie trójkąty, ostrzami ku dołowi. Nad kołem większy trójkąt, tępym końcem do góry. Całkiem malutki trójkąt wyobraża szyję, równiutkie kółko — głowę, dwa stożki po obu bokach — ręce.

Wszystkie te osiem kawałków wpuściłem w ciemną bukową deskę tak, jak mnie nauczył dziadek Petro, deskę wypolerowałem i pomalowałem przezroczystym lakierem.

I oto teraz ten przedmiot wisi u Wiry. I to gdzie... Nad tapczanem. Tego doprawdy za wiele. Dobrze przynajmniej, że Wira nie mówi, kto to zrobił, tylko buja, że jakoby kupiła to na Zakarpaciu. Wyszukała nawet gdzieś słowo „intarsja”, okazuje się, że obrazy z drzewa mają taką uczoną nazwę.

Wszyscy, którzy ją odwiedzają, są przekonani, że to jakaś abstrakcja. Ale ja przecież doskonale wiem, że to nie żadna abstrakcja, tylko coś jak najbardziej konkretnego, z pieczołowicie zachowanymi wszystkimi proporcjami. To jest schemat Wiry. Ona jest właśnie tak

zbudowana. Kto jak kto, ale ja wiem o tym dobrze. Może nawet aż za dobrze.

Wira mówi, że to skutek zajmowania się gimnastyką. Te proporcje. Pasjonowała się lekką atletyką. Ale mnie się zdaje, że ona już się taka urodziła. Zresztą nigdy nie widziałem, jak to jest u innych. A i z nią w takich chwilach zawsze zamykam oczy. Ona umiera ze śmiechu i domaga się, żebym na nią patrzył. Ale ja zamykam oczy. Inaczej nie mogę.

Nie wiem, jak się to wszystko stało. Podjechałem pod dom, a ona akurat wyszła z naszej klatki. Ani mi w głowie było odezwać się do niej, ale nagle zapytałem:

— To pani zamawiała taksówkę przez telefon?

Coś zadrżało w jej oczach. Ale moje pytanie jej nie zdziwiło.

— Ja.

Niech to diabli! Nigdy dotąd nie słyszałem nawet jej głosu. Głos miała trochę ochrypły, jakiś jakby chłopięcy.

— Skoro tak, to proszę siadać. Licznik stuka.

Usiadła na siodelku za moimi plecami. Nie oczekiwałem tego.

— Dokąd jedziemy?

— Dokąd chcesz. Masz na imię Roman?

— Roman.

— A ja Wira. Jedźmy.

Od początku zaczęła mi mówić „ty”, a ja mówiłem do niej „pani”. Zresztą nie było w tym nic dziwnego, jako że była dużo starsza ode mnie, o całych siedem lat, miała męża i dziecko, i jeszcze całkiem niedawno ja do takich kobiet zwracałem się „ciociu”.

— Niech się pani trzyma — burknąłem i przekręciłem pokrętło przyspiesznika.

Niczego nie podejrzewałem, a jednak byłem czegoś zdenerwowany. I na placu Leninowskiego Komsomołu wyprzedzałem na trzeciego — trolejbus i autobus je-

chały tuż obok siebie. Milicjant na skrzyżowaniu gwizd-
nął. Okropnie mi się nie chciało zatrzymywać, ale za-
hamowałem i poprosiłem Wirę, żeby zechciała zaczekać,
póki będą mi myli głowę.

— Powitać, powitać — powiedział milicjant. — Da-
wnośmy się nie widzieli.

Nigdy w życiu nie widziałem tego starszego sierżanta
i powiedziałem mu o tym, ale milicjant pokręcił w od-
powiedzi głową:

— Dobra, dobra, obywatelu. Człowiek, który tak na-
chalnie wyprzedza na trzeciego, nie mógł się ze mną
nie zetknąć.

Długo i uważnie studiował moje prawo jazdy. Prze-
stępowałem z nogi na nogę. Myślałem, że zaraz prze-
tnie mi dziurkaczem kupon numer dwa na moim talo-
nie. „Za nieprzepisowe wyprzedzanie”. Jedną dziurkę
już miałem.

— Nic jej nie będzie, poczeka. Pierwszy raz z tą
dziewczyną? — raczej stwierdził, niż zapytał sierżant.

— Pierwszy — powiedziałem. Ale nie wytrzymałem
i zapytałem: — Skąd wicie?

— Ja wiem wszystko... Bo tak wyprzedzaliście...

W końcu wlepił mi mandat za rubla z taką miną,
jakby robił mi wielką łaskę.

— Nie chcę psuć nastroju pierwszej randki.

Otrzymałem kwit i tak ruszyłem, że byłem pewien,
że znowu zagwizdże w ślad za mną, ale jakoś się
obeszło.

Poprzez liście parku nad mogiłą Askolda ledwie było
widać daleki Dniepr, tak gęsto przeplatały się gałęzie,
emeryci grali w szachy, a ich małe wnuczęta obsypy-
wały się nawzajem piaskiem.

— Dziwne — powiedziała Wira. — Gdybyś się do
mnie nie odezwał, zrobiłabym to sama. Dałam sobie

słowo, że dziś do ciebie podejść. Prawie godzinę czekałam na dole, zanim podjechałeś.

Zdawało mi się, że się przesłyszałem.

— Dlaczego? — zapytałem jak idiota.

— A bo ja wiem dlaczego? Potrafiłbyś wyjaśnić, dlaczego się do mnie odezwałeś?

— Nie — powiedziałem — Ale pani...

— Mów mi „ty”. Co chciałeś powiedzieć?

— Nic — wymamrotałem, bo nagle sobie uświadomiłem, że o mało co nie palnąłem głupstwa.

— To jedźmy.

— Dokąd?

— Do mnie.

Pojechałem inną drogą, przez Pieczersk. Jakoś nie miałem ochoty na jeszcze jedno spotkanie z tym starszym sierżantem. Wjechałem prosto na nasze podwórze i odstawiłem motor do garażu. To taka buda z szalówki. Owczarkowi byłoby w niej ciasnawo. Przez cały czas spoglądałem na nasze okno od kuchni — czy aby nie pokaże się w nim mama, ale jakoś się obeszło. Pojechaliliśmy windą na szóste piętro, mijając nasze drzwi. My mieszkamy na drugim.

— Witia jest na delegacji — wkładając klucz do zamku powiedziała Wira. — Chciałbyś się z nim teraz spotkać?

Nic nie odpowiedziałem. Ciągle jeszcze nie widziałem nic złego w spotkaniu z jej mężem.

— Wy się znacie? — zapytała Wira, majstrując przy zamku od środka.

— Znam go — odpowiedziałem.

Któż by nie znał jej męża, szablisty z reprezentacji? O nim i o Wirze mówili w naszym domu: „Piękna para”. W naszym domu bardzo ich szanowano. Za Wiktorem Aleksiejewem, jej mężem, zawsze chodziła cała hurma chłopaczków.

— Coś tak zmakotniał? — zapytała Wira. — A ja cię miałam za wesołego chłopaka. Zawsze tak cię po cichu nazywałam: „Wesoły Roman”.

— Czasem to, co wesołe, niewesoło się kończy — odpowiedziałem.

— Możliwe — zgodziła się ze mną Wira. — Niewielkie mam w tych sprawach doświadczenie... Myj ręce i siadamy do obiadu. Jeżeli to można nazwać obiadem.

Obiad składał się wyłącznie z zimnych zakąsek, Wira wyjmowała je z lodówki i układała na talerzach — kiełbasa, szynka, ser, konserwy, jakaś ryba marynowana na ostro.

— A to — powiedziała ze strapieniem w głosie Wira i postawiła na stole miseczkę z czymś, co przypominało krem. To fondue Franche Comté. Doskonała francuska potrawa. Tylko trochę mi się przypaliła. Skosztuj.

Nałożyłem sobie na talerz trochę tego.

— A z czego to?

— Wino, czosnek, ser szwajcarski, jajka, masło. Smakuje?

— Ciekawa potrawa.

W smaku przypominało to przypaloną kaszę manną, tyle że z czosnkiem.

Wira nalała pół kielicha szampana, dopełniła koniakiem. To dla mnie. Sobie nalała tylko szampana.

— Czin-czin — powiedziała. — Czin-czin. Tak się trącają Włosi.

Podniosłem swój kielich, trąciliśmy się. Kryształ zadzwonił głucho, drewnianie, może dlatego, że w winie było pełno bąbelków. Moja mieszanka wydała mi się słabiutka i niesmaczna, ale poczułem, że krew z miejsca nabiegła mi do twarzy. I zrobiłem się niezwykle rozmowny, opowiadałem różne śmieszne historie, nieustannie gadałem i gadałem, jakbym pragnął oddalić chwilę, kiedy trzeba będzie mówić o czym innym, a ja

tymczasem nie wiem, jak to zrobić, i bałem się, i nie rozumiałem, po co jej to, a ona chichotała ubawiona moimi żartami, i jak mi się zdawało, także była zderwowana, i ciągle dolewała mi tej mieszanki, która teraz wydawała mi się nad podziw przyjemna.

Potem zaproponowała:

— Zapalimy?

Wyjąłem z kieszeni papierosy. Wyjęła mi z ręki paczkę, wzięła dwa papierosy, oba zacisnęła w ustach, zapaliła jedną zapałką. Jeden z nich, trochę na końcu ubrudzony szminką podała mnie, drugi cmoktała sama, lewą ręką rozganiając dym. Wydało mi się, że ona w ogóle nie pali, bo się nie zaciągała, tylko nabierała dym do ust i wydmuchiwała go, ale z czasem przekonałem się, że ona zawsze tak pali.

A potem, kiedy zgasilem papierosa, odbyło się to wszystko i wszystko to było wspaniałe, tyle o tym słyszałem od kolegów, a nawet czytałem w książkach, ale teraz było zupełnie inaczej. Dotąd nie wiem, czy tak właśnie to bywa u innych ludzi. O tym z nikim nie można porozmawiać. Nawet z najlepszym przyjacielem. Nie było w tym wszystkim żadnej tkliwości, było to tylko okrutne i piękne, jak na crossie po starcie, jak w trzeciej rundzie na ringu, jak przed finiszem w biegu na osiemset metrów. Tkliwość była potem.

Zasnąłem, i była już prawie piąta rano, kiedy się obudziłem...

Była w tym jakaś akustyczna sztuczka. Wydawało się, że wróble ćwierkają w samym pokoju i że to ich ćwierkanie pospołu z porannym chłodem łączy ten pokój z całym oceanem ziemskiej atmosfery. A jeszcze ten jakiś osobliwy, jakiś świeży a chłodny zapach.

Ostrożnie, tak, żeby nie obudzić Wiry, podniosłem lekką koldrę w czerwono-błękitny wzorek, wstałem, włożyłem koszulę i podszedłem do okna.

Gałęzie wysokiego starego klonu, który sięgał do czwartego piętra, poruszały się i huśtały pod ogromnym stadem wróbli.

Na parapecie okna usiadł siwy gołąb, przyjrzał mi się ufnie, pokręcił głową, odszedł na sam brzeżek i dał nura w powietrze, dopiero w locie niezbyt skwapliwie pomachując skrzydłami.

„Co to może być?” — zastanawiałem się wciągając nosem chłodną, miłą woń.

I nagle zobaczyłem. Na stole leżał rozkrojony na pół arbuz z czerwonym mięszem i czarno lakierowanymi pestkami.

— Jeśli będzie się nam chciało pić... — powiedziała wieczorem Wira. — Zobaczymy, co on wart.

„To arbuz” — zrozumiałem. — „Że też wcześniej nie zauważyłem, że to on tak pięknie pachnie!”

Byłem szczęśliwy. I zakochany. Pierwszy raz w życiu kochałem i byłem kochany przez kobietę, za którą gotów byłbym oddać życie. Ale co dalej?... Co nas teraz czeka?...

Obejrzałem się na Wirę. Leżała przykryta aż po podbródek kołdrą w czerwono-błękitny wzorek, twarz miała spokojną, oczy zamknięte, włosy rozsypane były po poduszce, jakby ktoś je specjalnie tak pięknie ułożył.

— Chodź — powiedziała nie otwierając oczu.

Jednym ruchem zdarłem z siebie koszulę i podszedłem do tapczanu.

Potem znów się zdrzemnąłem. Znienacka coś mnie jakby szturchnęło. Poderwałem się i nie patrząc na Wirę zacząłem się ubierać, nie miałem pojęcia, co by tu powiedzieć.

— Boisz się? — zapytała.

— Nie. Czego mam się bać? — Zmusiłem się do uśmiechu, bo się bałem.

— No, cóż, idź. Jutro się zobaczymy, a właściwie dzisiaj, bo jutro to już pojutrze. Pocałujesz mnie?

Pocałowałem ją i wyszedłem.

Po cichutku, na palcach zszedłem po schodach i otworzyłem kluczem nasze drzwi. W przedpokoju stała mama.

— Chodź no tutaj — powiedziała.

Podszedłem, mimo woli osłaniając twarz dłońmi.

— Opuść ręce.

Opuściłem. A wtedy na odlew tak mi przyłała po gębie, że zdawało mi się, jakbym dostał młotem. Ciężką rękę ma nasza mama. Nie kobiecą.

— Poczekał — powiedziała mama. I tym razem uderzyła mnie lewą ręką, w drugi policzek. Lewą to już nie było tak mocno.

— Wcześniej zacząłeś się łajdaczyć. Idź do łazienki, wykąp się. Potem porozmawiamy.

Delikatna topolowa goryczka nadawała powietrzu szczególny posmak, a nawet jakby zabarwiała je. W alei nie było nikogo. Tylko dwóch chłopaczków, którzy nie wiadomo skąd się tu wzięli — jeden miał z dziesięć lat, drugi jeszcze mniej — dyskutowało pod jedną z topól.

— To drzewo ma z dziesięć pięter.

— Nie, z siedem.

Mierzą drzewa na piętra. Miejskie dzieciaki.

— Dziadku! Ile ono będzie miało pięter?

Z ławki tak skrytej w krzakach, że nie od razu ją spostrzeżesz, wstał mężczyzna w ciemnej marynarce, w huculskiej koszuli i w szarym letnim kapeluszu z jakiejś plastikowej plecionki.

— Może z dziesięć — powiedział. I zwracając się do mnie dodał: — Postanowiłem pokazać wnukom fabrykę. Mają wakacje.

Spróbowałem wytłumaczyć chłopakom prawo trójką-

tów, pokazałem, jak można wyznaczyć wysokość według cienia.

— Jak się nazywasz? Jakoś cię nie pamiętam — powiedział stary, jakby musiał znać w fabryce wszystkich co do jednego.

— Puzo — odpowiedziałem niechętnie.

— Będiesz może syn Ołeksija Iwanowicza?

— Syn.

— Tak patrzę, że twarz jakby znajoma... Kawał czasu pracowaliśmy razem z twoim ojcem. A ja ciągle choruję. Pozdrów ojca ode mnie.

Nie zapytałem, od kogo mianowicie mam pozdrowić. Nie odpowiada mi, że dla wszystkich jestem przede wszystkim synem mojego ojca. Marzę, że kiedyś tato powie swoje nazwisko, a wtedy usłyszy: „A, ojciec tego Romana Puzo, co wygrał cross”.

Pomiędzy drzewami niczym reflektor przebijał się promień słoneczny i nieustannie wybuchały w nim złote iskry pszczoł.

— Dziadziusiu... Czemu pszczoły tak się śpieszą?

— Koniec miesiąca — powiedział stary.

Chłopców nie zdziwiło to, że pod koniec miesiąca trzeba się bardziej uwijać. Fabryczne dzieciaki.

Gdyby pójść za tymi pszczołami, to doprowadziłyby one do sadu, gdzie stoją między jabłoniąmi ule, gdzie rosną różne zioła i głogi, które akurat kwitną, i stoi oszklona skrzynia ustawiona szybą do słońca. Pachnie tam miodem i woskiem. W skrzyni wytapiają się stare plastry.

Cisza, w której brzęczą tylko to eksplodując, to znów gasnąc świetlne pociski złotych pszczoł. Nasza fabryka. Zieleń we wszystkich odcieniach, wśród drzew chaotycznie rozrzucone hale. Podczas przerwy przychodzą do sadu pszczelarze-frezerzy, ślusarze, modelatorzy. Jabłonie w tym sadzie obradzają doskonale. To pszczoły za-

pylają drzewa. Kołchozy zwracają się z prośbami, żeby na lato ule przewozić do nich. I pasiekę się przewozi.

Na naszych obrabiarkach jest nasz znak fabryczny. Znają go na całym świecie. Topola, na topoli kółko, w kółku pszczoła. Znają też slogan reklamowy naszych obrabiarek: „Niewymagające jak topola, pracowite jak pszczoła”.

Fabryka fabryk. Nie ma w kraju takich zakładów budowy maszyn ani takich warsztatów mechanicznych, w których nie pracowałyby obrabiarki z topolą i pszczołą. Dwadzieścia typów tokarek eksportujemy do Włoch, do Kanady, do Japonii, do Francji, do Finlandii, do Indii, do wszystkich krajów socjalistycznych. Na naszych cztero-, sześć- i ośmiogniazdowych automatach i półautomatach tokarskich wytoczyć można absolutnie wszystko, co się tylko zamarzy konstruktorom.

Te tokarki są rzeczywiście niewymagające jak topola i pracowite jak pszczoły.

Poszedłem na halę stałocieplną. Przy wejściu wisiał plakat. Niedawno mieliśmy zebranie sprawozdawczo-wyborcze związku zawodowego. Wybrano mnie przewodniczącym rady oddziałowej. Dowiedziałem się na tym zebraniu, że pewna kwota została w budżecie przewidziana na „agitację wizualną”. Kwota ta została wykorzystana. Na plakaty, których się przeważnie nie zauważa, jak nie zauważa się neonu: „Pijcie radziecki szampan”. Jeśli będziesz miał zamiar kupić szampan, to jasne, że kupisz radziecki. Francuskiego w naszym spożywczym jakoś nigdy nie widziałem, francuski z radzieckim u nas konkurować nie może. Albo: „Latajcie samolotami Aerofłotu”. A jakimiż innymi samolotami można u nas latać? Samolotami San-Marino?

Ale ten plakat koło wejścia na oddział stałocieplny przeczytałem pierwszego dnia, kiedy przyszedłem do fabryki i czytam go odtąd co rano.

„Przysięgamy ci, towarzyszeko partio, na naszą młodość, że będziemy oddani sprawie komunizmu! Nasze pokolenie nigdy nie zboczy z leninowskiej drogi! Przysięgamy każdym uderzeniem serca, każdym przeżytym dniem, całym naszym życiem umacniać na świecie komunizm!”

Nie wiem, kto jest autorem tych słów, ale mnie się one podobają. To są i moje słowa. Tylko, że ja bym nigdy się nie odważył na wypowiedzenie ich głośno z mównicy. Są tak podniosłe, że człowiek powinien pozostać z nimi sam na sam.

Latem zawsze przyjemnie jest wejść na stałocieplny. Chłodno tu. I oddychasz jak nad Dnieprem. Tu utrzymuje się zawsze taką samą temperaturę i taką samą wilgotność powietrza. Jest tu automatyczna klimatyzacja. Tu to by człowiek popracował!

Podłoga hali to mozaika z kolorowych płytek. W przejściu między obrabiarkami spływa po tej mozaice ogromna czarna kropla — to kocur, który się wabi Szpindel. Przyuważył chrabąszcza i skrada się do niego jak pantera do jelenia. Tego Szpindla zna cała fabryka. Jest w stałocieplnym od dawna i czuje się wśród obrabiarek jak u siebie w domu.

Na każdej obrabiarce, na szarej emalii, którą są pokryte, wielkie czarne litery: „Finisz”. Na tych obrabiarkach wykonuje się czynności końcowe. Docieranie, doszlifowywanie. Z ogromną dokładnością.

Finisz. Wyobraziłem sobie trasę i sędziogo na mecie, z chorągiewką w rękę. Chorągiewka jak szachownica. Sędzia machnie i wyłączasz gaz. Koniec. Finisz.

Potrzebny mi był Wasyl Pogorełow. Stał na prawo od przejścia przy swojej olbrzymiej płaskiej szlifierce, z której biła fontanna wody.

— Wasyl — dotknąłem jego ramienia.

— Chcę się z nią żenić — i koniec! — wypalił Wasyl nawet się nie odwróciwszy.

Raz jeszcze, ale już mocniej, stuknąłem go w plecy.

— O czym ty mówisz?...

— Powiedziałem przecież — wściekle obejrzał się Wasyl. — Czego chcesz? — zapytał ponuro. — Cześć.

— Czołem — powiedziałem, powstrzymując się od śmiechu. Wasyl w błękitnej wypuszczanej na spodnie koszuli i w błękitnym berecie — wszystkim pracującym w stałocieplnym wydają taką wytworną odzież roboczą — wyglądał, jakby sam wpadł pod tę fontannę ze szlifierki i cokolwiek wyliniał. — Rozwiązałeś to zadanie z wytrzymałości materiałów?

— No, rozwiązałem.

— Daj odpisać. Masz je tutaj?

— Mam — niezbyt ochoczo odpowiedział Wasyl. — Kiedy oddasz?

— Wieczorem.

— Dobra. Gdzie cię szukać?

Powiedziałem, jak mnie będzie mógł znaleźć, wziąłem od Wasyla zeszyt i poszedłem na swój oddział.

„Zapędzili chłopaka — myślałem po drodze — w ślepy zaułek”.

Wasyl Pogorełow uczy się w technikum samochodowym. Tak jak ja, na zaocznym. Razem zdawaliśmy. Nie mam pojęcia, po co on tam poszedł. Na motorze nie jeździ, o samochodzie nie ma zielonego pojęcia. Będzie drogowcem. Zawzięty z niego chłopak. Ale nie z tego słynie. Słynie w fabryce z tego, że lecą na niego dziewczyny, żadna mu się nie oprze. Zresztą nie bez powodu. Jest na co popatrzeć. Powiadają, że malarze go zapraszali. Do siebie, na akademię. Chcieli go malować gołego. Barry ma jak Żabotyński, a w talii można go objąć dłońmi. Oczy ciemne, przymglone, włosy jaśniutkie, jak utlenio-

ne, ale on ich nie tleni, takie już ma, sfalowane. I po-przysiągł sobie, że żadnej nie daruje. Taki as.

Znów sobie przypomniałem, jak to on nie odwracając się burknął: „Chcę się z nią żenić — i koniec!” i zarechotałem głośno. Szła naprzeciw mnie gruba, niemłoda dama, chyba z biura projektowego. Nadeła się i pokręciła palcem koło skroni. Że niby sfiksowałem. Myślała, że z niej się śmieję.

Przyjęli do nas do narzędziowni nową dziewczynę. Prosto z dziesiątej klasy. Wnuczka byłego naczelnego inżyniera, który przeszedł na emeryturę. Zinka. Ma ładny, chudziutki karczek i czyste, bezbronne oczy. Taka delikatniutka, że, zdawałoby się, jeśli dotkniesz jej palcem, to na skórze zrobi się plama. Od razu zaczęła chodzić na stałocieplny, żeby choć popatrzeć na Wasyla. Uprzedzali go: „Ręce przy sobie”, „Nie rusz jej”, „Za młoda”. Jak mawia moja mama: „Dziewczynę i szkło łatwo zepsuć, trudno zreperować”. Cały stałocieplny hucał, a tam jest nasza arystokracja. Byle kogo nie pošlą na „Finisz” do montowania bębnow albo wsporników sterujących. Mówią, że Wasyl dostał nawet po mordzie. Ale to też nie pomogło. Więc się wzięli za niego na serio. I koniec. Finisz.

Po pracy przyjechał do mnie Wilia. Swoją taksówką. Chcieliśmy pokazać Serhijowi Arkadijowiczowi Kijów.

Wychodziliśmy już, kiedy przyszedł po swoje zadania Wasyl. Przedstawiłem go Serhijowi Arkadijowiczowi i Wili.

— Od razu cię poznałem — powiedział Wasyl. — Roma mi o tobie opowiadał.

— Bardzo mi miło — odpowiedział Wilia. — Bo jeszcze filozof-materialista ze starożytnej Grecji, Talcs, nauczał: „O przyjaciółach pamiętać trzeba nie tylko w

ich obecności, ale i pod ich nieobecność” — Wilia zrobił do nas oko i powściągnęliśmy uśmiechy. — Co o mnie mówił? Źle czy dobrze?

— Raczej... dobrze... — zmieszał się Wasyl. — Że od dawna się przyjaźnicie...

— Słusznie — przytaknęła Wilia. — Już filozof i wybitny poeta ze starożytnej Grecji, Hezjod, powiada: „Nie godzi się co chwila zmieniać przyjaciół”.

— Masz cytaty na każdą okazję? — zdumiał się Wasyl.

— Na każdą. W ten sposób wcielam filozofię w życie, albowiem już rzymski filozof Lucjusz Annaeus Seneka...

— Wilia robi z ciebie balona — powiedziałem do Wasyla i oddałem mu zeszyt.

— Wszystko kapujesz? — zapytał Wasyl.

— Jakby wszystko... Sam rozwiązałeś?

— Sam. Ja to lubię.

— Co? — zainteresował się Serhij Arkadijowicz.

— Wytrzymałość materiałów.

Serhij Arkadijowicz pobieżnie przejrzał zadania, spojrział uważnie.

— Gdzie się uczycie? — zapytał Wasyla.

— W technikum samochodowym.

— Jaki fach chcecie obrać?

— Myślałem o budowie dróg.

— Słusznie — powiedział Serhij Arkadijowicz. — To ma przyszłość. Jak skończycie, to przyjeżdżajcie do mnie, do Nowosybirsk. U nas wszystko jest na wielką skalę. Jest gdzie nabrać rozpędu.

— Dziękuję — powiedział Wasyl. — Ale dotąd nie zastanawiałem się... Może i przyjadę. Ale jak was tam znaleźć?

Serhij Arkadijowicz wyjął z bocznej kieszeni marynarki portfel, wyciągnął z niego prostokątną tekturkę i podał ją Wasylowi.

— Z tą przepustką wszędzie się do mnie dostaniecie — powiedział.

Wizytówka? Nigdy w życiu nie widziałem biletu wizytowego, ale to z pewnością musiała być wizytówka.

Wasył przeczytał to, co na tej tekturce było wydrukowane i popatrzył na Serhija Arkadijowicza z nie skrywanym szacunkiem.

— Dobrze. Dziękuję. Może rzeczywiście przyjadę.

Nigdy bym nie przypuścił, że problem doboru i rozmieszczenia kadr może być rozstrzygany w taki sposób.

— Ty w którą stronę? — zapytał Wasyła. — Mamy wóz. Możemy cię podwieźć.

— Nie... Ktoś na mnie czeka na dole...

— Możemy podwieźć i tę, co czeka.

— Nie... My tu niedaleko.

Przed domem czekała na Wasyła Zina. Była niebywale piękna. Odwróciła się, udawała, że nie zauważyła ani nas, ani swojego Wasyła.

— Rzeczowy chłopak — powiedział Serhij Arkadijowicz siadając koło Wili. Ja usiadłem z tyłu. — Na wojnie tacy jak on w dwa dni awansowali z podoficera na dowódcę batalionu.

Zmilczałem. Uważałem, że Wasył jest zbyt bezwzględny. Przynajmniej jak na pokojowe czasy.

Wilia włączył licznik. Często wozi przyjezdnych. Opowiada o Kijowie jak wykwalifikowany przewodnik. Jakby czytał z książki.

Najpierw pojechaliśmy za Dniepr, do nowej dzielnicy Darnica. Z tamtego brzegu miasto wydaje ci się całkiem inne. Stare, takie, jakie było może sto lat temu. Nowe domy, całe nowe kwartały nikną za drzewami niczym w pierwotnej puszczy, widać tylko stare budynki. Oto kopy Ławry, oto wydubiecki monaster. Tam szczerym złotem wyblyskuje święta Zofia, dalej cerkiew Andrejowska i jeszcze jakieś stare, wysokie budowle. Wszyst-

ko to wznoszono, kiedy nie było jeszcze samolotów, kiedy zamiast po asfalcie trząść się trzeba było do Kijowa po kocich łbach. W owych czasach zapewne najczęściej wędrowano do naszego miasta rzeką i dawni architekci budowali tak, żeby miasto prezentowało się godnie, oglądane z dołu, z Dniepru.

Pojechaliśmy do Darnicy przez most Patona, wracaliśmy natomiast mostem metro i Proriezną podjechaliśmy do Złotej Bramy. Wilia powiedział, że Złota Brama została wzniesiona za księcia Jarosława Mądrego w roku tysiąc trzydziestym siódmym. Potem porozmawiali sobie z Serhijem Arkadijowiczem o plintach — płaskich, szerokich ceglach, których używano w owych czasach.

Pojechaliśmy na plac Bohdana Chmielnickiego, zaparkowaliśmy tam taksówkę i poszliśmy do świętej Zofii. Zachowywałem się tak, jakbym był tu nie wiem ile razy. Wstyd mi się było przyznać, że jestem tu pierwszy raz w życiu. Diabli wiedzą dlaczego, ale jakoś mi nigdy nie przyszło do głowy...

Wilia pokazał nam spiżowe popiersie Jarosława Mądrego, profesor Gierasimow zrekonstruował jego wygląd na podstawie czaszki. Potem Wilia zaprowadził nas do cegły, w której odbity jest ślad bosej stopy dziecka. Przeszło dziewięćset lat temu jakiś dzieciak nastąpił na tę właśnie, nie wypaloną jeszcze cegłę. Majstrowie nie zwrócili na to uwagi, wypalili ją i ślad pozostał na wieki. Zacząłem coś tam mówić o zostawianiu śladów w historii, ale Wilia najwyraźniej nie po raz pierwszy zauważył, że tę cegłę eksponuje się po to, żeby pokazać, jak się od tamtych czasów rozwinął nasz przemysł obuwniczy.

Obejrzeliliśmy jeszcze kamienny sarkofag, w którym znaleziono czaszkę i w ogóle kości Jarosława Mądrego, freski i ogromną mozaikową Matkę Boską na kopule.

Spod soboru pojechaliśmy na mogiłę Askolda, a stamtąd do sali posiedzeń Rady Najwyższej i do pałacu, który zaprojektował Rastrelli.

Serhij Arkadijowicz powiedział, że chciałby pospacerować po parku i zapytał, czybym się z nim nie przeszedł do hotelu. Zatrzymał się w „Dnipro”, budowli „Inturista” ze szkła i aluminium na placu Leninowskiego Komsomołu. Nie podobają mi się takie budynki. Do chrzanu z taką nowoczesnością — latem gorąco, zimą zimno. Pojęcia nie mam, jaki sens ma stawianie takich domów w naszym klimacie. Myślę, że je budują, bo chcą małpować cudzoziemców. Za jakie dziesięć lat takie domy będziemy uważali za tak pocieszne, tak przestarzałe i tak niefunkcjonalne, że nic, tylko budować na ich miejscu nowe.

Licznik podczas tej naszej przejażdżki porządnie się napracował, ale kiedy Serhij Arkadijowicz znowu wy dobył swój portfel i sięgnął po pieniądze, Wilia rozgniewał się nie na żarty, powiedział, że to myśmy go zaprosili na tę przejażdżkę i tak zdecydowanie odmówił przyjęcia pieniędzy, że Serhij Arkadijowicz aż się zmieszał, a i ja się czułem jakoś głupio. W ogóle nieraz już zauważyłem, że rozmawiać o pieniądzach zawsze jest jakoś głupio.

W parku wiał porywisty wiatr znad Dniepru. Podrywał z restauracji na dole strzępy zeszłorocznych melodii tanecznych i ciskał je w park. Ale stare, potężne drzewa kołysały się nie w takt, tańczyły pod własną muzykę, która zrosła się z tą ziemią, osiadła na ich korzeniach może jeszcze w owych czasach, kiedy kładziono kamień węgielny Złotej Bramy.

Podeszliśmy do płotka, który oddzielał park od zbocza.

— Widzę, że korci cię pytanie, po co przyjechałem — powiedział Serhij Arkadijowicz jakimś gardłowym, pięknym i śpiewnym głosem. — No cóż, powiem ci... —

Zamyślił się. — Prawdę mówiąc, to sam dobrze nie wiem. Powiedziałem twoim, że jestem na delegacji, że przyjechałem na naradę. Ale to nie chodzi o tę naradę. Mogłem oczywiście na nią nie przyjeżdżać. Problemami spawania wcale się tak bardzo nie interesuję. Rozumiesz... ja miałem ciężkie życie. Nic z tego, co osiągnąłem, nie przyszło mi łatwo. I oto kiedy osiągasz to, o osiągnięciu czego tak marzyłeś, okazuje się nagle, że wszystko to guzik warte. Okazuje się, że zamiast serca masz żabę. Jest taka choroba, stenokardia... Okazuje się, że twoje dzieci to są najzupełniej obcy tobie ludzie, że nie masz ani prawdziwych przyjaciół, ani niczego, co byś naprawdę kochał... A wtedy raptem pragniesz zobaczyć, jak też ułożyło się życie człowiekowi, który był twoim prawdziwym przyjacielem, który uratował ci życie, ryzykując przy tym własnym życiem.

Zamilkł, wyciągnął z kieszonki od zegarka malutki flakonik, wytrząsnął na dłoń okrągłą czerwoną pigułkę i włożył ją do ust.

— Co to jest?

— Persantin. Na serce. Na jakiś czas pomaga.

— I — jakie wrażenia? — zapytałem najobojętniej, jak potrafiłem.

Serhij Arkadijowicz przyjrzał mi się z zainteresowaniem i roześmiał się.

— Jak najlepsze. Sam tego nie czujesz? Choć, z drugiej strony, jak możesz to czuć, skoro stale żyjesz w tej atmosferze... Wszystko ułożyło się dobrze. Tak, jak powinno.

Wyczuwało się w jego głosie nie udawane zadowolenie, i jak mi się wydawało nawet zazdrość.

— A jak mama... uratowała wam życie? — zapytałem niepewnie.

— Nigdy o tym nie opowiadała?

— Nie — powiedziałem. — Przecież bym nie pytał.

— Poznaje Hagę — pokiwał głową Serhij Arkadijowicz. — Byłem już wtedy inżynierem dywizyjnym. Cofaliśmy się. Znaleźliśmy się w okrążeniu. Potem w niewoli. Uciekliśmy. Dotarłem do Kijowa. Złapałem kontakt. Hala pracowała wtedy dla podziemia. Wkładała w to całą duszę. Była wróżką. Więc odwiedzało ją wiele osób. W ten sposób gromadziła dane dla wywiadu. Nie mogła trzymać mnie u siebie. Ale ja byłem zupełnie wycieńczony. W dodatku ranny. Więc ukrywała mnie. W komórce. W domu na Kureniówce, gdzie wtedy mieszkała. Już tam byłem... Nie ma już tego domu. Stoi tam nowe osiedle. Ośmiopiętrowy dom z wieżyczką. Ale chodźmy...

Poszliśmy na dół alejką koło starego stadionu „Dynamo”.

— A potem?

— Cóż potem? Przeszedłem przez linię frontu. Znowu trafiłem do armii — Serhij Arkadijowicz zamilkł na chwilę. — Pamiętałem, co zawdzięczam Hali, czym ona ryzykowała, obiecywałem sobie, że jak tylko wyzwolimy Kijów... Ale niebawem poczułem, co to znaczy: „był na terenach okupowanych”. I postanowiłem, że tak czy owak, ale swoje osiągnę. I osiągnąłem. Inżynierowie z moją specjalnością... byli bardzo potrzebni. I potrafiłem się zrehabilitować. Pracą. Pracowałem jak wół. Żyłem tylko pracą. W czterdziestym szóstym objąłem stanowisko dyrektora centralnego zarządu, w czterdziestym siódmym — wiceministra...

Zamyślił się, przez jakiś czas szliśmy milcząc.

— A w czterdziestym dziewiątym aresztowali mnie — powiedział Serhij Arkadijowicz tak, jakby mówił o kimś innym. — Oskarżyli mnie, że byłem agentem gestapo. Że zastrzeliłem generała Pachomowa, z którym razem uciekłem z niewoli.

Serhij Arkadijowicz zatrzymał się i odwrócił w moją

stronę. Zapalono latarnie. W białym świetle luminescencyjnym, które przesączało się przez liście drzew, rysy jego twarzy wyostrzyły się, były jakby wyrzeźbione w zielonkawym kamieniu.

— Rozumiesz — powiedział patrząc mi w twarz. — Stopień generała zawsze człowieka nobilituje. Nieźle jest być generałem. Nawet słaby człowiek, kiedy sobie przyczepi generalskie dystynkcje, zachowuje się zazwyczaj jak generał. Ale ten stanowił wyjątek...

Odwrócił się, znowu ruszył naprzód, a ja za nim. Pozostałem o krok w tyle, ale zaraz go dogoniłem.

— Generał Pachomow to był słaby człowiek. Tak słaby, że nawet nie zdobył się na to, żeby się zastrzelić. Miał przestrelone obie nogi, wykrwawiał się... Nie można było zatamować upływu krwi. Prosił, żebym go zastrzelił. Ciągnąłem go, dopóki mogłem. Dopóki nie wpadliśmy w zasadzkę. A wtedy... zrobiłem to, o co prosił — mówił Serhij Arkadijowicz.

Wiatr wiał porywisty jak przedtem. I wyobraziłem sobie taki sam porywisty wiatr, strzelaninę w oddali, naszczekiwanie psów, z początku dalekie, potem coraz bliższe, jęki rannego i wystrzał.

Wiedziałem tylko tyle, ile usłyszałem od Serhija Arkadijowicza. Nie wiedziałem, czy wszystko naprawdę było właśnie tak. Ale to, co on opowiadał, nie spodobało mi się. Było w tym coś takiego... Człowiek to nie pies. Nie godzi się go dobijać.

— A co teraz robicie? — zapytałem.

— Co teraz? — innym już, spokojnym i pewnym głosem odpowiedział Serhij Arkadijowicz. — Kieruję budową. Bardzo dużą budową. Można nawet powiedzieć — ogromną.

Naprzeciwko wejścia na stadion „Dynamo” przeszliśmy przez jezdnię. Hotel „Dnipro” świecił całym swoim przeszkleniem.

— Niewielu znajdziesz teraz takich ludzi jak twoja matka — powiedział Serhij Arkadijowicz. — Wszystko jest dziś jakieś bardziej miłątkie...

Nic nie odpowiedziałem, tylko pomacałem lewy policzek. Jeszcze ciągle bolało.

Nie mogła mi wyjść z głowy ta staruszka i ten wynik ekspertyzy. Zadusiło ją dziecko albo kobieta. W rękawiczkach. A ślady posypane były proszkiem perskim. Z tej samej apteki. To znaczy, że wszystko mieli zaplanowane z góry.

— Nigdy w swojej historii ludzkość nie była tak młoda, jak teraz — mówił Wiktor. — Połowa ludności kuli ziemskiej nie ukończyła jeszcze dwudziestego piątego roku życia. Ostatnimi czasy we wszystkich językach świata pojawiły się nowe, osobliwe słowa. Używa się ich na określenie młodych chłopców albo podlotków, ubierających się w sposób niezwykły i w niezwykły sposób się zachowujących. W Szwecji są to „raggari” — chłopcy na motocyklach bez tłumików, w Anglii „teddy-boys” albo „mods” — długowłosi chłopcy i dziewczęta, którzy chodzą na bosaka po asfalcie, a także „rockersi”, czyli „skórzani chłopcy”, w Polsce „chuligani”, „discoli” i „vitelloni” we Włoszech. Francuzi taką młodzież nazywają „blousons noir” czyli „czarne koszule”, w Południowej Afryce mówi się na nich „zozzi”, w Australii „dust”, w Austrii i w Republice Federalnej Niemiec są to „halbstarke”, na Tajwanie „taipau”, w Japonii „mambo boys” albo „taiodzuku”, w Jugosławii „tapkaroszi”, w Ameryce „hippie”.

— A u nas?

— „Stiliagi”. Ale niektórzy z nich już i u nas mówią o sobie „hippies”.

— Skąd się wzięli?

— Zaczęło się to w Kalifornii. Program: nieużywanie przemocy, seks, pacyfizm, odmowa jakiegokolwiek działania. Narkotyki. Wszyscy oni uważają, że podjęcie jakichkolwiek obowiązków byłoby ograniczeniem ich wolności, choć naprawdę wolności pragną tylko pozornie. Chcą po prostu uwolnić się od jakiejkolwiek odpowiedzialności. Swoje niezdecydowanie i swoją nieodporność moralną usiłują zrekompensować narkotykami.

Nie znoszę amatorów. Za to lubię rozmawiać z fachowcami. A Wiktor to fachowiec. Dziwny ma co prawda fach — jest śledczym. „Oper”. A pracą naukową pisze z językoznawstwa, kiedy ją obroni, będzie miał tytuł kandydata nauk filologicznych. Często jest zapraszany jako ekspert. Mając notatkę, list albo zapis na taśmie magnetofonowej Wiktor potrafi określić, czy dany człowiek miał coś wspólnego ze sprawą, w której prowadzone jest śledztwo. Ta jego praca naukowa to słownik, zawierający słowa i wyrażenia, których używają kryminaliści. Oni mają własny język. Język ten dość szybko się zmienia, te same słowa mają w różnych miastach różną wymowę — po niej właśnie przestępcy odróżniają swoich, przekonują się, czy dany człowiek rzeczywiście należy do ich przestępczego świata. Ale znajomość tego ich języka dopomaga organom śledczym oraz ekspertom w wykrywaniu sprawców przestępstw.

Od pierwszej chwili, kiedy Wira poznała nas ze sobą, Wiktor rozmawia ze mną i zachowuje się tak, jakbyśmy się znali od dzieciństwa. A ja mam się z nim na baczności. Boję się. W rozmowie jestem ostrożny. Zdaje mi się, że nawet z moich słów mógłby się czegoś domyśleć. Przy jego zawodzie! I w ogóle nigdy bym nie pomyślał, że wszystko to będzie takie trudne, takie zawile, takie skomplikowane.

— Stykałeś się z chłopakami, którzy mówią o sobie „hippies”? — zapytał Wiktor.

— Nie — powiedziałem — jakoś się nie złożyło. Zresztą, kto by tam siebie nazywał takim wstrętnym słowem?

— Są tacy — powiedział Wiktor. — Za językiem stoi zawsze wspólnota i wzajemne zrozumienie ludzi z niego korzystających. A „hippies” już wypracowują swój własny żargon. Zorganizowali nawet swój zjazd międzynarodowy. W Pakistanie. Ktoś tym kieruje. Komuś to jest potrzebne, żeby młodzież była właśnie taka. Narkotyki. Żeby młodzież była ogłupiała. Zbożenia seksualne. Żeby młodzi nigdy już nie mogli z podniesionym czołem spojrzeć w oczy matce, żonie, przyjaciółce. A zwłaszcza „niesprzeciwianie się złu”. Ktoś wydał dla nich książeczkę z cytatami Gandhiego. Komuś to było potrzebne. Ktoś odnosi z tego korzyści.

— A co mówi Gandhi?

Wiktor wziął swoją nowiutką, zbyt wytworną skózaną aktówkę, otworzył zamek błyskawiczny i wyjął kilka kartek papieru.

— To są te cytaty. W tłumaczeniu.

Przeczytał na głos:

„Świat jest zmęczony nienawiścią”.

„Nie nauczam niczego nowego. Prawda i niesprzeciwianie się złu istnieją równie dawno jak góry”.

„Nieużywanie przemocy to największa siła, jaką dysponuje ludzkość. Jest potężniejsza niż najpotężniejsza niszczycielska broń, jaką kiedykolwiek wynalazł umysł człowieka”.

„Każde zabójstwo albo inna uczyniona komuś krzywda niezależnie od pobudek jest zbrodnią wobec całej ludzkości”.

„Nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać dwóch ludzi, których poglądy nie różniłyby się od siebie. Wycho-

wany na »Gitagōvindzie« zawsze starałem się traktować tych, których poglądy są inne niż moje, jak ludzi najbliższych mi i najdroższych”.

„Nawet najdespotyczniejszy rząd nie może się utrzymać bez zgody tych, którymi rządzi. Zgodę taką despotą często wymusza. Ale gdy tylko rządzi przestaną się bać przemocy despoty, despotyzm nie ma już nad nimi władzy”.

„Przez długie lata byłem tchórzem i uciekałem się do przemocy. I dopiero wtedy, kiedy zacząłem się tego mego tchórzostwa wyzbywać, zacząłem też cenić nieuciekanie się do przemocy”.

„Niezmierną tragedią bomby atomowej uczy w gruncie rzeczy jednego — bomby atomowej nie można zniszczyć za pomocą innych bomb atomowych, tak jak nie można zniszczyć przemocą przemocę. Ludzkość może uwolnić się od przemocy drogą nieuciekania się do przemocy. Nienawiść zwalczyć można jedynie miłością. Nienawiść jako odpowiedź na nienawiść rozszerza tylko i pogłębia nienawiść”.

„Nieuciekanie się do przemocy to najwyższa forma męstwa”.

— Ciekawe — powiedziałem i zapytałem: — A czy spotkał choćby jednego człowieka, który by w praktyce stosował się do tych zasad?

— Nie — odparł Wiktor. — Moim zdaniem jest to w ogóle niemożliwe.

— A ja spotkałem.

— Gdzie? Kogo? — strasznie zainteresował się Wiktor.

— Jest u nas taki kierownik oddziału, Łukjanienko. Jurij Jurijowicz. Ale nie obraża się, kiedy mówić do niego Jurko. To młody jeszcze inżynier. I wiesz, co jest ciekawe?... Gandhi czy Tołstoj — o Tołstoju tośmy się uczyli — zwolennikami niesprzeciwiania się złu

byli z pobudek ideowych. Musieli pokonać siebie samych, żeby nie sprzeciwiać się złu. Tymczasem Łukjanienko nie sprzeciwia się złu, bo taką już ma naturę. Bo taki już jest. I bo tacy są, jak są ci wszyscy, co go otaczają. A oni już są tacy, że sami go obronią przed złem. Oni może nie są tak dobrzy jak on, ale to oni umożliwiają mu bycie takim dobrym.

— A w czym to się konkretnie przejawia?

Opowiedziałem, jak to Łukjanienko nigdy nikomu niczego nie odmówi. Gdyby go nawet poprosić, żeby oddał całą swoją wypłatę, toby bez zastanowienia oddał. Powiesz mu, że chciałbyś się przenieść do innej roboty, to cię przeniesie, jeżeli tylko to zależy od niego. Zwolnić wcześniej z pracy? Zwolni i nawet się nie pyta, dokąd. Dlatego ludzie na oddziale nie pozwalają, żeby się do Łukjanienki zwracano z prośbami, nie dopuszczają do niego i pilnują — jeżeli kto pożyczka od niego pieniądze czy aparat fotograficzny czy cokolwiek, to niech chociaż odda.

— Więc czemu go trzymają w fabryce? I to jeszcze jako kierownika oddziału?

— Ma chłop głowę na karku. No i inżynier.

— Czy aby niewierzący?

— Skąd — powiedziałem. — Członek partii. Po prostu ma taki charakter.

— Musicie mieć z nim mnóstwo kłopotów — uznał Wiktor. — Komunista nie może nie sprzeciwiać się złu. Nie sprzeciwiać się, to znaczy — być uczestnikiem, współodpowiedzialnym. Kiedy skrzywdzona jest jednostka, to powiedzmy, że może się ona nie sprzeciwiać niesprawiedliwości. To jej osobista sprawa. Ale kiedy wchodzi w grę wielu ludzi, wtedy trzeba stawiać opór.

Przymrużył oczy, dziwnie, przelotnie spojrzął na mnie i pomyślałem sobie nagle, że on wie o wszystkim. O Wirze i o mnie.

„Hippies”. Oni jednak mówili tak o sobie. Wiedziałem, że tak jest. Poznał mnie z nimi Wilia.

— Przejedźmy się — zaproponował mi. — To ciekawe chłopaki. Studenci. Dziewczyny jak się patrzy. Myślą. Dokonują przewartościowania wartości.

— Jakich wartości?

— A wszystkich.

Wilia poznał ich, kiedy wbrew przepisom zabrał do taksówki całą szóstkę. Dwie dziewczyny położyły się chłopakom na kolanach, żeby z chodnika nie było widać, że jest ich tyle, żeby milicja nie zatrzymała wozu.

Ciekaw byłem, co to za ludzie. Więc pojechaliśmy do nich. Na ulicę Iwana Franko. Była tam w głębi podwórza taka parterowa oficynka. Nie wiem, który z nich tam mieszka, dość, że się tam zbierali. Dziewczyny ze szkoły teatralnej, z uniwersytetu, chłopcy z akademii sztuk pięknych, jeden nawet z wydziału cybernetyki. Słuchali muzyki, paplali, palili. Niczego specjalnego nie zauważyłem. Więcej tam już nie byłem. Nie było kiedy. Zresztą dla mnie ciekawsze są nasze chłopaki.

— ...Posłuchaj no — powiedziałem do Wili — chodzisz tam częściej, do tych hippisów?

— Chodzę. A co?

— Nie zauważyłeś... Czy oni nie zażywają narkotyków?

— Narkotyków? — Wilia się nie zdziwił. — Jeszcze jak. Całymi paczkami. Dlatego są tacy bladzi. Żrą i nie uprawiają żadnych sportów.

— A ty nie próbowałeś?

— Co to ja jestem narkoman?

— Dla eksperymentu.

— Potrzebne mi takie eksperymenty. Od tego się tępieje, a ja siedzę za kółkiem.

Opowiedziałem Wili o morderstwie w aptece.

— Bzdury — powiedział Wilia. — Niemożliwe. Co ty myślisz, że tylko w tej jednej aptece były narkotyki? Oni je kupują, sam słyszałem.

— Ale trzeba by to sprawdzić — powiedziałem.

— Nie jestem „oper”. Nie pracuję w śledczym.

— Ja też nie jestem „oper”. Ale nie podoba mi się, kiedy ktoś dla narkotyków zabija staruszkę.

— Mnie to też nie wprawia w zachwyty — zaprotestował Wilia. — Ale jak my to możemy sprawdzić, choćbyśmy nawet chcieli? Zapytać? Przecież nie powiedzą. Zresztą oni w ogóle z tym nie mają nic wspólnego. Po prostu śmieszne. Widziałeś przecież tych chłopaków.

— Widziałem. Ale mimo to trzeba spróbować dostać od nich te prochy.

— Można — powiedział Wilia. — Ale czy to nie wyjdzie tak, żeśmy się zapoznali z ludźmi, a potem na nich donosimy?

— Nie wyjdzie tak.

Wiktor opowiedział mi przerażającą historię. W aptece, która miała nocny dyżur, ktoś udusił rękami staruszkę farmaceutkę, włamał się do szafy i zabrał niektóre specyfiki. Lekarstwa te zażyte w dużych ilościach działają jak narkotyk. W aptece były także inne narkotyki, silniejsze w działaniu, ale tych nie ruszono. A staruszkę uduszono ściskając ją z przodu za gardło. Widziała, kto ją dusił.

Teraz zawsze słyszę, kiedy jedzie winda. Nawet przez sen. Przedtem nawet nie zauważałem, że nasza winda skrzypi i zgrzyta podczas jazdy, że jej drzwi zatraskują się z brzękiem żelastwa. Ale odkąd nauczyłem się nieustannie nasłuchiwać, na którym pię-

trze winda się zatrzymuje, czy drzwi nie zatrzasną się na szóstym, na wprost mieszkania Wiry, czy nie odezwie się tam klucz w zamku, odtąd hałasy windy po prostu mnie prześladują.

Wira śmieje się, kiedy się wzdrygam za każdym razem, kiedy na jej piętrze zatrzaskują się drzwi windy, ale ja nic na to nie mogę poradzić.

Dziś nad ranem przyśniło mi się, że Wiktor nieoczekiwanie wrócił z delegacji, nie uprzedziwszy przez telefon, jak to robi zazwyczaj. Trzasnęły drzwi windy, a potem Wiktor po cichutku, żeby nie obudzić Wiry, zaczął przekręcać klucz w zamku. Ale Wira zamknęła drzwi także na łańcuch.

Zacząłem się w popłochu ubierać, ale ani rusz nie mogłem wciągnąć koszuli, diabli wiedzą, jak to się stało, ale rękawy zawiązane były na węzeł. W rozpacz, gardząc sobą, wlałem pod tapczan, tam się chciałem schować. Lepiej by było, gdybym wyskoczył przez okno. Wira tymczasem pośpiesznie coś na siebie wkładała.

Wiktor zaczął dzwonić. Raz za razem. Usłyszał nasze przestraszone głosy.

Obudziłem się roztrzęsiony i nie mogłem się połapać, czy to sen, czy jawa. Do drzwi raz po raz ktoś dzwonił.

Serce mi waliło jak po stumetrówce w dwanaście sekund. Poszedłem do drzwi i otworzyłem je w milczeniu. Byłem pewien, że to Wiktor. Ale za drzwiami stała nasza sąsiadka Kława.

— Oj, Romciu — powiedziała — bardzo źle z mamą. Ma gorączkę. Od samego wieczora. Trzydzieści dziewięć. Płakała.

— Ledwie doczekałam rana. Halina Hnatiwna jeszcze śpi?

— Która godzina? — zapytałem. Ciągle jeszcze nie mogłem przyjść do siebie.

— Szósta.

Wyszła do przedpokoju mama. W sukni i z takim wyrazem twarzy, jakby wcale nie spała. Mamy nie zaskoczy się znienacka.

— Oj, Halino Hnatiwno — zaterkotała Kława. — Ledwie doczekałam do rana. Ja przepraszam, że tak niepokoję, ale dwa razy wzywaliśmy pogotowie. Zastrzyki zrobili, tabletki dali, ale mamie nie pomogło. Oni nie wiedzą, co to za choroba, mówią, żeby zrobić analizy, a mama w gorączce...

— Zadzwoń do Fiedy — powiedziała mama do mnie. — Niech przyjedzie przed pójściem do pracy. Chodźmy — powiedziała do Kławy i poszła do sąsiadów.

Fiedia był jakiś nie w humorze. Kiedy coś mu się nie powiedzie, nie od razu to widzisz. Uśmiecha się sztucznie, jak ten członek Akademii Nauk Pietrow, za którego ucznia Fiedia się uważa, i zanim coś powie, zawsze odkaszlunie, tak jak ten Pietrow.

— Dobrze, dobrze — przerwał Kławie, kiedy próbowała raz jeszcze powtórzyć, że „mama w gorączce”, położył rękę na czole Marii Opanasiwny, potem odciągnął jej powieki, obejrzał gałki oczne, potem jakoś dziwnie rozejrzał się po całym pokoju, jakby szukając czegoś i pośpiesznie wyszedł na balkon.

Wszystko to było tak niepojęte, że też podszedłem do drzwi balkonowych.

Fiedia poprawił okulary, jednym ruchem wyszarpnął ze skrzynki na kwiaty jakąś roślinę i wrócił z nią do pokoju.

— Skąd to się u was wzięło? — surowo zapytał Kławę.

— Nie wiem... Samo wyrosło. To już dbamy, podlewamy, nawet podsypaliśmy sztucznym nawozem. Mama kazała zebrać nasiona — odparła Kława tymże tonem, jakim przemawiała, kiedy ktoś miał do niej pretensję w spożywczym, że nie dowazyła kiełbasy.

Spokojne zazwyczaj szkła okularów Fiedi błysnęły wściekle.

— Natychmiast wyrzucicie to świństwo do zsypu. To jest ambrozja. To właśnie przez nią zachorowała Maria Opanasiwna.

Kława ostrożnie, z lękiem wzięła wybujały krzak okryty drobnymi kwiatuszkami, wyszła do kuchni i zaraz wróciła wycierając ręce ręcznikiem.

— I co teraz robić?

— Nic — kategorycznie powiedział Fiedia. — Dziś to minie. Zaraz przepiszę leki. Trzy razy dziennie po jednej tabletkę. Przez trzy... nie, przez cztery dni. I uważajcie: niech no ja jeszcze zobaczę u was taki kwiatu-szek!

Wypisał receptę.

— A co to, trucizna? — odprowadzając nas do drzwi zapytała Kława. Patrzyła dziś na Fiedię jak na Pana Boga.

— Dla niektórych to trucizna — odparł Fiedia.

Zszedłem z Fiedią do samochodu. Coś mu nawalało w karburatorze i chciał, żebym rzucił na to fachowym okiem. Chodziło o podregulowanie. Fiedia nie miał o tych rzeczach zielonego pojęcia.

— Co to za kwiatek? — zapytałem.

— Mówiłem przecież. Ambrozja. Grecy nazywali tak pokarm swoich bogów. A mówiąc zwyczajnie — to chwast. Strasznie żywotny. Trafił do nas z Ameryki.

— Jak to działa?

— Fatalnie. Powoduje alergię. Wiesz, co to jest alergia?

— Wiem — odpowiedziałem nie nazbyt pewnie. — Ale jakżeś ty wpadł na to? Skąd wiedziałeś, że to właśnie przez to choruje Maria Opanasiwna?

— A skąd ty wiesz, co jest z moim karburatorem? No, w porządku? To cześć.

— Poczekaj. Co się tam u ciebie dzieje?

— Nic specjalnego — odparł Fiedia. Przez chwilę milczał, potem dorzucił: — Umarł mi dziś pacjent. Dwadzieścia lat. Student. Był przy nim ojciec i matka. No i ja byłem.

— Co mu było?

— Rak.

Fiedia gwałtownie wgniółł pedał gazu i pomknął do swojego instytutu.

Tak się złożyło, że ja i tato pracowaliśmy na tę samą zmianę, więc czekałem na niego na ławce przed biurem przepustek. Tato zawsze zostaje te pół godzinki dłużej. Męczy się staruszek, nie nadaża już. A trzeba podtrzymać renomę.

Nasza gazetka zakładowa „Fabryka fabryk” opublikowała dziś odpowiedzi na ankietę, w której sformułowano dwa zaledwie pytania. Pytanie dla kobiet: „Jakie zalety, waszym zdaniem, musi mieć mężczyzna jako towarzysz życia?” I pytanie skierowane do panów: „Czego oczekują mężowie od swoich żon?”

Odpowiedziała na tę ankietę prawie cała fabryka. Z podliczenia głosów wynikało, że kobietom zależy przede wszystkim na tym, żeby ich chłop był wesoły. Następnie na tym, żeby był inteligentny, żeby nie pił, żeby pomagał w domu, żeby był szczery. Dopiero na dalszych miejscach panie wymieniały rycerskość, wierność, dobroć, pracowitość, szczodrość, siłę fizyczną.

A zatem inteligencja wyprzedziła siłę fizyczną siedmioma punktami, wesołość natomiast dla większości była zaletą najważniejszą.

Mężczyźni odpowiadali zgoła inaczej. Ja wymieniłem na pierwszym miejscu: „Umiejętność podtrzymania męstwa we wszystkich jego sprawach”. Ale najwięcej głosów

otrzymała inna cecha: „Żeby zawsze była czarująca”, potem szły: uroda, pracowitość, wierność, skromność, inteligencja, dobroć, tkliwość, szczerłość. Wesołości w ogóle nikt nie wymienił.

Ale może kobiety jako istoty wrażliwsze od mężczyzn przeczuwają, że nadchodzą czasy, kiedy ludzie będą cenić życie i człowieka o wiele bardziej niż dziś. A wówczas może rzeczywiście wesołość będzie najbardziej cenioną cechą charakteru człowieka.

Ostatecznie czegoś takiego dopatrzyła się we mnie Wira, czego nie miałby jej mąż Wiktor? Tylko wesołości. Ale czy na długo mi tej wesołości starczy?...

Podszedł tato, zgarbiony, zmęczony, wcale niepodobny do siebie na portrecie, który jako pierwszy wisi w szeregu portretów fabrycznych przodowników pracy przy prowadzącej do biura przepustek alei.

Szedł nam naprzeciw swym charakterystycznym krokiem — mój brat Fiedia nazywa go „samozachowawczym”; człowiek, który chorował na zapalenie korzonków nerwowych, stąpa wypinając nieco tyłek i nieco szerzej niż normalnie rozstawiając nogi, bo obawia się, że sprawi sobie ból — nasz przewodniczący rady zakładowej Pawło Panasowicz Mokijenko.

— Właśnie was szukałem — ucieszył się. — Nawet już uprzedziłem na wartowni. Pilne zadanie.

Mokijenko poszarzała wilgotną chustką do nosa wycierał sobie krągłą twarz i łysą jak kolano głowę. Na prawym przegubie miał japońską bransoletkę z magnesów. Trudno uwierzyć, że nazwisko tego grubasa jakby nalanego wodą znało kiedyś bardzo wielu ludzi, że był to niezrównany zawodnik motocyklowy i brał udział w wyścigach potężnych pięćsetek z przyczepą. Teraz sam o sobie mówi „jestem tylko mecenasem” i pomaga naszemu klubowi, jak tylko może. A sporo

może. Od niego zależą wszystkie budżety związku zawodowego.

Przewodniczący rady zakładowej wreszcie się wyśapał.

— Przyjechali Francuzi. Delegacja związkowa. Trzy osoby. I, rozumiecie, chcieliby odwiedzić mieszkanie jakiegoś robotnika. Towarzysze uważają, żeby do was.

— Co za towarzysze? — niezbyt życzliwie zapytał tato.

— No, kierownictwo... Jeśli oczywiście nie macie nic przeciwko temu.

— Ja nie mam. Ale u nas o takich sprawach decyduje Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

— Dlaczego aż ministerstwo? — zdumiał się Mokijenko.

— Dla mnie żona jest ministerstwem. To od niej zależy. Ona ich będzie podejmowała, gościła...

— Mowy nie ma — powiedział związkowy przywódca. — My organizujemy wszystko. Obiad przywieziemy z restauracji. Różne tam koniaki i wina. I kelnerkę. O to niech was głowa nie boli.

— Głowa mnie nie boli. Ale dopóki nie pogadam z żoną...

— Kiedy pogadacie?

— Dziś. A jutro wam odpowiem.

— Odpada — Mokijenko znowu otarł łysinę. — Musimy im powiedzieć zaraz. A przyszliby jutro, po robocie. Zadzwońcie do Haliny Hnatiwny. Możecie stąd, z wartowni.

Mokijenko nigdy u nas nie był, ale pamiętał, jak się zwracają do mamy.

Tato niechętnie zdjął słuchawkę i dmuchnął w nią jak zawsze. Ma to jeszcze od wojny. Weszło w krew. Przez telefony polowe. Papierośnicy też tato nigdy nie

zostawi na stole, nigdy o niej nie zapomni. Poczęstuje rozmówcę, sam zapali i od razu do kieszeni. Nie może zostać bez papierosów. Tato nie jest sknera. Po prostu był na wojnie, a tam się nie zostawiało papierosów.

— Dzień dobry — powiedział tato. — Jak ci tam?

— Co się stało? — usłyszałem w słuchawce. Mama zawsze zbyt głośno rozmawia przez telefon.

— Powiedz, że będzie tylko trzech Francuzów i tłumacz — cicho podpowiedział tacie przewodniczący rady zakładowej.

— Widzisz, jest tu taka sprawa — powiedział tato. — Przyjechali jacyś Francuzi. Z Francji. Chcieliby się z nami zobaczyć. Nasi mówią tutaj, że rozmaite tam jedzenie przywiozą z restauracji. I kelnerkę też. Żebyś, tego, nie miała kłopotu.

— Co oni, powariowali? — zagrzmiała słuchawka. — Jak tak, to niech ich biorą do restauracji. Jak mają przyjść do nas, to niech jedzą to, co ja podam. Nie otrują się...

— Ciszej, matka, nie jestem tu sam — tato obejrzał się na Mokijenkę. — Znaczą, mogą przyjść?

Słuchawka coś odpowiedziała, ale tym razem nie usłyszeliśmy.

— Dobrze, to powiem, że ich zapraszamy.

— A co z alkoholem? — zapytał szeptem przewodniczący rady zakładowej.

— Pytają tu jeszcze, jak będzie z pićm — powiedział tato. — Mówią, że przywiozą... Daj spokój, czego ty chcesz od mnie?... No, dobrze już, dobrze... To dziękuję. Nie, przyjdziemy niedługo.

Tato znowu dmuchnął w słuchawkę, odłożył ją na widełki i otarł dłonią spocone czoło.

— Mówi, żeby alkoholu nie przywozić. Ani kelnerki. A w ogóle to niech przychodzą.

— Ta-ak... — Mokijenko popatrzył na tatę ze współ-

czuciem. — Ministerstwo... Może to i lepiej, że będzie po domowemu. Chodźmy, Ołeksio Iwanowiczu, zapoznam was tymczasem z tymi Francuzami. Są w biurze projektowym. Romek niech też idzie.

Poszliśmy zapoznawać się z Francuzami.

Wieczorem spróbowałem omówić z mamą jutrzejszą kartę dań. Powiedziałem, że mogę dostać przepis na jedną taką francuską potrawę. Ale kiedy mama usłyszała, że to się robi na winie, aż plasnęła w dłoń.

— Może mam jeszcze żaby im podać? Będą za-
kąski — śledź i coś tam jeszcze. Na pierwsze barszcz,
na drugie pierogi z serem.

— A na deser?

— Kup jutro rano tort. „Kijowski”. Ilu ich będzie?

— Mówili, że czterech. Tłumacz czwarty.

— To trzeba kupić butelkę wódki. I butelkę szam-
pana. Wystarczy.

Tych zaleceń mamy nigdy nie respektowaliśmy. Alkoholu zawsze kupowaliśmy dwa razy więcej, niż kazała. Wiedziała o tym, brała to pod uwagę, kiedy mówiła, ile czego trzeba.

Kiedy Wilia się dowiedział, że mają do nas przyjść działacze francuskich związków zawodowych, aż mu się oczy zaświeciły.

— Mógłbym wpaść, Halino Hnatiwna?... Pogadać z nimi? Uczę się francuskiego, czytam trochę, ale pogadać to nie ma z kim.

— Przychodź — chętnie zgodziła się mama. — Do nas możesz zawsze przyjść nawet bez pytania. Tyś przecie dla nas nieobcy.

Kiedy wróciłem z roboty, mama już rozsunęła stół, nakryła go naszym najlepszym białym obrusem, w kryształowym wazonie płonęły peonie, błyskały talerze, lśniły widelce i kieliszki.

— Mógłbyś choćby dzisiaj zabrać ten akumulator —

gderliwie powiedziała mama. — Potknie się o niego który z gości i ten twój kwas przeżre mu spodnie.

Pod licznikiem w przedpokoju trzymałem wcale nie akumulator tylko urządzenie do ładowania akumulatorów. Sam je zrobiłem. Namotałem drut na trzpień transformatora z telewizora. Dałem prostownik selenowy. Sprawdzam woltomierzem napięcie na wyjściach akumulatora, amperomierzem — ładowanie. Moje urządzenie do ładowania waży zaledwie dwa kilogramy i nie jest większe niż pudełko od pantofli. Ale mama tak czy tak jest niezadowolona, że to stoi w przedpokoju. Mama odnosi się podejrzliwie do wszelkiej mechanizacji. Niby mamy i odkurzacz, i froterkę, ale mama z nich nie korzysta. Doświadczenie podpowiada jej, że choć przez całe życie zamiatała i wycierała kurze, to przecież ręce nigdy jej nie odmówiły posłuszeństwa, a i odkurzacz i froterka, wiadomo, lubią się psuć. Mama uważa, że przepalają się od nich korki, a to mama uważa za wielkie nieszczęście.

— Dobrze, mamó, zaraz to zabiorę.

— I skocz po pieczywo. Kup osiem bułek. „Miejskich”. Weź pieniądze z komody.

Kiedyś te bułki nazywały się „paryskie”. Nazwa „miejskie” pozostała nam jako pamiątka po czasach walki z kosmopolityzmem, kiedy to znikły takie „obce” artykuły jak ser „szwajcarski”, jak „paryskie” bułki, jak „angielskie” szpilki. Szpilki te nazywają się teraz „sekretne”, tak jakby „sekret” to nie było zagraniczne słowo.

Poszedłem po te niegdyś paryskie bułki, za pomocą których mama najwidoczniej zamierzała zmienić naszą ukraińską kuchnię w coś bardziej swojskiego dla Francuzów.

Punkt ósma przyjechali Francuzi. Przyjechali z tłumaczką, młodą, pulchną dziewczyną w okularach, do

której oni mówili: „Catherine”, a ona sama mówiła o sobie: „Katarzyna”.

Wszyscy ci trzej działacze związkowi byli wysocy, chudzi, o wyglądzie sportowców, dwaj pod krawatami, jeden miał muszkę. Jego nazwisko zapamiętałem od razu — Jussac. „W Trzech muszkietierach” nosił to nazwisko jeden z najulubieńszych gwardzistów kardynała. Raz nawet mimo woli zwróciłem się do niego: „panie de Jussac”, ale nie zwrócił na to uwagi.

A Wilia natychmiast zaatakował Francuzów. Było na co popatrzeć. Francuzi nie rozumieli ani słowa i ciągle zwracali się do tłumaczki, ale tłumaczka też ani w ząb nie rozumiała. Jakoś nie tak wymawiał wszystko, choć z tą swoją bródką bardziej wyglądał na Francuza niż oni trzej razem wzięci. Ale, co najdziwniejsze, Wilia rozumiał wszystko, co mówili Francuzi, wszyściuteńko co do słowa. W ogóle czuł się jak pies, który wszystko rozumie, ale nic nie może powiedzieć.

Wychyliliśmy po jednym. Zakaśliśmy. Jussac nałożył sobie na talerz trochę pasztetu, skosztował i aż się rozpromienił. Zaczął coś gwałtownie mówić. Catherine tłumaczyła. Francuz pytał, jakim cudem mama poznała sekret langwedockiego pasztetu, który on, Francuz, jadł tylko dzieckiem będąc, u mamy (ale swojej). I cała trójka Francuzów ostro wzięła się do pasztetu.

Nie wiem, kto tu kogo wystrychnął na dudka. Nie było tu żadnego langwedockiego przepisu. Osobiście uczestniczyłem w przygotowywaniu tego pasztetu. Otwierałem mianowicie puszki opatrzone wiekopomnym hasłem: „Przekujemy miecze na lemiesz”, puszki notabene najwyraźniej były z odpadów stali pierwotnie przeznaczonej na czołgi.

Mama spróbowała tego pasztetu, powiedziała: „suchy jakiś”, wzięła słoik gęsiego smalcu, który sama wytopiła, kiedy piekła gęs na moje urodziny, wymieszała

pasztet z tym smalcem, dodała trochę pieprzu, trochę posiekanej cebuli.

— To właśnie jest nasz słynny pasztet — tłumaczyła Catherine słowa Jussaca. — Składają się na niego dwa rodzaje wątróbki — gęsia i cielęca, oraz trzy rodzaje innych mięs. Dobrze mówię?

Mama milczała.

A miejskie bułki, które z racji dawnych paranteli nazywają się „paryskie”, we Francji, jak się okazuje, noszą miano bułek „rosyjskich”.

Powiedziałem Francuzom — a Catherine to przetłumaczyła — że możemy się uważać za kolegów, że ja także jestem działaczem związków zawodowych, że stoję na czele całego oddziału naszej fabryki. Francuzi byli ciekawi, czy dużo czasu zajmuje mi moja funkcja i czy za tę pracę związkową otrzymuję jakąś rekompensatę. Odpowiedziałem, że jest to praca społeczna, którą uważa się u nas za zaszczyt.

Tato zapytał, co się u nas przede wszystkim Francuzom rzuciło w oczy — jako przyjezdnym.

— Macie bardzo piękne miasto — odpowiedział najstarszy i najbardziej posępny z Francuzów. — Dużo zieleni. Wielka, czysta, historyczna rzeka. Piękne budowle, te stare i te nowe.

Nazywał się Pierre Durand. Tłumaczka powiedziała, że jest to mniej więcej tak samo, jakby się po rosyjsku nazywał Piotr Iwanow, bowiem nazwisko Durand jest mniej więcej tak samo rozpowszechnione we Francji jak u nas nazwisko Iwanow.

— Ludzie u was dużo czytają — dorzucił Jussac. — W parkach, w metrze, w trolejbusach. Ale za to macie nieciekawy program telewizyjny.

— Jak czasem — zaprotestował tato.

— Hector Agosti — wtrącił się Wilia — pisał, że we Francji niemal połowa robotników nie przeczytała w ży-

ciu ani jednej książki, a ponad trzydzieści procent czytuje książki rzadko. Pisał on to w oparciu o dane z 1961 roku. Jak te sprawy wyglądają teraz?

— Któż to taki, ten... Hector? Tak, zdaje się, pan powiedział? — przetłumaczyła Catherine słowa ponurego Piotra Durand.

— Argentyński filozof. Marksista — odpowiedział Wilia.

— Nie słyszałem — odparł Francuz. — Nie znam też tych danych. Nasz związek zawodowy nie prowadzi tego rodzaju statystyk. Ale czytają u nas niewiele. To prawda. Nawet inteligenci... Telewizor. Kino...

Barszcz Francuzi jedli bez chleba, wódkę pili małymi kusztyczkami, wypytywali tatę o zarobki, o to, jak robotnicy nie uciekając się do strajku potrafią rozwiązywać konflikty z administracją, nie uwierzyli Wili, że jest on kierowcą taksówki. Zdaje mi się, że uważali go nawet za jakiegoś specjalnie nasłanego agenta Komitetu do Spraw Bezpieczeństwa, bo wszyscy trzej patrzyli nań nader podejrzliwie. W dodatku Wilia zaczął rozmowę o charakterze narodowym, który podobno jest obecnie brany przez strategów pod uwagę przy opracowywaniu planów następnych wojen. Zacytował przy tym z pamięci zmarłego prezydenta Francji de Gaulle'a. Sądząc po wyrazie ich twarzy Francuzi tych słów de Gaulle'a jakoś nie pamiętali.

Jussac powiedział, że francuskie związki zawodowe nie zgadzały się z linią polityczną generała de Gaulle'a.

— Już Marks mówił — tłumaczyła Catherine słowa Jussaca — że robotnik nie ma ojczyzny. I u nas, i u was robotnik pracuje tylko dlatego, że uzyskuje w ten sposób jedyną możliwość utrzymania się przy życiu, pracuje, żeby zarabiać. I konieczność pracy w fabryce nie zależy bynajmniej od naszego czy waszego charakteru narodowego.

Dotknięty do żywego Wilia o mało co nie podskoczył pod sam sufit i oświadczył, że to kiedyś robotnicy nie mieli ojczyzny, teraz jednak ją mają. Robotnicy kochają swoją socjalistyczną Ojczyznę.

— Komuniści niemieccy — mówił Wilia — nie mogli kochać faszystowskich Niemiec, choć to była ich ojczyzna. Ani rosyjscy rewolucjoniści nie mogli kochać carskiej Rosji, choć ona też była ich ojczyzną. Ale Rosjanin mógł kochać Niemcy Goethego, Niemcy Schillera, Niemcy Heinego, Niemiec zaś mógł kochać Rosję Puszkina, Tołstoja, Lenina i Gorkiego. Widocznie kochamy swoją ojczyznę jedynie w takim wypadku, kiedy jesteśmy pewni jej prawości, jej racji, jej godności, kiedy ta nasza ojczyzna jest taka, jaką chcielibyśmy ją widzieć albo jaką pragniemy ją uczynić. Dla pracujących całego świata miłość ojczyzny utożsamia się z miłością do pierwszej, by tak rzec, Ojczyzny socjalizmu, do pierwszego kraju, który obrał tak śmiałą i tak niezbędną drogę.

Potem Wilia powiedział, że i zapłatę za pracę otrzymywać można w różny sposób. Że w wielu krajach znaczną część wynagrodzenia robotnika przywłaszczają sobie ci, do których należą środki produkcji.

— Jaki odsetek prywatnych firm obsługują wasze związki zawodowe? — zapytał.

Jussac uśmiechnął się, ale nic nie odpowiedział.

Mama sprzątnęła talerze i poszła do kuchni po pierogi. Pierogi trzeba jeść, póki są świeże, gorące. Mama przygotowała pierogi z serem i pierogi z mięsem.

Tato trącił się z Francuzami, ale nie wypił, tylko powiedział:

— Nie rozumiem, co to takiego, ten jakiś charakter narodowy. — Catherine skwapliwie tłumaczyła. Francuzi słuchali uważnie, z powagą. — Odwaga właściwa jest wszystkim narodom, nie można powiedzieć o ja-

kimś narodzić, że jest tchórzliwy. Dobroć także jest właściwa wszystkim narodom, nie można też powiedzieć o żadnym narodzie, że jest zły. Wszystkim też narodom jest właściwe dążenie do tego, żeby lepiej żyć. Powiadają na przykład, że naród rosyjski odznacza się szczególną cierpliwością. Ja tego nie widzę. Moim zdaniem Anglicy są cierpliwszi. Rosjanom pierwszym zabrakło cierpliwości i zrobili Rewolucję Październikową. Ale jeżeli chodzi o Ukraińców, to rzeczywiście jest w naszym charakterze narodowym pewna cecha, która wyróżnia nas spośród innych narodów...

Tato obejrzał się na drzwi — czy aby nie wraca mama.

— My, Ukraińcy, bardzo się boimy swoich żon.

Myślałem, że Francuzi popękają ze śmiechu. Jussac zerwał się ze swojego krzesła, zaczął ścisnąć tatę i powiedział — jak przetłumaczyła Catherine — że ten rys charakteru narodowego jak najbardziej wspólny jest i Ukraińcom, i Francuzom. Francuzi tak samo boją się swoich żon.

— O, wyście nie byle kto — cieszył się Francuz.

— Pewnie, że nie byle kto — śmiał się tato. — Ślusarz pierwszej kategorii.

— Nie, nie — śmiał się Francuz. — Ja mam na myśli wasz rozum.

A ja myślałem sobie: powinien pogadać z mamą. Oczywiście, tato jest i Bohaterem Pracy Socjalistycznej, i racjonalizatorem, ale jeśli chodzi o rozum to daleko mu do mamy. Zresztą nie tylko jemu, nam wszystkim. Tym Francuzom pewnie też. Ale może słusznie tato mówi, kiedy mama nie słyszy: krowie, która bodzie, Pan Bóg rogów nie dał...

— No co, nie bardzo byli obrażeni wasi Francuzi? — zapytał mnie następnego dnia Wilia.

— Chyba nie bardzo.

Wydaje mi się, że w ogóle nie byli obrażeni, choć mieliby po temu, żeby się obrazić, ważne powody. Wilia, cokolwiek by powiedzieć, jest zupełnie nieznośny. Tak się posprzeczał z Jussakiem, że tłumaczka, choć z początku chichotała, to jednak później to kraśniała, to bladła.

Jussac dowodził, że marksizm-leninizm w Związku Radzieckim stał się religią, że tak samo jak w kościele odmawia się modlitwy, nad których sensem nikt się nie zastanawia, odmawia się je, bo tak każe tradycja, odmawia się na pokaz, tak i u nas na pokaz i dlatego, że tak każe tradycja, mówi się na zebraniach o socjalizmie, o internacjonalizmie, o bezkompromisowości ideowej.

Odpowiadając na to Wilia najpierw dość spokojnie zapewniał, że także w ideologii pierwszych chrześcijan było coś ważkiego i słusznego, skoro ich idee przetrwały dwa tysiąclecia i dotąd oddziałują na losy ludzi i sztuki. Ale, jego zdaniem, przykazania Mojżesza ze Starego Testamentu były jak gdyby kodeksem karnym owych czasów, tym, którzy je przekraczali, groziła natychmiastowa, a konkretna kara, jak najbardziej doczesna. Przykazania miłości z Nowego Testamentu, przykazania Chrystusowe, to już nie kodeks karny, ale kodyfikacja moralności. Przestrzeganie tych przykazań było uwarunkowane psychologicznymi motywami ludzi wierzących. Ale idee chrześcijaństwa wykorzystali przede wszystkim ci, przeciwko którym idee te były skierowane. Do najbardziej humanistycznych idei zawsze przysysają się pasożyty. Dziś także do marksistowsko-leninowskiej ideologii przysysają się rozmaite pasożyty, które pragnęłyby osłabić tę ideologię, podgryźć ją, sprowadzić do wyobrażeń właściwych religii.

W końcu jakoś tak to mu wyszło, że jednym z takich pasożytów okazał się Jussac.

Francuz obraził się nie na żarty, zaczął krzyczeć, że sam jest marksistą i socjalistą, że to barbarzyństwo tak brutalnie rozmawiać z kimś, kto jest znacznie starszy i w dodatku jest gościem.

Rozstali się bardzo wzajem na siebie zagniewani. Zadowolona z tego spięcia była, jak mi się wydawało, jedynie mama. Bardzo jej to przypadło do serca.

Wilia pogmerał w bródce i powiedział:

— Po zwycięstwie odniesionym w Azowie, a było to — nie zawadzi ci to wiedzieć — w roku tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym dziewiątym, Piotr Pierwszy wysłał do Konstantynopola zmyślnego diaka Ukraincewa. Ukraincew uczestniczył tam w konferencji pokojowej. Byli tam posłowie z wszystkich krajów europejskich. I oto, co zmyślny diak Ukraincew donosił swemu monarsze: „Angliczański poseł wylewał pomyje na twoją wysoką osobę, ja zaś wówczas zwymyślałem posła angliczańskiego nieprzystojnie”. Po tym zajściu Ukraincew znakomicie prosperując przesiedział w Konstantynopolu całych siedem lat. A niezrównany spec od budownictwa okrętowego członek Akademii Nauk Kryłow przemawiając do radzieckich dyplomatów przypominał ten epizod i powiedział tak: „Nie należy zapominać o Ukraincewie i jeżeli ktoś się ośmieli wylewać pomyje na władzę radziecką, zwymyślajcie go nieprzystojnie, choćby to był sam angliczański prezes rady ministrów”.

Więc niech ten Francuz będzie zadowolony, że nie postąpiłem, jak radzi członek Akademii Nauk Kryłow...

Skończyła się pierwsza połowa meczu „Dynamo” Kijów — „Torpedo” Moskwa, jeden zero dla Kijowa. Wy-

obraziłem sobie szatnię, zawodników leżących w głębokich fotelach, trzymających nogi na specjalnych metalowych podnózkach i płuczących sobie gardła wodą mineralną. Chodzi pomiędzy nimi trener i przemawia uroczyście: „To nic, że kijowianie prowadzą. Jesteśmy w stanie wygrać ten ważny mecz, zaliczyć złoty punkt. Trzeba tylko zebrać wszystkie siły, grać ofensywniej...”

Po przerwie śledziłem mecz niezbyt uważnie. U Wiry. Zadzwonił Wiktor i poprosił mnie do telefonu.

— Jest tu — powiedział — pewien napój, który zadreżca się w butelce. Nagroda. Od kierownika. Za sukcesy sportowe i za wzorową postawę. Glück auf.

„Glück auf” to po niemiecku znaczy „szczęśliwego wyjazdu na górę”. Tak, zjeżdżając na dół, pozdrawiają się niemieccy górnicy.

Pojechałem do nich. Właściwie — poszedłem. Nie lubię teraz windy.

Na stole rzeczywiście stała butelka. To był „Edel Kirsch”. Niemiecka wiśniówka.

— Edel — powiedział Wiktor — to znaczy: szlachetny.

Wira naląła całej naszej trójce po kieliszku tego szlachetnego trunku, ciemnego, rubinowoczerwonego koloru, okropnie mocnego.

— To i ciebie dotyczy — zmrużył oczy Wiktor. — Premia. Znaleźli sprawców.

— To oni?

— Nie. Ale od nich poprowadził ślad.

Starą farmaceutkę zadusili nie hippisi. Zrobił to stary kryminalista, recydywista, warunkowo zwolniony z więzienia, pseudo „Inteligent”. Zawsze działał w pojedynkę. Miał malutkie, jakby dziecinne rączki. Przewąchał, że są klienci na narkotyki.

— A co zrobiliście tym hippisom? — zapytał Wiktor.

— Nic. Nie zrobili niczego nielegalnego. Daliśmy znać na uczelnie. Niech ich wychowują. No, za nasz sukces.

Wypiliśmy jeszcze po kieliszku.

— O co to ja chciałem cię jeszcze zapytać? — powiedział Wiktor. — Aha, co to tam za wypadek był u was w fabryce?

— Jaki wypadek?

— Mówią, że spili jakąś dziewczynę. A ona na bani rozwalila głowę swojemu chłopakowi. Z zazdrości. Całe miasto o tym mówi. Podobno sądzili ją.

— Co to za bzdury? — powiedziałem. — Sam byłem sędzią. W sądzie koleżeńskim. Ale to w ogóle było nie tak... To nie chodziło o żadną zazdrość.

— Więc o co? — zainteresowała się Wira.

Opowiedziałem. W giserni pracuje u nas taki chłopak, Ołeksia Nowosiołow. Wysoki, nalany, twarz jak racuch. Robotę ma nie do pozazdroszczenia, pewnie — gorąco, brud i kiepsko płacą.

W giserni jest niewiarygodna płynność kadr. Przyjdzie chłopak z wiochy, porobi, dostanie kijowski meldunek i przechodzi do obrabiarki na mechaniczny albo do narzędziowni, albo po prostu do innych zakładów, do sąsiadów. Tam to jest naprawdę inne życie — air-condition, pracuje się w białych fartuchach, pincetami wstawia się tranzystory, gdzie należy. I płacą — ho-ho, nie to, co u nas.

Nowosiołow więc podszedł do nowo przyjętej dziewczynki, uczennicy, praktykantki. Taka malutka, zadarty nosek. Coś jej zaczął mówić na ucho.

Wezwaliśmy ją jako świadka na sąd koleżeński. Ale mimo że ją przesłuchiwalismy, jak umieliśmy, ciągle patrzyła w podłogę i nie chciała powiedzieć, co

jej mówił na ucho. Ale to i tak było jasne. Powiedział, że przyjdzie do niej do internatu. Tyle, że użył innych słów. Ona w odpowiedzi zamachnęła się i dała mu po pysku. Lepiej by zrobił, gdyby schował to do kieszeni i siedział cicho. Wtedy może by jakoś przyszło i skończyło się na niczym. Ale on zamiast schować to do kieszeni, przysunął jej swoją łapą jak łopata po tym zadartym nosku, i to tak, że krew chlusnęła na wszystkie strony. Mówił przed sądem, że nie chciał jej uderzyć, że to jakoś tak samo wyszło, że kiedy jeszcze chodził do szkoły średniej, trenował boks w dzielnicowym klubie i że w związku z tym tak odtąd odruchowo reaguje na uderzenie.

No, na to Zoja Zagorujko (ta dziewczyna, Wala jej na imię, była Zoi uczennicą) stuknęła Nowosiołowa kątownikiem po głowie.

— A co to jest kątownik? — zapytała Wira.

Wy tłumaczyłem jej, że kątownik jest to rodzaj listwy żelaznej wygiętej na płasko pod kątem prostym. No, taki żelazny hak, akurat dobry do uderzenia. Nowosiołow rąbnął jak długi. Dziewczyny same go opatrzyły. W apteczce na oddziale nie było bandaży, więc któraś podarła jego własną koszulę.

Dokoła tej sprawy natychmiast podniesiono niewiarogodną, jak powiada Wilia, wrzawę. Ołeksę Nowosiołowa zawieziono na pogotowie. Zawiózł go Żora Głuchow, też giser. Głuchowa także wezwaliśmy jako świadka, opowiadał, że kiedy lekarka wpisywała do historii choroby personalia Ołeksy, jak to się zazwyczaj robi w takich wypadkach, i zapytała go:

— Żonaty?

Ołekska aż się poderwał:

— Jaka ona mi tam żona?! Całkiem obca mi przyłała!

Nowosiołowowi należało się zwolnienie lekarskie, które naukowo nazywa się „zaświadczeniem o niezdolności do pracy”. Żeby dostać wypłatę, trzeba je poświadczyć w związku zawodowym. Ołeksa może by i nie skierował sprawy do sądu, ale nie wypłacano mu pieniędzy, póki nie było oficjalnie stwierdzonej przyczyny niezdolności do pracy.

Na sądzie wyszła na jaw smutna historia. Z tą Zoją Zagorujko. Okazało się, że była studentką akademii sztuk pięknych. Mąż ją porzucił. Z dzieckiem. Z sześciomiesięczną córeczką. Architekt Zagorujko. Podobno znany.

Kiedy to się stało, rzuciła uczelnię, poszła do fabryki. Na pierwszą zmianę pracuje u nas w giserni, robotę ma bardzo ciężką, a na drugą zmianę pracuje w żłobku jako praczka. Żeby być bliżej córeczki. Oddała ją do żłobka.

Tej Zoi Zagorujko należałyby się trzy miesiące z zachowaniem płacy. Mówią, że taki wyrok dałby jej sąd państwowy. Ale my, oczywiście, daliśmy jej tylko naganę. Tę dziewczynę, Walę, w ogóle uniewinniliśmy. I uchwaliliśmy, żeby na przyszłość za takie słowa, jakie ten Nowosiołow mówił do Wali, dawać po ryju bez uprzedzenia.

— Współczuję tej Zoi Zagorujko — powiedziałem. — Dziewczyna ma tylko jedno lekkie paletko, w którym chodzi i jesienią, i zimą. Sam bym się z nią ożenił, tak mi jej szkoda. Z wszystkimi nimi bym się pożenił, z tymi dziewczynami, od których odeszli mężowie i które teraz zaharowują się przy ciężkich robotach.

— No, z wszystkimi nie możesz — powiedziała Wira. Była w jej głosie odrobina zazdrości.

— Tak. Niestety. Z wszystkimi nie mogę. A co do zazdrości i że kogoś spili to nieprawda. Z palca wyssane. Nie było w fabryce takiego wypadku.

Mecz skończył się rezultatem jeden zero. Po przerwie nie było nawet żadnych rzeczywiście niebezpiecznych sytuacji.

Minęła mnie taksówka i zaraz zahamowała. Zobaczyłem najpierw drobne zęby Wili pobłyskujące aż niebiesko, a dopiero potem samego Wile.

Wychylił się przez okno. Jego nieduża bródka przechylona była w bok. Raz po raz jej dotykał.

— Ledwie cię dogoniłem — powiedział Wilia. — Ale zasuwasz.

— A co się stało?

Wilia był rozpromieniony.

— Chcesz się wreszcie dowiedzieć, na czym polega sens życia?

— Nie muszę.

— Ale powiedz, czy chcesz?

— No, chcę.

Wilia wyciągnął zza szybki przeciwsłonecznej książkę i pokazał mi nazwisko autora: P. M. Jeropow. Kandydat nauk filozoficznych. „Podstawowy problem etyki”.

Wilia otworzył książkę na stronicy, którą miał założoną papierkiem. Przeczytałem podkreślone słowa:

„Sens życia zasadza się na jedności obiektywizacji subiekty (uprzedmiotowionego) i subiektywizacji obiektu (odprzedmiotowionego), przy czym przez subiektywizację rozumiemy nie traktowanie obiektu jako subiekty, ale akceptację obiektu przez subiekt”.

— Ładnie to wyraził — powiedziałem. — Teraz chyba łatwo się żyje temu P. M. Jeropowowi. Zna już całość.

— Pokazuję dziś tę książkę wszystkim pasażerom — zachichotał Wilia. — Oczom nie wierzą. Odmawiają

przyjęcia reszty. Wyjątkowo sensowna wypowiedź. I dobrze służąca sprawie ludu pracującego.

Jeszcze bardziej przekrzywił bródkę.

Zadzwoił Wiktor.

— Wira ma dziś jakieś zebranie w instytucie. Co wiesz o tym, żeby z tego skorzystać i pogadać we dwójkę. Jest pewien temat do poruszenia. Podjedziesz do mnie?

— Już lecę — powiedziałem. — Na skrzydłach.

Ot i wszystko. Wiedziałem, że to się kiedyś stanie. Że taka chwila musi nadejść. Trzeba stawić jej czoło mężnie i wesoło.

Pojechałem windą. Teraz już było mi wszystko jedno. Serce tak mi łomotało, że najchętniej postąpiłbym chwilę na schodach, ale drzwi były już uchylone. Wszedłem.

— Siadaj — zaproponował Wiktor. — Chcesz herbaty? Co nowego?

— Nie, dziękuję. Wszystko niby normalnie.

— Jest taka sprawa... powiedział Wiktor. — Mam pewien pomysł... Angażuje się u nas ludzi do pracy...

Więc chodzi o coś innego. Poczułem, jak mi wilgotnieje koszula na piersiach i na plecach. Poczułem też jakieś dziwne zmęczenie. I ogromną obojętność.

— Co o tym sądzisz? Rozmawiałem już z naszym kierownictwem. Potrzebni są nam tacy chłopcy jak ty.

— Dziękuję — spróbowałem się uśmiechnąć. — Ale ja nie mam zdolności w tym kierunku. I w ogóle... Dziękuję, ale nic z tego nie wyjdzie.

— Może się jeszcze zastanowisz?

— Nie. Nad czym się tu zastanawiać?

— Szkoda — Wiktor myślał przez chwilę. — A mnie się zdawało... No, cóż. To taka sprawa...

Przespacerował się po pokoju, popatrzył na mnie. Uśmiechnął się.

— W takim razie wyeksploatuję cię inaczej. Potrzebne mi to do mojej rozprawy. Jest tam rozdział zatytułowany „Jakie słowa z leksyki kryminalistów przeniknęły do mowy potocznej?” I jakie warstwy ludności ich używają. Będę ci czytał te słowa, a ty mów, czy dane słowo jest dla ciebie zrozumiałe i czy go używasz albo czy używają go twoi koledzy.

— Dobra — odpowiedziałem podejrzliwie. — A dużo ci potrzeba takich przesłuchań do tej rozprawy?

— Bardzo dużo.

Wiktor wziął papier i ołówek, otworzył swoją piękną skórzaną teczkę i zaczął czytać:

— Akademia?

— Akademia Nauk?

— Nie, oni akademią nazywają więzienie. Akcza?

— Nie mam pojęcia.

— Budorga?

— Nie słyszałem.

— Bałabas?

— Poczekaj — powiedziałem. — A cóż to takiego, ta akcza, budorga i bałabas?

— Bałabas to słonina albo kiełbasa. Akcza — pieniądze, budorga — pistolet albo rewolwer.

— Patrzcie, patrzcie — powiedziałem. — Trzeba będzie to zapamiętać.

— Gdybyś do nas przyszedł, zapamiętałbyś raz-dwa. A bajan? Nie słyszałeś? — znów zapytał Wiktor.

— Instrument muzyczny.

— Nie, to inny bajan, litrówka wina. Biblia?

— Nie wiem.

Zrozumiałem już, że to chodzi o jakąś inną biblię.

— Karty do gry. Czuwirło?

— Nie słyszałem.

— Twarz... Brunetka?

— Nie wiem.

— Samochód, którym przewozi się więźniów. A „wy-
pić hektar”?

— Może litr? Ale u nas tak nie mówią. U nas mó-
wią „obciągnąć kilo”.

Wiktor zapisał sobie to.

— Rozebrać prysznic?

Wzruszyłem ramionami.

— Rozbić piersi. Zaciemnić?

— Schować coś?

— Nie. Zaciemnić to znaczy zabić człowieka ude-
rzywszy go czymś ciężkim po głowie. Kałym?

— Zdaje mi się, że to słowo spotyka się nawet w
gazetach. Fucha, lewy zarobek.

— Niesłusznie go używają. To słowo z żargonu zło-
dziejskiego. A — kantować się?

— Tak mówi nawet mój ojciec. Co to ma wspólnego
z żargonem złodziejskim? Jest też chyba zrozumiałe,
skąd się wzięło to wyrażenie. Że się kantuje, mówią
o kimś, kto nie pracuje, tylko przewraca się z boku na
bok, właśnie jak skrzynia, o której się przecież mówi,
że się ją „kantuje”.

Wiktor spojrział na mnie ze zdziwieniem i zanotował
to.

— Jest u nas w fabryce stary tokarz, Grigorij Mi-
chejowicz — powiedziałem. — Uczył mnie kiedyś. On
tych, co się „kantują” nazywa „odbywatelami”, że niby
chodzi im tylko o to, żeby odwalić swoje godziny w
fabryce. Uważa zresztą, że słowo „obywatele” właśnie
tak się wymawia.

— Ciekawe — Wiktor znów zajrzał do swoich papie-
rów. — A „kapać”?

— Donosić, skarżyć się. Tak często u nas mówią.

— Gdzie?

— Wszędzie. W fabryce, w klubie sportowym. Na ulicy.

— „Huścić prawa”?

— To też słyszałem. W znaczeniu „domagać się tego, co należne”.

— Prawdę mówiąc to niezupełnie tak — powiedział Wiktor. — „Huścić prawa” to w żargonie kryminalistów znaczy „rozsądzać spór więźniów w ich obecności”. Możliwe, że to wyrażenie bywa używane także i w innym znaczeniu. A kimać?

— Spać?

— Tak.

— To jeszcze w naszej szkole często mówiono, że ktoś kima na lekcji.

— Kółko?

— Kierownica.

— Gdzie to słyszałeś?

— Nie wiem. Często się tak mówi.

— Kto tak mówi?

— Nie pamiętam. Wielu ludzi.

— Krantik?

— Nie wiem.

— Śmierć za wydanie swojaków. „Posunąć dudkę”?

— Nie wiem.

— Ukraść broń. Potwarzyć?

— Nie wiem.

— Zgwałcić. Punem?

— Nie wiem.

— Twarz. Wrywać?

— Uciekać?

— Tak. Gdzie to słyszałeś?

— Tak mówią zawodnicy. Motocykliści.

— Jasna sprawa. A co to znaczy „siaść na gólkę”?

— Nie wiem.

— Hippisi, ci właśnie, siedli na gólkę. Stać się nar-
komanem. Zmalować od frontu?

— Nie wiem.

— Poznać na pierwszy rzut oka. „Stukacz”, to oczy-
wiście słyszałeś?

— Słyszałem.

— Od kogo?

— Sam tak mówię.

Wiktor rzucił na mnie szybkie spojrzenie z ukosa.

— A flesz? Słyszałeś?

— Nie. Co to takiego?

— Współpracownik wydziału śledczego. Chrust?

— Pieniądze.

— W fabryce tak nazywają pieniądze?

— Nie. Tak mówią chyba taksówkarze.

— Szmon?

— Rewizja. To słowo każdy zna.

— Jursy?

— Nie słyszałem.

— Prycza albo w ogóle pomieszczenie, w którym śpi
aresztowany — Wiktor przejrzał swoje notatki, coś do-
pisał. — No, dziękuję. Co prawda możliwe, że będę
musiał się do ciebie zwrócić jeszcze raz w tej samej
sprawie. Nie masz nic przeciwko temu?

— Proszę cię bardzo — powiedziałem. — Ale nie
bardzo rozumiem, jaki to ma sens? I czy można w
ogóle mówić tu o mowie potocznej?

— Chyba można — odparł Wiktor — ponieważ jest
to sposób porozumiewania się ludzi ze sobą. W tym ję-
zyku nie ma takich wzniosłych pojęć jak sumienie, in-
teres społeczny, walka o pokój, spacer człowieka w
kosmosie. Nie ma też w nim pojęć abstrakcyjnych. Jest
to język absolutnie konkretny, został bowiem stworzo-
ny przez prymitywnych przestępców, gwałcicieli i mor-
derców. Ale niektóre pojęcia z tego języka, niektóre

słowa trafiają również do języka ludzi normalnych. To bardzo źle. W ślad za słowami przejmowana bywa i wizja świata. A jest to wizja świata oglądanego przez cynicznych i bezlitosnych degeneratów.

Wyobraziłem sobie świadectwo patentowe tak dokładnie, jakbym trzymał je w ręku. Zszyte kolorową wstążeczką z czerwoną pieczęcią lakową. Znałem na pamięć także adres: Moskwa, Bolszoi Czerkasskij Pierieulok, dwa łamane przez sześć, Komitet do Spraw Wynalazków i Odkryć przy Radzie Ministrów ZSRR. W komodzie leżało świadectwo patentowe taty. Tato dostał je za urządzenie, które pozwala na wiercenie otworów bez poprzedniego ich wymierzania.

— Na czym polega cały kłopot z autobusami? — mówiłem do Mykoły. — Sprawdziłem, jeżdżą po mieście z szybkością sześćdziesiąt na godzinę. Wszystkie opóźnienia powstają na przystankach. Kiedy pasażerowie wsiadają i wysiadają. Wpadłem na pomysł. Jedna boczna ściana powinna się składać z samych drzwi. Takie podnoszone, rozumiesz, które wsuwałyby się w dach. Dach można zrobić z dwóch warstw metalu czy nawet plastyku, pomiędzy tymi warstwami powinien być odstęp. Właśnie na drzwi. Siedzenia tylko pod tą drugą ścianą. Dla starców i dzieci. Reszta może sobie postać. Więcej ludzi się zmieści.

— Ciekawe — powiedział Mykoła.

— Autobus krócej stałby na przystankach. Obliczyłem, że dwa razy krócej. Koła także powinny być inaczej rozmieszczone. W romb. Jedno z przodu, dwa po bokach, i jedno z tyłu. Autobus mógłby wtedy skręcać w miejscu. Lepiej wpisywałby się w wąskie uliczki. Skróciłyby się przebiegi. Spróbujemy?

— Spróbować. oczywiście, warto — odpowiedział z

tym swoim zakłopotanym uśmiechem Mykoła. — Ale próbuj sam. Ty się na tym lepiej znasz, a ja mam dość własnej pracy... Myślę, że to bardzo interesująca idea. Z tymi drzwiami. Koła rozmieszczone w romb... Niezbyt się na tym znam, ale to chyba zmniejszy stabilność.

— Płaszczyzna podparcia będzie taka sama — zaprotestowałem. — Środek ciężkości także...

— Tu nie chodzi tylko o płaszczyznę podparcia... Zresztą musisz się nad tym zastanowić sam.

Kolorowa wstażeczka na świadectwie patentowym, którą jeszcze przed chwilą widziałem tak wyraziście, od razu zbladła. Nie potrafię skonstruować tego wszystkiego sam. Na razie jestem w stanie wystąpić tylko z samą ideą.

Po pracy zaciągnąłem Mykołę do nas. Korciło mnie, żeby go namówić do współautorstwa. Ale cóż, nie udało się.

— Nie obrażaj się — powiedział Mykoła. — Moim zdaniem ta sprawa warta jest uwagi. Ja po prostu jestem teraz zajęty czymś zupełnie innym.

Mykoła opowiedział, że u nich w instytucie Akademii Nauk wszyscy dostali kota na punkcie serendipiti. Poznałem jeszcze jedno żargonowe słowo. Tyle, że tym razem z żargonu naukowców. Odkrycia w nauce dokonać można w jeden z trzech sposobów: w wyniku przemyślanych, zawczasu zaplanowanych badań, metodą prób i błędów, co się zresztą zdarza najczęściej, albo w rezultacie serendipiti, kiedy mamy do czynienia z odkryciem przypadkowym, z nagłym olśnieniem.

Mykoła mówi, że nazwa serendipiti wzięła się z cejlońskiej bajki o książętach Serendipu. Tak kiedyś nazywał się Cejlon. Bajka mówi, że książęta ci mieli niezwykłą zdolność robienia zupełnie przypadkowo ważnych odkryć. No, dajmy na to, szukali czegoś tam,

a wpadali na coś całkiem innego, ważniejszego i potrzebniejszego.

— Nasze komputery pracują — mówił Mykoła — eksperymenty są przeprowadzane... Ale potrzebne są nowe, oryginalne idee, potrzebne są nowe teorie. My natomiast jedynie eksperymentujemy.

Opowiedział popularny w ich instytucie kawał o tym, jaka jest różnica między teoretykiem a eksperymentatorem.

Eksperymentator łapie muchę, kładzie ją na stole i mówi do niej: „leć!” Mucha leci. Eksperymentator notuje w dzienniku doświadczeń: „Dnia takiego to a takiego, o takiej to a takiej godzinie powiedziałem do muchy: »leć«, i mucha poleciała”. Potem znowu łapie muchę, obrywa jej skrzydła, kładzie ją na stole, mówi: „leć!” Mucha nie leci. Więc eksperymentator notuje w dzienniku doświadczeń: „Dnia takiego to a takiego, o takiej to a takiej godzinie mucha, której usunięto skrzydła, straciła słuch”.

— A ponieważ nasi współpracownicy trochę tych eksperymentatorów przypominają, więc wychodzi na to, że cały nasz instytut prowadzi wprawdzie swoją zaplanowaną działalność badawczą, ale zarazem czeka na serendipiti.

Poszedłem odprowadzić Mykołę. Kiedy wróciłem, tato był już w domu. Siedzieli teraz oboje z mamą przed telewizorem i słuchali koncertu. Występował zespół Wirskiego. Mama i tato nie mogli oderwać oczu od hopaka. To zdumiewający taniec. Patrząc nań trudno usiedzieć na miejscu. Zwłaszcza kiedy solista z wąsikami idzie w prysiudy z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Jest zupełnie niepojęte, jak on utrzymuje równowagę. Jest jakby w stanie nieważkości.

Ale kiedy zaczął się „powzuniec”, tato chciał wyłączyć telewizor, obejrzał się na mnie, zaczerwienił się —

tato zawsze bardzo łatwo się rumieni — i poszedł do kuchni. Nie podobało mu się to. Tancerze przedstawiali ludzi, którzy wszystko robią pełzając. W ogóle się nie podnosili. Nie mogę zrozumieć, jak to się może komuś podobać.

— Romciu — zawołał tato.

Poszedłem do kuchni. Mama poszła za mną. Tato siedział przy kuchennym stole i powoli obracał w dłoniach szklanekę nie dopitej herbaty. Mama stanęła przy drzwiach, wsparła się ramieniem o framugę.

— Kto to taki ten Trojan? — zapytał tato nie podnosząc głowy. — Co on robi w fabryce?

— Pracuje — odpowiedziałem czujnie. — On jest z Akademii Nauk. Jest autooperatorem na bezstykowych elementach logicznych.

— Tak... A ty go znasz?... Kim jest jego ojciec? I matka?

— Nie wiem. Mieszka z ciotką.

— Nigdy nie pytałeś, co się stało z jego rodzicami?

— Gdzieżbym się o to wypytywał?

— Jak on ma po ojcu?

— Tak, jak ja. Ołeksijowicz.

Tato zamienił spojrzenia z matką.

— Niech on do nas nie przychodzi — skrzyżowawszy ręce na piersiach powiedziała mama. — Też sobie znalazłeś przyjaciela. Jest starszy od ciebie, i w ogóle nie ma po co się tutaj kręcić.

— Przychodzi do mnie — rozeźliłem się. — A nie do was.

— Jak będziesz miał własne mieszkanie, to wtedy będziesz mógł powiedzieć, że przychodzi tylko do ciebie.

— Czym on się wam tak naraził?

— A to już nie twoja rzecz — podniosła głos mama.

— Jego ojca rozstrzelano — powoli i z przerwami powiedział tato. — Brałem udział w tej rozprawie. Byłem ławnikiem...

— Nie masz się co przed nim tłumaczyć — przerwała ojcu mama.

Nie miałem o tym pojęcia. Wszystko to było zbyt niespodziewane. Ale jeśli nawet tak, to co ma tu do rzeczy Mykoła? Czy ma się mścić za ojca? Wendeta?

— Syn nie ponosi odpowiedzialności za ojca — powiedziałem ostro.

— Przed sądem nie odpowiada. A przed ludźmi odpowiada — niewzruszenie odparła matka. — Za czyje pieniądze on żył?

Nauczyło mnie już życie, że jest tylko jeden sposób rozmawiania z przyjaciółmi — szczerze powiedzieć to, co sobie myślisz. Inaczej potem sprawa wyjdzie bokiem.

Nazajutrz po treningu — przygotowaliśmy się do zawodów — powiedziałem do Mykoły:

— Pojedźmy razem do domu. We dwójkę. Chcę z tobą pogadać.

— Dobra — zgodził się Mykoła.

Zostawiliśmy motocykle przed technikum samochodowym, tam, gdzie sterczy „Puszkina na patyku”, pieszo minęliśmy pomnik Wiecznej Sławy i usiedliśmy na zboczu, prosto na trawie.

— To prawda — patrząc na Dniepr powiedział Mykoła. — Byłem wtedy już w ósmej klasie. Ale niczego wtedy nie mogłem zrozumieć. Zresztą dotąd nie rozumiem. — Twarz mu poszarzała, nad górną wargą wystąpiły pod nosem kropelki potu. — Przypadek decyduje o bardzo wielu rzeczach w życiu człowieka. O tym, w jakich czasach się rodzisz, w jakim kraju,

w jakiej rodzinie, jakie masz zdolności, jakie zdrowie — o tym wszystkim decydują przypadki. Prawo Gaussa, zgodnie z którym przypadkowa wielkość zależy od wielkiej ilości czynników, które z równym prawdopodobieństwem mogą wносить zarówno pozytywne, jak negatywne korektury, to prawo dotyczy także ludzi. Ich życia. To prawo zahaczyło i o mnie.

Była to rzeczywiście niezrozumiała historia. Ojciec Mykoły, Ołeksij Kyryłowicz Trojan, był nauczycielem, potem kierownikiem szkoły, potem kierownikiem wydziału oświaty, wreszcie wybrano go przewodniczącym dzielnicowej rady. Żyli bardzo skromnie. Matka tak jak i przedtem pracowała jako nauczycielka. Ojciec nigdy nie pozwalał ani Mykole, ani żonie korzystać z państwowego samochodu. Był to człowiek surowy, milczek, i kiedy matka Mykoły powiedziała kiedyś, że chciała by gdzieś pojechać, załatwić coś, odpowiedział, że samochód nie do tego jest przeznaczony. Uczył Mykołę, że trzeba być prawdomównym, skromnym, uczciwym, wiernym danemu słowu. Ojciec nie pił, nie palił, siedział w pracy do późna, w domu czytał gazety i książki, ale nie literaturę piękną, tylko przeważnie z dziedziny leśnictwa. Kiedyś uczył w szkole botaniki, lubił las. Niekiedy stawiał wieczorem na stole prymus, brał do ust zagiętą na końcu rurkę metalową i oddmuchując wąską smużkę płomienia, bielił i spawał błystki. Czasami jeździł na ryby, ale zawsze sam, nie miał żadnych przyjaciół. Do Starosielu. Mieli tam małą dację. Drewnianą chatkę. Jedna izba. Nawet bez werandy. Na działce nie było ani jednego drzewa owocowego. Kilka sosen i drzewka oliwne, które posadził jeszcze jego ojciec. Dzikie oliwki, cierniste, nie przedrzesz się przez nie.

I raptem ojca Mykoły aresztowano. Zrobiono rewizję. Opukiwano ściany, sufity. W domu nic nie znaleźli.

Ale, jak się Mykoła dowiedział później, w Starosielu, na tej odludnej, zaniedbanej dacz, między tymi cier-
niami znaleźli w ziemi blaszaną puszkę pełną złotych
monet, złota w blaszkach, pierścionków, bransoletek,
kolczyków z drogimi kamieniami. Było tam może z dzie-
sięć kilo złota. W śledztwie wyszło na jaw, że ojciec
Mykoły brał łapówki. Za przydzielanie mieszkań róż-
nym kombinatorom. Było to tak sprytnie zorganizowa-
ne, że płacący nawet nie wiedzieli, dla kogo są prze-
znaczone te pieniądze. Miał całą organizację podstawio-
nych osób, które wszystko to robiły. Osoby te również
sądzono w tym samym procesie, co ojca Mykoły, ale
wymierzono im stosunkowo łagodne kary. Ojciec My-
koły otrzymał najwyższy wymiar kary. Łapownik na
takim stanowisku — to wywoływało powszechne obu-
rzenie.

— Nie mogę zrozumieć — mówił Mykoła — po co
on gromadził to złoto? Co miał zamiar z nim zrobić?
Czemu był tak surowy i wymagający wobec mnie i ma-
my? Tak chciał, żebym był uczciwym i dotrzymującym
słowa człowiekiem? A sam...

Matka Mykoły umarła. Jeszcze przed rozprawą. Za-
wał. Mykoła przeprowadził się do ciotki.

— Gnębi mnie to wszystko — powiedział patrząc na
Dniepr. — Jeszcze dziś mnie to gnębi.

Po Dnieprze fruwały wodoloty, dużo ich teraz. Na
wzbijanych przez nie falach podskakiwały motorówki.
Siedzieliśmy w milczeniu.

„Rzeczywiście — po co mu było to złoto? — myśla-
łem. — Może nie wierzył, że przetrzymamy następną
wojnę? Ale co ono by mu pomogło? U nas nie miałyby
z niego żadnego pożytku! Przerzuciłby za granicę?
Gdyby miał nawet cetnar tego złota, nigdy w życiu
nie osiągnąłby tam takiego stanowiska, jakie miał tutaj.
Przewodniczący dzielnicowej rady to przecież nie byle

kto. I to w Kijowie. W stolicy czterdziestopięciomilionowego państwa. Państwa, jak cała Francja.

Więc do czego ono mu było potrzebne? I to tak bardzo potrzebne, że aż brał w imię tego łapówki? Może był po prostu stuknięty? I nie trzeba go było rozstrzeliwać, tylko wsadzić do Kiryłówki... Dobrze, ale reszta? Wspólnicy, którzy mu te łapówki przekazywali? Przecież nie robili tego na piękne oczy. Złotych monet nie kupuje się też w domu towarowym. Ktoś mu je dostarczał. Więc czy tamci wszyscy też byli stuknięci? Skądże. Normalni ludzie, którzy chodzili po tych samych co my ulicach, rozmawiali jak my, i tak samo jak my nie znali wyrażen z układanego przez Wiktora słownika. Może rzeczywiście warto było pójść, jak radził Wiktor, do pracy w wydziale śledczym, żeby łapać takich drani za ich lepkie ręce, kiedy sięgają nimi do państwowej kieszeni? Pewnie, że to niezbyt pojętna praca. Ale potrzebna.

Nasz talmudysta powiada — winne są przeżytki. Jakie przeżytki? Z przedrewolucyjnych czasów. Albo wpływ otoczenia kapitalistycznego. Ale jak wytłumaczyć przeżytki w świadomości ludzi, którzy urodzili się i wychowali w czasach radzieckich? Którzy kapitalizmu nigdy nie widzieli na oczy? Zresztą to jeszcze pytanie, kto jest teraz w czym otoczeniu — my w kapitalistycznym, czy oni w socjalistycznym.

Nie, kłamią ci, co powiadają, że nie ma u nas żadnego gruntu dla przestępstw, morderstw, zdrad, biurokracji. Ponieważ wszystko to istnieje, więc są jakieś tego przyczyny. I będą zawsze, dopóki będą istnieli na naszym globie głupcy, chciwcy czy też po prostu ludzie nieodpowiedzialni. I zawsze trzeba będzie z tym walczyć. A prawo Gaussa nic tu nie ma do rzeczy. Wszystkie te zjawiska to nie jest kwestia przypadku.

*

W samym centrum Kirowogradu stoi pomnik Kirowa. Rzeźbiarz ustawił Sergieja Mironowicza w dziwnej pozie. Kirow nie wiadomo dlaczego wskazuje spierzoną ręką w ziemię. Ale, jak się okazało, nawet niezbyt wybitne dzieła sztuki mogą się okazać proroczymi.

Stał ten pomnik w Kirowogradzie przez całe lata i nikt nie zwracał szczególniejszej uwagi na to, gdzie mianowicie wskazuje palcem Kirow, ale potem pokopano trochę w tej ziemi i znaleziono w niej mnóstwo cennych kopalin. W każdym razie miasto jest teraz pełne górników. Wszyscy są kibicami, wszyscy chodzą na zawody. W ogóle Kirowograd słynie z tego, że to miasto miłośników sportu motorowego. Dlatego też to właśnie tutaj organizuje się tak zwane tradycyjne crossy republikańskie o nagrodę imienia Siergieja Mironowicza Kirowa.

Ulokowano nas w hotelu „Inguł”. Pękał w szwach od górników i od motocyklistów.

Niemłoda już kobieta w butach z cholewami, w czarnym sukiennym żakiecie i w nasuniętej na brwi jaskrawożółtej chustce mówiła coś do recepcjonistki.

Raptem zacząłem jej słuchać.

— A jego nie było ani na listach poległych, ani na listach zaginionych. Czytamy w gazecie o tych wyścigach motocyklowych i — Łogwinienko Iwan Mikołajowicz. Mąż mówi: „Poczekaj do jutra”. Ale ja mówię: „Nie, dziś”. I w samolot. Drugi raz w życiu. Wszystko się zgadza, i nazwisko, i imię, tylko człowiek nie ten sam... Żeby tylko mogła przenocować...

Tyle lat! A ona ciągle czeka na cud... Podeszedłem bliżej.

— Może my jakoś... urządzilibyśmy u siebie — powiedziałem.

— Jakoś to my i bez was urządzimy — odparła surowa recepcjonistka.

W pobliżu hotelu „Inguł” płynie przez miasto rzeczka Inguł. O czymś takim czytywałem tylko w tygodnikach satyrycznych. Gdybym nie zobaczył tego na własne oczy, nigdy bym nie uwierzył, że można doprowadzić rzekę do takiego stanu. Płynęło w niej błoto, a nie woda. Czarne błoto. Ale mimo to jacyś chłopackowie siedzieli nad nią z wędkami. W tym wieku trafiają się niewiarogodni optymiści.

Jak zwykle przed crossem miałem straszliwą tremę. Pierwszy raz w życiu brałem udział w tak poważnych zawodach. Moje dźwięczne nazwisko wydrukowano czarnymi literami w książeczce będącej programem republikańskiego crossu. Choć oczywiście zgłoszenie się na te zawody było z kolei z mojej strony niewiarogodnym optymizmem.

W życiu można się bawić w chowanego z samym sobą. W sporcie nie jest to możliwe. Jesteś pierwszy albo siedemnasty. I wiesz, dlaczego tak się dzieje. Dowiadujesz się o sobie wielu rzeczy.

W codziennym życiu możesz komuś powiedzieć: „Dureń!” A on ci odpowie: „Sam dureń!” Albo możesz powiedzieć: „Kutwa!” A ten ktoś ci odpowie: „Sam kutwa!” W sporcie wszystko to wygląda inaczej. Cross dowiedzie, czy rzeczywiście nie jesteś durniem. I czy nie jesteś kutwą.

Podczas crossu powoduje tobą jakieś osobliwe uczucie, którego w ogóle nie znają ludzie, którzy nigdy w życiu nie zajmowali się prawdziwym sportem.

Motocykl to rzecz niebezpieczna. Nawet taki, jakim jeżdżą po szosach. „Śmierć na raty”. Kiedy przekoziołkuje samochód, kierowcę i pasażerów osłoni jeszcze karoseria, której w motocyklu nie ma. Kierownica samochodu reaguje oczywiście na nierówności drogi, ale przekładnia ślimakowa zmniejsza te wstrząsy wielokrotnie.

Motocyklista trzyma kierownicę, która bezpośrednio przenosi wszystkie wstrząsy z przedniego koła. Koło trafi na kamień albo nie ominiesz wyboju przy większej szybkości i już możesz się znaleźć w rowie razem z motocyklem albo wykonać zderzenie czołowe z jadącym z przeciwka traktorem i raz na zawsze pozbawisz się możliwości wyciągnięcia właściwych wniosków z popełnionego błędu.

Bądź czujny, motocyklisto! I niech ci się zawsze szczęści! Nie zapominaj też, że człowiek ma wrodzoną potrzebę pokonywania niebezpieczeństw.

Ale jest to dla mnie wstrętne, kiedy przemienia się sport w intratny zawód. Dlatego nie lubię Borysowa. Właśnie dlatego, a wcale nie dlatego, że mu zazdrościsz, jak sądzi Wilia.

Borysow. Zasłużony mistrz sportu. Wielokrotny mistrz republiki. Ma własny unikalny czeski motocykl crossowy „CZ”. Motocykl, który kosztuje cztery tysiące rubli. Z silnikiem o mocy trzydziestu czterech koni mechanicznych. Magnez, aluminium, tytan. Jak we współczesnych rakietach. Opony firmy „Barum”, o tak chytłym bieżniku, że możesz utrzymać motocykl nawet wtedy, kiedy wjeżdżasz na ukos pod górę po stromym gliniastym zboczu. Jak powiada mama — bogatemu diabeł dzieci kołysze. Daleko naszym crossowym „IŻ-om” do jego unikalnej „CZ-etki”.

Mówi się, że w crossie sukces tylko w połowie zależy od zawodnika, w połowie zaś od motocykla. Motor Borysowa to nie połowa, ale trzy czwarte sukcesu, co zaś do zawodnika... Borysow jest to zawodnik ekstraklasy. Zimna krew, rozwaga, ogromne doświadczenie zdobyte na zawodach międzynarodowych. Trenuje przez cały rok, bo jest trenerem z zawodu.

Nie jest trudno określić, czy fizycznie jesteś dostatecznie przygotowany do crossu. Jeżeli możesz zrobić

pięćdziesiąt przysiadów stojąc na jednej nodze, tyśiąc — stojąc na obydwu, jeśli wążąc sześćdziesiąt kilo możesz pięćdziesiąt razy podnieść w podrywie oburącz studwudziestokilogramową sztangę — to jesteś gotów.

Borysow jest w porównaniu z nami stary. Trzydzieści lat. Chudziutki, malutki, o wąskich, twardych muskułach crossowca. Nie rozumiem, jak on to wszystko wytrzymuje. Dwa biegi. Każdy bieg to dziesięć okrążeń na dwukilometrowej trasie. Żebyś był nie wiem jak zahartowany fizycznie, możesz być pewien, że kiedy się po zawodach zważysz, nie doliczysz się sześciu albo i siedmiu kilogramów.

Powiedziałem Wili i Mykole, że postanowiłem pójść za Borysowem. Jego koleiną. Siedząc mu na kole. Rzykując. I na ostatnim okrążeniu spróbuję go wziąć. Nie wiem, jak na zawodach międzynarodowych, ale na naszych Borysow okropnie uważa. Tygrysa za ogon nie łapie. Trzeba spróbować.

— „A ten czwarty, ten malutki...” — powiedział Mykoła.

— „...przyczepił się z tyłu” — podchwycił Wilia. — I skończyło się na karambolu.

Karambol. Zderzenie. Najstraszniejsze ze wszystkiego, co może się zdarzyć podczas crossu.

— Uważaj — powiedział z powagą Wilia. — I jak słusznie kiedyś mawiał starożytny filozof grecki Chilon ze Sparty, nie chciej rzeczy niemożliwych.

Rozmawialiśmy o tym wszystkim przed hotelem „Inguł”, gdzie się chłopcy zebrali dokoła nowiutkiej, eleganckiej „Wołgi” Borysowa koloru kości słoniowej. Borysow nie jeździ na zwyczajnym motorze, tak jak my. Ma własną „Wołgę”. Motocykl jest mu potrzebny tylko na zawody. „Wołga” ciągnie niedużą ażurową przyczepę, tego samego koloru co wóz, na przyczepie stoją dwa crossowe motocykle. Chłopcy oglądali różne

urządzenia zabezpieczające przed kradzieżą wozu, które demonstrował im Borysow. Można było odnieść wrażenie, że ta jego „Wołga” składa się z samych przystawek zabezpieczających przed złodziejami.

— Od czego byście zaczęli — mówił Borysow — gdybyście poczuli nagle patologiczny pociąg do cudzego samochodu? Spróbowałibyście z pewnością otworzyć drzwiczki, podnieść maskę albo otworzyć bagażnik. No, cóż, spróbujmy to zrobić...

Otworzył drzwiczki i natychmiast zawyła syrena, ale taka, jakie mają karetki pogotowia. Potem dotknął czegoś pod siedzeniem, syrena ucichła.

— Ale powiedzmy, że nie daliście dyla, jakby zrobił każdy człowiek będący przy zdrowych zmysłach, tylko znaleźliście wyłącznik syreny i zatknęliście jej dziób. Teraz wybijecie szybę albo otworzycie drzwi wytrychem. Proszę bardzo — mam jeszcze zablokowaną kierownicę i dźwignię zmiany biegów. Założmy, że macie przy sobie bukfel i przepiłowaliście zamek z szyfrem cyfrowym, który tu mam. Zajęłoby to wam zresztą sporo czasu, bo to porządna stal. Wtedy spróbujecie włączyć stacyjkę wytrychem. To się wam nie uda. Widzicie ten kluczyk? Yale. W stacyjce jest taki sam wkład. Zabraknie wam cierpliwości. Łamiecie obudowę, wyrzycacie przewody i łączycie je na chama. Wydaje się wam, że teraz już wszystko zagra, bo udało się wam nawet zapalić silnik. Ale wystarczy, żebyście wrzucili drugi czy trzeci bieg, a silnik wam zgaśnie. Nie ma dopływu prądu.

Chłopcy oglądali z zainteresowaniem wszystkie te wynalazki. Pociągało ich rozwiązanie każdego problemu technicznego. W ogóle za dużo się teraz zrobiło na świecie ludzi, których interesuje tylko technika.

Ale Borysow na tym nie poprzestał. Jego „Wołga” miała jeszcze zawór elektromagnetyczny, który przery-

wał dopływ paliwa. Wóz ruszy wprawdzie z miejsca, ale zaraz stanie — benzyna nie dopływa z baku.

— A podać benzynę inną drogą — tonem pouczenia powiedział Borysow — to jest znacznie bardziej skomplikowane niż wyrwanie drutów i sforsowanie stacyjki.

Rzecz najciekawszą zachował Borysow na sam koniec. Jeżeli zatka się rurę wydechową, silnik, oczywiście, nie będzie pracował. W specjalnej nasadce za tłumikiem Borysow zainstalował przesłonę, sterowaną za pomocą linki idącej do dźwigni pod przednim siedzeniem. Kiedy przesłona zamyka rurę wydechową, silnik da się nawet zapalić. Chwilę popracuje na małych obrotach. Ale jeśli tylko spróbujesz ruszyć z miejsca, silnik od razu zgaśnie.

— To już wszystko? — zapytał Wilia. Najwyraźniej miał ochotę na obejrzenie jeszcze czegoś niezwykłego.

— A to mało? — powiedział Borysow.

— Może być jeszcze jedno wyjście — wtrąciłem się. — Złodziej podprowadza potężną wywrotkę i dźwig samochodowy. Ładuje wóz na wywrotkę. Odwozi do warsztatów naprawczych. Tam zbiera się rada techniczna, która znajduje zawór elektromagnetyczny, przesłonę na rurze wydechowej, przywraca podawanie prądu. Złodziej wpisuje podziękowanie do książki skarg i wniosków, wyjeżdża za bramę i jedzie ulicą. Ale dokładnie po siedmiu minutach i trzydziestu sekundach po tym, jak wyjedzie za bramę, zaczyna działać przełącznik czasowy, drzwi się same otwierają, pod siedzeniami następują eksplozje, które katapultują jadących na bruk, samochód zaś automatycznie zawraca i sam zjeżdża do garażu. Tam wraz ze swoim właścicielem sporządza doniesienie o kradzieży, sam je odwozi do inspekcji drogowej, gdzie z godnością rozmawia z samym pułkownikiem Klebanowem.

Nie tylko opowiedziałem to. Także odegrałem wszy-

stkie te scenki po kolei. Chłopcy się śmiali. Ale najgłośniej śmiał się sam Borysow. Ja tymczasem chciałem, żeby się śmiano z niego, nie z tego, co odgrywałem.

Jak zawsze w dniu poprzedzającym zawody obejrzeliliśmy trasę, „objeździliśmy” ją, ale przed samymi zawodami trasa i tak uległa wielkim zmianom. W nocy spadł deszcz. Tak jest zawsze przed crossem. Ja, ale co tam ja, zawodnicy znacznie doświadczeni ode mnie, mający na koncie wiele startów, nie pamiętają wypadku, żeby przed crossem albo podczas samych zawodów nie padał deszcz... Glina w wąwozie, którym musieliśmy przejeżdżać, rozmiękła. W jednym miejscu zrobił się nawet strumyczek. Trzeba go będzie przeskakiwać.

Mykoła zszedł z trasy jeszcze przed początkiem zawodów. Motocykl crossowy nie znosi ludzi z rozstrojem żołądka. A Mykoła coś zjadł czy też wypił. Podskoczyła mu nawet temperatura. Wilia radził mu wyjść na trasę z transparentem: „Jakie jedzenie, takie jeżdżenie!” A tymczasem wzięliśmy z Wilią od Mykoły jego świece, Wilia zainstalował w swoim motorze jego karburator i zgodnie odśpiewaliśmy idiotyczną piosenkę, którą nasi zawodnicy zawsze śpiewają przed crossem:

*Jak iszow ja z Debreczyna dodomu,
Zajszła meni czorna kura dorohu.
Idi, idi, czorna kuro, dodomu,
Ne zaważaj, ne zaważaj po dorozu nikomu.*

Zawody jak zawsze wyznaczone zostały na niedzielę. Od samego rana na dalekie przedmieście ciągnęły hurmy ludzi. Jak na pochód pierwszomajowy. Stare opony wkopane do połowy w ziemię i pomalowane na białą wyglądały jak koła ratunkowe. To właśnie one oraz czerwone chorągiewki na drągach wyznaczały trasę.

W dole, na dnie wąwozu, stał jaśniejąc czerwonym lakierem nowiutki samochód strażacki z kompletem strażaków i trzy karetki pogotowia z lekarzami i sanitariuszami gotowymi do akcji. To nie przesadna ostrożność. Taki to sport, ten cross.

Niedaleko mety stała trybuna sędziowska, na której znajdowali się też goście honorowi, na trasie rozmieszczeni byli sędziowie z czerwonymi opaskami na rękawach.

Wprowadziliśmy motory do „parku zamkniętego”, na ogrodzony placyk przed miejscem startu. Mieliśmy na motorach numery startowe wypisane białą farbą na niebieskim tle. Takie połączenie kolorów oznacza klasę motorów z silnikami o pojemności trzystu pięćdziesięciu centymetrów sześciennych. Warkot motorów przypominał chrapanie śpiącego osiłka. Wdech-wydech, wdech-wydech. I gorzkawy, cierpki zapach spalin.

Pochyliłem się do Wili, który stał obok mnie.

— Jak to pisał P. M. Jeropow o sensie życia?

— Daj spokój — dość ponuro odparł Wilia. — Wca-
le nie tak głupio napisał — Wilia widocznie poczuwał się do obowiązku solidarności zawodowej. — Tylko chropawo i niejasno. A w zasadzie materialne przesłanki osiągnięcia szczęścia mogą osiągnąć także ludzie bez sumienia. Ale z tego bynajmniej nie wynika, że ktoś, kto nie wykroił dla siebie najlepszego kąska, nie może być szczęśliwy. Przecież można być najnieszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem w najsprawiedliwszym ustroju i można być najszczęśliwszym w najreakcyjniejszym państwie. W końcu najwięcej zależy od tego, jak żyjesz ty sam.

A naokoło wyły motory. Zawodnicy grzali silniki i wyprowadzali swoje maszyny na start. Był w tym sens i było w tym szczęście.

Patrzyłem na Borysowa. Jadł czekoladkę. Zawsze

przed startem je czekoladkę. Sędzia startowy opuścił barierkę na starcie. Ale Borysow wyprzedził sędziego i udało mu się przeskoczyć przypominającą niewysoki płótek metalową barierkę, jeszcze zanim ta całkiem opadła. Niekiedy sędziowie uznają to za falstart. Zyskać na tym można jedną dziesiątą, a może nawet za ledwie jedną setną sekundy. Ale Borysow już był pierwszy.

Widzowie tłoczyli się za linami rozciągniętymi od kołka do kołka. Krzyczeli coś, ale w huk silników nic nie było słychać. Nie widziałem nic prócz pleców Borysowa. Gnał co sił, i wydawało mi się, że jeżeli nie wsiądę mu na koło, to wszystko stracone.

Przed strumykiem zrobił „odciąg” i jego „CZ-etka” przefrunęła nad wodą. Jeździ rzeczywiście jak bóg. Nie zobaczysz wprawdzie w jego wykonaniu śmiałych, pięknych skoków, kiedy to motocykl jak ptak wzbija się w górę, a wczepiony w kierownicę zawodnik wlatuje nad motocyklem. Nie, on skacze tylko wtedy, kiedy musi, i zawsze w pełni wykorzystuje przy tym możliwości swego potężnego motoru — skacze płasko, daleko. To tylko mnie wyrzuciło wysoko w powietrze i widzowie, którym zawsze właśnie taki nieudany skok wydaje się najefektowniejszy, wrzasnęli coś, zachwyceni, ale mnie o mało co nie wyrwało kierownicy z rąk, musiałem zmniejszyć gaz i Borysow odsadził się jeszcze bardziej.

Dalej droga wiodła pod górę i był tam taki ostry zakręt w lewo. Po deszczu trasa przemieniła się w gliniaste mięsiwo. Mój „IŻ” stał się nieposłuszny, o mało nie wyniósł mnie poza wyznaczające trasę drągi. Zalewały mnie bryzgi błota. Ale Borysow ciągle był przede mną i postanowiłem zrobić coś, czego w żadnym wypadku nie wolno mi było robić. Przekręciłem do końca rączkę gazu i po prostu pofrunąłem w dół.

Nierównymi, niezdarnymi skokami. O mało nie przewróciłem zawodnika, który jechał przede mną. Nawet nie zauważyłem, kto to był. Widziałem tylko Borysowa.

Taki zjazd nie mógł się skończyć bezkarnie. Ale jakimś cudem mi się udało. I wiedziałem już, jak pojedę tędy przy następnym okrążeniu. Jakbym zyskał nagle jakiś nowy, inny zmysł wzroku.

Borysow obejrzał się i przyśpieszył. Nie lubi, kiedy go ktoś dogania. Ale już się ode mnie nie odsadził.

Podczas crossu przeważnie stoi się na podnóżkach motocykla, bo na całej trasie są ciągle jakieś wzniesienia, wyboje, rozpadliny. Siedzisz na poduszkach siodełka tylko na zakrętach, kiedy musisz stanowić jedność z motorem, żeby jak najlepiej wyczuwać każde jego drgnienie. Przy tym balansujesz nogą, którą masz od strony, w którą skręcasz, wysuwasz tę nogę do przodu, w bok albo do tyłu, to pomaga utrzymać równowagę. Czasem nawet podeprzesz się nogą, choć regulamin na to nie pozwala. I nieustannie przez cały wyścig musisz zmieniać pozycję, obciążać na przemian to przednie, to tylne koło.

Borysow przyjechał na zawody z własnym mechanikiem, inżynierem Zasiędą. Zasięda stał na trasie ze stoperem w ręku pod plakatem przyczepionym do drzewa przez jakichś miejscowych humorystów: „Wybieganie na trasę surowo wzbronione. Kto pozostanie przy życiu, zapłaci mandat”.

Mechanik pokazywał na palcach lewej ręki, w jakim czasie Borysow zrobił pierwsze okrążenie, a prawą ręką robił takie ruchy, jakby turlał koło — powszechnie rozumiały gest zachęty: gazu!

Już byłem pierwszy, ale właśnie zaczęło się wzniesienie i Borysow znowu wyszedł na prowadzenie. Lekki, szczupły majster, którego każdy ruch jest tak celowy jak każdy szczegół w silniku jego motocykla.

Miałem tylko jedną szansę. Przekroczyć granice dopuszczalnego ryzyka. Borysow znał te granice lepiej niż ktokolwiek inny. On nigdy by ich nie przekroczył. Pamiętał zbyt wielu zawodników, którzy skręcili kark.

A ja się odważyłem. Nawet nie moja świadomość. Mięśnie. Sam motocykl. Trasa jakby sama mnie pona-
głała, powietrze wydawało mi się czymś rozpalonym i kłującym.

Oderwaliśmy się o pół okrążenia od pozostałych zawodników. W połowie dystansu mieliśmy nad nimi przewagę całego okrążenia.

Wilia zszedł na bok i zaczął walczyć ze swoim motocyklem.

— Łańcuch! — krzyknął do mnie.

Wiedziałem, że tak będzie. Mykoła wyczytał gdzieś, że moskiewscy profesorowie Charkunow i Krigielny zrobili interesujące odkrycie. Zauważyli mianowicie, że jeżeli dodać do smaru sproszkowaną miedź lub brąz, drobniutkie cząsteczki — grupy atomów albo nawet poszczególne atomy — przy tarcu osiadają na częściach stalowych mechanizmu mocno do nich przyczepione tworząc w ten sposób niesłychanie cienką warstwę, która w dodatku przenosi się z jednej powierzchni na drugą.

Wilia przy swojej skłonności do eksperymentowania postanowił dodać do smaru sproszkowany brąz. Taki sam, jak ten, którego się używa do farby. Ale w artykule nie było mowy o tym, ile ma być tego brązu. Wilia napisał do tych profesorów do Moskwy, ale nie dostał odpowiedzi. Więc wrzucił do smaru po prostu przygarść brązu. Jestem przekonany, że właśnie dlatego spadł mu łańcuch.

Choć pod koniec dystansu obaj z Borysowem wyprzedziliśmy wszystkich o całe okrążenie, to przecież samego Borysowa wyprzedzić nie zdołałem i jego

pierwszego powitał machnięciem chorągiewki w białoczną szachownicę sędzia na mecie, tłusty staruszek o dwóch podbródkach.

Zgasilem silnik i natychmiast otoczyli mnie fotoreporterzy. Gratulowali mi i obfotografowywali moją zabryzganą błotem twarz. Borysow rozsunał ich, podszedł do mnie i przed wycelowanymi w nas obiektami uścisnął mi rękę.

— Zuch — powiedział. — Gratuluję ci zajęcia pierwszego miejsca.

— Daj spokój — powiedziałem.

— Startowałem poza konkursem — pochmurnie wyjaśnił Borysow. — Tuż przed startem sędziowie postanowili brać pod uwagę tylko wyniki osiągnięte na motorach produkcji krajowej.

Zdobyłem pierwszą nagrodę. Orkiestra grała tusz. Wręczono mi dokładną kopię pomnika Kirowa, który stoi w centrum Kirowgradu i wskazuje ręką na ziemię.

— Znowu zasypiasz — powiedziała Wira. — Połóż się na pół godzinki.

— Nie chcę.

— Połóż się, połóż. Zamknij oczy.

Zamknąłem oczy, ona zaś cichutko, głosem cokolwiek schrypniętym zaśpiewała mi kołysankę. Może sama ją ułożyła, a może słyszała taką w dzieciństwie.

*Wsi kiszky splat',
i sobaky splat',
I wedmedi splat',
Wsi na switi splat',
Tilky Roma ne spyt',
Na tachtı win lezyt'.*

Koty i psy może i spały, ale mnie się spać nie chciało, prześladowały mnie powolne, ciężkie myśli.

Wiktor, Wira, ja. Nie można z tego wybrnąć. Jest to tak samo nierozwiązywalne jak trisekcja kąta, jak kwadratura koła, i podwojenie sześcianu.

Ale tak dłużej trwać nie mogło. Trzeba było to powiedzieć. Było mi jej niewiarygodnie żal. Czuła, że coś wymyśliłem. Jeszcze nic nie powiedziałem, a ona już czuła. I natychmiast stawała się taka łagodna, tak serdeczna, że po prostu nie mogłem się odważyć na powiedzenie tego, co chciałem powiedzieć.

— Gdzieś zniknęła ta myśl, to uczucie, że życie jest piękne — powiedziała Wira. Otworzyłem oczy. — Choćby kino. Nie mam ochoty patrzeć na amantów i amantki i na to, jak im się okropnie dobrze powodzi. Nie mogę patrzeć na to, jakie nudne jest ich życie. Nie chodzi nawet o to, że jest w tym tyle nieprawdy, choć ludzie w rzeczywistości żyją znacznie lepiej, niż się to pokazuje w filmach i w niektórych powieściach. Po prostu nie rozumiem skąd się w tych utworach bierze tyle nudy, takie niezadowolenie z pracy, z ludzi, z rzek, z owoców, że nic, tylko się powiesić. Nawet Słońce jest dla nich tuzinkową gwiazdą niczym się nie wyróżniającej galaktyki, położonej w zapadłej i nie najciekawszej części wszechświata. Czemu wszystko tak im się nie podoba?

— Komu?

— Tym, co robią te filmy i piszą te powieści. A także bohaterom tych dzieł.

Usiadłem na tapczanie obok Wiry.

— Czemu masz taki głos, jak ten wilk po wizycie u kowala?

— Jaki? — zdumiała się Wira.

— Taki cieniutki. Jak w bajce o siedmiu kozłętach.

— Bo chcę cię zjeść.

— Kiedy ludzie wiedzą, jak wszystko powinno wyglądać — powiedziałem — kiedy, że tak powiem, mają

jakiś ideał, wtedy stają się niecierpliwi. Nie cieszy ich już nic, co nie odpowiada tym ich wyobrażeniom. Chcieliby już, natychmiast, otrzymać ten swój ideał w jego możliwie pełnym wariacie. Stąd też się biorą te nudne filmy.

— Oj, Romku — Wira spojrzała na mnie ze zdziwieniem. — Czasem powiesz naprawdę coś takiego... Zdaje mi się, że niekiedy sam nawet nie rozumiesz, jak słuszne jest to, co mówisz...

— Gdzie tam... Daj no lepiej palec.

Ująłem jej palec wskazujący i zmacałem nim grubą szramę na moim lewym barku, pamiątkę po karambolu na starcie crossu, kiedy z motorów i z zawodników powstała cała sterta.

— Co to?

— Moje oberwane przewody. Ale przy gwałtownych ruchach następuje kontakt. I wtedy one ze mnie wyskakują. Mam na myśli iskry.

— Oj, Romku — powiedziała Wira i rozpląkała się. — Gdybyś ty wiedział, jak mi jest z tobą... Jak ja muszę być z tobą. Ja wszystko rozumiem. Ale ja cię nie oddam. Nie mogę cię oddać.

— Za nic mnie nie oddawaj — poparłem ją. — W przedszkolu bym się zapłakał. Nie lubię mannej kaszki i nie lubię myć rąk przed jedzeniem.

— Oj, Romku — powtarzała Wira.

Fiedia mówił kiedyś, że łyż są w życiu człowieka czymś bardzo ważnym, że w łyżach jest zawarty jakiś składnik, który zabija bakterie i dezynfekuje oczy. Dlatego, jak twierdzi Fiedia, na zasadzie doboru naturalnego pozostawały przy życiu te dzieci, które najwięcej płakały.

Powiedziałem to wszystko Wirze, ale dodałem, żeby ona wywalczyła swoje w zakresie doboru naturalnego nie płacząc, ale śmiejąc się do łez.

— Wiem — odpowiedziała Wira. — Dlatego cię kocham.

No, tośmy sobie porozmawiali.

Wira wyszła do sąsiedniego pokoju, żeby sobie przy pudrować nos. Do drzwi ktoś krótko zadzwonił dwa razy, tak swoi dzwonią do naszego mieszkania.

— Wilia — powiedziałem. Wilia obiecał wpaść po nas. Wiktor był na delegacji. My zaś wybieraliśmy się do kina.

— Słuchajcie — zaproponował Wilia. — Mówią, że to straszne nudziarstwo. Podskoczmy lepiej do Kiryłówki.

— Po co?

— Obejrzymy sobie. Byłeś tam kiedy? — zwrócił się do mnie.

— Dotąd niby nie było to konieczne.

Kiryłówką nazywamy w Kijowie szpital psychiatryczny.

— Ja nie mam na myśli szpitala. Mówię o cerkwi. Można by się tam wybrać raz na dziewięćset lat.

— Czemu dziewięćset?

Wilia wyjął z kieszeni folder i przeczytał:

„Cerkiew pod wezwaniem świętego Cyryła zbudowała pomiędzy rokiem 1146 a 1171 księżna Maria Mściłówna, małżonka księcia Wsiewołoda Olgowicza”.

— Niemożliwe — powiedziałem. — Przesada. Tak jest napisane, że księżna sama zbudowała?

— Sam zobacz. Po rosyjsku i po angielsku. Sam się przekonaj. Podpisano: Maško. Z pewnością jakiś znawca zagadnienia.

— Ujęła w swoje białe dłonie kielnię, książę małżonek podawał jej cegły, a ona murowała?

— Możliwe.

— W takim razie rzeczywiście warto tam podskoczyć. Co ty na to? — zapytałem Wiry.

— Chętnie — zgodziła się.

Przed cerkwią świętego Cyryla spokojni fiksaci w szarych szlafrokach, spod których wyzierały kalessony, wieźli na wózek wielkie gary z jedzeniem. A w cerkwi pełno było turystów zagranicznych. Przewodnik pokazywał im kompozycje, które namalował Wrubel — „Zesłanie Ducha Świętego na apostołów” i „Wjazd do Jeruzalem”.

Wilia znowu zajrzał do swego foldera, usiłował też wyjaśnić turystom, że Wrubel namalował te rzeczy, kiedy był jeszcze studentem. Gdyby malował to w późniejszym okresie, z pewnością wyszłoby mu to o wiele ładniej. Jakiś jegomość, najwyraźniej zresztą nie cudzoziemiec, o małych wyłupiastych oczkach i uszach, które sterczały mu jak płetwy, cicho doradził Wili, żeby się zamknął. Powiedział to tak przekonująco, że Wilia rzeczywiście zamilkł.

Och, jak ludzie uwielbiają wszystko, co stare!

Ciekawe, czy za dziewięćset lat będą wozili turystów do besarabskiej hali targowej? I czy koneserzy będą cmokać z zachwytu przed paneau „Studenci pomagają przy żniwach w kołchozie imienia Międzynarodowego Dnia Kobiet”?

— Ludzie pracy powitali to entuzjastycznie — wsiadając na swój motor powiedział Wilia.

I oto już tydzień, odkąd jeżdżę do pracy trolejbusem. Nie rozumiem, jak ludzie mogą korzystać z tego przedpotopowego dziwoląga. Muszę teraz wychodzić z domu o pół godziny wcześniej niż normalnie. Szturchanina. Mężczyźni z dziećmi na barana. Przed pójściem do pracy trzeba odwiedzić dzieciaki do żłobka. Jakieś kosze pełne jarzyn. Młode kobiety ubrane jak staruszki wiozą je na bazar. Te kosze chwytem buldoga łapią za spodnie. I zawsze czymś tam podjeżdża. Odtajała rybą mro-

żoną. Albo walerianą. Albo perfumami, od których wszyscy zaczynają kichać.

I kłótnie. O miejsce. Albo o to, że ktoś nie daje przejść. Albo wsiąść. Albo wysiąść.

Fatalnie to wyszło. Ale i tak miałem szczęście. Mogło być gorzej. Kiedy wstałem z jezdni i spojrzałem na motocykl, po prostu zebrało mi się na płacz. Ja nawet nie byłem drażniony. Ale motocykl — kupa złomu. Dwieście rubli.

To pod warunkiem, że sam wszystko zrobię. Bo inaczej nie wiem, czy trzysta by wystarczyło.

Tyle, że nie mam dwustu rubli. I to jest właśnie najsmutniejsze. Ja już nie mogę bez motocykla. My, motocykliści, wyczuwamy się jakimś szóstym zmysłem. Mogą sobie mówić, że jesteśmy wariaci, ale my się z daleka rozpoznajemy nawzajem i nigdy nie uznamy za swego samochodziarza albo właściciela skutera.

Skąd się wziął na jezdni ten kot? Jakby wyrósł spod asfaltu. Szarpnąłem kierownicą i wyleciałem przez rów na pobocze. I od razu zjawili się przy mnie motocykliści. Żaden nie pojechał dalej. I, niech to diabli, żaden też nie powiedział, że trzeba było przejechać kota, za którego przecież nawet nie płaci się mandatu. Fajne chłopaki.

Motocykl nie lubi pechowców. Nie znosi też, żeby się z nim spoufalać. Tak jak moja mama.

Bardzo prosty rachunek. Sto kilometrów na godzinę daje dwadzieścia osiem metrów na sekundę. Sześćdziesiąt daje siedemnaście metrów na sekundę. Dwadzieścia pięć — siedem metrów.

Wyskoczy na szosę pies. Zza przydrożnych drzew. Goni za kotem. Między momentem, w którym to zauważysz, a momentem, kiedy naciśniesz hamulec, musi, jeżeli masz normalną reakcję, minąć te pół sekundy. Przy setce przejedziesz przez ten czas około czternastu me-

trów. Jeżeli asfalt jest suchy i masz hamulce w porządku, i oczywiście suche opony, muszą minąć jeszcze cztery sekundy do chwili, kiedy motocykl stanie. A zatem do momentu całkowitego zatrzymania się przy takiej szybkości przejedziesz jeszcze siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt metrów. A na mokrym asfalcie ten odcinek może się wydłużyć nawet i do dwustu metrów. A na każdym z tych metrów grozi wypadek.

Teraz co rano biegnę na przystanek trolejbusu. Na ukos przez skwerek, tą wydeptaną ścieżką. Wiem już, kto rozciąga te barykady z ławek. Ja, i tacy sami jak ja. Jeden trochę przesunie jedną ławkę, inny inną i znowu jest przejście.

Może tym, którzy mają pod opieką ten skwerek, opłacałoby się zamiast tej ścieżki zrobić tam wyasfaltowaną alejkę. Pał diabli symetrię. Zresztą symetria powinna służyć ludziom, nie ludzkiej symetrii. Tym bardziej że, jak twierdzi Wilia, symetria rozpatrywana z filozoficznego punktu widzenia występuje w przyrodzie jedynie jako szczególny wypadek asymetrii.

Choć nad tym trzeba by się jeszcze zastanowić. Gdyby tak patrzeć na rzeczy, to musielibyśmy dojść do wniosku, że ład w przyrodzie, a zatem i w życiu, jest jedynie szczególnym przypadkiem bezładu. Ciekawe, jakby to się dało pogodzić z marksizmem?

Zapewne człowiek powinien sam wprowadzać ład w przyrodę i w życie. Ale można to robić tylko pod warunkiem, że się potrafi odróżnić ład od bezładu. Musisz dobrze wiedzieć, co jest słuszne, a co — nie. A ja nie wiem.

W niedzielę pojechałem z Wirą do ogrodu botanicznego. Trolejbusem. Okazało się, że ona nie ma przy sobie drobnych, a ja miałem tylko rubla. Kierowca oświadczył, że nie ma drobnych, żeby mi tego rubla rozmienić, że drobne trzeba mieć zawczasu przygoto-

wane. I jakiś dziadunio w białej czesuczowej marynarce zaczął nudnym i nieprzyjemnym głosem monologować, że do czego to doszło, wsiadają tacy do trolejbusu, a o pieniądzach na bilet nie pomyśla, jakby tak każdy odrywał kierowcę od pracy, to trolejbus więcej by stał, niż jechał, że każdy powinien wsiadać do trolejbusu mając odliczone drobne na przejazd, zwłaszcza teraz, kiedy trolejbusy chodzą bez konduktora.

Pewnie, że miał rację. Po prostu odzwyczaiłem się od trolejbusu.

W ogrodzie botanicznym był upał. Wiosną pachną tam odurzająco bzy. Jest tu sto odmian bzu.

Na ławce pod krzakiem róż siedział jasnowłosy zezowaty chłopak o muskulaturze ciężarowca, która zupełnie nie współgrała z jego chuderławą buzią. Obok niego siedziała żona, w tak fatalnym staniku, że miała tylko jedną, centralnie ulokowaną pierś. Twarz jej była świeża i czysta, ale na szyi i na ramionach miała pełno piegów.

Chłopak trzymał na rękach chłopczyka, może dwu-, może trzylatka. Jasne włosy dziecka sklejone były od potu. Ojciec od czasu do czasu delikatnie przywierał wargami i nosem do tych włosków. Wydało mi się to dziwne. Jakiś zupełny głuptak. Dzieciak też był zezowaty. Podobny do tatusia.

Piliśmy kwaśne i ciepłe wino gronowe. Teraz, kiedy nie jestem kierowcą, tylko pasażerem, mogę sobie na to pozwolić. Do wina wzięliśmy smażoną flądre, o której ludzie uczeni powiadają, że jest nieśmiertelna. Diabli wiedzą, o co tu chodzi... I nawet kupowaliśmy kwiaty. A wszystko to za pieniądze Wiry. I trzeba było pecha, że kiedy znów wsiedliśmy do trolejbusu, znowu się okazało, że oboje nie mamy ani kopiejki drobnymi.

Znów zwróciłem się do kierowcy. Kierowca powiedział, że o drobnych na bilet trzeba myśleć zawczasu.

A wtedy taki sam dziadunio, słowo daję, że taki sam, nawet w takiej samiutkiej chesuczowej marynarce nudnym głosem zaczął monologować, że do czego to doszło, że kierowca obowiązany jest zawsze mieć drobne, żeby móc rozmienić pasażerom, którzy tego potrzebują, że powinien o to zadbać zarząd trolejbusów i tramwajów. I znowu mi się wydało, że on ma rację. Ale nie mogli przecież mieć racji obaj, skoro każdy mówił zupełnie co innego.

Po prostu bardzo wielu rzeczy nie rozumiem. Teraz na przykład potrzebne mi są pieniądze, żeby wyremontować motocykl. Jasna sprawa. Ale ani w ząb nie rozumiem, co to są pieniądze i w jakim stosunku pozostają do wartości jakiegoś przedmiotu.

Czytałem gdzieś, że słynny niewielki obraz Leonarda da Vinci znany jako „Gioconda” albo inaczej „Mona Liza” wart jest sto milionów dolarów. Możliwe, że tyle samo by kosztowała fabryka motocykli. Wynaleziono teraz jakiś nowy sposób reprodukcji obrazów. Reprodukcje są tak dokładne, że nawet eksperci nie potrafią odróżnić, co jest kopią, a co oryginałem. Aby to zrobić, trzeba wykonać specjalne badania, na oko tego nie odróżnisz — odtworzone jest każde pęknięcie farby, każda zmarszczka na płótnie. Choćby zmartwychwstał sam Leonardo, to też by nie umiał powiedzieć, co on namalował, a co jest kopią. A więc wartość estetyczna tych kopii jest taka sama jak oryginału. A przecież oryginał to obraz i nie może mieć innej wartości poza estetyczną. Tymczasem te kopie sprzedaje się po kilkadziesiąt dolarów, a nie po sto milionów, jak wyceniono oryginał. Jak to można wytłumaczyć?

Możliwe, że istnieją na ziemi ludzie, którzy byliby w stanie zamienić fabrykę motocykli na jeden portret Mony Lizy, choć nie rozumiem, co tak pięknego jest w tym portrecie. No, przypuśćmy, że jest to moje upo-

śledzenie. Ale zarówno ja, jak i mnóstwo moich znajomych, choćby pierwszy lepszy chłopak z naszego klubu, nie oddałby za żaden obraz żadnego motocykla, nawet jednego. Ludzie, którzy tak wysoko oceniają oryginał obrazu Leonarda da Vinci i w ogóle nie cenią sobie tak przecież dokładnych kopii (ale cóż tam mówić o Leonardo da Vinci, skoro zwykły znaczek pocztowy — a przecież znaczek pocztowy, choćby nie wiem jak rzadki, w ogóle do niczego przydać się nie może, a i jego wartość estetyczna zbliżona jest do zera), a więc ci ludzie odbierają świat i jego wartości zupełnie inaczej niż ja i ci, których ja znam.

W ogóle moim zdaniem to potworne świństwo, żeby stary, stemplowany i na nic już nieprzydatny znaczek pocztowy miał mieć taką wartość, jak najlepszy automat tokarski, nad którym harowała cała nasza fabryka. Jest to, moim zdaniem, jakiś obłąd.

Nasz talmudysta i celowniczy Wilia, któremu wyłożyłem wczoraj całą tę moją teorię wartości, z początku powiedział, że nie może mi odpalić więcej niż trzy dychy, ale że motor wyremontujemy sami, albowiem jeszcze ksiązę Potiomkin Taurydzki słusznie powiedział: „Człowiek jest wszystkim, pieniądze są niczym”. Potem stwierdził, że nie rozumiem, jaka jest różnica między ceną a wartością, a są to jego zdaniem pojęcia nie tylko różne, ale niekiedy nawet przeciwstawne.

— Zgodzę się, że różne — zaprotestowałem — ale czemu przeciwstawne? To, co jest uważane za wartościowe, ma także odpowiednią cenę. Im wyższy gatunek kiełbasy, tym więcej za nią biorą.

— Kupisz za pieniądze przyjaźń? Albo miłość? — przyglądał bródkę Wilia.

— Ja nie. Ale w ogóle to tylko tak się mówi, że nie można ich kupić za pieniądze. Kupowano przyjaźń. Nie

tylko pojedynczych ludzi, ale przyjaźń całych państw. Miłość także kupowali. I kupują.

Wilia ma łeb jak mózg elektronowy. Wszystko, co do tego łba trafi, zostaje tam przepracowane, zaopatrzone w stosowne cytaty i podane na wyjście w całkowicie odmienionym kształcie. Sprawdziliśmy kiedyś z chłopcami, jak to jest z tymi cytatami. Nawet ja sądziłem kiedyś, że połowę wymyśla sam. Ale okazało się że nie.

— My wszyscy — powiedział Wilia — i ty także, jesteśmy żywiolowymi marksistami, ponieważ nieustannie żyjemy w żywiolu marksizmu. Ale nie zaszkodziłoby rozumieć się nieco lepiej na teorii.

Wystrzelił we mnie salwą cytat, w których odmieniało się przez wszystkie przypadki słowo „aksjologia” — teoria wartości.

— Wartości — mówił Wilia — są to rzeczy albo zjawiska potrzebne ludziom albo przydatne im, albo miłe dla nich. Jest to zatem coś, co zaspokaja materialne lub duchowe potrzeby człowieka. Cena jakiegoś towaru to jakby skoncentrowana praca ludzka. Jak mówi Marks: praca uprzedmiotowiona w towarze. Cena bynajmniej nie jest wskaźnikiem przydatności jakiejś rzeczy.

Z tym zgadzałem się najzupełniej. Choćby papierosy. Płacimy przecież za nie, a one wręcz nam szkodzą.

— Pieniądze zaś — ciągnął Wilia — niewątpliwie stanowią wartość. Ale nie masz racji, że można kupić za nie prawdziwą przyjaźń czy miłość. Podobnie, jak nie można za pieniądze przedłużyć sobie życia czy kupić talentu...

Skończyło się na tym, że pożyczyłem od niego trzydzieści rubli do zaliczki — od pierwszych dni pracy w fabryce zrozumiałem, że nic takiego jak wypłata właściwie nie istnieje, są tylko zaliczki i wyrównania — i poszedłem tak wzbogacony.

Byliśmy umówieni z Wirą w parku nad Dnieprem. Koło fontanny. Naprzeciwko gmachu Rady Ministrów. Pewnie, że miłości kupić nie można. Ale tak chciałem coś Wirze podarować.

Wszedłem do sklepu. Najprościej byłoby kupić perfumy. Ale nie wiedziałem, jakie przypadłyby jej do gustu. Wybrałem już parasolkę słoneczną — coś, moim zdaniem, najzupełniej nieprzydatnego — ale zobaczyłem, że wiele kobiet kupuje chustki w jaskrawych kolorach. Takie chustki, które można zawiazać na głowie, a można też zarzucić na plecy. Bardzo ładne chustki. Po dziesięć dziewięćdziesiąt. Kupiłem.

Przez cały Kreszczatik przejechałem trolejbusem. Niech to diabli, że też dotąd nie zwróciłem na to uwagi — wszystkie kobiety miały takie chustki. Przyglądałem się im bardzo uważnie. Tak, moja ani się do nich umywała. Były najrozmaitsze, ażurowe, malowane, drukowane w znaczki pocztowe. Wszędzie dokoła widziałem tylko chustki.

— Głuptasie — powiedziała Wira. — Nie kupuj mi prezentów. Naprawdę.

Chustka jej się podobała.

— Masz dobry gust — powiedziała.

Przyjrzałem się jej podejrzliwie. Ale ona nie kpiła. Podeszliśmy nad brzeg skarpy. Przed nami był Dniepr.

W tych dniach byłem widocznie skazany na rozwiązywanie wszystkich spornych kwestii filozoficznych.

— Nie pamiętasz — powiedziała Wira — kto powiedział, że wolność jest rozpoznaniem konieczności?

— Chyba Marks.

— Ja też dokładnie nie pamiętam, choć zdawałam z tego, kiedy szłam na aspiranturę. To często tak jest, że słyszysz jakieś sformułowanie, ale nie zastanawiasz się, co ono znaczy. A potem widzisz, że to prawda. Zda-

je ci się, że możesz robić, co tylko zapragniesz. Żyć, jak ci się podoba, ale w gruncie rzeczy robisz tylko to, co jest koniecznością.

— Może z filozoficznego punktu widzenia to tak i jest — zaprotestowałem. — Ale jeśli ująć rzecz zwyczajnie... Wolność jest wtedy, kiedy nie ma przymusu. Kiedy ty lub, ujmując rzecz szerzej, cały twój naród ma możliwość wyboru. Chociażby możliwość wyboru czy powiedzieć „tak” czy „nie”.

Wira nagle pociągnęła nosem i powiedziała:

— Kochanie, gdybyś wiedział, jak mi jest z tobą dobrze, jak wesoło... Nawet kiedy zwyczajnie chodzimy po parku.

— Wira, co ty wyprawiasz... — zmieszałem się i mocniej przycisnąłem jej rękę.

— Nie wiesz, kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłam. To znaczy, widywałam cię i przedtem, ale takiego, jakiego cię znam... Czekałeś na kogoś na ulicy przed naszym domem. Koło tego starego paklonu.

— Koło czego?

— Tak się nazywa to drzewo. Jest to klon, ale ta ich odmiana nazywa się paklon.

A więc drzewo, na którym wtedy, o świcie, ćwierkały i huśtały się tysiące wróbli, nie było klonem. Dziwne. Choć ma ono rzeczywiście jakieś inne liście.

— I nagle — ciągnęła Wira — stanąłeś w takiej pozycji, jakbyś się wspierał łokciem o płótek czy jakąś balustradę. Pamiętasz?

— Skąd — odparłem, choć, prawdę mówiąc, pamiętałem, kiedy to było. Niezbyt to było mądre.

— Stałeś tak, jak stają czasem kłowni w cyrku albo na estradzie. Ale tam to nigdy nie robi takiego wrażenia. Tu zaś, na ulicy, przechodnie zatrzymywali się i rozdziawiali usta. Popatrzyła na ciebie jakaś babcia, własnym oczom nie uwierzyła — o co też ty się opie-

rasz, włożyła okulary, przyjrzała się uważniej i poszła dalej okropnie wstrząśnięta. Chłopaczki naokoło ciebie pękały ze śmiechu, a ty stałeś i udawałeś, że nic cię to wszystko nie obchodzi, potem udałeś, że bierzesz coś z tej nie istniejącej balustrady i raptem okazało się, że nie wiadomo skąd znalazł się w twoich palcach zapalony papieros.

— No, to bardzo łatwa sztuczka — powiedziałem.

Długo jeszcze spacerowaliśmy po parku i rozmawialiśmy, choć wiedzieliśmy oboje, że Wira już dawno powinna wrócić do domu. Była u synka. To znaczy u swoich rodziców. Kiedy moja mama dowiedziała się o tym, że dziecko jest u dziadków, powiedziała zjadliwie: „Diakuję wam, mamu, za waszą naukę: kołysali wi męne, kołyszit’ i onuku”.

Widziałem go. Ma na imię Andrzejek. Ma cztery latka. Bardzo poważny, wysoki chłopczyk. Wydało mi się, że jest w jakiś sposób podobny do generała. Oczywiście do generała w krótkich spodenkach.

Rodzice Wiry mają telefon. Wiktor mógł tam zadzwonić albo wstąpić. Nie mówiliśmy o tym, ale oboje o tym pamiętaliśmy.

Wsadziłem Wirę do trolejbusu, a sam poszedłem piechotą, żeby przyjść później. Nigdy nie wracamy razem.

Czytałem artykuł o telepatii. Nie pamiętam już, w czym to było. W jakimś miesięczniku, a może w gazecie. Zapewniano w nim czytelników, że telepatia nie istnieje. Przytaczano fakty. Dopóki czytasz, jest dla ciebie zupełnie jasne, że telepatia nie istnieje i istnieć nie może. Ale z czasem zapominasz, co tam było napisane. Natomiast przypominasz sobie Wolfa Messinga.

Byłem na jego występie, kiedy chodziłem jeszcze do ósmej klasy. Tato mnie zabrał. To było w klubie fabrycznym. Mogą sobie pisać, ile chcą, że Messing po

prostu rozwinął tak w sobie spostrzegawczość, ale to graniczy z cudem. Niech sobie ci, co piszą, sami tak rozwiną własną spostrzegawczość, a dopiero wtedy niech się wypowiadają.

Ale nie chodzi o Messinga. Chodzi o moją mamę. Przecież nie wiedziała i nie mogła wiedzieć, skąd wracam i o czym rozmawiałem.

— Idź zjeść kolację — powiedziała mama gniewnie. A kiedy poszedłem do kuchni i zabrałem się za spory kawał mięsa z barszczu, mama powiedziała tonem pogroźki: — Tak, tak, Romciu. Wira proponowała ci pieniądze na remont motocykla. Żebyś się nie ważył wziąć. Trzeba być nie wiem kim, żeby brać pieniądze od kobiety. W dodatku od starszej od ciebie.

Choć byłem już otrzaskany z maminyymi sztuczkami, tym razem o mało co się nie udławiłem. Wira rzeczywiście proponowała mi pieniądze na remont motocykla.

— Ja ci je dam. Wprawdzie u nas teraz z forszą nie najlepiej... Mogłeś od razu powiedzieć, ile ci trzeba. A nie zadzierać nosa...

Uśmiechnęła się:

— Dobra. Woźnica ma dobrze w głowie, dopiero kiedy wóz w rowie.

Popatrzyłem na mamę z ukosa. Mama strasznie dużo zauważa u innych. No, po prostu medium telepatyczne. Ale czy mama zauważyła, że ona sama nie mniej niż ja denerwuje się: a nuż nagle Wiktor dowie się o nas?

— Oj, Romciu, Romciu — powiedziała mama. — W tamtą stronę łatwo pójdzie, a z powrotem jak po grudzie. Jakiś ty niezdecydowany... Powinni cię byli wziąć do wojska... A dlaczego nie wstępujesz do partii?

Nic nie odpowiedziałem. Mama miewa taki slalomowy tok myśli.

— Sama mama powiedziała, że mi brak zdecydowania. Więc może to za wcześnie.

— Chcę, żebyś wstąpił do partii.

Długo się obijałem, zanim włączyłem obrabiarkę, przejrzałem nowy numer naszej zakładowej gazety „Fabryka fabryk”. Czarno na białym napisali tam w rubryce „Czas to pieniądz”:

„W ciągu ostatniej minuty urodziło się na Ziemi stu czteremset nowych ludzi. Sześciu spośród nich są to bliźnięta. Sześćdziesiąt osiem osób zawarło związek małżeński. Wydobyto trzy tysiące ton węgla, wytopiono siedemset ton stali i żelaza. Wyprodukowano cztery tysiące sześćset par butów. Zmontowano sześćdziesiąt osiem nowych samochodów. Wypalono także dwieście osiemdziesiąt tysięcy papierosów. Kupiono sto dziesięć tysięcy egzemplarzy gazet. Spożyto cztery tysiące ton artykułów spożywczych.

Czego ty zdążyłeś dokonać w ciągu tej minuty?”

Dziwaczne pytanie. W ciągu tej minuty ja, podobnie jak wszyscy, do których skierowano to pytanie, zdążyliśmy zaledwie przeczytać tę notatkę.

Tego dnia w ogóle nie udało mi się być jednym z tych ludzi, co tak wiele zdziałali, wyprodukowali lub spożyli. Zmarnowałem chyba z godzinę na dostosowywanie obrabiarki do obróbki nowego detalu. W godzinach pracy zbierałem składki na związek zawodowy. Mamy i takich działaczy, z których chyba tylko tysiąctonowa prasa mogłaby wygnieść te parę groszy na składki.

Myślałem poza tym o wczorajszej mojej rozmowie z Wilią, a filozofia nie jest czymś, co by sprzyjało wydajnej pracy.

— Słuchaj — zapytałem Wilię — czy to Marks powiedział, że wolność jest rozpoznaniem konieczności?

Wilia tak się ucieszył, jakby przez całe życie oczekiwał ode mnie właśnie tego pytania.

— To zasadniczy błąd. Popełnia go zresztą wielu. Muszę co prawda przyznać, że zazwyczaj uważa się, iż jest to zdanie wypowiedziane przez Engelsa w „Anty-Dühringu”. Nie jest to jednak słuszne, naprawdę pierwszy powiedział tak Baruch Spinoza, a rozwinął tę myśl Hegel. Engels po prostu zgadzał się w tym temacie z Heglem, choć co prawda wniósł tu pewne, by tak rzec, poprawki.

Engels powiada, że rozpoznanie konieczności to jeszcze nie wolność sama, ale zaledwie niezbędny warunek, który musi być spełniony, gdy mowa o wolności. Wolnością natomiast nazywa Engels w „Anty-Dühringu” zdolność do podejmowania decyzji i do panowania nad samym sobą oraz nad przyrodą, nad tym, co nas otacza.

Posłuchałem ja tego, co mówił Wilia, i raz jeszcze przekonałem się, że dopóki sam nie zabiorę się do tego „Anty-Dühringa”, nic nie zrozumieję.

A po obiedzie przyszedł na halę Saszko Lisowski. Przyprowadził jakichś inżynierów ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Nie widziałem go od dnia, kiedyśmy zdawali egzamin dojrzałości. Saszko nawet w szkole nie był szczególnie szczupły, teraz jednak rozdeło go jak banię. Był to jedyny chłopak w naszej klasie, który brał do szkoły termos pełen kakao i tym kakao popijał na przerwach przyniesione z domu kanapki. Prymus. Ale chłopak — taki sobie, nic specjalnego. Miał teraz na sobie nowiutką, jakby prosto ze sklepu białą koszulę, która zdawała się jaśnieć, nowiutki, jakby prosto od krawca garnitur, oślepiający krawat.

Nie mogłem się z nim równać w moich trampkach, w mych bawełnianych spodniach poplamionych smarem, który nie daje się sprać, w mojej starej koszuli jak psu z gardła. Kiedyśmy się przywitali, podałem mu z uszanowaniem nadgarstek prawej ręki. Saszko uściśnął ten nadgarstek jakby nigdy nic, jakby się naprawdę nie obawiał, że może się przy tym zabrudzić.

Pozbył się swoich Amerykanów ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej przekazując ich na chwilę naszemu kierownikowi oddziału, Łukjanience, który najnormalniej w świecie zasuwa swobodnie po angielsku, a pozbywszy się ich powiedział mi, że studiuje na wydziale służby zagranicznej, że w związku z tym zostanie dyplomatą, ale może zresztą wybierze kierunek naukowy — to znaczy, pójdzie na aspiranturę.

— Nie równać mi się z tobą... — powiedziałem. — Masz może przypadkiem piątkę?

Saszko długo grzebał po kieszeniach.

— Nie — powiedział niezdecydowanie. — Ale może potrzeba ci więcej? Jeśli tak, to...

— Dziwne — przerwałem mu. — Pod każdym innym względem wypisz, wymaluj, świnia. Ale piątki jak coś nie masz...

Saszko nie z tych, co by się czymś takim przejęli. Powiedział tylko, zadowolony z siebie:

— Jak byłeś tak i zostałeś błaznem.

Kłamią, kiedy mówią o „beztroskich i łatwych latach szkoły”. One wcale nie są łatwe. Teraz jest mi łatwiej. W szkole za dużo trzeba było myśleć. W zbyt wielu rzeczach się orientować. W sobie. I w innych.

Nigdy nie byłem prymusem. Nie byłem też ostatni. Ale kiedy koledzy z klasy z pobłażliwym uśmiechem mówili o mnie „błazen”, nie zdawali sobie sprawy z tego, że to właśnie ja broniłem ich przed rozmaitymi krzywdami, zdolnymi zwichnąć każdy charakter.

Ale Saszko ma to w nosie. On jest jak dżdżownica, zawsze można go było pokroić na kawałki, a każdy kawałek najspokojniej odpełzyłby w swoją stronę.

Błazen. Przezywali mnie tak w szkole. A czy Tiorkin to też błazen? Wasia Tiorkin z poematu Aleksandra Twardowskiego, Wasia Tiorkin, który pomagał ludziom przetrwać najtrudniejsze chwile? On też był błaznem?

Po pracy wstąpiłem do fryzjera. To zupełnie malutki zakład fryzjerski przy naszym klubie. Pracuje w nim tylko jeden fryzjer. Michajło ma twarz, która zarasta szczecina już w godzinę po ogoleniu, smutne, rozumne oczy, ma też umiejętność opowiadania anegdot w taki sposób, że przestają być śmieszne. To znaczy, może one i są śmieszne, tylko że Michajło je tak jakoś opowiada...

— Podstrzyc? — zapytał Michajło i zwracając się do dwu uczniów oczekujących, aż Michajło pozbawi owłosienia jakiegoś umorusanego młodzieńca w wieku przedszkolnym, oświadczył: — Ten obywatel jest założycielem naszego zakładu i dlatego ma prawo strzyc się, golić oraz perfumować poza kolejką.

— Nie... Ja tylko na chwilę...

Michajło zobowiązał się strzyc mnie bezpłatnie. Mnie, oraz Wilię i Mykołę aż do samej naszej śmierci. „Albo mojej” — nie zapomniał się zastrzec, kiedy podejmował to zobowiązanie.

Michajło to też motocyklista, ale nie zawodnik, po prostu amator. Ma zwykły motocykl, „Jawę 250”. Kiedyś wpadł do nas, chciał wymienić smarownicę, i od tego czasu jesteśmy przyjaciółmi.

Należy do tej kategorii ludzi, którzy, jeśli się im zleci przyszyć guzika, przyszyją go tak, jakby za jego pomocą półkula północna miała być przypięta do

południowej. On wszystko traktuje poważnie. Jego zdaniem najwięcej fryzjerów na głowę ludności przypadało na Siczy Zaporoskiej. Kozacy zaporoscy zawsze golili sobie głowy pozostawiając tylko osełdec, „chochoł”. Stąd też poszło to przezwisko, „chochoły”. Ktoś więc musiał regularnie golić te głowy, dbać odpowiednio o te czuby.

Najpierw ja i Wilia przymocowaliśmy do elektrycznej maszyny fryzjerskiej węża od przenośnego odkurzacza i namalowaliśmy plakat: „Firma gwarantuje, że włos klientowi nie spadnie z głowy (na marynarkę)”.

Potem Mykoła zaproponował, żeby wprowadzić w zakładzie NOP — naukową organizację pracy.

Najwięcej kłopotów miał Michajło z goleniem. Nie nadażał z ogoleniem wszystkich chętnych. Do dwóch elektrycznych maszynek do golenia „Charków” zamiast ich słabiutkich silniczków elektrycznych wmontowaliśmy hydroturbinki, podłączyliśmy je węzem do kranu i golarki zaczęły pracować jak oszalałe. Teraz każdy, kto chce się ogolić u Michajła, może to zrobić samoobsługowo, popsikać się wodą kolońską, powiedzieć „dziękuję”, wrzucić do przezroczystej plastikowej skarbonki dziesięć kopiejek i wyjść.

Przeprowadziliśmy pod fotel węża od najsilniejszego odkurzacza „Ural”, sporządziliśmy nieskomplikowane urządzenie sterujące. Teraz naciska się guzik i włosy z podłogi zostają sprzątnięte automatycznie. Wreszcie zamiast tradycyjnych fryzjerskich prześcieradeł Michajło na nasz wniosek wprowadził efektowne niebieskie fartuchy z folii polietylenowej. Dezynfekowanie takiego fartucha wymaga zaledwie paru minut.

Wilia wystąpił jeszcze z ideą robienia trwałej za pomocą prądu o wysokiej częstotliwości, ale Michajło tego nie zaakceptował — kobiet on nie czesze, a chłopaków, którzy robią sobie trwałą, ma w pogardzie.

— Słyszeliście ten dowcip? — zapytał Michajło. — Kobieta prowadzi własny samochód i nagle spostrzega dwóch elektryków, którzy włożą na przydrożne słupy. „Popatrz na tych durniów — mówi do męża — myślą, że pierwszy raz siedzę za kierownicą!”

Roześmiałem się uprzejmie. Michajło to docenił.

— Ile? — zapytał.

— Nie — powiedziałem. — Nie chodzi o pieniądze. Części do motoru. Mam tu całą listę.

— Kiedy ci to potrzebne?

— Jak najszybciej.

Michajło przejrzał mój spis.

— Dobra. Skombinujemy.

Niebawem mój końś ożyje. Michajło jest niezawodny.

— Wszystko to wariaci — stwierdził Wilia.

— Kto?

— Ludzie.

— Dlaczego?

Wilia ze zdziwieniem, targając swoją bródkę, opowiedział, że wczoraj wieczorem podjechał na postój taksówek na placu Kalinina. Kolejka była jak przed kinem na nowy film od szesnastu lat. Drzwiczki z tyłu otworzył już marynarz, który był z dziewczyną, kiedy nagle podbiegł bez kolejki jakiś jegomość koło czterdziestki, szpakowaty, krępy, zdyszany. Powiedział do oburzonej kolejki: „Gonię przestępcę!” i klapnął na przednie siedzenie.

— Za tamtą taksówką! — polecił, z trudem łapiąc oddech.

— Poważna sprawa? — zapytał Wilia.

— Bardzo poważna.

— Może być strzelanina?

— Dlaczego strzelanina? — zdumiał się pasażer, ale potem powiedział: — Może być.

Wilia nie zatrzymał się na czerwonym świetle. Ledwie umknął spod kół trolejbusu. Taksówka, za którą jechali, zatrzymała się przed dworcem. Wilia także. Pasażer wyskoczył.

— Idę z wami — oświadczył Wilia i złapał korbę.

Z taksówki, za którą jechali, wysiadła kobieta. Także już nie pierwszej młodości, tleniona blondynka.

— Beluniu, nie porzucaj mnie! — dopadł do niej pasażer i runął przed nią na kolana. Na placu przed dworcem. Między samochodami. A Wilia stał obok, chowając za plecami korbę.

Wreszcie powiózł ich oboje z powrotem. Jechali w milczeniu, przytuleni do siebie na tylnym siedzeniu. Oboje mieli uszczęśliwione miny.

— Para wariatów — zakończył swoją opowieść Wilia.

To było wczoraj, a dziś Wilia sam się zachował, jakby był trochę stuknięty. Tylko inaczej się to u niego objawiło. Mnie także do tego wciągnął. Namówił mnie, żebym z nim poszedł na obronę rozprawy kandydackiej. Niejaki W.S. Gromyko — może nawet krewny ministra spraw zagranicznych — miał obronić prawo do tytułu kandydata nauk filozoficznych. Wilia zamierzał tam zabrać głos. Chciał zepsuć temu Gromyce apetyt przed jedzeniem.

— Jakże to tak, każdy kto przyjdzie z ulicy, może tam mówić, co mu się żywnie podoba? — zapytałem. Zupełnie sobie bowiem nie wyobrażałem, jak wygląda taka obrona rozprawy.

— W zasadzie każdy.

— Nawet ja, gdybym miał ochotę?

— Możesz i ty.

— Nie robisz ze mnie balona?

— Nie.

W ogóle ciekawa to rzecz, taka obrona pracy. Każdy powinien to zobaczyć choćby raz w życiu. Przypomina to sąd koleżeński, ale taką rozprawę, na której wszyscy zawczasu wiedzą, że podsądny zostanie uniewinniony. Żeby formalności stało się jednak zadość, odczytuje się na głos charakterystyki i opinie autorytatywnych osób. Podsądny denerwuje się, bez przerwy oblizuje wargi i co chwila nerwowo sięga po coś do prawej kieszeni marynarki, ale nic z niej nie wyjmuje. Może ten cały W. S. Gromyko jako uczeń chował do kieszeni ściągaczki?

— Nie trzeba — powiedziałem do Wili. — Widzisz, co się z człowiekiem dzieje.

Ale kto by tam powstrzymał Wilię od czego.

— Jest to sprawa zasadnicza — odgryził się Wilia. — I nie spychaj mnie na drogę fałszywej skromności i przesadnej powściągliwości.

I Wilia rzeczywiście popsuł apetyt temu przyszłemu luminarzowi myśli filozoficznej. Co prawda chyba wcale nie tak często się zdarza, żeby ktoś postronny zabierał głos na takiej obronie pracy. Zbyt duże powstało na sali poruszenie, kiedy Wilia stanął przed stołem prezydyjnym, zbyt wielkie zdziwienie malowało się na wielu twarzach. Ja się poczułem, jak powiada mama, „jak pies na chrzcinach”, ale Wilia wcale nie był speszony.

— Mam kilka drobnych uwag — powiedział. — Ale, moim zdaniem, dotyczą one istoty całej rozprawy. Przede wszystkim na stronicy dwudziestej siódmej swej interesującej pracy autor przytacza znane słowa Einsteina: „Człowiek pragnie stworzyć sobie w możliwie najłatwiejszy sposób uproszczony i zrozumiały obraz świata”...

Wilia nie miał przy sobie żadnego papierka. Jak za-

wsze zarówno cytata, jak stronicę przytoczył z pamięci i jak zawsze oszołomiło to obecnych.

— Ale szanowny dysertant — mówił dalej Wilia — fałszywie i w uproszczony sposób rozumie słowa: „w możliwie najłatwiejszy sposób”. Obraz świata jest to model stale ulepszany w miarę, jak powiększa się wiedza i doświadczenie danego człowieka. Wszelako model ten w pracy, którą dziś omawiamy, nazbyt się różni od tego, co jest modelowane. Można, oczywiście, modelować kilogram cukru kładąc na talerzu odpowiedni odważnik. Ale da nam to jedynie model wagi cukru, nie jego smaku czy wartości odżywczych. I taki mniej więcej model proponuje nam omawiana dziś rozprawa. Fałszywa percepcja wzajemnego stosunku rzeczywistości i jej modelu musiała spowodować także inne błędy. Znajdujemy je w rozprawie rzeczywiście. W dodatku dotyczą one tak podstawowego zagadnienia filozofii i etyki jak szczęście. Na stronie pięćdziesiątej ósmej cytowane są słowa Korolenki: „Człowiek jest stworzony do szczęścia tak jak ptak jest stworzony do latania”. Wołodimir Gałaktienowicz Korolenko był bez wątpienia świetnym pisarzem i człowiekiem bardzo wykształconym. Wszelako i w jego wykształceniu były pewne luki. Korolenko podobnie jak autor omawianej dziś pracy kiepsko znał Woltera. Gdyby było inaczej, Korolenko nie napisałby tych słów. Bowiern na długo przed Korolenką Wolter napisał: „Człowiek jest stworzony do szczęścia”. W całej historii ludzkości nic ani nikt tej prawdy nie podważa, oprócz... faktów.

Wywołało to poruszenie i śmiechy.

— Autor rozprawy ma oczywiście rację — ciągnął Wilia, odczekawszy, aż sala się uciszy — kiedy powiada, że dobrobyt materialny to podstawa szczęścia człowieka, że w imię szczęścia większości ludzi trzeba wyzwolić człowieka od wyzysku, dać mu wiarę w jutro

i nadać demokratyczne prawa, a przede wszystkim prawo do pracy, do odpoczynku, do nauki. Ale autor rozprawy sprowadza wszystko do warunków obiektywnych i zapewne nawet nie pomyślał o tym, że za człowieka szczęśliwego nie można uważać kogoś, kto sam się nie czuje szczęśliwy. W jeszcze większym stopniu dotyczy to rodziny lub też całego narodu. Nie ma szczęścia bez radości, bez upojenia, wzlotu duchowego.

I wreszcie autor fałszywie ujmuje problem sumienia. Na stronie ósmej znajduje się cytat z Marksa, który mówił, że pojęcie sumienia ma charakter klasowy. Ale jeśli przyjrzeć się uważnie komentarzowi, którym autor opatruje ten cytat, okaże się, że w imię interesów klasowych można popełniać uczynki sprzeczne z sumieniem człowieka. A to nie tak. Marks miał na myśli coś zupełnie innego. Szło mu o to, że w każdym społeczeństwie na straży jego moralnych podwalin zawsze stali pracujący, o to, że wyzyskiwacze z istoty swojej pozbawieni są moralności, że amoralny jest świat, w którym, jak powiada Saint Simon, od biedaków wymaga się szczodrości i wielkoduszności wobec bogatych, świat, w którym wielcy złoczyńcy gnębiący i grabiący lud mają władzę karania za niewielkie uchybienia, świat, w którym praca i zdolności wielu ludzi obsługują nieróbstwo, głupotę i zamiłowanie do zbytku górnych dziesięciu tysięcy, świat, w którym ludzie amoralni powołani są do stania na straży sumień.

Tu Wilia dobił ich ostatecznie.

— A w programie partii komunistycznej — powiedział — jest powiedziane: „Moralność komunistyczna obejmuje podstawowe ogólnoludzkie normy moralne, wypracowane przez ludy w ciągu tysiącleci w walce z uciskiem społecznym i z wadami ludzi. Z prostych norm moralności i sprawiedliwości, które za panowania wyzyskiwaczy były wypaczane i bezwstydnie obcho-

dzone, komunizm czyni niewzruszone zasady życia, zarówno w stosunkach pomiędzy ludźmi, jak i w stosunkach między narodami”.

Wilia triumfalnie spojrział na salę i zszedł z mównicy. Oklaskiwano go jak Rajkina. Następni mówcy zgodnie stwierdzali, że dysertant koniecznie powinien wziąć pod uwagę cenne spostrzeżenia Igora Maksimowicza. Nie od razu połapałem się, że mówią o Wili. Po prostu zapomniałem, że jemu jest rzeczywiście Igor, w dodatku Maksimowicz.

W. S. Gromyko, zabierający głos jako ostatni, dziękował Igorowi Maksimowiczowi, choć sądzę, że robił to nie całkiem z nakazu serca.

W dodatku zdaje mi się, że nasz talmudysta i celowniczy coś poplątał. Co do tego szczęścia. Następnego dnia podczas przerwy obiadowej poszedłem do naszej fabrycznej biblioteki i poprosiłem o słownik.

„Szczęście — przeczytałem — jest to stan radości spowodowanej pełnią życia, zadowoleniem z życia”.

Nie ma to, jak precyzyjne sformułowania. Jaka „pełnia życia”? Toż każdy może inaczej pojmować tę pełnię. I co daje zadowolenie? Miłość? Pieniądze? Pierwsze miejsce na zawodach motocyklowych? Sukces dziecka? Czy może to wszystko naraz? A jeśli zabraknie jakiegoś jednego elementu?

Czy można być szczęśliwym, kiedy masz nieczyste sumienie, kiedy zabiłeś człowieka, z którym uciekałeś z niewoli, kiedy brałeś łapówki, kiedy zdradziłeś, ukradłeś, skłamałeś?

Złoto to piękny metal. Zwłaszcza, kiedy się go używa zgodnie z przeznaczeniem. Na przykład na kopuły świętej Zofii albo Ławry.

Drogie kamienie? Widywałem rubiny. I ametysty.

A nawet diamenty. Co prawda malutkie. W pierścionku. Trzeba być fachowcem, żeby odróżnić je od szkła. Pereł prawdziwych nie zdarzyło mi się widzieć, sztuczne są dość ładne.

Ale ani złoto, ani drogie kamienie nie dadzą się porównać z tym, co widzę, kiedy podnoszę wieko emulgatora, w którym wre mieszanka wody i oleju, ochładzająca noże mojej obrabiarki. Jest to niewymownie piękne, nie ma nic piękniejszego. Mógłbym godzinami patrzeć na tę mieszankę — świeci się cała, gra kolorami, i jest w tym, jak zapewne we wszystkim, co piękne, szczególna symetria barw i wzorów.

Zagapiłem się na tę wodno-oleistą mieszankę i sięgnąłem do kieszeni po papierosa, pierwszego dzisiaj. I zapaliłem z rozkoszą. Teraz każdy papieros u nas na oddziale to nieomal wyzwanie, rzucone nauce i ludzkości.

W naszej gazecie fabrycznej w rubryce „Czas to pieniądz” drukują w każdym numerze czarno na białym takie słowa: „Każdy wypalony papieros skraca twoje życie o czternaście i pół minuty”.

Propaganda to wielka rzecz. Wszyscy w fabryce rzucają palenie. Zjadają cetnary cukierków. Wszyscy seplenią, każdy ma w ustach landrynkę. Tato schował do szuflady swoją wytartą papierośnicę z jakiegoś staroświeckiego stopu — taki stop nazywa się melchior — i zaczął nosić w kieszeni okrągłe blaszane pudełeczko przezroczyстых landrynek. Nim wyjmie cukierka, wstrząsa tym pudełeczkiem, żeby landrynki nie tak bardzo się zlepiały.

Co prawda wytrzymał tak tylko trzy czy cztery dni. Od landrynek rozboleły go zęby. I wyliczył sobie, że na leczenie zmarnuje więcej czasu, niż by go stracił wypalając swoją paczkę „Biełomorów” dziennie.

Sam się zastanawiałem, czy też nie skończyć z pa-

leniem. To bądź co bądź przerażająca cyfra. Na motorze nawet przy szybkości sto na godzinę przez czternaście i pół minuty przejechać można spory kawał drogi. W każdym razie palić trzeba możliwie jak najmniej.

Gospodarskim, pewnym siebie krokiem szedł przez oddział kierownik wydziału kontroli technicznej Miki-ta Wołodimirowicz Malimon, którego robotnicy nazywają między sobą Naliwonem. Towarzyszył mu starszy majster. Malimon z dala pogroził mi palcem.

Stchórzyłem. Właściwie nawet nie tyle stchórzyłem, ile poczułem się strasznie niezręcznie i czym prędzej zająłem się obrabiarką. Ale, z drugiej strony, pomyślałem sobie, gdyby się rzeczywiście dowiedział, że to moja sprawka, to by nie poprzestał na pogroźeniu palcem. Pogroził na wszelki wypadek. A w ogóle to oczywiście nie powinienem był tego robić.

Zebrałem ciekawsze wypowiedzi naszego kierownika WKT. Dopomogły mi w tym dziewczęta z kontroli technicznej. Maszynistka z biura projektowego, gruba chichotliwa Musia, przepisała to na maszynie. Musiała i sobie zostawić egzemplarz, bo ten paperek stał się znany w fabryce. Przepisywano go. Zatytułowałem to tak: „Krótka charakterystyka niesłużbowa kierownika WKT M. W. Malimona, złożona z jego własnych wypowiedzi”.

Logika

— W ślad za głową mamy jeszcze twarz...

Stosunki z podwładnymi

— Czy to ja jestem jego towarzyszem, żeby mi robił świństwa?...

Z d e c y d o w a n i e

— Mam pewne surowe myśli, ale boję się je wy-
wiadać.

P r z y s ł o w i a

— W każdej beczce miodu jest łyżka dziegciu.

P r e c y z j a

— Nie pamiętam w tej chwili szczegółowo jego na-
zwiska.

T o w a r z y s t w o W i e d z y P o w s z e c h n e j

— W zeszłym roku gdzieś tam mnie zapisali.

T r o s k a o p o d w ł a d n y c h

— Walu, macie pod lewym okiem worek.

C h a r a k t e r y s t y k a

— Młody chłopak, jak na dzisiejsze czasy.

P r z y s ł o w i a

— Kota w worku nie schowasz.

W s k a z ó w k a

— Jeśli to nie w waszej kompetencji, to przeadresuj-
cie.

P r o b l e m k a d r o w y

— Wizualnie jest potencjalny.

S p o r t

— Nasza reprezentacja pełzała jak brzemiennie wszy
po mokrym kożuchu...

Z mądrości własnych

— Nie każda Hanna pisze się przez dwa en.

O dziewczętach z WKT

— Są na wydziale osoby, którym już dziś warto by dać emeryturę, żeby nie przeszkadzały.

Ciekawy wypadek

— Miszko raz wypalił paczkę papierosów, a potem przez dwie doby wymiotował dymem.

Niepowetowane straty

— Jakie kretony dziś byśmy produkowali, gdyby nie wojna.

Żart

— Kiedyś sypiało się na łóżku, a teraz — na zebra-
niu.

Przysłowia

— Nie warte wyjedzonego grosza.

O sobie

— Jestem dla was kontrola techniczna, car i Rada Ministrów.

Wiktor, kiedy mu pokazałem tę charakterystykę, popatrzył na mnie uważnie, ze zdziwieniem.

— Nieźle — powiedział. — Cały ten wasz Malimon jest jak na dłoni. Do tego już naprawdę można nie dodawać ani ankiety, ani życiorysu. Wszystko jest jasne. Możesz uważać, że wypisałeś Malimonowi jak najautentyczniejszą charakterystykę. Ale kiedy to się znajdzie w jego rękę, kiedy wykryje, kto jest autorem — nie daruje ci.

Teraz zrozumiałem, czemu ten żarcik złożony z samych autentycznych wypowiedzi Malimona-Naliwona cieszy się takim powodzeniem. Jak mawia Wilia — ludzie pracy przyjęli to z entuzjazmem.

Zwariować można! Natałka, siostra Wili, ma już adoratora. Jest znacznie od niej starszy. Chodzi do dziesiątej klasy. Imię ma niezmiernie dziś rzadkie, Wania. Złapał ich in flagranti Wilia. Adorator zapragnął przewieźć swoją Natalkę taksówką i, zgodnie z prawem pecha, trafił na Wilię. Wilia już ich powoził! Zrobił wszystko, co mógł, żeby to spotkanie nie przebiegło w serdecznej i przyjaznej atmosferze.

Zapytałem:

— Ale chyba przynajmniej nie wzięłeś od niego pieniędzy?

— Wziąłem. I nie wydałem reszty. Żebyś ty wtedy zobaczył twarz tego chłopaka. Widziałeś obraz Riepina „Iwan Groźny wychowuje swego syna”?

— Widziałem.

— Pamiętasz, jaka tam jest krew na podłodze?

— Pamiętam.

— No więc takiego koloru były jego uszy.

Ale na tym się nie skończyło. Natalczyne amory, jak się wyraził Wilia, niezwłocznie wniosły element rozkładu do ich zdrowej, radzieckiej rodziny.

— Wracam z roboty — powiedział Wilia — a Natałka ma przewiazaną szyję

„Co się stało?”

„Oparzyłam się żelazkiem”.

„Jakim cudem?”

„Śpieszyłam się do szkoły i w ostatniej chwili chciałam na sobie odprasować kołnierzyk”.

— Dla mnie albo dla dziadka Petra ten wzór praco-

witości by się tak nie śpieszył. Ja chodzę w nie odprasowanych spodniach. Ale dla Wani...

Natalka wyszła z kuchni, w której jadła kolację. Jej chudziutka szyja była przewiązana, ale nie bandażem, tylko nylonową błękitną chustką pod kolor oczu.

— No, Natalia — powiedziałem. — Nigdy bym nie pomyślał, że pęcherz na szyi można zrobić ozdobą... Sprytnie to wymyśliłaś. Z jednej strony to oczywiście źle, że tak lekkomyślnie obchodzisz się z widelcem, igłą, żelazkiem i innymi niebezpiecznymi przedmiotami. Ale z drugiej strony to i dobrze, bo...

Natalia przerwała tę moją interesującą przemowę:

— ...życie jest dobre, i żyć jest dobrze! Wszyscyście się pozarażali od Wili filozofowaniem. A ja nie mam ochoty na filozofowanie, mam ochotę pochodzić na głowie.

Zrobiła stójkę, dobrze przynajmniej, że była w spodniach od dresu, a nie w spódnicy, podeszła na rękach do ściany, oparła się o nią nogami i stojąc tak do góry nogami, zaczęła mamrotać jakiś wiersz.

— Piękna poza — powiedział Wilia. — Postój tak chwilę. Nareszcie będę mógł nie schylając się dać ci gdzie należy klapsa...

Ho-ho, cóż to z niej wyrośnie za dziewczyna! Królowna Śnieżka z nogami wyrastającymi gdzieś spod pach. Wilia zbliżył się do Natalki, ale ona już znów stała na nogach i poprawiała włosy.

Lubię do nich chodzić. Dobrze im się żyje. W ich mieszkaniu zawsze jest lekki, przyjemny zapach lakieru spirytusowego. Na ścianie wiszą dwie bandury, trzecia, bez strun, stoi w kącie.

Dziadek Petro dorabia sobie w ten sposób, że remonduje bandury dla zespołu bandurzystów, niekiedy nawet sam robi nowe. Jego bandury są cenione z powodu

udoskonaleni, które coraz to wprowadza. Żadna nie jest taka sama jak poprzednia.

Bardzo ciekawie jest patrzeć, jak on pracuje. Kiedy siedzi na swoim niziutkim taborecie ze sztamażką w rękę, bywa podobny do prawosławnego Pana Boga, takiego samego jak dziadek Petro dobrotliwego, cierpliwego udoskonalacza, który z przyjemnością harował stwarzając dinozaury i miniaturowe mrówki. I przy tym niby to się nie śpieszył, ale zawsze zdążył na czas. I nawet Judaszowi powiedziałby: „Siadaj, napijemy się winka. Domowej roboty”.

Tyle, że Pan Bóg, by całkiem upodobnić się do dziadka Petra, musiałby obciąć sobie koniuszek nosa, no i zgolić brodę.

Dziadek Petro dziś wcześniej niż zazwyczaj wrócił ze swojej piwiarni. Wyglądał na zakłopotanego.

— Dobry wieczór, dobry wieczór. Akurat byliście mi potrzebni...

Dziadek Petro ma taki zwyczaj, że ze wszystkimi wita się przez podanie ręki. Nawet z Wilią i z Natalką.

Teraz zdjął ze ściany bandurę i powoli przebijając struny zagrał „Tuman jarom”.

Potem położył dłoń na strunach tak, że bandura od razu umilkła, i powiedział:

— Mam kłopot. Ogłoszono w Kanadzie konkurs, ale zapomniałem, w jakim mieście...

— W Ottawie — podpowiedział Wilia.

— Nie. Inaczej.

— Montreal.

— Tak — zdumiał się dziadek Petro. — W Montrealu. Tak się nazywa to miasto.

— Jaki konkurs?

— Na najlepszy instrument szarpany. Powiedzieli mi w kapeli, żebym zrobił bandurę. Niby na ten konkurs. Zawieźli mnie do Ministerstwa Kultury. Tam mi

powiedziano, że mogę. Mówią tam, że najpierw zorganizujemy konkurs u siebie. I jeśli go wygra moja bandura, to mi zapłacą tysiąc osiemset. Tak, że nie za darmo... Można powiedzieć, że już widzę tę bandurę. Grać na niej można będzie i na kijowski sposób, i na charkowski. To znaczy i z góry, i z dołu. I nie będę jej gruntował, niech będzie widać rysunek słojów. Świerczynę na dobry rezonans mam. W sam raz. Wyjdzie z niej deka. Ale na koriak potrzebny mi jest stary klon.

— Co to takiego koriak? — zapytałem.

— No, pudło. Gdybym tak gdzieś znalazł stare, dobrze podsuszone drzewo klonowe, to by dopiero była bandura. Głos by miała srebrny. Czystszy niż ma każda harfa.

— A gdzie można znaleźć taki klon? — zapytał Wilia.

— Ba, gdybym to ja wiedział...

— A inne drzewo się nie nada? — Co prawda nie byłem pewien, czy potrafię odróżnić klonową deskę od jakiegokolwiek innej.

— Mógłby niby być i jawor. Albo czerwona wierzba. Ale to już by nie było to, co mi się marzy.

Wilia powiedział, że „uderzymy w bębny rozumu swojego”, jak pisał Daniel Заточник w swym „Błaganiu” jeszcze w trzynastym wieku, i znajdziemy stosowną klonową deskę.

Wyszliśmy we dwójkę z Wilią na balkon, poręcz tam była całkiem biała, tak ją urządziły gołębie. Do poręczy drutem przyczepiona była tabliczka: „Tu się gołębi nie hoduje”.

— Co z nimi począć? — powiedział Wilia. — Niepiśmienne są, dranie, i przylatują mimo to.

Następnego dnia „uderzyliśmy w bębny rozumu swojego”, ale był to ton dosyć głuchy. Gdzie by można

znaleźć stary klonowy pień albo choćby deski? Śpiewa się w znanej pieśni: „Siądziemy wieczorem za klonowym stołem”. A więc istniały gdzieś klonowe stoły. Ale gdzie?

Wstąpiliśmy do fabryki mebli imienia Bożenko. Pojechaliśmy tam na motorach. Właśnie tam, pod tamtejszym kioskiem z piwem, postanowiliśmy rozpocząć zbieranie naszych materiałów wywiadowczych.

— Popatrz na ten nos — zaproponował Wilia.

— Normalny ukraiński nos.

— No, powiedzmy, że nie taki normalny. Byłby normalny, gdyby nań popatrzeć przez szkło pomniejszające. Poza tym taki kolor naturalny mają tylko niektóre owoce, w świecie zwierzęcym nic takiego nie występuje. To musi być człowiek, który jest nam potrzebny.

Wilia się nie mylił. Był to człowiek, którego szukaliśmy. Stary stolarz meblowy. Powiedział, że z klonu mebli tu się nie robi. Ale w każdym składzie opałowym możemy sobie wybrać polano, jakie zechcemy.

— A czerwona wierzba? — zapytałem na wszelki wypadek.

— Co znaczy: czerwona? Na opał nadaje się każda.

Polano, jakie można znaleźć w składzie opałowym, nas nie interesowało. Pojechaliśmy z powrotem wolniutko. Rozglądając się na wszystkie strony. Patrzyliśmy na domy. Może w którymś będzie coś klonowego?

Przydały się Wili jego wiadomości przewodnika po Kijowie. A może to było serendipiti, o którym mówił Mykoła.

— Pojedziemy w pewne miłe miejsce — zaproponował. — Do sądu grodzkiego. Sąd był tam jeszcze za caratu. Może przetrwały z tamtych czasów jakieś „klonowe stoły”?

Zaparkowaliśmy motocykle przed komendą milicji, która mieści się w tym samym co sąd budynku na pla-

cu Bohdana Chmielnickiego. W sądzie grodzkim byłem po raz pierwszy. W ciemnym korytarzu widniały po obu stronach drzwi z tabliczkami „Sala posiedzeń”. Weszliśmy do jednej z takich sal. Nikt nas nie zatrzymał. Było tu pusto. Stały czarne ławy z oparciami, zapewne dla publiczności. Na podwyższeniu za długim stołem fotel sędziowski z wysokim oparciem. Jeżeli sędzia jest normalnego wzrostu, to oparcie to będzie wyższe od niego nawet, kiedy wstanie i sędzia nie zasłoni głową połączonego herbu państwowego Związku Radzieckiego na zwieńczeniu oparcia. Po bokach stały dwa fotele z niższymi oparciami. Wymalowane były na nich złotem już nie herby państwowe, ale tylko sierp i młot. Na tych fotelach zasiadają zapewne ławnicy.

Obejrzeliśmy i stół, i fotele, i ławy dla publiczności. Wszystko pokryte było czarnym lakierem.

— Dąb — zawyrokował Wilia. — Może służyć po wieczne czasy.

Za nie malowaną drewnianą balustradą stała ława oskarżonych, prymitywna i niezbyt pociągająca. Nie było na niej nawet numerka inwentaryzacyjnego. Owalne numerki blaszane zdobiły wszystkie pozostałe meble. Ale nogi ławy oskarżonych przytwierdzone były do podłogi żelaznymi kątownikami.

— To chyba na wypadek — powiedział Wilia — gdyby oskarżony uznał za krzywdzące słowa prokuratora albo jakiegoś świadka i zechciał dochodzić swoich racji za pomocą tej ławki.

Właśnie ta ława oskarżonych zwróciła naszą uwagę.

— Może to właśnie klon? — zapytał mnie Wilia.

— Strasznie stara, trudno się zorientować.

— Sto lat — powiedział Wilia. — Przestała tu sto lat. Masz pojęcie, jak ją wysuszyli ci, co tu przez ten czas siedzieli? Czuje serce moje, że to ona. Czy raczej on. To znaczy klon. Ano, wymierzmy ją.

Wymierzyliśmy ją za pomocą długopisu Wili, zamierzając następnie przetłumaczyć te pomiary na powszechniej przyjęte jednostki metryczne. Wilia nożem odłupał drzazgę ze spodu ławy.

— Klon — powiedział dziadek Petro. — W dodatku o bardzo dziwnej teksturze. To znaczy o dziwnym rysunku słoików — wyjaśnił specjalnie dla mnie. — Gdzieście to znaleźli?

— O — Wilia pokazał wyniki naszych pomiarów — to jest taka ławeczka. Wystarczy na pudło?

— Wystarczy. Jeszcze na obiecanki zostanie. Tam, gdzie się zamocowuje struny — wyjaśnił na mój użytek.

— Potrzebna jest nam na jutro taka ławka. Podamy wymiary. Na zamianę — zażądał Wilia.

— Zrobię dębową. Jak ta lala.

— No, z dębu to tam są inne meble — zauważył Wilia. — Może z czegoś bardziej zwyczajnego.

— Można i tak — bez dyskusji zgodził się dziadek Petro. Nie mógł się nadziwić i ciągle macał drzazgę, którą mu przynieśliśmy.

Nazajutrz włożyliśmy brudne, poplamione smarem kombinezony. Pracujemy w nich w garażu. Znaleźliśmy jakieś stare kaszkiety. Dopiero wtedy zwróciłem uwagę na to, że Wilia ze swoją bródką w tym stroju wygląda właśnie na przebranego. W garażu jakoś to się nie rzucało w oczy.

— Nie — powiedziałem — ciebie od razu aresztują i trafisz na tę samą ławę. Przejrzyj się w lustrze. Nigdy w życiu nie widziałem nikogo o bardziej podejrzanym wyglądzie.

Wilia podszedł do lustra. Zgodził się ze mną. Wyglądał zbyt ekstrawagancko.

Kątowniki przygotowaliśmy w klubowym warsztacie i zawczasu przymocowaliśmy je do nóżek ławki. Do

kieszeni kombinezonu wzięłem wkrety, żeby przytwierdzić za ich pomocą nową ławkę do podłogi, wzięłem młotek, obcęgi, wielki śrubokręt. Taksówką Wili zawieźliśmy ławę na skwerek naprzeciw gmachu sądu, tam ją wyładowałem, wzięłem na plecy i poszedłem do sądu.

Udało mi się. Nikt mnie o nic nie zapytał, choć przy wejściu na schody stał stróż czy też woźny. I ta sala posiedzeń znowu była pusta. Nowa ławka była równiutka, nawet polakierowana, stara ani się do niej umywała. Ale kiedy już powyciągałem z kątowników stare gwoździe, do sali weszło trzech mężczyzn.

— Co wy tu robicie? — zapytał z niezadowoleniem jeden z nich, siwy, godny staruszek ze szramą na policzku.

— Ławkę wymieniam — odpowiedziałem z głupia frant.

— Po co?

— Takie dostałem polecenie.

— Czyje polecenie?

— Tych, co mogą wydawać polecenia. Mnie i wam.

— Też sobie znaleźliście moment. Tu się zaraz zacznie rozprawa. Długo to jeszcze potrwa?

— Tylko chwileczkę — pośpieszyłem się. — Tylko to przybiję do podłogi.

— Ładna ławka — pochwalił staruszek ze szramą. — Tylko się pośpieszcie.

Śpieszyłem się i tak.

Dziadek Petro o mało nie tańczył wokół naszej ławy.

— No, chłopcy! — mówił. — Co za tekstura!... Zrobię pudło z dwóch części. Na obu połówkach będzie ten sam rysunek, a jaki dźwięk! — opukiwał ławkę zgiętym palcem. — Gdzieżeście zdobyli takie чудо?...

— Jest takie jedno miejsce — wieloznacznie odpowiedział Wilia. Ale też na tym poprzestał.

Wieczorem opowiedziałem naszym chłopcom o tej przygodzie. A kiedy rozchodziliśmy się po treningu do domów, Mykoła cicho, ni w pięć ni w dziewięć, zapytał:

— W której to było sali?

— Zdaje się, że numer trzy.

— Tak — powiedział Mykoła. — Zatem mój ojciec siedział właśnie na tej ławie.

„A mój ojciec — pomyślałem — siedział na prawo albo na lewo od sędziego. Na jednym z tych foteli z sierpem i młotem na oparciu... A teraz dziadek Petro zrobi z tej ławy oskarżonych bandurę o srebrnym dźwięku”.

Moja mama to szczególny człowiek. Nigdy i nikomu nie chciała się wydać lepsza, niż jest naprawdę. To my wszyscy chcemy się zawsze przedstawić od najlepszej strony.

— Nie kręć jak Cygan słońcem — powiedziała mama. — Powiedz mi wprost: on do nas przyjdzie?

Tato spojrzał w bok, zabalgotał, powiedział niezadowolony:

— No... nie wiem.

— Wiesz. Nie przyjdzie. I ja do niego nie pójdę. Pięknie by to było, gdybyśmy chodzili w gości do ludzi, którzy sami do nas by nie przyszli. Zresztą nie mam takiej sukni, w której mogłabym iść do wicepremiera.

— No, co też ty, matka... — Tato aż sapał z niezadowolonia. — Co, mało masz sukienek? A ta, w której byłaś u kumy?

— Za ciasna.

Mama ostatnimi czasy bardzo się poprawiła.

— No, to jakąś inną włóż... W szafie tyle tych twoich sukni i kostiumów, że własnej marynarki nie mogę znaleźć.

— To mają być suknie? Kto teraz włoży coś takie-

go? Nie pójdę i koniec. I Romcio też nie ma czego tam szukać.

— Romka jest pełnoletni. Niech sam decyduje.

Tatę wraz z rodziną zaprosił na niedzielę na swoją dachę pierwszy zastępca przewodniczącego Rady Ministrów, Wasyl Stepanowicz Bokun. Jeździli w tej samej delegacji do Polski i strasznie się tam zaprzyjaźnili. Okazało się w dodatku, że wicepremier tak samo jak tato jest rodem spod Winnicy, nawet z sąsiedniej wsi.

Ciekaw byłem obejrzeć sobie z bliska pierwszego zastępcę przewodniczącego Rady Ministrów naszej republiki. W ogóle nie mogę zrozumieć, jak to jest możliwe, żeby było kilku pierwszych zastępców. Przecież nie może być kilku przewodniczących. Zdawało mi się więc, że pierwszy zastępca też powinien być tylko jeden.

Krótko mówiąc korciło mnie, żeby tam pójść. Ale także postawiłem warunek.

— Pojadę na motocyklu. Jak chcesz to zawiozę i ciebie. Na tylnym siodełku.

— Co to ja jestem Wirka, żebym jeździł na tylnym siodełku? — Tato aż podskoczył. — Wasyl Stepanowicz przyśle swój samochód.

— To ty jedź samochodem, a ja za wami na motorze. Nie bój się, nie będziecie na mnie czekać.

— Dla mnie możesz jechać choćby na rowerze — zaklął tato. — Tylko tam nie pokazuj, jakiś ty nawerle.

„Nawerle” to takie stare ukraińskie słowo. Zdaje mi się, że jest w użyciu już tylko w naszym domu. Tak się mówi o kimś, kto wszystko robi na opak.

Tato zawsze chodzi do pracy piechotą. Szybkim krokiem idzie się od nas do fabryki trzydzieści pięć minut. Wiele razy proponowałem tacie, że go podrzucę na

motocyklu, ale zawsze odmawiał gniewnie. „Obejdzie się”. Siedzi w tacie nieprzezwyčajalna nieufność do motocykla.

W niedzielę z samego rana włożył tato odświętne czarne ubranie z gwiazdką Bohatera Pracy Socjalistycznej.

— Ugotujesz się — powiedziała mama. — Może byś włożył coś lżejszego.

Tato nic nie odpowiedział, tylko popatrzył na mamę jakby z lękiem.

O dziesiątej podjechał samochód. „Czajka”. Pewnie, też miałbym ochotę przejechać się „Czajką”. Prawdę mówiąc nigdy nawet nie widziałem z bliska tego samochodu. Ale słyszałem, że szyby w „Czajce” można opuszczać i podnosić za naciśnięciem dźwignienki na drzwiczkach. Zdawałem sobie sprawę, że nie jest to bardziej skomplikowane urządzenie niż to, które zamyka drzwi w trolejbusach, może nawet taka sama jest tu zasada działania, ale zawsze to ciekawe. W innych wozach czegoś takiego nie ma.

A jednak skoro tylko zatrzasnęły się drzwiczki „Czajki”, wskoczyłem na swój motor, na mego czerwonoskórego konika-garbuska i pogałem za nią.

Remontowaliśmy motor jak mogliśmy, ale błotniki i tak wyglądały, jak źle uprasowana koszula. Za to Mykoła znalazł w czechosłowackim piśmie „Motor review”, które wychodzi też po rosyjsku, artykuł o przygotowywaniu motocykla „Jawa” do celów sportowych. Przestudiowaliśmy wszystko uważnie, podwyższyliśmy stopień sprężenia, silnik zrobił się mocniejszy prawie o trzy konie, a zużycie paliwa nie wzrosło ani o gram.

Ale „Czajki” nie dogonisz. Ma urzędowe numery i na każdym skrzyżowaniu dają jej od razu zielone światło. Nim dojechaliśmy do mostu Patona, dwa razy zatrzymywano mnie za przekroczenie szybkości. Dobrze, że

kierowca „Czajki” brał mnie w obronę: „On jest z nami”.

Mogę — jak Boga kocham, to prawda! — wyciągnąć na szosie sto trzydzieści na godzinę. Bez trudu. „Wołga” mi nie ucieknie. „Wołga” musi zmniejszać szybkość na zakrętach, żeby jej nie zarzuciło. Ale „Czajka” to już całkiem inna sprawa. Miasto. A ona gna, jak wystrzelona z armaty. Obawiam się, że kierowca „Czajki” musiał uświadomić tatę, jak to niebezpiecznie jeździć na motocyklu z taką szybkością, bo tato cały czas oglądał się przez tylną szybę.

Zastępca przewodniczącego Rady Ministrów nie spodobał mi się od pierwszej chwili.

— Jak też macie na imię, młody towarzyszu Puzo? — zapytał mnie. Zauważyłem, że przy tym słowie stojąca obok jego córka Wala ledwie powstrzymała śmiech.

— Roma — odpowiedziałem dość ponuro.

— Czyli Roman. Roman Ołeksijowicz. Bardzo mi przyjemnie. Bardzo się cieszę, że mój przyjaciel Ołeksij Iwanowicz ma już takiego dorosłego syna.

Oczy wicepremiera nabrały jakiegoś dziwnego wyrazu. Był to jakby smutek. Ale może mi się tylko tak zdawało.

— Ileż to macie lat?

— Dwadzieścia.

Wasył Stepanowicz z tym samym wyrazem pokiwał głową.

— Cudowny wiek. No, a teraz poznajcie się z moją córką Walą i jeśli nie macie nic przeciwko temu, przejdźmy się nad rzeczkę. Małżonka już tam na nas czeka... Wala jest od was młodsza o cztery lata — dodał zwracając się do mnie. — To jeszcze uczennica.

Wala popatrzyła na nas niezależnie, wyglądała tak,

jakby miała ochotę pokazać język, ale nie decydowała się na to.

Poszliśmy z tą Wala w ślad za naszymi wybitnymi przodkami asfaltową alejką obsadzoną po obu stronach potężnymi krzakami kwitnących róż. Prowadziła nad rzeczkę.

— Może przewieźć cię tymczasem na motocyklu? — zaproponowałem Wali nie zasypiając gruszek w popiele.

— Ja na motocyklu nie jeżdżę — nie patrząc na mnie odparła Wala. Zdaje się, że należała do tego rodzaju ludzi, co zawsze, cokolwiek by im się powiedziało, najpierw odpowiadają „nie”, a dopiero potem zastanawiają się nad treścią tego, co usłyszeli.

Jak tylko wjechaliśmy na podwórze daczy, od razu zdjąłem moją wytworną kurtkę skórzaną i niosłem ją na rękę, kraciasta koszula z wykładanym kołnierzykiem bardzo się pod kurtką pogniotła, włosy mi się rozczochrały i zakurzyły, wyglądałem zapewne niezbyt schludnie i nade wszystko pragnąłem się umyć.

Pojechaliśmy na przejażdżkę po rzece motorówką-wodolotem. Piękna motorówka, ale zamknięta, w ogóle się w niej nie czuje szybkości. Małżonka Wasyla Stepanowicza Natalia Dominikiwna widocznie nie mogła znieść, kiedy ludzie milczą, i przez cały czas wypytywała mnie, jakie książki czytałem ostatnio, na jakim filmie ostatnio byłem, czy chadzam do teatru i tak dalej w tym samym stylu, Wala zaś patrzyła prosto przed siebie i zdawało mi się, że mamrocze po cichutku modną zachodnią melodię taneczną.

Byłem już porządnie głodny, więc się ucieszyłem, kiedy Natalia Dominikiwna powiedziała, że pora na obiad. Stół do obiadu nakryto na werandzie. Przed każdym nakryciem była solniczka i serwetka w kółku.

— Ołeksiju Iwanowiczu, mam nadzieję, że nie od-

mówicie kieliszeczka wódki? — powiedział Wasyl Stepanowicz. — A co będzie pił nasz młody przyjaciel?

— Ja też się napiję wódki — powiedziałem.

Motocykliści nie piją. O tym wie każdy. Motocykl tego nie daruje. Nigdy dotąd nie przyszło mi nawet do głowy, że mając w niedalekiej perspektywie jazdę na motorze można wypić choćby kieliszek. Sam nie rozumiem, jak się stało, że to powiedziałem.

Wasyl Stepanowicz spojrział z ukosa na mnie, potem na tatę... Tato zmilczał.

— No, cóż... Ale nalewajcie sobie sami — zaproponował Wasyl Stepanowicz — ja zadbam o nasze damy.

Nalał do kieliszków Natalii Dominikiwnej i Wali wytrawnego wina rumuńskiego, które nazywa się „Muskat”, sobie zaś nalał wielki kielich gorzałki. Tato wziął butelkę, która stała przed nim, i nalał nam po nieco mniejszym kieliszku.

— Obyśmy zdrowi byli! — powiedział Wasyl Stepanowicz, opróżnił kielich jednym haustem i przysunął sobie zakąskę.

Starając się nie poplamić obrusa nałożyłem sobie na talerz sałatkę z pomidorów i ogórków ze śmietaną, wypilem wódkę, powąchałem skórkę od chleba. Wala, która siedziała obok, popatrzyła na mnie tak, jakbym tę skórkę włożył sobie do ucha. Zabrałem się do sałatki.

— Czemuż to nie bierzecie sobie kawioru? — zapytał mnie Wasyl Stepanowicz. Na środku stołu stała w metalowym naczyniu z lodem szklana salaterka pełna ziarnistego kawioru.

— Nie jadam kawioru — podziękowałem.

— Dlaczego? Znaczący twierdzą, że kawior jest nie tylko bardzo pożywny, ale i smaczny.

— A... miałem kiedyś taką przygodę.

— Jaką przygodę? Jeśli to nie sekret.

Zepsułem im jednak ten obiad. Tato chrząkał jak

mógł, ale ja jednak opowiedziałem, jak to pewnego razu w dzieciństwie pojechałem na wieś do babki. Miałem wtedy osiem czy dziewięć lat i korciło mnie, żeby za wszelką cenę pokazać wiejskim chłopakom, jacy to my miastowi jesteśmy niezwykli.

„E tam — powiedziałem, kiedy wiejscy chłopcy nauczyli mnie, jak się je łydgi mleczu roztarłszy je uprzednio w dłoniach — u nas w mieście to wszyscy jedzą kawior”. — „Jaki kawior?” — „A zwyczajny, ze stawu”. Nie uwierzyli mi. Więc im udowodniłem. Oni nałapali w stawie żabiego skrzeku, ja wziąłem w garść śliską bryłę, pogryzłem na oczach wszystkich i połknąłem.

Wala nagle zerwała się od stołu, wybiegła za drzwi i po chwili wróciła skrzywiona.

— Okazało się — ciągnąłem bezlitośnie — że ten żabi kawior w smaku rzeczywiście trudno odróżnić od prawdziwego.

Wasył Stepanowicz znów popatrzył na mnie z zainteresowaniem i raptem jakoś dziwnie zachichotał, nie na wydechu, ale na wdechu.

— Skoro są jednakowe w smaku, to może w ogóle zrezygnować z ziarnistego kawioru i przejść na ten żabi? Coraz gorzej u nas ze szlachetną rybą.

Może się mylę, ale wydawało mi się, że im mniej podobał mi się Wasył Stepanowicz i jego rodzina, tym bardziej ja mu się podobałem. Wypytywał mnie o fabrykę. Każdy mój żart kwitował swym dziwnym śmiechem, zapraszał, żebyśmy jeszcze przyjechali do niego na daczę w sobotę i zostali na noc, to byśmy rano poszli na ryby.

Po obiedzie Wasył Stepanowicz robił nam zdjęcia. Miał aparat „Kijów” z takim urządzeniem, które pozwalała na fotografowanie siebie samego. Trzeba tylko nastawić aparat, a potem jak najszybciej wrócić na to

miejsce, na które go się wycelowało. Wszyscy fotografowaliśmy się z Wasylem Stepanowiczem i za każdym razem Wasyl Stepanowicz ustawiał mnie obok Wali.

— Ojcowie i dzieci — mówił. — Tak by można zatytułować to zdjęcie: „Ojcowie i dzieci”. Możecie się nie obawiać, prześlę wam zdjęcia.

Przed odjazdem tato mnie zdumiał.

— Nie, nie, samochodu nie trzeba — wymawiał się kategorycznie. — Chcę chociaż raz w życiu spróbować, jak to się jeździ na motocyklu. Pojadę z Romanem.

Wasyl Stepanowicz długo mu odradzał, a potem nagle powiedział, że i sam by się chętnie ze mną przejechał. Potem pierwszy zastępca, Natalia Dominikiwna i Wala odprowadzili nas za bramę, ja z miejsca dałem gaz, tata z przerażenia tak mi się wczepił w ramiona, że o mało co nie wylądowaliśmy w rowie, ale wyrównałem i dodałem jeszcze więcej gazu.

Mój czerwony końś równo, bez tego okropnego dygotu, który się zdarza, kiedy kierownica znajdzie się w rękach profana, gnał szosą, za moimi plecami siedział tato i podobała się tacie ta szybkość, ten pęd, tyle że trochę się bał, jak to za pierwszym razem. A ja się cieszyłem, że czuję tatę za plecami, że tato żyje, że ja żyję i że życie to taka piękna i wesoła rzecz.

Kaszlałem.

Wira spoglądała z zaniepokojeniem, znalazła jakieś pigułki, zmusiła mnie, żebym połknął od razu dwie, potem dała mi poduszkę z kanapy i zaproponowała niepewnie:

— Zasłaniaj usta, kiedy kaszlesz. Żeby nie było tak bardzo słychać.

Przycisnąłem poduszkę do twarzy. Kaszel był teraz nieco cichszy, ale brzmiał jakoś dziwnie, jakby to nie człowiek kaszlał, lecz pies.

— Nie gniewaj się — powiedziała Wira. — Ale rozumiesz...

I opowiedziała mi, że kiedy zaszła w ciążę, kiedy sama jeszcze nie była pewna i nic nie mówiła jeszcze Wiktorowi, ani nie chodziła jeszcze do lekarza, zaczęła ją raptem kobieta z sąsiedniej klatki.

— Wiesz, która — powiedziała Wira. — Nie wiem nawet, jak się nazywa. No, ma takiego psa, jakby z marmuru. Szarobiały, uszy do ziemi.

— Spaniel — powiedziałem. — Wiem.

„Gratuluję... Chłopczyka się spodziewacie czy dziewczynki?”

Wira zbaraniała i zaczęła wypytywać, skąd ta ma takie wiadomości.

„Hanna Iwanowna mi mówiła. Stolarowa”.

Hannę Iwanownę to ja znam. Mieszka na naszej klatce. Na piątym piętrze. Wąsata dama, zawsze papieros w zębach. Pali „Priboje”. Mama mówi o niej: „To taka baba, że jej diabeł na widłach spodnie podawał”.

Wira poszła do Hanny Iwanowny. Od razu.

„No, jak to — powiedziała Hanna Iwanowna — dawniej, jak wróciliście z roboty to u nas od razu pantofelki stuk-stuk po suficie. A teraz ranne pantofle człap-człap”.

Och, te betonowe stropy.

Jeszcze mocniej przycisnąłem do twarzy poduszkę.

Najprecyzyjniejszą i najważniejszą częścią naszego urządzenia były dyferencjalno-mostkowe filtry pasmowe. Sam zrobiłem potrzebne obliczenia. To nawet było proste.

$$C_1 = \frac{fc^2 - fc^1}{2\pi fc^1 f^2 (m_1 + m_2)} ;$$

$$C_2 = \frac{(fc^2 - fc^1) (m_1 + m_2)}{2\pi fc^1 - fc^2 R (1 + m_1 m_2)} ;$$

$$C_3 = \frac{(fc^2 - fc^1)m_1m_2}{2\pi fc^1 fc^2 R (m_1 + m_2)} ;$$

$$L_1 = \frac{fc^2 R (m_1 + m_2)}{2\pi fc^1 (fc^2 - fc^1)} ;$$

$$L_2 = \frac{(fc^1 + m_1m_2f^2c^2)R}{2\pi fc^1 fc^2 (fc^2 - fc^1) (m_1 + m_2)} ;$$

$$L_3 = \frac{R (m_1 + m_2) fc^1}{2\pi fc^2 (fc^2 - fc^1) m_1 m_2} M.$$

Współczynniki wyznaczyłem kierując się częstotliwościami, na których należy zapewnić maksymalne wygaszenie.

Kiedy skończyłem te obliczenia, a okazało się, że rzecz jest dość żmudna, pokazałem je Mykoła.

— Jak w najlepszych domach Londynu i Paryża — przeglądając moje bazgroły powiedział Mykoła. — Brakuje tylko podpisu: „Główny konstruktor R. O. Puzo”.

— Gdyby to można było tak samo — powiedziałem — wyliczyć pragnienie człowieka. I podzielić rezultat przez sumę możliwości...

— To co?

— To otrzymalibyśmy współczynnik szczęścia człowieka.

— Naprawdę uważasz, że szczęście to właśnie tożsamość pragnień i możliwości? — zapytał z powątpiewaniem Mykoła.

— Oczywiście.

— To by znaczyło, że najszczęśliwszy jest ten, kto ma najmniej pragnień. Powiedzmy, trup.

Jakoś o tym nie pomyślałem. Mykoła ma głowę nie od parady. Kombinuje.

Poza tym nie byliśmy zbyt wybredni w wykorzystania-

niu seryjnych elementów, które Mykoła przyniósł ze swojego instytutu, a magnetofon wycygałem w naszym klubie fabrycznym.

Powiedziałem, że zwrócę go niedługo. Że potrzebny jest do ważnego eksperymentu produkcyjnego, do zaprogramowanego sterowania obrabiarką. Kierownik klubu, stary sceptyk Walerij Fiodorowicz z początku nam odmówił — kiedyś był strażakiem, sikawkowym — ale potem dał za pokwitowaniem całkiem rozchwierutaną aparaturę pod warunkiem, że kiedy ją zwrócę, będzie w zupełnym porządku.

Wołodimir Pawłowicz Paszko, generalny dyrektor naszej fabryki, jak wiadomo nie znosi piłki nożnej. Był jakiś taki incydent w jego życiu. Jakiś taki felieton w „Krokodylu”. Kiedy jeszcze pracował w Czelabińsku, fabryka miała zakładową drużynę piłki nożnej, z której żaden zawodnik w fabryce nie pracował. Wołodimir Pawłowicz skaperował nawet obrońcę z kujbyszewskich „Skrzydeł Sowietów”.

Od tamtej pory piłka nożna całkiem Paszce zubożniała, za to zaczął się pasjonować sportem motocyklowym. Jeździ na wszystkie zawody. Naszym motocyklistom pozwala zrobić w fabryce każdy remont, każde udoskonalenie w ich motorach wyścigowych. Członków klubu motorowego chętnie zwalnia na każde zawody. Płaci im średnią. Ale nie ma u nas mowy o tym, żeby urwać z czasu pracy choćby parę godzin na przygotowanie do zawodów. Uznają to za nieobecność nie usprawiedliwioną.

Powiedziałem do Mykoły:

— Dobrze by było rzeczywiście zainstalować na mojej obrabiarce sterowanie zaprogramowane. Maszyna by harowała, a ja bym tymczasem robił przegląd silnika...

Mykoła powiedział, że to skomplikowana sprawa, że

co do niego to jest teraz zajęty czymś zupełnie innym — opracowuje programy dla mózgów elektronicznych. Są to programy obliczone na rejestry pojemnościowe. Ten system zupełnie się nie nadaje do programowanego sterowania zwykłą obrabiarką.

Ale następnego dnia podczas przerwy obiadowej, kiedy pośpiesznie zjadając kanapki robiłem coś w naszych klubowych warsztatach, Mykoła stwierdził nagle, że dałoby się zapisać program na taśmie magnetycznej, ale trzeba by go spisać nie z maszyny obliczeniowej, tylko z ruchów doświadczonego robotnika.

Kiedy byłem jeszcze całkiem malutki, posługiwałem się widelcem w ten sposób, że najpierw brałem ziemniak z talerza palcami, nabijałem go na widelec, a dopiero potem niosłem na widelcu do ust. Wszystkie nasze eksperymenty z programowanym sterowaniem przypominały ten właśnie sposób spożywania ziemniaków. Pracowaliśmy jak diabli. Siedzieliśmy po nocach. Magnetofon do niczego się nie nadawał. W dodatku był przystosowany nie do taśmy specjalnej, która ma szerokość 12,7 milimetra, ale do standardowej, 6,35 mm, i musieliśmy wynaleźć szczególny rodzaj zapisu z częstotliwościowym podziałem kanałów.

Elektroniczną część układu zmontowaliśmy oddzielnie, w skrzynce, którą zrobił dla nas dziadek Petro. Na wieczku nie wiadomo dlaczego wyrzeźbił wizerunek wielbłąda. Nazwaliśmy więc nasze urządzenie „Wielbłądem”...

Następnie poprosiliśmy Grigorija Michejowicza, starszego, doświadczonego tokarza, żeby zechciał popracować w zwolnionym tempie, my zaś zapiszemy wszystkie jego ruchy na taśmie magnetofonowej.

Staruszek odniósł się do naszych pomysłów podejrzliwie. Jestem uczniem Grigorija Michejowicza. Do tej pory patrzy na mnie nieufnie. Nie bez powodu. Kiedy

przyszedłem do niego jako uczeń, powtarzał nieustannie: „Rób jak ja”. Taką ma metodę. Zacząłem więc mówić jak on, podkrecać wyimaginowanego węża, wyjmo-
wałem nie istniejący zegarek kieszonkowy, potrząsałem nim i przykładałem go do ucha i przy każdej okazji mówiłem: „Rób jak ja”.

Oddział turlał się ze śmiechu, a Grigorij Michejowicz tak się obraził, że aż poskarżył się tacie. Ale nie przepędził mnie od swojej obrabiarki. „Taka to sprawa... — powiedział. — Za swoją głupotę sam będziesz pokutował. A tokarza to ja z ciebie zrobię”.

Wreszcie jakoś go namówiliśmy. Co prawda możliwe jest, że jego zainteresowanie „Wielbłądem” wzrosło po tym, jak mu obiecałem pół litra „Stolicznej”.

Grigorij Michejowicz włączył obrabiarkę, powoli — pięćdziesiąt milimetrów na minutę — doprowadził nóż i przystąpił do pracy. Na to warto było popatrzeć. Artysta. W cyrku mógłby występować. Zamiast żonglerów. I to najlepszych. Tych, u których fruwa w powietrzu po dziesięć przedmiotów jednocześnie. A oni jeszcze do tego trzymają w zębach trzcinkę, na której wiruje kula.

Zadnych niepotrzebnych ruchów. Choćby milimetro-
wych. A kimże jest Grigorij Michejowicz? Zwykłym tokarzem. Ma tyle lat, że mógłby już być na emeryturze. Ale pracuje. Syn porzucił rodzinę. Przeprowadził się do Krzywego Rogu. Tam założył nową rodzinę. A synowa z dwojgiem wnucząt mieszka z Grigorijem Michejowiczem. Gdzie tu wypoczywać? Zarobić trzeba. Na kaftaniki dla wnucząt. Żeby nie wyglądały gorzej niż inne dzieciaki.

Każdy ruch Grigorija Michejowicza zapisaliśmy na taśmie, a kiedy wyłączył obrabiarkę, przewinęliśmy taśmę, przestawiliśmy „Wielbłąda” na odtwarzanie, już na innej prędkości. I obrabiarka zaczęła pracować jak żywa. Co mówię... Człowiek tak nie potrafi.

Grigorij Michejowicz tylko oczy wybałuszał.

„Ależ pożera odlewy, swołocz”. „Swołocz” to u niego bynajmniej nie przekleństwo. Raczej przeciwnie.

Nigdy bym się nie spodziewał, że ta sprawa nabierze takiego rozgłosu. W gazecie zakładowej „Fabryka fabryk” wydrukowali nasze zdjęcia. Mykoła wyszedł jak to Mykoła. Tylko twarz miał jakby dłuższą. Ale mnie wyretuszowali jak portret artystyczny. Przygładzili mi włosy. Z moich wypłowiałych brwi zrobili czarne i przedłużyli je aż na skronie. Usta zaciśnięte. Spojrzenie dumne i nieprzystępne. W ten sposób wyglądam na tym zdjęciu nie tak, jak naprawdę, ale za to tak, jak bym chciał wyglądać. Też mi realiści.

Ale nie to jest najważniejsze. Najważniejsze, że napisali o nas zupełnie bzdury. Najpierw więc była mowa o tym, jak to my się uroczyście przygotowujemy do ogólnonarodowego święta. Potem było o zacieraniu granic. O twórczej współpracy młodego uczonego i młodego robotnika. O tym, że godnie kontynuujemy tradycję mojego ojca i że w ten sposób przysłowie „niedaleko pada jabłko od jabłoni”, które miało zawsze sens negatywny, nabiera w tym wypadku sensu pozytywnego.

Nad tym, jaki sens miało to przysłowie w odniesieniu do Mykoły, nikt się nie zastanawiał. O jego ojcu w artykule, oczywiście, nie było żadnej wzmianki.

To by jeszcze było nic, ale dalej w artykule była mowa o tym, że zrobiliśmy naszego „Wielbłąda” powodowani szlachetnym pragnieniem przyspieszenia dalszego wzrostu wydajności pracy, podczas gdy każdy na oddziale wie, że nie powodowało mną nic poza chęcią wygospodarowania większej ilości wolnego czasu na przygotowania do zawodów.

Czułem się oczywiście bardzo głupio. Przez ten portret. I przez ten artykuł. Ale było mi, mimo wszystko, przyjemnie. Zdawałem sobie sprawę z tego, że tak

pisać nie należy, że to nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Ale z drugiej strony czy, gdyby gazeta zakładowa skrytykowała mnie w artykule, który nie miałby wiele wspólnego z rzeczywistością, to popsułoby mi to humor? Niewątpliwie. Więc czemu nie miałbym się cieszyć, skoro chwalał mnie w artykule, który nie całkiem odpowiada prawdzie?

Tym bardziej że, jak się niebawem okazało, artykuł ten po prostu nas uratował.

Wmontowaliśmy w „Wielbłąda” schemat, który kontrolował ilość impulsów według zasady „para — nie para”. Jeśli nie było impulsu roboczego, schemat kontrolny automatycznie wyłączał obrabiarkę.

A jednak nasza aparatura nie była zbyt niezawodna. Taśma magnetofonowa ma tę właściwość, że się rozciąga i deformuje przy przegrywaniu, zapisane na niej sygnały niekiedy mogą zostać skasowane albo co gorsza mogą się samozapisać sygnały fałszywe. Sprawdzić, w jakim stanie jest taśma, można tylko obserwując produkcję, na samej taśmie zapis nie pozostawia przecież żadnych widocznych śladów. Poza tym mogą się zdarzyć skoki napięcia powodowane przez złe działanie transformatora. W ogóle nasz „Wielbłąd” nie miał wielu zalet, które, może nawet nie zdając sobie z tego sprawy, ma Grigorij Michejowicz.

Generalny dyrektor naszej fabryki ma taki ulubiony żarcik, który powtarza bodaj na każdym zebraniu: „Szanuj automatykę, ceń ją, śledź ją, bo zawiedzie, ścierwo”.

Początkowo i ja tak robiłem, zwłaszcza że koło mojej obrabiarki coraz to ktoś się pojawiał — to majster, to ktoś z kontroli technicznej, to po prostu ciekawscy. A ja tylko chodziłem naokoło maszyny i chwaliłem się, starając się wygłądać na wielce skromnego.

Ale z czasem coraz częściej zacząłem odchodzić od

warsztatu po to, żeby zakrzętać się w klubowych warsztatach wokół mojego motocykla. Tam też mnie znaleźli. Przybiegła po mnie dziewczyna z WKT. W warsztatach klubowych nie ma telefonu.

Przed „Wielbłądem” tłoczyło się sporo ludzi. Obrabiarka nie pracowała. Kierownik WKT Malimon na mój widok powiedział wieloznacznie:

— Kota w worku nie schowasz!

Dopiero później zrozumiałem, do czego pił. Wtedy nie to mi było w głowie. W wielkiej skrzyni metalowej, do której obrabiarka zrzuca gotowe już detale, leżały dziwne rzeczy. Same braki. A nawet nie braki, tylko diabli wiedzą co. Powinny były być wyprofilowane schodkowato. Ale tu niczego schodkowatego nie było. Wszystkie detale miały tak nieprzyzwoity kształt, jakby to było zrobione naumyślnie.

Uszło nam to wszystko płazem, jak słusznie zauważył Wilia, tylko dlatego, że był już ten artykuł w gazecie zakładowej. Przecież nie mogli dać sprostowania z karykaturami zamiast portretów.

A magnetofon oddałem do klubu. Działający. Znowu przegrywają tam na nim te swoje hocki-klocki.

Wilia rozłożył swój motocykl, na, jak się teraz wyrażają uczeni, cząsteczki elementarne i zamierzał się właśnie posunąć jeszcze dalej. Poniewierało się na podłodze mnóstwo chaotycznie rozrzuconych drobnych części.

— Trzeba by dać dwa razy cieńszy dławik i wstawić dodatkowy, gumowy — powiedziałem. — Zwiększyłyby się rozrzedzanie.

— Lepiej byś mi wytoczył ze stali mutrę, która przytrzymuje tłumik — powiedział Mykoła. — Aluminiowe pękają.

— Pora by też szczyścić nagar — zauważyłem, oglądając części rozebranego silnika.

— Powinieneś też zmienić pierścienie — podchwycił Mykoła. — Za dużo dajesz oleju. To już sito, nie pierścienie.

— Borys Josipowicz Hopnik — Wilia przyglądał bródkę — opowiadał, że znany rzeźbiarz ze starożytnej Grecji Poliktet zrobił takie doświadczenie. Zaczął kuć w marmurze dwa jednakowe posągi. Ale jeden z nich poprawiał stosując się do wskazówek każdego, kto wszedł do jego pracowni. Domyślcie się, co z tego wyszło?

— Któż to taki ten Hopnik? — zainteresował się Mykoła.

— Pasażer. Wiozłem go wczoraj do Borysopola. Na lotnisko.

— To historyk?

— Nie. Dziennikarz sportowy. Na oko w moim wieku. Ale twierdzi, że ma pięćdziesiątkę. Zameźną córkę. Powiada, że nigdy nie pił ani nie palił. I to go tak zakonserwowało. Zaraz potem zaprosił mnie na jednego. Wczoraj przez niego nie wykonałem planu.

— Dlaczego?

— Gadaliśmy. Ma własną teorię. Jak uważacie, czy wszystko w przyrodzie jest celowe?

— W zasadzie tak — ostrożnie odparł Mykoła.

— No, a on twierdzi, że tak nam się tylko wydaje. Fakty leżą na wierzchu i stały się dla nas zbyt oczywiste. Dlatego też wszystko wydaje się zrozumiałe: ryby mają opływowe kształty, żeby im się lepiej pływało. Dmuchawiec ma te swoje spadochroniki, żeby mógł, że się tak wyrażę, poszerzyć swoją przestrzeń życiową. I fotosynteza, i system nerwowy, i poruszanie się zwierząt metodą skurczów mięśni wydają się nam zrozumiałe i celowe. Ale czemu, zapytuje Hopnik, przyroda nie

poszła drogą takich doskonałych ułatwień jak koło albo łączność radiowa?

— Czemuż to? — okropnie zainteresował się Mykoła.

— Hopnik powiada, że ewolucja to nie zwykły proces rozwoju, że wiele w niej zależało od przypadku, od dziedziczności, od mutacji, od doboru naturalnego. Dopiero z perspektywy może się wydawać, że wszystko odbywało się zgodnie z planem.

— A w historii? — zapytałem. — Czy w historii jest tak samo?

— Historii nie zdążyliśmy omówić — powiedział Wilia. — I tak o mało co się nie spóźnił na samolot.

„A w życiu człowieka? Jednostki? — zastanawiałem się. — Też działa przypadek, dziedziczność i mutacja?... A dopiero z perspektywy wszystko wydaje się konsekwentne i celowe?”

Byłem niedawno na odczycie o drugiej zasadzie termodynamiki. Lektor powiedział, że wszystkie zachodzące w przyrodzie procesy zwiększają istniejący w niej chaos, czyli, inaczej mówiąc, entropię. Ale życie to nieustanna walka z ogólną tendencją do dezorganizacji, do chaosu, walka o dezentropię systemu, o pożywienie, o informację, o szczęście.

I, co za tym idzie, każdy człowiek w tej walce z entropią dąży do stałości i równowagi. Odrzuca to, co przypadkowe, stawia temu opór.

W mieszkaniu u sąsiadów rozsadzała ściany „Hańdzia” w jazzowym opracowaniu. Mieszka tam radioamator, który chodzi do dziewiątej klasy, Serhijko Swatow, syn naszego głównego technologa. Byłem kiedyś u niego. Magnetofon własnej roboty, sporządzony, jak mi się wydało, na bazie elektrycznej froterki i rowerka trójkołowego, Serhijko podłączył chyba do dziesięciu głośników rozstawionych po wszystkich kątach

mieszkania. Połączył z tym również własnej roboty sprężynowy rewerberator. To mu gwarantuje odpowiedni pogłos, muzyka dudni w pokoju niczym organy w soborze. Serhijko, jak się wydaje, bynajmniej nie ma zamiaru ukrywać przed sąsiadami zalet swojej aparatury dźwiękowej.

Wira płakała przy akompaniamencie tej muzyki. A ja nie mogę znieść jej płaczu. Nie mogę znieść, kiedy tak po prostu stoi przede mną, nic nie mówi, nie chlipie, twarz jej nie zmienia wyrazu, a z oczu płyną łzy. W dodatku Wira maluje rzęsy i zawsze się boję, żeby farba nie trafiła jej do oka.

— No, dobrze — mówię. — No, przestań. Niech wszystko zostanie tak, jak było. Niech będzie tak, jak chcesz.

Łzy płyną, jak płynęły, ale Wira mówi tak, jakby nie płakała. Spokojnie. Cicho. Rzeczowo.

— Ja nie mogę bez ciebie... Ja nie umrę. Będę żyć, jak żyłam. Ale wszystko się dla mnie skończy.

— Więc zróbmy tak, jak ci proponuję! — nieomal krzyczę. — Odejdź od męża! Mieszkajmy razem! Jak ludzie! Przestańmy się kryć!

— Dlaczego mi to mówisz? — Po łzach nagle nie pozostało ani śladu i twarz Wiry od razu zdumiewająco wyładniała. — Siedem lat różnicy. Co by powiedzieli twoi rodzice? A dziecko?

— W takim razie nie powinienem się był tak zaprzyjaźniać z Wiktorem.

— Inaczej nie moglibyśmy się tak często widywać. To oczywiście prawda. Wszystko to jakoś samo się stało. Nie mógłbym się z nią tak często widywać, gdyby nie to, że wszyscy naokoło wiedzą, że się przyjaźnię z Wiktorem. Z Wiktorem, a nie z nią.

Ale ja się muszę przyjaźnić z Wiktorem. To cudowny chłopak. Tysiąc razy lepszy ode mnie. W ogóle

nie rozumiem, jak Wira może kochać kogokolwiek innego. Nie rozumiem tego, ale nigdy nie rozmawiałem z nią na ten temat. Nigdy w ogóle nie mówimy o Wiktorze.

On się do mnie bardzo dobrze odnosi. Szanuje mnie. Jest zorientowany we wszystkich moich sprawach. Prócz tej jednej. Nawet do głowy mu nie przychodzi, że może być tak haniebnie oszukiwany. On jest normalnym człowiekiem. Jak wszyscy. To ja i Wira jesteśmy nienormalni.

— No, dość już — mówię. — Czas na nas. Chłopcy czekają.

Wiktor pojechał na delegację do Moskwy. Przed odjazdem prosił mnie o opiekę nad Wira, żeby jej się nie nudziło samej.

— Nigdy się jakoś nie mogę z nią wybrać do muzeum — powiedział mi ufnie. — Pomyśl tylko, że przyjezdni znają kijowskie muzea lepiej niż my. Aż jakoś głupio.

I oto dziś wybieramy się do muzeum. Ja z Wira, Mykoła z Oleną i Wilia ze swoją nową dziewczyną, Tamarą. Wilia coraz to ma nową dziewczynę. Z żadną nie chodzi dłużej niż miesiąc. Nie wiem, jak mu się to udaje. No bo jak można komuś, komu się mówiło, że się go kocha, kogo się całowało, powiedzieć ni stąd, ni zowąd: „A teraz się rozstaniemy”. Jest to nie do pomyslenia. Próbowałem. Ale to może one go rzucają?...

Wilia zapewniał kiedyś, że najlepszy sposób na poderwanie dziewczyny to porozmawiać z nią na tematy filozoficzne. Nic pod słońcem nie interesuje dziewczyn tak, jak teoria wartości i sprawiedliwość społeczna. Może tylko nowości mody cieszą się wśród nich równym zainteresowaniem. A już rozmowa o alienacji — każda dziewczyna czuje się wyobcowana — to coś doprawdy poza wszelką konkurencją.

— Posłuchaj — powiedziałem. — Jak to wygląda z punktu widzenia tej twojej moralności? Kiedy mąż zdradza żonę? Albo żona męża?

— Bardzo zwyczajnie. Z moralnością to się pogodzić nie da. Z żadną. Zwłaszcza z komunistyczną.

— To znaczy, że masz dwie moralności: jedną na własny użytek, a drugą na użytek wszystkich oprócz ciebie?

— Nie wygłupiaj się — obraził się Wilia. — Z żonatymi, to znaczy z mężatkami, nigdy się nie zadają. Ani z takimi, co mają mniej niż osiemnaście lat. Tylko z takimi, z którymi jestem na równych prawach.

— Nie całkiem na równych prawach. Przecież coś im obiecujesz. No, jeśli nie małżeństwo, to przynajmniej to, że będziesz jej wierny.

— Nigdy w życiu. Otóż to. Absolutna szczerłość. Od pierwszej randki uprzedzam, że ani mi w głowie się żenić. Owszem, będę się z nią spotykał, będę się z nią umawiał na randki, ale potem przestanę. Może nawet bez uprzednich rozmów dyplomatycznych. Spontanicznie. Rzecz w tym, że żadna w to nie wierzy. Im się zdaje, że dotąd może tak i postępowałem, ale teraz, z nią, wszystko będzie zupełnie inaczej.

— A jakby ci dziewczyna powiedziała: „Możemy ze sobą pochodzić, ale za mąż za ciebie nie wyjdę, żeby się waliło i paliło, i pewnego pięknego dnia powiem ci po prostu »do widzenia«, licząc się z tym”. To co, jak byś się do tego odniósł?

— Może właśnie z taką warto by się było ożenić?

Tak więc Wilia jest absolutnym przeciwieństwem Mykoły, który z Oleną ożenił się z miejsca.

O tym ślubie mówił cały Kijów. Chyba nigdy nie widziałem tylu naraz uśmiechniętych twarzy, jak wtedy, kiedyśmy przejeżdżali ulicami. Największe wrażenie wywierała eskorta. Jedenastu motocyklistów z na-

szego klubu, a wszyscy na czerwonych „Jawach”, wszyscy w czarnych skórzanych kurtkach, w białych kaskach, sunęliśmy równiutkim klinem przed czarnym „ZIŁ-em” z miejskiego przedsiębiorstwa taksówkowego, a w samochodzie siedziała Olena z Mykołą i rodzice Oleny. A na dachu taksówki przymocowaliśmy wielką czerwoną dyktę z napisem białymi literami: „Jedziemy z Urzędu Stanu Cywilnego!”

Widząc nas z daleka milicjanci na skrzyżowaniach przeżyli się jak na warcie honorowej, przykładali dłonie do daszków, a potem, kiedy już zobaczyli tę dyktę, uśmiechali się wesoło i dawali nam zielone światło.

Na weselu tańczono najmodniejsze tańce na przemian z hopakiem. „Skokopłas”, jak się podobno według posiadanych przez Wilię danych miał wyrazić w jakimś swoim ukazie Piotr Pierwszy, ogarnął wszystkich. Jestem pewien, że hopak kiedyś jeszcze podbije świat. Jest szybki jak wszystkie modne tańce, melodie są wesołe, a żeby tańczyć w prysiadach, trzeba tak samo jak przy tańcach nowoczesnych mieć spory zapas sił i solidny trening.

Na weselu byli wprawdzie również niezadowoleni. Z powodu alkoholu. Przygotowywaliśmy się właśnie do crossu i „byliśmy na diecie”. A i w ogóle niedużo wypije taki, co przyjechał na wesele na motorze. Taka już nasza motorowa dola.

A tymczasem na weselu byli też, jasna sprawa, przyjaciele Oleny. Koledzy z konserwatorium. Nieprzyjemnie im było, że oni piją, a my nie. Ale w końcu wypili swoje, krzyczeli: „Gorzko, gorzko”. Mykoła przez solidarność z nami pił wodę mineralną.

Wrył mi się w pamięć Mykoła taki, jaki był na weselu — wysoki, przystojny, z ujmującym uśmiechem, przy nim Olena, długonoga śmieszka z kędziorkami na czole. W Urzędzie Stanu Cywilnego miała na

głowie coś, co przypominało firankę, a nazywa się welon. Ale w domu zdjęła ten welon i ku niezadowoleniu swoich rodziców zmieniła tak zwaną ślubną białą suknię na elegancką czerwoną sukienkę wieczorową.

— Żeby się nie wyróżniać — powiedziała.

— Pokłusujemy? — zapytała mnie Olena, kiedy magnetofon wyrzucił z siebie kolejny „pop”.

„Kłusować” to takie wyrażonko jak „stłuc ryja”. „Pop” się właśnie kłusuje.

I zakłusowaliśmy...

...Szczyrimy się tym, że nigdy się nie spóźnimy. Kiedy się umawiamy z kolegami, to żeby nie wiem co, przychodzimy o umówionej porze. Punktualnie. Co prawda mamy takie powiedzonko: „Z dokładnością do plus minus trzech minut”, ale nie spóźnimy się nawet o minutę.

O dziewiętnastej zero zero zatrzymały się więc przed muzeum trzy motocykle. Wira i Olena poznały się z tą Tamarą Wili. Tamara jest wyższa od Wili o pół głowy. Ależ rosną te dzisiejsze dziewczyny! Typowa koszykarka. A z zawodu jest operatorem w kinie.

Chłopcy się ucieszyli, że widzą Wirę. Lubią ją i uważają za „swojego człowieka”. Ciekawe, czy się nie domyślają, jakie mnie z nią łączą stosunki? Myślę, że nie. Ja na ich miejscu nigdy bym na to nie wpadł. To jest zbyt niewiarygodne. Choć z drugiej strony... Wypiliśmy trochę w urodziny Mykoły. I nieustannie mnie korciło, żeby pogadać o Wirze. To znaczy, nie, żebym chciał im coś takiego opowiedzieć, po prostu miałem ochotę wymawiać jej imię, powiedzieć, że byłem wczoraj z nią i z Wiktoorem nad Dnieprem i żeśmy się nawet przejechali ślizgiem. Mykoła ciężko oparł się o stół i powiedział nie patrząc na mnie:

— Nie zapłacz się, Roma...

A ja tymczasem już dawno się zaplątałem.

Na drzwiach muzeum przeczytaliśmy: „W piątce muzeum nieczynne”. Nie mieliśmy szczęścia. Postanowiliśmy przynajmniej obejrzeć budynek od zewnątrz. Z boków i z tyłu teren muzealny ogrodzony był parkanem na półtora chłopca wysokim. Była w tym parkanie furtka, ale zamknięta od wewnątrz na zasuwę. Spojrzałem na Wirę, podbiłem się, uchwyciłem za szczyt parkanu, podciągnąłem. Mykoła podstawił ramię, przelazłem na drugą stronę i odsunąłem tę zasuwę.

Weszliśmy na podwórze, obejrzelśmy budynek. Nic nadzwyczajnego. Stary dom. Taki pałacyk z kolumnadą. Wilia powiedział, że to rosyjski empire i już miał nas trochę podokształcać, a zarazem przy okazji pokazać, ile to on wie o tym całym rosyjskim empirze, kiedy nagle nie wiadomo skąd, skądś zza domu zjawiała się niestara jeszcze krępa kobieta, rozczochrana, jakby świeżo wstała z łóżka.

— Jakżeście się tu dostali? — zawołała piskliwie. — Tu jest teren zamknięty! Wejście wzbronione! Tu nie wolno wchodzić!

— Obejrzymy i pójdziemy sobie — flegmatycznie odparł Mykoła.

— Przeleźliście przez płot! Ja wam pokażę! — Aż się wykrzywiła ze złości i zawołała głośno: — Reks! Reks!

A na to zza budy wygramolił się powoli ogromny owczarek. Widywałem takie tylko w kinie, na filmach o wojskach ochrony pogranicza. Szary, zadbany, sierść miał gładką i lśniącą. Przystanął na chwilę i rozdziawił paszczkę. Ho-ho!... Jeśli chodzi o ilość i o wielkość zębów owczarek ten mógłby, moim zdaniem, iść o lepsze z każdym krokodylem. Gdyby nie dziewczęta, to bym oczywiście co prędzej wziął nogi za pas, dobiegłbym do płotu i pał je sześć, moje dzinsy, które ten Reks z wszelką pewnością podarłby na strzępy. Ale

w tej sytuacji nic już nie można było zrobić. Znieruchomiliśmy wszyscy. Czułem, że mi zastygł na twarzy jakiś idiotyczny uśmiezek.

Reks pomknął wprost na mnie. Odbił się tylnymi łapami, przednimi wparł mi się w ramiona — a ja ciągle jeszcze się uśmiechałem — i zaczął lizać mnie po twarzy oraz merdać ogonem.

Wira się roześmiała.

— Reks, Reksiu! — mówiłem, zupełnie oszołomiony. — Dobry piesek! Jaki śliczny piesek!

A Reks podskakiwał wokół nas, usiłował zlizać puder z nosa Wiry. To ogromne bydlę zachowywało się jak szczeniaczek. Z pewnością w tej swojej budzie stęsknił się za ludźmi.

Kobieta, która nas nim poszczuła, całkiem zgłupiała i rozglądała się bezradnie.

— No, tośmy się poznali z Reksiem — powiedział Mykoła. — Chodźmy, dzieci.

Poszliśmy do furtki, ale Reks, nadal wdzięcząc się i podskakując, ruszył za nami.

— Reks, wracaj! Reks, do nogi! — krzyczała kobieta.

— Przecież mam w torbie kiełbasę — ucieszyła się nagle Tamara. Otworzyła swoją dużą torbę, wyjęła całe pęto suchej kiełbasy, odłamała kawałek i podała go Wili. I zobaczyliśmy, jak Wilia i Reks pochłaniają na wypródki tę nieoczekiwaną zdobycz.

— Ludzie pracy powitali nas z wielkim entuzjazmem — powiedział Wilia.

Reks razem z nami wyszedł za furtkę, razem z nami ruszył ulicą.

— Dokąd zabieracie tego psa?! — ciągle krzyczała kobieta. — Zostawcie tego psa!

Nagle błyskawicznie wyjęła milicyjny gwizdek i zagwizdała co tchu w piersiach. Kto by utrzymywał, że

nasza milicja jest opieszala, ten by po prostu mijał się z prawdą. Na jej gwizdek natychmiast zza rogu ukazał się milicjant i przytrzymując dłonią kaburę z pistoletem podbiegł do nas.

— Co tu się dzieje? — zapytał surowo.

— Chuligani — powiedziała kobieta. — Wywabili muzealnego psa.

Milicjant podszedł bliżej do Reksa, ale Reks tak się wyszczerzył, tak warknął, że natychmiast pomyślałem: „Jak to ładnie ze strony tego pieska, że uznał nas za przyjaciół!”

— Jak to: wywabili? — zwrócił się milicjant do kobiety. — Zabierajcie swojego psa.

— Chodź tu, Reks, chodź tu, pieseczku — miodowym głosem zaczęła kobieta, ale Reksio zadarł tylko pysk do góry i tak na nią zaczął ujadać, że odskoczyła. Widocznie nie żywił wobec tej hałaśliwej osoby szczególnie tkliwych uczuć.

— Czyj to w końcu pies? — zapytał milicjant.

— Właśnie nie wiadomo — z powagą odpowiedziała Wira. — Przedtem był u tej kobiety, ale teraz postanowił zmienić miejsce pracy. Bez dwutygodniowego wypowiedzenia.

— Odprowadźcie go z powrotem — błagała kobieta. — Nie zagonię go sama. A tu jeżdżą samochody. Nie daj Boże, jeszcze coś się stanie.

— Chodźmy, Reks — powiedziałem i poprowadziłem psa z powrotem do furtki. Poszedł za mną merdając ogonem.

— Bądźcie tak dobrzy i wejdźcie do środka, a potem szybciotko wyjdźcie, żeby on znowu nie wybiegł — błagała dama.

Przypomniała sobie, że istnieją takie słowa jak „bądźcie tak dobrzy”.

Pożegnaliśmy się z psem wylewnie. Znowu oblizał

mi całą twarz, potem ja wyszedłem za furtkę, ta kobieta zasunęła zasuwkę, a obrażony Reks zabasował: huf-huf!... Szkoda psa. Kiepsko mu się tam chyba wieszcie. Nudy na pudy.

— Chodźmy do nas — zaproponowała Olena. — Posiedzimy, posłuchamy muzyki.

Spojrzałem na Wirę. Pochyliła głowę z aprobatą.

— No cóż, chodźmy — przystałem na propozycję.

Kiedy jechaliśmy, Wira mocniej przycisnęła się do mnie i powiedziała:

— Szkoda mi każdej minuty, którą mam stracić na kogoś innego niż ty. Ale dziś chodźmy tam. Popatrzmy sobie, jak ludzie żyją, jak żyją ci, którym wszystko ułożyło się lepiej niż nam.

Wjechaliśmy w ulicę Kirowa.

— Zatrzymaj się na moment — nagle powiedziała Wira.

Zahamowałem i spuściłem nogi, żeby utrzymać motocykl w równowadze. Wira obejrzała się.

— Popatrz — powiedziała.

Na jezdni przed sklepem spożywczym stał wóz wyładowany drucianymi pojemnikami, pełnymi trójkątnych kartonów. W takich pojemnikach przewozi się mleko. Rzadko teraz można zobaczyć konie w mieście. Nie ma ich prawie. A przed końmi stała jakaś babcia w czarnym odzieniu, z trzęsącą się głową. Rozglądała się dokoła wstydliwie, czy ktoś nie patrzy, co ona robi. Ona zaś wyjmowała z czarnej ceratowej torby kostki cukru i częstowała nimi z dłoni konie.

Co czuła przy tym? Co wspominała?

„A przecież kiedyś — pomyślałem — Wira też zobaczy przy chodniku stary motocykl. Ukradkiem wyjmie z torebki chusteczkę do nosa, skropi ją sidolem, przetrze czerwoną zmatowiałą powierzchnię i zaraz zaświeci, zajaśnieje jaskrawoczerwone miejsce”.

— Pojedziemy? — zapytałem.

— Pojedziemy — zgodziła się Wira.

Dogoniliśmy Wilię i Tamarę. Zjechał pod krawężnik, machali do nas. Był już przy nich Mykoła z Oleną.

Wilia złapał gumę. Gwóźdź wbił mu się w przednie koło. To trzeba umieć. Przy pewnej szybkości przednie koło podnosi i odrzuca na bok wszystko, co pod nie trafi. Natomiast dla ochrony tylnych kół założyliśmy w swoich motocyklach specjalne fartuchy z gumy. Dzięki nim zazwyczaj nie łapiemy gum.

Myślałem, że nasz talmudysta wyrwie sobie brodę.

— Coś ty wygadywał o prawie Gaussa? — naskoczył na Mykołę. — Ładne mi prawo!

— Co tu ma do rzeczy Gauss? — zdziwił się Mykoła.

— A to ma! To ma, że ten drań usprawiedliwia głupie przypadki.

— Przypadki nie mogą być głupie. Najwyżej my.

Olena ma wielkie mieszkanie. Chyba co najmniej czteropokojowe. W pokoju, do którego weszliśmy, strategicznie ważny punkt pod ścianą zajmował jakiś niepojęty mebel. Przypominało to wielki telewizor w jednym pudle z radiolą albo mały klozet obity na wysoki połysk.

— Berek — powiedziała Olena. — Szafa na butelki i kieliszki.

Obok barku wisiał na ścianie jedyny w tym pokoju obraz, reprodukcja pod szkłem, w wąskich metalowych ramach. Podeszedłem bliżej, żeby zobaczyć, co przedstawia ten obraz. W dole woda. Bezbrzeżna, jak okiem sięgnąć. Ale nie morze. Jakoś tak to namalowane, że się wie — tu niezbyt głęboko może dlatego, że sterczą z wody wysokie cienkie pale. Wspiera się na nich most bez poręczy, most ciągnie się daleko, w nieskończoność. A na moście — ludzie. Zbity tłum, który zajmuje całą na nim wolną przestrzeń, dąży w jednym kierunku —

od nas, w dal. Pada deszcz. Wielu idących ma parasole. Ci, którzy są po bokach, spadają. Kilkoro jest już w wodzie. Toną. Jeden dopiero co spadł. Leci jeszcze. Ktoś jeszcze inny wisi, uczepony krawędzi mostu.

Nikt nie dojdzie do końca. Pospadają wszyscy. Dokąd oni idą? I co jest tam, w oddali, tam, dokąd prowadzi ten most na wysokich, cienkich i pewnie nadgnitych palach drewnianych?

— Co to? — zapytałem Olenę.

— „Most” — odpowiedziała — Linke. Polski malarz.

Linke. Nigdy nie słyszałem tego nazwiska. Nie chciałbym mieszkać w domu, w którym miałbym zawsze przed oczyma ten obraz.

W obecności ojca Oleny, Anatolija Petrowicza, czułem się jakoś niepewnie. Jest uczonym. To członek-korespondent Ukraińskiej Akademii Nauk. Kierownik katedry na uniwersytecie. Katedry historii. Nie jestem, zdaje się, z tych bardzo bojaźliwych, ale w jego obecności mówię dziesięć razy wolniej niż normalnie. Zastanawiam się nad każdym słowem, nim je powiem.

Wilia natomiast rozmawiał z ojcem Oleny zupełnie swobodnie. Jak równy z równym. Anatolij Petrowicz cytował to i Wilia cytował. O mało co nie poklepywali się po ramionach.

— Przeczytałem kiedyś — powiedział Anatolij Petrowicz — u Bernarda Shawa takie słowa: „Myśląc o przeszłości, uchylcie kapelusza. Myśląc o przyszłości — zakaszcie rękawy”. Shaw zwraca się tu do waszego pokolenia.

— Ja zaś — odparł Wilia — przygotowywałem się do seminarium i czytałem Czaadajewa. Znalazłem w nim taką myśl: „Przeszłość nie jest nam podwładna, ale przyszłość zależy od nas”. I pomyślałem sobie, że to dotyczy waszego pokolenia. Jeśli sparafrazuje się nieco słowa Czaadajewa. Niektórzy nasi historycy

mają wszelkie podstawy, aby mówić o sobie: „Przyszłość nie jest nam podwładna, ale przeszłość zależy od nas”.

Anatolij Petrowicz o mało się nie zakrztusił, Wilia zaś mówił dalej, niby to niczego nie zauważając:

— Powinniśmy przejąć dobry zwyczaj niegdysiejszych Majów. Historyka, który przekręcał fakty, skazywali na karę śmierci. No, może kara śmierci to pewna przesada, ale historyk, który wczoraj pisał tak, a dziś inaczej, powinien w każdym razie co najmniej podać się do dymisji.

— A od fizyka nie wymagacie, żeby się w takich wypadkach podawał do dymisji? Albo od biologa? Historia tak samo jak inne nauki rozwija się, zyskuje nową wiedzę o faktach i jest zrozumiałe, że wtedy może te fakty ocenić inaczej.

Zaczęli rozmawiać o tym, jak można dokonać oceny wiarygodności faktów historycznych, niebawem rozmowa ta przerodziła się w spór o rolę jednostki i poszczególnych okresów w historii.

— Jeśli wyobrazić sobie wiek świata jako coś równego wysokością Uniwersytetowi Moskiewskiemu — mówił Anatolij Petrowicz — to okres, w którym istnieje ludzkość, porównać można do czegoś o grubości monety dziesięciokopiejkowej. Zaś okres, w którym ludzkość żyje w warunkach cywilizacji — do czegoś, co ma grubość stronicy w książce.

— Ale jeśli wyobrazić sobie szybkość, z jaką zachodzą przemiany w ludzkim społeczeństwie — zaprotestował Wilia — to przejście od ustroju niewolniczego do feudalizmu — jakieś cztery wieki — będzie szybkością, z jaką idzie piechur. Rozwój kapitalizmu trwał niespełna dwieście lat. To już niemal szybkość rowerzysty. A socjalizm ludzie osiągnęli w ciągu lat niespełna pięćdziesięciu. Jak na motocyklu.

— Więc uważacie, że dojdzie do szybkości rakiet? Z głowicami atomowymi? — zmrużył oczy Anatolij Pietrowicz.

— Nie. Tak nie uważam. Ale głowice atomowe niejednego zmuszą do tego, żeby się zastanowił nad przyszłością i wyciągnął z tego właściwe wnioski.

Po czym zaczęli wymachiwać cytatami jak ludzie pierwotni wymachiwali maczugami. Wybłyskiwały tylko nazwiska Leonarda da Vinci, Swifta, Beethovena, Newtona, Einsteina, Marksa, Engelsa, Puszkina...

A ja zdałem sobie sprawę z czegoś, nad czym nigdy dotąd się nie zastanawiałem. Zobaczyłem wszystko tak, jakbym patrzył z wysokiej góry. Pomyślałem sobie, że gdybym to ja był malarzem, to namalowałbym całkiem inny most. Na moim moście również nie byłoby poręczy. Ale zamiast nich staliby na moim moście trzymający się za ręce ludzie. Ci ludzie chroniliby idących. Ci ludzie to byłby Giordano Bruno i Swift, Leonardo da Vinci i Newton, Szewczenko i Byron, Puszkina, Łomonosow i Einstein, Pugaczow i Marks, i Lenin, i bohaterowie wszystkich wojen wyzwoleniczych, i ci wszyscy, których imiona ostały się we wdzięcznej pamięci ludzkości oraz ci, których wzloty i upadki zostały już zapomniane. Wszyscy oni pracowali dla swojej sprawy i ginęli za nią, za to, byśmy wyszli w jasną i piękną przyszłość. Niczego nie zabrali ze sobą do grobu. Przyszłości poświęcili najpiękniejsze swoje myśli i uczucia, swoją twórczość. Może nawet człowiek jaskiniowy pragnął zapewnić swym potomnym świat lepszy od tego, który sam odziedziczył.

Gdyby było inaczej, to człowiek współczesny nie mógłby się stać taki, jaki jest.

A ponieważ przyszłością ludzkości jest komunizm, to my właśnie, a nie kto inny jesteśmy prawnymi spadkobiercami tamtych wszystkich. Spadkobiercy — to w

tym wypadku bynajmniej nie ci, co otrzymali spadek. Ale i nie, jak mówi Szewczenko, „sławnych, wielkich pradziadów niegodne prawnuki”.

Oto Wilia znowu wygłasza filipikę przeciwko temu sformułowaniu — pamiętacie je? — że ludzie są jak małe śrubki wielkiego mechanizmu. A przecież społeczność ludzka jest jakimś skomplikowanym organizmem, w którym każdy z nas jest, no, jeśli już nie śrubką, skoro to słowo wydaje się Wili takie pogardliwe... Ale przecież człowiek jest częścią tego organizmu, małą częścią składową tej maszyny.

Zaś Anatolij Petrowicz często powtarza: „Prości ludzie to, prości ludzie tamto”. Ale kimże on jest, ten „prosty człowiek”? Czemu jest „prosty”? Bo nie zajmuje wysokiego stanowiska? Ależ w konstytucji wszyscy jesteśmy sobie równi. Bo nie dość jest wykształcony? Bzdury. Uczy się każdy, komu ochota. I bardzo wielu jest takich robotników czy kołchoźników, którzy swoim poziomem bynajmniej nie ustępują inżynierowi albo lekarzowi. Każdy o tym wie. Więc — bo nie jest bogaty? Albo nie imponuje pochodzeniem? Ależ w naszych warunkach społecznych bogactwo, a tym bardziej wysokie urodzenie, niewiele znaczą.

Więc kimże on jest, ten „prosty człowiek”? „Prosty radziecki człowiek”, w imię którego tylu ludzi pracowało i umierało? Ludzie płonęli na stosach i ginęli od kuli, pisali książki i symfonie po to, by ten właśnie człowiek żył w świecie sprawiedliwości i dobra, w świecie, który ma przyszłość...

Pokazywali w telewizji fabrykę konfekcji. Dziennikarka, modnie ubrana i pięknie uczesana dziewczyna, mówiła do niemłodej szwaczki, która nie wiadomo dla czego miała na sobie biały fartuch lekarski:

— Wy, Marto Semeniwna, jesteście znana jako wie-

loletnia uczestniczka zespołu artystycznego. Od ilu lat jesteście w zespole?

I wyciągała rękę z mikrofonem.

— W zespole artystycznym pracuję od roku tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego — odpowiadała sztucznym głosem Marta Semeniwna. — Nasze kółko dramatyczne ma w repertuarze sztuki Lope de Vegi, Szekspira i Moliera, a ze współczesnych autorów A. Sofronowa, O. Kołomyjcia i G. Sniegirowa. Sztuki tego ostatniego cieszą się...

Mama zgasila telewizor. Tato grał z Wilią w warcaby i nawet nie zauważyli tego.

Każde współczesne urządzenie odbiorcze, czy to będzie najdoskonalszy aparat radiowy, czy telewizor, składa się z dwóch zasadniczych części. Jedna to lampy radiowe albo półprzewodniki, kondensatory, transformatory, najrozmaitsze oporniki i coś tam jeszcze. Druga zaś część to wyłącznik.

Pierwsza część ostatnimi laty bardzo się wydoskonaliła, ulepszana jest z każdym dniem i fachowcy tak się na niej znają, że trudno wyjść z podziwu. Za to tej drugiej części, tego guzika wyłączającego, nikt, jak się zdaje, nie studiuje, nikt się nim naprawdę nie przejmuje. Tymczasem, jeśli się nad tym głębiej zastanowić, to urządzenie to jest niemniej istotne niż wszystkie owe tranzystory, transformatory i kondensatory razem wzięte. Wystarczy nacisnąć palcem ten guzik i choćbyś nie wiem co robił, najdoskonalszy telewizor będzie oddziaływał na widzów dokładnie w tym samym stopniu, w jakim muzyka organowa ma wpływ na urodzajność ogórków.

U nas w fabryce końca zmiany nie obwieszczają ani dzwonki, ani syrena. Każdy sam patrzy na zegarek. Jeżeli czegoś nie zdążyłeś zrobić, możesz zostać choćby godzinę dłużej, nikt nie będzie miał nic przeciw te-

mu. Ale jeżeli chciałbyś wyjść przed końcem zmiany, zatrzymają cię na wartowni: dlaczego, po co, dokąd?

Pewnego dnia szedłem do domu. Był to koniec miesiąca, dom wariatów, montowanie na gwałt obrabiarek do planu. Odwaliłem półtorej zmiany i uszarpałem się jak ten pies. Umówiłem się z Mykołą, że poczekam na niego i podrzucę go na moim motorze, bo w jego motocyklu postanowiliśmy podwyższyć kompresję. Na wartowni jest głośnik. Jest zawsze włączony, wartownicy podnoszą swój poziom ogólny i doskonale wiedzą, jaka dziś jest pogoda w Syktykwarze, w Moskwie i w Soczi.

Przy wartowni stały dwie dziewczyny, murarki w zachlapanych zaprawą kombinezonach. Buduje się u nas nową odlewnię.

— No, czemu się zatrzymałaś? Chodźmy — powiedziała jedna z nich.

— Poczekaj — odparła druga. — Posłuchajmy do końca Griega...

Nie znam się zanadto dobrze na muzyce poważnej i w pierwszej chwili w ogóle nie zwróciłem uwagi, co tam brzęczy w głośniku. Ale kiedy usłyszałem te słowa, zacząłem słuchać i poznałem koncert a-moll Griega. Kiedyś bardzo często nadawali go przez radio. Zatrzymałem się także i razem z dziewczętami wysłuchałem finału. Potem spiker powiedział: „Teraz prosimy posłuchać audycji dla młodych robotników”. I nagle dziewczęta ruszyły, jakby się zmówiły, odeszły.

Griega przeznaczano dla wszystkich radiosłuchaczy, zaś audycję dla młodych robotników nadawano, by tak rzec, specjalnie dla tych dziewcząt. One jednak uciekły.

Co prawda ja także niezadługo sobie poszedłem. Na ulicę. Do motocykla. Jak najdalej od tego głośnika. Audycja składała się z krótkich komunikatów o młodych robotnikach-przodownikach pracy z różnych fa-

bryk Ukrainy i w każdym takim komunikacie była mowa o „natchnionej pracy”, to słowo „natchnienie” odmieniane było przez wszystkie przypadki. Ludzie piszący o tym „natchnieniu” sami żadnego natchnienia najwyraźniej nie mieli i nawet tym chłopakom i dziewczynom, o których mówiły komunikaty, mogłoby się zdawać — gdyby, oczywiście, ci chłopcy i te dziewczyny, o których była mowa, słuchali tej audycji — że wszystko to są kłamstwa.

Wyobraziłem sobie, jak to w sprawozdaniach czy raportach — nie wiem, jak się nazywają notatki, które sporządza się dla zwierzchników po takich audycjach — mówi się, że rozpropagowano wśród młodzieży robotniczej osiągnięcia przodujących robotników i ich doświadczenia. A w gruncie rzeczy nie była to żadna propaganda. Młodzież robotnicza nacisnęła guzik wyłącznika.

O, należy prowadzić badania nad tym guzikiem, należy dobrze wiedzieć, kiedy bywa naciskany.

Ktoś niezdecydowanie nacisnął guzik dzwonka przy naszych drzwiach wejściowych, tak że dzwonek dźwięknął kilka razy. Wyszedłem do przedpokoju i otworzyłem drzwi. Na podeście stała wysoka kobieta w ciemnej sukni z koronkowym kołnierzykiem, włosy miała czarne, uczesane z przedziałkiem, miała rumiane policzki. Trzymała w rękach wielką paczkę w grubym papierze, obwiązaną sznurkiem.

„Po:nyliła drzwi” — pomyślałem.

— Przepraszam — niepewnie powiedziała ta kobieta. — Dano mi ten adres... Podobno mieszka tu pewna kobieta... Ta kobieta jeszcze przed wojną, a właściwie podczas wojny... Ona była... jak by to wam powiedzieć...

— Kogo szukacie?

— Wiecie... Czy tu mieszka Halina Hnatiwna?

— Tak. Proszę wejść.

Kobieta weszła do pokoju nie wypuszczając z rąk swojej paczki.

— Dobry wieczór — powiedziała, patrząc tylko na mamę. — Nie poznajecie mnie?

— Nie — powiedziała mama i zrobiła krok w jej stronę.

— Nazywam się Szulżenko. Naprawdę sobie nie przypominacie? Mojego synka ewakuowano z przedszkolem i przyszło zawiadomienie, że mój mąż... Ale wyście mi powiedzieli, że obaj żyją i że niebawem się z nimi spotkam.

— Wszystkim tak mówiłam — powiedziała mama.

— Rozumiem... — Szulżenko była jeszcze bardziej zmieszana. — Ale wyście mi nie tylko przyszłość dokładnie wywróżyli. Opowiedzieliście mi też całą moją przeszłość, nawet z takimi szczegółami, o których dotąd nie wie mój mąż.

Mama mocno zacisnęła usta. Nawet nie zaproponowała tej Szulżenko, żeby usiadła.

— Możliwe, że ktoś mi o tym przedtem mówił.

— Kto o tym mógł wiedzieć? — powiedziała z wątpiewaniem Szulżenko. — A pamiętacie, jak podarowaliście mi palto i trzewiki?

— Nie. Nie przypominam sobie.

Mama odpowiadała oschle i wydało mi się, że niezyczliwie.

— A ja pamiętam wszystko. Pamiętam, że poczęstowaliście mnie herbatą. Z miodem. Na Kureniówce. Pamiętam, w jakiej byliście sukience. I jak wasz mąż wyszedł na werandę i poprosił was do pokoju.

Tato spojrział z ukosa na Szulżenko i znowu schylił się nad szachownicą.

— Mój mąż był wtedy na froncie — powiedziała mama.

— Na froncie? — stropiła się Szulżenko. — No... może i tak. Chciałam tylko powiedzieć, że było mi wtedy bardzo ciężko. Wyście mnie podtrzymali na duchu, daliście mi nadzieję... I przyrzekłam sobie... Mieszkam teraz w Moskwie. Od tylu lat was szukam. Dwa razy przyjeżdżałam do Kijowa i w żaden sposób nie mogłam was znaleźć. Ten dom na Kureniówce zburzono. A ja postanowiłam wam podarować futro. Za wasze palto.

Rozwiązała paczkę, wyjęła futro, pasiaste, z jakiegoś sztucznego tworzywa. My wszyscy milczeliśmy.

— Co wy? — powiedziała mama. — O tym nie ma mowy. Dziękuję, oczywiście — podziękowała, zresztą nadspodziewanie serdecznie — ale proszę to natychmiast zabrać.

— Jak chcecie — rozgniewała się ta Szulżenko. — Ale bardzo mnie tym obrazicie. Przecież wzięłam od was palto. I trzewiki.

Pośpiesznie zawinęła futro w papier, zebrała sznurek i w milczeniu wyszła do przedpokoju. Poszedłem za nią, ale ona raptem zawróciła do pokoju i rzuciła paczkę na podłogę.

— Jak sobie chcecie — powiedziała. — Ale ja dałam i nie odbiorę.

I poszła.

Ani lotnicy, ani automobiliści nie znają tego uczucia. Za to wiele ciekawych rzeczy może o nim opowiedzieć każdy motocyklista. Chodzi o szczególne uczucie radości, które się rodzi, kiedy jadąc ze znaczną szybkością nie możesz się powstrzymać, żeby jeszcze nie dodać gazu.

Co prawda uczucie to, jak się okazuje, jest dobrze znane pletwonurkom. Nazywają je ekstazą głębinową.

W Kijowie powstał klub pływonurków, spotykaliśmy się z tymi chłopakami. To tacy sami fanatycy, jak my. Uważają za straconą każdą minutę, której nie spędzili w wodzie. Opowiadali, że kiedy nurkuje się na znaczną głębokość, powietrze znajdujące się pod ciśnieniem powoduje ten niezwykły, aczkolwiek dość niebezpieczny stan. We krwi rozpuszcza się sporo azotu.

Wilia wystąpił z teorią, że motocyklista, jadący z dużą szybkością, również wdycha powietrze pod zwiększonym ciśnieniem, że jak gdyby porusza się nieustannie w olbrzymim tunelu aerodynamicznym i do jego płuc dostaje się zbyt dużo azotu. Dowodem na to jest, jego zdaniem, fakt, że pasażer jadący na tylnym siodełku nie popada nigdy w taką ekstazę, sam motocyklista bowiem osłania go przed napływającym z kierunku jazdy potokiem powietrza.

Przy dużych szybkościach powietrze rzeczywiście staje się jakby gęstsze, uciska na piersi, wstrzymuje motocykl. Jeżeli pochyłisz się nad kierownicą, strzałka szybkościomierza natychmiast odpełza w prawo. Ale wydaje mi się, że w wypadku motocykla nie chodzi wcale o żaden azot. Chodzi tu z pewnością po prostu o to, że szybkość w połączeniu z ryzykiem daje szczególne upojenie, oderwanie od szarej rzeczywistości dnia codziennego.

A ja bardzo potrzebowałam oderwać się od szarej rzeczywistości dnia codziennego, od tego nieustającego poczucia nieokreśloności, nietrwałości, niepewności, które rodziły moje stosunki z Wirą. W sobotę z samego rana postanowiłem porządnie wypróbować mój motor na betonowej szosie Kijów—Odessa i pogałem do Humania.

Cokolwiek czytam ostatnimi czasy, o czymkolwiek myślę, cokolwiek wokół siebie widzę, wydaje mi się, że wszystko jest odbiciem tego, co mi się przydarzyło.

Po lewej stronie szosy chłopaczkowie wozili się na ogromnych drewnianych szpulach od kabli. Ja zaś myślałem, że zachowuję się jak ci chłopaczkowie — jeden źle obliczony ruch i spadnę.

Wilia mówił wczoraj, że istnieje wiele sytuacji, których nie da się rozwiązać logicznie. Głupstwem byłoby utrzymywać, że prawda nie istnieje. Jeżeli stwierdzenie powyższe jest prawdziwe, to musi istnieć prawda, choćby jakaś jedna. Tymczasem z powodu tegoż twierdzenia nie może ona istnieć.

Nie można poprosić człowieka tolerancyjnego, aby wymienił wszystkie znane sobie osoby tolerancyjne. Nie można wierzyć Sokratesowi, kiedy powiada: „Wiem tyle tylko, że nic nie wiem”.

Ale w życiu zdarzają się i inne nierozwiązywalne sytuacje. Ja i Wira... Oboje wiemy, że tak dalej być nie może. I wszystko pozostaje tak, jak było.

Razem z Wilią odwiedziliśmy Mykołę.

— Co to znaczy: zasada nieoznaczoności? — zdziwił się Anatolij Petrowicz. — Laplace pisał, że gdybyśmy znali w jakimś momencie koordynaty i prędkości wszystkich atomów wszechświata, to korzystając z prawa Newtona moglibyśmy dokładnie przewidzieć los całego wszechświata, wszystkich w nim cząsteczek, losy wszystkich ludzi i gwiazd. Nauka dotąd utrzymywała, że zjawiska naturalne są konsekwentne i uwarunkowane określonymi przyczynami, zaś zjawiska przypadkowe to te, o których przyczynach nic nam nie wiadomo. Jakież więc sens ma ta wasza nieoznaczoność?

— Taki — odparł Mykoła — że mikrokosmos, świat najmniejszych jednostek materii i energii, podporządkowuje się tylko prawom prawdopodobieństwa. I gdybyśmy nawet znali położenie i prędkość każdego atomu we wszechświecie, przewidywania nasze nie byłyby zbyt dokładne. No, na przykład, fizyka współczesna stwier-

dziła, że czas połowicznego rozpadu plutonu wynosi dwadzieścia pięć tysięcy lat. Nie sposób jednak przewidzieć, które mianowicie atomy rozpadną się, nie sposób przewidzieć, czy w tym okresie rozpadnie się ten czy ów konkretny atom. Fizycy sądzą, że w ogóle nie można przewidzieć z absolutną ścisłością, jak się zachowa poszczególny atom, choć zgodnie z teorią prawdopodobieństwa ścisłość takich przewidywań wzrasta wprost proporcjonalnie do ilości badanych atomów. Ale poglądy fizyków przeniknęły i do życia codziennego. Ludzie myślą kategoriami statystyki, kategoriami prawdopodobieństwa i przypadku. Sztywne kategorie związków przyczynowo-skutkowych często bywają naruszane przez samo życie. We współczesnej fizyce można spotkać się z poglądem, że wydarzenia przypadkowe w naszym życiu codziennym to właśnie ślady owej zasady nieoznaczoności, owej „wolnej woli elektronu”.

„Cóż to — pomyślałem sobie — czy to, że spotkaliśmy się z Wirą, też jest wynikiem »wolnej woli elektronu?«”

— Jest to sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem — jakby wtórując moim myślom powiedział Anatolij Petrowicz.

Wilia natychmiast ruszył do ataku na „zdrowy rozsądek”. Mówił, że w większości wypadków „zdrowy rozsądek” to jedynie suma posiadanych wiadomości naukowych oraz codziennego doświadczenia przekształcona w pewien stereotyp jak krawaty. Albo jak kołnierzyki przy męskich koszulach. Klipsy w uszach kobiet. Guziki przy mankietach marynarek. Coś zatem bezsensownego i zagadkowego. Zacytował jakieś zdanie, z którego wynikało, że to właśnie zdrowy rozsądek tak długo odrzucał fakt istnienia antypodów, a także ruch Ziemi dookoła Słońca.

Mykoła pognębiwszy przy pomocy Wili „zdrowy roz-

sądek” zaczął mówić o tym, że w mikrokosmosie droga od przyczyny do skutku nie jest bynajmniej prosta. Już w dziedzinie procesów cząsteczkowo-atomowych nie da się jednocześnie określić prędkości cząsteczki i jej położenia w przestrzeni. Przy odległościach jeszcze mniejszych wykryto wzajemne przenikanie się cząsteczek, wykryto, że część cząsteczki może się przy tym stać częścią innej cząsteczki. Zaś w jądrze atomu mikrocząsteczka nie istnieje już ani w czasie, ani w określonym miejscu w przestrzeni — tam odbywa się nieustanne przekształcanie wzajemne.

Zgodnie z teorią Heisenberga w fizyce cząstek elementarnych pewne procesy przebiegać mogą w odwrotnym kierunku, niżby to wynikało ze związku przyczynowo-skutkowego.

— Nie będę tu przytaczał obliczeń, są skomplikowane — powiedział Mykoła — ale, ujmując rzecz w znacznym uproszczeniu, można powiedzieć, że jeśli z pomocą przekształcenia Lawrence’a — a ono nie budzi przecież żadnych wątpliwości — wyliczymy, co się stanie, jeśli, powiedzmy, prędkość kuli będzie większa od prędkości światła, to okaże się, że kula najpierw trafi w cel, a dopiero potem wyleci z lufy. Wydarzenia zamieniają się miejscami, najpierw będzie skutek, dopiero potem przyczyna.

Tak to się według tego, co mówił Mykoła, miały rzeczy w mikrokosmosie, w świecie najmniejszych cząsteczek i niewyobrażalnych szybkości świetlnych. Ale i w dużym, zwyczajnym świecie łączące mnie z Wirą stosunki zamieniły się w jakiś skryty, szczególniejszy mikrokosmos, w którym obawiałem się zarówno przyczyn, jak skutków.

— Zasada nieoznaczoności — powtórzył Anatolij Petrowicz. — Pewien stary niemiecki pisarz, Franz Meyrink, napisał kiedyś takie opowiadanie... Zdaje mi się,

że nie było ono przetłumaczone ani na rosyjski, ani na ukraiński. Podróżujący młody człowiek postanowił odwiedzić swego profesora. Rzecz się działa bodaj w Heidelbergu.

„Bardzo mi miło — powiedział stary profesor, kiedy młody człowiek przypomniał, że był jego uczniem. — Czym się obecnie zajmujesz?”

„Produkuję samochody”.

„A więc pracujesz w cyrku” — powiedział profesor.

„Nie, panie profesorze, pan mnie nie rozumiał. Mój ojciec jest właścicielem fabryki samochodów, a ja pracuję w tej fabryce jako naczelny inżynier”.

„Mówię przecież, że pracujesz w cyrku. Skoro byłeś moim uczniem, to musisz przecież wiedzieć, że...”

Nastąpił cały ciąg formuł matematycznych.

„A to dowodzi, że samochód nie może się poruszać”.

„Proszę mi wybaczyć, panie profesorze, ale jestem w podróży i przyjechałem właśnie samochodem ze Szwajcarii”.

„Nonsens. Powinieneś wiedzieć, że...”

Nastąpił dwakroć dłuższy ciąg formuł matematycznych.

„Ależ, profesorze... Sam ten samochód prowadzę”.

„Jak możesz nie rozumieć, że...”

Nastąpił trzykroć dłuższy ciąg formuł matematycznych.

„A więc dla ciebie, jako dla byłego studenta, powinno być całkiem oczywiste, że każda próba zapuszczenia silnika musi doprowadzić do eksplozji trzeciego cylindra i do złamania się trzpienia tłoka w cylindrze drugim”.

Młodziak dalejże namawiać profesora, żeby wyszli razem na ulicę. Stoi tam jego samochód i profesor zaraz się może przekonać, że ten samochód jeździ.

Profesor długo nie chciał na to przystać. Formuły wszystko już powiedziały. Wreszcie, zniżywszy się

wspaniałomyślnie do, by tak rzec, jeszcze dziecinnych ubrdań swego młodego gościa, profesor wyszedł z nim przed dom.

„Hans, zapuść motor” — polecił młody człowiek.

Szofer w czapce z galonem i w długich skórzanych rękawicach uzbroidł się w korbę i wstawił ją w silnik. Było to, jak się zapewne domyślicie, jeszcze w czasach, kiedy, aby zapuścić silnik, trzeba było pokręcić korbą.

„Upredzam cię — powiedział profesor — że to niebezpieczne”.

Młody człowiek machnął ręką.

„Zapuszczaj, Hans”.

Hans zakręcił korbą. Huknęło niesamowicie. Odrzuciło szofera w bok.

„Przecież cię upredzałem — strofował profesor swego byłego studenta. — Przecież zademonstrowałem ci wszystkie wyliczenia!”

Podeszli. Silnik był rozwalony. Okazało się, że eksplodował trzeci cylinder, a w drugim cylindrze złamany był trzpień tłoka.

— Oto cała wasza zasada nieoznaczoności — podsumował Anatolij Petrowicz.

Dobrze, że szosa była pusta, jak to w sobotę. Nic dookoła siebie nie widziałem. Działiałem jak automat. Dobrze, że ten automatyzm nie zawiódł w decydującej chwili, inaczej jak nic leżałbym w rowie.

Opamiętałem się dopiero w Humaniu, przy stacji benzynowej przed wjazdem do miasta. Jest tam osobne stanowisko, na którym obsługują motocyklistów. Specjalne urządzenie natychmiast samo sporządza mieszankę oleju i benzyny w stosunku jeden do dwudziestu pięciu. Chciałem napełnić bak, ale nie miał mnie kto obsłużyć. Wreszcie znalazłem odpowiedniego pracownika, kudłatego kulawego dziadka, w kantorku — pił herbatę, zagryzał ją obwarzankiem.

Powiedziałem mu, że chcę zatankować benzynę do mojej „Jawy”. W odpowiedzi zaczął szeptać coś niezrozumiałego. Nachyliłem się doń bliżej i także przeszedłem na szept. Popatrzył na mnie ze zdumieniem, upuścił obwarzanek, zawołał dziewczynę, która stała przy wejściu, i kazał jej napełnić mi bak. Do niej też mówił szeptem.

— Dziękuję — podziękowałem szeptem i poszedłem za dziewczyną. Chichotała przez cały czas.

— Wyrósł mi drugi nos? — zapytałem ponuro.

— Oj — powiedziała przepraszająco dziewczyna. — Miron Semenowicz przeziębził się i może mówić tylko szeptem... Ależ wy... Rozmawialiście z nim, jak o jakim sekrecie!...

Już od miesiąca mamy jesień. Niebawem trzeba będzie odstawić motocykle. Ale oto dziś jest pierwszy dzień listopada, a poranek mamy mglisty i nie po jesiennemu ciepły. Liście topól ani trochę jeszcze nie pożółkły, widać we mgle ich mokrą zieleń. Klony jednak są już złote.

Na szybie trolejbusu zobaczyłem rozgniecioną osę. Moim zdaniem o tej porze roku jest to prawdziwa rzadkość. Może zresztą osy dożywają aż do późnej jesieni...

Ledwo poruszała odwłokiem. Jakoś tak konwulsyjnie. Nie wiem czemu, ale przeszkadzała mi ta osa, spoglądałem na nią, odwracałem się, znowu spoglądałem. Wreszcie przypomniało mi się. Tej nocy śniła mi się osa. Śniło mi się, że chcę się napić wody sodowej z automatu, a nad szklanką lata osa. Pamiętam, że zdziwiłem się we śnie, skąd się wzięła osa tak późną jesienią.

Pomyślałem też, pamiętam, że Wira w jakiś sposób przypomina osę. Zwłaszcza w tej swojej nowej sukien-

ce, złotawożółtej z czarnym i z brązem. Ale to nie sukienka upodabnia ją do osy, ale figura i coś jeszcze.

Jesienią zawsze wpadam w dziwny nastrój. W głowie z lekka mi się kręci, wszystko wokół składa się z ogromnie wielu zapachów, jestem nawet jakby trochę niezdrów. Ciekawe, jak to jest z innymi?...

Z tymi strażakami, na przykład, którzy minęli nas na syrenach. Aż cztery wozy. Nowiuteńkie, połyskujące czerwonym lakierem. Może to jakiś poważny pożar? Teraz rzadko coś się pali. Konferansjerzy na estradzie lubią sobie podkpiwać ze strażaków. Ale cokolwiek by mówili konferansjerzy, pożary zdarzają się tak rzadko właśnie dlatego, że strażacy dbają o to, żeby nic się nie paliło. A kiedy trzeba gasić pożar i pchać się w płomienie, wesołkowie z „Ukrkoncertu” tracą ochotę do kpiniek.

Albo po ulicy przeszła kompania elewów. W Kijowie rzadko się widzi wojskowych. To bardzo pokojowe miasto. Oglądali się za nimi wszyscy przechodnie, a mali chłopcy dostosowywali do nich krok, walili obcasami o asfalt.

Czy oni rozumieją, że kiedy jest wielki pożar, kiedy jest wojna, właśnie oni pierwsi idą w ogień? Może rozumieją to. Może dlatego tak wysoko trzymają głowy, jakby chcieli zajrzeć tam, w to płomieniste daleko.

Mama chyba miała rację, kiedy mówiła, że powinni mnie wziąć do wojska. Do wojska, do tej właśnie kompanii, do tych szeregów, między ludzi, których gotowość oddania życia za powierzoną im sprawę to nie piękne słowa, ale istota ich dnia powszedniego, ich pracy i ich nauki.

Na miliardach planet oddzielonych od siebie miliardami lat świetlnych siedzą w tej chwili miliardy chło-

paków, którzy mają na imię Roman, na nazwisko Puzo, patrzą w małe lusterka, na których odwrocie wymalowana jest para całujących się kociąt, i wodzą po policzkach tanimi golarkami elektrycznymi „Kijów” starego typu. Sądzę, że tak właśnie jest. Cokolwiek by mówił ten matematyk...

Jeszcze wczoraj wszystko było normalnie. Wieczorem zadzwonił Wiktor. To znaczy zatelefonował. Poszedłem na szóste piętro, drzwi były już otwarte.

Wczoraj przyszedł do nich w gości ten matematyk, Nachmanowicz. „Saszko” — przedstawił mi się. Całkiem młody chłopak, a już profesor doktor.

Nie spodobał mi się ten Nachmanowicz. Wira patrzyła w niego jak siódmoklasistka na aktora filmowego, nakładała mu na talerz tę ośmiornicę-kalmara, trącała się z nim i nieustannie mówiła o statystyce matematycznej i o teorii prawdopodobieństwa. On zaś odpowiadał jej od niechcienia, lekceważąco, mówił, że metody przydatne przy systemach o małej ilości elementów są całkowicie nieużyteczne przy systemach złożonych z wielkiej ilości elementów, że Wira zrobi najlepiej, jeśli skorzysta z metody profesora Położego, który opracowuje specjalną teorię funkcji dyskretnego argumentu.

Zauważyłem, jakim spojrzeniem Nachmanowicz obrzucił nogi Wiry.

— A jak uważacie? — zapytałem go. — Czy są jeszcze gdzieś we wszechświecie istoty rozumne? Ludzie tacy jak my?

Zdziwił się, wzruszył ramionami i odparł, że za doktrynę mnogości światów zamieszkałych spalony został niegdyś na stosie Giordano Bruno, ale on, Nachmanowicz, nie wierzy w istnienie w kosmosie innych rozumnych cywilizacji poza naszą.

— A zatem nie wierzycie w nieskończoność wszechświata? — zapytałem go wprost.

Wydało mi się, że Wira jest rozdrażniona tymi moimi pytaniami, że uważa je za dziecinne, że jej zdaniem niepotrzebnie się wdaję w dyskusję z tak znanym matematykiem jak Nachmanowicz i zadaję mu głupie pytania. Spróbowała zmienić temat rozmowy, powiedziała, że kalmary przypominają w smaku kraby, tyle że kraby są jednak delikatniejsze i lepsze, ja jednak parłem dalej:

— Więc co sądzicie o wszechświecie? I o życiu?

— Nie istnieją żadne dowody na to, że życie istnieje jeszcze gdziekolwiek we wszechświecie poza naszą Ziemią — obciął Nachmanowicz. — Rozpatrywana z punktu widzenia teorii prawdopodobieństwa doktryna mnogości światów zamieszkałych jest absolutnym nonsensem. Ilość planet, na których istnieje życie według stanu na dzień dzisiejszy, równa jest jedności. Równa jest jedności również ilość znanych nam układów słonecznych, mających planety z przyrodą ożywioną. Zgodnie z teorią prawdopodobieństwa rozporządzając takimi danymi nie możemy obliczyć, jakie jest prawdopodobieństwo istnienia innych jeszcze planet, na których byłoby życie organiczne.

Rozprawiwszy się ze mną, zwrócił się do Wiry.

— Kraby konserwowe nie wytrzymują porównania ze świeżymi, świeżo ugotowanymi. Byłem w maju na sympozjum w Tokio i tam właśnie...

— Jesteście w błędzie — nieuprzejmie przerwałem matematykowi. — Z teorii prawdopodobieństwa nie można wysnuć takiego wniosku.

— Czemuż to? — zainteresował się Nachmanowicz.

— Mówiliście w tej chwili o krabach. A przedtem o teorii względności. Gdybyście tam, na tym swoim sympozjum w Tokio, zjedli kraba wielkiego jak ten stół

i gdybyście już nigdy więcej w życiu nie zobaczyli kraba tej wielkości, nie uważalibyście przecież, że tamten był jeden jedyny na całym świecie. I skoro nauka jest zdania, że wszechświat nie ma granic i że ilość gwiazd w nim istniejących jest nieskończona, to w tym nieskończonym wszechświecie istoty rozumne, krótko mówiąc — ludzie, powinni występować również nieskończoną ilość razy. Jeżeli włożymy do pudełka tysiąc czarnych kulek, dołożymy jeszcze dziesięć kulek białych i będziemy tym pudełkiem potrząsać, to kiedyś wreszcie tych dziesięć białych kulek znajdzie się na górze. Można obliczyć stopień prawdopodobieństwa takiego wariantu. A w nieskończonym wszechświecie ilość wariantów również staje się nieskończona. A więc musi istnieć we wszechświecie nieskończona ilość światów, a w każdym z tych światów siedzi gdzieś tam taki sam człowiek jak wy, identyczny z wami aż do ostatniego guzika, i mówi te same co wy słowa, najpierw o teorii względności, a potem o krabach.

Wira roześmiała się wesoło. Zawsze się śmieje, kiedy mówię coś takiego. Uważa to za doskonałe dowcipy.

Ale matematyk zastanowił się i powiedział:

— Nieskończoność to synonim nieokreśloności. Matematycy muszą nieustannie uciekać od nieoznaczoności, do której prowadzi zwłaszcza teoria kwantowa. Interesują nas nie bezpłodne rozważania o nieskończoności, ale prawdopodobieństwo... Odległości kosmiczne są niczym wobec najzwyczajniejszej powiatowej łącznicy telefonicznej na dziesięć tysięcy wybieraków. Jaka jest największa znana wam odległość?

— No, megaparseki...

— Najbardziej oddalone od nas galaktyki, których oddalenie potrafimy określić, znajdują się mniej więcej o dziesięć do dwudziestą drugą potęgę kilometrów od nas. Łączna ilość atomów w naszym kosmosie to dzie-

się do siedemdziesiątej trzeciej potęgi. A ilość stanów, w których mogą się znajdować łącza takiej centrali telefonicznej, wyniesie dziesięć do potęgi trzytysięcznej. I żaden z tych układów nie powtórzy się. Chwytnie różnicę?

— Nieskończoność operuje nieskończenie wielkimi liczbami w nieskończonych potęgach i potęga trzytysięczna nie jest dla nieskończoności niczym nadzwyczajnym — zaprotestowałem.

Wira uśmiechała się jakoś nijako, a Wiktor był okropnie zadowolony, że się nie daje.

No, któż to może wiedzieć, jak tam jest we wszechświecie, ale u nas, na Ziemi, nie można — jestem o tym przekonany — wyobrazić sobie wariantu tak wariackiego, że nie mógłby on istnieć w życiu.

Dowiedziałem się, że Wiktora przenoszą do Moskwy. Do ministerstwa. I Wiktor zaproponował mi, żebym się także przeniósł do Moskwy. Dostał już nawet mieszkanie. Początkowo będę mieszkał u nich, a potem zobaczymy. W Moskwie będę mógł pracować i uczyć się jednocześnie.

Wiem, że Wiktor sam to wymyślił. To nie był pomysł Wiry. Wira nie zdążyłaby. Wiktor zadzwonił do mnie, jak tylko wrócił do domu z tymi nowościami.

Wira podtrzymała jego propozycję, zapewniała mnie, że to bardzo rozsądne, że w Moskwie będę miał znacznie większe możliwości, że rozwinę się twórczo. Zważywała, doprawdy. Cóż to ja jestem, rzeźbiarz czy kompozytor?

Tak byłem zaskoczony, że nawet nie podziękowałem. Tylko tego jeszcze brakowało.

W głębi duszy cieszyłem się, że Wira wyjedzie. Rozstrzygną się wszystkie problemy. Propozycja Wiktora, żeby pojechać z nimi, była ostatnią kroplą. Już od dawna wiedziałem, że trzeba z tym skończyć.

A jednak kiedy dziś po raz ostatni wiozłem Wirę na motocyklu, ona zaś siedziała z tyłu obejmując mnie ramionami i tuląc się do mnie, czułem, że coś się ode mnie odrywa, jakaś moja część, i to bolało.

Przez tę jedną noc Wira jakoś zmizerniała, jakby schudła, i z jej oczu co chwilę płynęły łzy, pozostawiały ślady na przypudrowanym nosie. Zawsze obficie pudrowała nos, „żeby nie błyszczał”, choć nie rozumiem, co jest złego w błyszczącym nosie.

— No, dajmy temu spokój — mówiła — nie chcesz mieszkać u nas. W porządku. Ale przecież możesz mieszkać w hotelu robotniczym. Albo wynająć pokój. Gdyby było ci trudno płacić, ja to biorę na siebie.

— Nie, Wira — odpowiadałem z całą stanowczością, na jaką było mnie stać. — Nie. Ty musisz jechać. Albo ja muszę wyjechać. To się musi skończyć.

— Rozumiem... Ale rozstanie z tobą... — znowu zaczęła płakać. — Przysięgnij mi, że swój pierwszy urlop spędzisz w Moskwie.

Przysięgłem, z góry doskonale wiedząc, że nie dotrzymam tej obietnicy.

— Roman, chcę, żebyś wiedział — cicho, spokojnie powiedziała Wira — że ile by nie minęło czasu, gdzie byś nie był, ja zawsze będę myślała o tobie. Ty także pomyśl o mnie choćby od czasu do czasu.

Odparłem, że to przecież oczywiste, że ilekroć mi gdzieś podadzą przypalony suflet à la Franche Comté przypomnę ją sobie bez wątpienia. Ale w głębi ducha wiedziałem, że nie zapomnę jej nigdy. Za głęboko to we mnie siedziało.

Ktoś szczerze porozrzucał po mokrym asfalcie pawie pióra oleju maszynowego. Kiedy motocykl zbliżał się do nich, pióra te, a niekiedy całe pawie ogony, tęczywały różnobarwnie i, mijane, jakby wzbijały się w powietrze.

Ostatnia przejażdżka z Wirą... I po raz pierwszy w życiu poczułem, że to jest rzeczywiście tak, że my wszyscy, to znaczy ludzie, znajdujemy się na krawędzi rozbiegających się galaktyk...

Wyprzedziliśmy „Jawę-50”, jakby stała w miejscu. Motocyklista spojrział na nas z zazdrością. Był to gruby chłopak ubrany jak rajdowiec, miał nawet buty motocyklowe, wysokie, z cholewką sznurowaną aż do kolan. Ja tam wolę trampki. Nie są tak efektowne, ale za to lekkie i tanie. Moped pod tym chłopakiem robił wrażenie czegoś szczególnie drobnego i delikatnego. Zabawny, ale ładny motorek. Obudowany ze wszystkich stron jak skuter. Silnik o pojemności pięćdziesięciu centymetrów sześciennych pozwala na uzyskiwanie mocy do trzech koni mechanicznych. Przed rewolucją silniki o takiej mocy instalowano w samochodach. Ciekawe, na jakich motocyklach będzie się jeździć za pięćdziesiąt lat?

Tego chłopaka na mopedzie korciło, żeby wyglądać tak, jak wyglądają rajdowcy. Wszyscy często pragniemy „jakoś wyglądać”. Ja na przykład chciałbym teraz wyglądać tak, jakby mi było bardzo wesoło, jakby wszystko było w najlepszym porządku. Ale naprawdę tak nie jest i chłopcy o tym wiedzą.

Mykoła i Wilia zaproponowali mi, żebyśmy w sobotę pojechali razem do Koncza-Zaspy. Posiedzieć nad jezienną rzeczką. W męskim gronie. We trzech. Chłopcy traktują mnie jak chorego. To dlatego, że Wira wyjechała. Nie wspominają o niej, jakby w ogóle nie istniała. Myliłem się, sądząc, że niczego się nie domyślają. Domyślali się.

Rozpaliliśmy ognisko z suszu tuż nad wodą i piekliśmy kiełbasę nanizaną na pręty jak szaszłyk. Trochę dy-

mu, a kiełbasa nabiera całkiem innego smaku. Można by ją było sprzedawać po dwa razy wyższej cenie.

Wilia nadal dyskutował z Mykołą. Zaczęli ten spór jeszcze w mieście.

— To się tylko tak zdaje, że nauka wie o wszystkim — mówił Mykoła. — Dawni geografowie rysujący mapy nie mieli pojęcia, co jest na całych kontynentach. Pisali wtedy na białych plamach: „Tu żyją lwy”. Na mapie naszej nauki, zwłaszcza fizyki, też jest dość dużo białych plam, na których można by było napisać: „Tu żyją potwory”. Nauka nie odpowiedziała jeszcze na najciekawsze pytania.

— Na przykład? — zapytał Wilia.

— Na przykład na pytanie o szybkość. Jak dotąd najszybsza ze wszystkiego, co istnieje w przyrodzie, jest szybkość światła. A czy można osiągnąć szybkość większą niż szybkość światła?... Albo zero absolutne. Minus dwieście siedemdziesiąt trzy stopnie w skali Celsjusza. W tej temperaturze całkowicie ustaje ruch cząsteczek i atomów. A czy możliwa jest temperatura niższa niż zero absolutne?... Albo, powiedzmy, czas. Znamy tylko jeden ruch czasu — w kierunku przyszłości. A czy może być tak, żeby czas ruszył wstecz, w kierunku przeszłości?

— Broń Boże — powiedziałem. — Nie chciałbym wędrować w przeszłość.

— Ani ja — podrapał się po ciemieniu nasz talmudysta.

— Ja też bym nie chciał — zgodził się z nami Mykoła. — Nie było w przeszłości takiego okresu, do którego warto by powrócić. Okresu, w którym działo się lepiej niż teraz.

Zabrał się do kiełbasy. Milczeliśmy. Zamyśliłem się nad tym, czy rzeczywiście teraz jest lepiej, niż było kiedykolwiek.

Chłopcy dali mi w prezencie na urodziny elektryczną szczoteczkę do zębów. Teraz przed snem czyszczę sobie zęby tym maleńkim wibratorkiem. Bardzo to wygodne, choć co tydzień trzeba ładować akumulator. Przerobię tę szczotkę tak, żeby mogła być zasilana wprost z sieci.

Mam elektryczną maszynkę do golenia. Nieraz ją rozbierałem przy reperacjach.

Do mego zegarka jeszcze się nie dobrałem, ale doskonale sobie wyobrażam, jak on jest zbudowany. Jest to nieskomplikowany mechanizm, w dodatku niezbyt dokładny w działaniu. Obrabiarki, które produkujemy, są i bardziej skomplikowane, i precyzyjniejsze.

Mamy w domu telewizor, lodówkę, odkurzacz, frotkę. Ja mam motocykl. Otaczają nas wszystkich duże i małe maszyny i mechanizmy, które ułatwiają nam pracę albo dostarczają nam rozrywki. Nasza gazeta zakładowa „Fabryka fabryk” pisała, że na każdego mieszkańca Ziemi przypada dziś ponad sto maszyn i mechanizmów. Ale czy życie człowieka zrobiło się dzięki temu bardziej interesujące? Czy ludzie żyją dzięki temu rozumniej?

Człowiek oczywiście opanował przyrodę. Umożliwiło to powstanie nowej gałęzi nauki i techniki, elektroniki. Ale elektronika służy do sterowania rakiet bojowych, które wymierzone są właśnie w ludzkość, w człowieka. Człowiek dobrał się do swego odwiecznego nieznanego i nieosiągalnego wroga, do bakterii. Ale dziś przygotowuje się człowiek do wykorzystania bakterii w wojnie bakteriologicznej, w swojej służbie. Człowiek odkrył energię atomową. Strasznie się ucieszył. Ale ta energia zagraża dziś całkowitym unicestwieniem ludzkości. Umownych jednostek zniszczenia na głowę ludności przypada już dziś więcej niż chleba. Tymczasem postęp nauki i techniki nie sprawił, że ludzie stali się szczęśliwsi ani mądrzejsi. Przeciwnie, postęp nauki i techni-

ki rodzi coraz to nowe, coraz to większe zagrażające ludziom niebezpieczeństwa.

Człowiek musi robić bardzo wiele rzeczy. Ale też robienia niemniej wielu odmawia. Każe mu tak czynić ustrój społeczny, w którym człowiek żyje, każą mu tak czynić prawa jego kraju i jego sytuacja osobista. Człowiek jednak chciałby wiedzieć, w imię czego tak postępuje. W imię czego coś robi i w imię czego czegoś nie robi. Człowiek żyje wśród nieustannych trosk. Praca dla pieniędzy, troska o pozycję, o zdrowie, o bliskich. Ale przychodzi chwila, kiedy człowiek zadaje sobie pytanie: po co to wszystko? Jaki to ma sens?

Przecież jeżeli to nie ma sensu, jeżeli to jest bezcelowe, to ta praca, choroby, utrata bliskich są takim samym nonsensem jak, powiedzmy, budowanie w bezludnym stepie wysokiego komina fabrycznego, który nie byłby związany ani z wytapianiem niczego, ani z żadną produkcją. Po co go budować?

Pisano też w naszej gazecie zakładowej, że w Peru, w dolinie Nazca, znaleziono jakby narysowane na ziemi figury. Można je zobaczyć tylko z dużej wysokości, ze szczytu góry albo z pokładu samolotu. Bruzdami dwudziestometrowej szerokości zaznaczono zgeometryzowane figury wielkości piętnastu kilometrów. Potwory morskie, orły, pająki, ludzie w koronach na głowach. Niektóre figury powtarzają się i ciągną łańcuchami przez całe dziesiątki kilometrów. Są tak do siebie podobne, że odnosi się wrażenie, iż odcisnął je jeden stempel o wielkości współczesnego lotniska. Rysunki te wykonano z ogromną dokładnością, pomiędzy figurami zachowano zawsze takie same odstępny, linie są absolutnie równoległe.

Kto był twórcą tego wszystkiego? W jaki sposób to zrobiono? Po co? Przecież w owych czasach nikt nie mógł podziwiać tych figur z samolotu. Nie ma jednak

wątpliwości co do tego, że przyświecał temu jakiś cel. Nie wiadomo tylko jaki.

Zdawałoby się, że wszystko jest bardzo proste. Człowiek został uwolniony od codziennej walki o kawałek chleba. Zdezaktualizowało się powiedzenie naszego Malimona z WKT: człowiek powinien dużo pracować, żeby zapewnić sobie wysokokaloryczne pożywienie, Wysokokaloryczne pożywienie z kolei, jego zdaniem, ma tę zaletę, że pozwala człowiekowi dużo pracować. Pies, który chce złapać swój własny ogon. Należy uwolnić człowieka od uciążliwej pracy, dać mu trochę wolnego czasu, a człowiek będzie szczęśliwy. Uwolnili. Dali. Ale człowiek jakoś nie zaczął być szczęśliwy.

Wszystko to mniej lub bardziej rzeczowo wyłożyłem Mykole i Wili.

— Bzdury — powiedział Wilia. — Cel jest. Już Sofokles powiada w „Antygonie”: „Wiele jest cudów na świecie, ale człowiek jest cudem największym”. Ten starożytny Grek posługiwał się właściwą skalą wartości.

— Cóż on, ten twój Sofokles, rozumiałby z naszego współczesnego życia! — powiedziałem nadziewając na patyk kawałki kiełbasy. — On przecież zamiast papieru toaletowego używał kamyków znad brzegu morza. Tak, jak wszyscy starożytni Grecy. Mówił nam o tym nasz nauczyciel historii.

— Tyle tylko zapamiętałeś z historii? — obraził się w imieniu Sofoklesa Wilia. — Nie bój się, Sofokles dużo rozumiał. Więcej niż my.

Wilia odłożył kiełbasę, a był to niepodważalny dowód na to, że dopiekiem mu do żywego. Zerwał się na równe nogi.

— Ludzkość — powiedział — jak ogromna rakietka leci szlakiem wyznaczonym jej przez naukę, przez Marksa, Engelsa, Lenina. Ale ludzie nie są pasażerami

tej rakiety. Ludzie to kosmonauci, pracują jak kosmonauci, jak oni ryzykują i poddawani bywają przeciążeniu. Trasa rakiety to historia ludzkości, powodują nią niebłagane prawa. Ludzie nie są jednak igraszką tych praw. I nie w imię praw historii wznoszą barykady, zostają bohaterami, składają życie w ofierze. Postępują tak, bo walczą z niesprawiedliwością, walczą o prawa człowieka. Nie w imię praw historii ludzie wzniesają rewolucje, ale po to, by zaspokoić swoje przyziemne potrzeby, choć w ostatecznym rozrachunku nasza rakietą osiągnie całkowity komunizm.

— Jeśli bomby atomowe i wodorowe nie spowodują wybuchu tej rakiety w locie — powiedział Mykoła. — Poza tym, czym właściwie będzie się różniło życie ludzi w komunizmie od naszego, jeśli nie brać pod uwagę rozwoju nauki i techniki?

— Będzie się różniło! — odparł Wilia tak, jakby przyjechał do nas na jeden dzień na delegację z miasta Komunizm. — Nie technika jest najważniejsza. Najważniejsze jest to, że zmieni się charakter pracy. Praca stanie się twórczością. No, jak to powiedzieć, żebyście zrozumieli, jakie to ważne... Kiedy pracę traktuje się jako sposób utrzymania się przy życiu, ludziom zaczyna się zdawać, że celem życia jest konsumowanie. Ludzie zaczynają uważać, że lepiej ma ten, komu przypadło więcej dóbr i w lepszym gatunku. Kiedy natomiast praca przemieni się w twórczość, każdy człowiek będzie się mógł przekonać, że rzeczywisty cel życia to właśnie, jak mówił Sofokles, człowiek, twórczość człowieka. Każdy, dosłownie każdy. Oczywiście, że osiągniemy wtedy jeszcze wyższy niż dziś poziom rozwoju nauki, techniki, sztuki, że wszystkiego będzie wtedy pod dostatkiem. Życie wszystkich ludzi stanie się wtedy szczęśliwsze, pełniejsze, nabierze rzeczywistego sensu właśnie dlatego, że zmieni się stosunek do pracy. Przecież

wszyscy to czujemy. Właśnie dlatego nie chcielibyśmy zawrócić w przeszłość. Przecież to by oznaczało nie tylko rozstanie z teraźniejszością, ale także z przyszłością.

Wilia umie po mistrzowsku sprowadzić wszystko na grunt filozofii, ja jednak myślałem o tym, że nie chcemy zawrócić w przeszłość nie tylko z pobudek ogólnospołecznych. Każdy z nas także z powodów osobistych nie chciałby powrotu w przeszłość. Byliśmy ciekawi, co przyniesie przyszłość.

Wracaliśmy już po zmierzchu. Jechaliśmy naprawdę szybko. Motocykle wprost wświdrowywały się w przestrzeń. Dogoniliśmy jakiegoś chłopaka na nowiutkiej „Pannonii”, który zamontował sobie plastikową szybę osłonową. Z zaniepokojeniem oglądał nas w lusterku i zjechał bliżej pobocza, kiedy go wyprzedzaliśmy.

Nasi chłopcy nie zamontowują na swoich motocyklach modnych obecnie plastikowych osłon. To bzdura, że taka osłona poprawia charakterystykę aerodynamiczną pojazdu. Naprawdę zmniejsza tylko szybkość. A kiedy wiatr jest z boku, taka osłona działa jak żagiel, motocykl wtedy znosi, na zakrętach trudno zapanować nad kierownicą. Nic nam po takich osłonach.

Lusterek, w których można zobaczyć, co się dzieje za nami na szosie, także sobie nie instalujemy. Interesuje nas tylko to, co mamy przed sobą. To, co za nami, to już za nami.

Kiedy dzwoni telefon, to prawie zawsze ktoś dzwoni do mnie. Zarówno mama, jak tato rzadko posługują się telefonem. Chyba, że dzwoni do nich Fiedia. Albo ja. Że coś mnie zatrzymało i wrócę później, niż obiecałem.

Podniosłem słuchawkę.

— Słucham.

— Dzień dobry, Romanie Ołeksijowiczu — powiedział nieznamomy męski głos. — Czy zastałem Ołeksija Iwanowicza?

— Tak. Zaraz go poproszę.

Nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby ktoś się do mnie zwracał per „Romanie Ołeksijowiczu”.

Tato dmuchnął w słuchawkę.

— Halo... Nie, nigdzie się w niedzielę nie wybieramy... W domu, w domu... Przyjeżdżajcie, bardzo nam będzie miło... No, to jesteśmy umówieni.

Tato znowu dmuchnął w słuchawkę i odłożył ją na miejsce.

— Wasyl Stepanowicz — powiedział do mamy. Najwyraźniej pochlebiło mu to. — Chce do nas przyjechać w niedzielę. Z córką. Powiedziałem, tego... żeby przyjechali...

— A jego żona?

— O żonie nic nie mówił. Może ona też nie znalazła odpowiedniej sukienki.

— Czego on od ciebie chce? — zapytała mama. Mama nie znosi, żeby z niej podkpiwano.

— Niczego nie chce. Po prostu przyjadą w gości. My do nich, teraz oni do nas.

— Po prostu w gości? Wiceprzewodniczący Rady Ministrów? Niemożliwe.

— Możliwe, możliwe... Trzeba powiedzieć też Fiedii, żeby przyszedł ze swoją Swietą... To od niego wszyscy czegoś chcą. A on jest po prostu równy chłop. Mocny chłop.

— Mocny — podtrzymałem tatę. — I pije jak smok.

— Co ty wygadujesz? — rozgniewał się tato. — Wasyl Stepanowicz w ogóle nie pije. Nie wolno mu. Ma tylko pół żołądka.

— Więc myślisz, że wtedy wylewał za kołnierz?

— Wodę pił. Wodę mineralną. Zawsze mu ją nale-

wają do butelki po wódce. Żeby goście nie czuli się głupio.

— Więc po co chrząkał i krzywił się?

— Tak... Dla oka.

— Wszystko u nich tam jest dla oka — rozeźliłem się, przypomniawszy sobie Wasyla Stepanowicza, jego wielką łąsą głowę, jasne rudawe brwi nad małymi, wesolutkimi oczkami. — Uśmiechają się dla oka, dla oka paplają to o tym, jaką książkę się ostatnio czytało, to jaki film się widziało.

— Dużo ty tam rozumiesz — tato skrzywił się tak, jak się krzywi pływający, kiedy nagle dotknie nogą czegoś śliskiego i obrzydliwego. — Wasyl Stepanowicz jest z sąsiedniej wsi.

— To co?

— Znam go od dawna ze słyszenia. To człowiek, jakich mało. I życie miał nielekkie. Nie daj Boże nikomu takiego.

Gdybym wcześniej wiedział o tym, o czym mi teraz opowiedział tato, to bym z pewnością patrzył wtedy na Wasyla Stepanowicza całkiem innymi oczyma. Także na te wyasfaltowane alejki wśród róż na jego daczce. I na tę jego córkę, Walę, i na gadatliwą żonę.

Przed samą wojną Wasyl Stepanowicz skończył akademię imienia Timiriazewa. Kiedy wzięto go do wojska, został politrukiem. Walczył, dosłużył się może starszego lejtnanta, może kapitana — tego tato już dokładnie nie pamiętał. Był kilka razy ranny. Odłamek miny trafił go w brzuch, wycięto mu wtedy część żołądka. Kiedy skończyła się wojna, wrócił do swojej wsi, do matki i do syna. Żona go porzuciła, wyszła za kogoś innego i wyjechała z nowym mężem do Leningradu. W aparacie partyjnym było wtedy dużo wolnych etatów, więc jego, jako byłego politruka, w dodatku po

skończonej agronomii, zatrudniono jako instruktora w rejkomie partii.

Jego synek miał już wtedy dziewięć lat. Tato mówi, że był to ładny, silny chłopak, wysoki i samodzielny. Poszedł nad staw, na ryby. Naciągnął ich sporo. Były tam karpie i karasie.

Wracał już do domu, a tu naprzeciwko szli dwaj żołnierze. Weseli byli — wojna skończyła się przecież niedawno. Jeden z nich zażartował: „Ucha sama do nas przychodzi. Daj no te ryby!”

I wycelował do chłopaka z automatu. Chłopak odpowiada:

— Sami sobie nałapcie.

I nagle — seria z automatu. Prosto w głowę. W twarz. Żołnierz niechęć nacisnął spust.

Potem była rozprawa w sądzie. Cały powiat aż się trząsał. Prokurator domagał się kary śmierci. Dla tego żołnierza. I wtedy nagle poprosił o głos Wasyl Stepanowicz. Powiedział, że nic mu, oczywiście, nie może zwrócić syna i że sam jeszcze nie wie, jak teraz potrafi żyć dalej. Rzecz jasna nie opowiadał przed sądem o swoich ranach, ale ludzie wiedzieli, że po operacji nie może już mieć własnych dzieci. Wala nie jest jego córką. To córka jego drugiej żony. „Ale — powiedział — już tyłu poległo na tej wojnie...” Śmierć tego młodziutkiego żołnierza nie przywróci do życia jego syna, Wasyl Stepanowicz natomiast nie pragnie zemsty, bowiem żołnierz wystrzelił przypadkiem, w rezultacie karygodnej nieostrożności.

Płakali wszyscy, którzy tam byli. Płakał sędzia. Żołnierz został, oczywiście, skazany, ale jednak nie na śmierć.

Wasyl Stepanowicz pozostał sam ze swoją starą matką. Pracował początkowo w komitecie obwodowym, potem był przewodniczącym obwodowego komitetu wy-

konawczego, potem mianowano go pierwszym zastępcą przewodniczącego Rady Ministrów.

— Ile to lat minęło — powiedział tato — a on do-
tąd nie może przeboleć śmierci syna... Zresztą to prosty
człowiek. Szanuje ludzi, jest dla nich dobry.

Mama wycierała kurze z serwantki.

— Trzeba będzie kupić gęś — powiedziała. — Upie-
kę gęś z jabłkami. I takie czerwone owoce z kwaśnymi
pestkami. Gruzini sprzedają je na bazarze. Tak je po
wojskowemu nazywają, granaty... Pójdiesz ze mną na
bazar — popatrzyła na mnie tak, jakbym kiedyś odmó-
wił pójścia z mamą na bazar. — Ciężko mi targać ko-
szyki.

Dziwna rzecz. Podczas ostatnich wyborów do Rady
Najwyższej Ukrainy nasza dzielnica wybierała Wasyla
Stepanowicza Bokuna. Wszędzie, nawet na drzwiach
naszej klatki schodowej, wisiały wtedy plakaty z jego
portretem i z biografią. Ale tam o niczym takim nie
było mowy. Pisali tylko, kiedy się urodził, gdzie się
uczył, do jakich organów go wybierano...

Może dlatego tak na mnie patrzył... Patrzył tak na
mnie, bo się zastanawiał, jaki też byłby jego syn, gdy-
by nie ten straszny ślad „wolnej woli elektronu”.

Miałem wrażenie, że można tak iść bez końca. Wszy-
stko było, jak być powinno, buty dobrze dopasowane,
i rzeczywiście świetne warunki narciarskie, kiedy narty
suną lekko, jakby na poduszce powietrznej, trasa była
przetarta, przede mną szedł Mykoła, za mną Wilia
i w sercu dźwięczało coś srebrnie jak ta bandura, którą
dziadek Petro sporządził z ławy oskarżonych. Podzi-
wiano teraz tę bandurę w dalekim Montrealu.

Wyszliśmy na lizjerę sosnowego lasu i nagle skądś
spod samych naszych nóg wyprysnęła uszata grudka

i pomknęła susami do lasu. Wilia włożył palec do ust, gwizdnął przeraźliwie, zając jeszcze przyśpieszył i zniknął między drzewami.

Przetarta trasa skręciła w las, szedłem ciągle tym samym swobodnym i zamaszystym krokiem, narty sprężyste reagowały na nierówności drogi, niczym w pełni sprawne amortyzatory motocykla. Śnieg poprzyginał gałęzie sosen, sosny wyglądały jak świerki, dzieciół w czerwonych spodniach narciarskich i w pstrokatej czapeczce, w czarnym swetrze w biały wzorek zostawił narty na śniegu i przysiadł na gałęzi, żeby odpocząć.

Było mi bardzo dobrze. Bo wszystko już się skończyło, bo nie ma już Wiry ani Wiktora, bo nie muszę się uśmiechać i kłamać, i mówić nie to, co chcę powiedzieć, nie muszę się bać, że obrażę Wirę, że ona zrozumie, że już nie mogę dłużej tak męczyć jej i siebie...

Wszystko to zostało już poza mną, tam, poza drzewami, poza śniegiem, tu zaś była tylko szybkość, mroźne powietrze, i prawda, i wolność.

„Dobrze by było, gdyby spadł teraz śnieg” — pomyślałem.

I natychmiast, jakby w odpowiedzi na to moje pragnienie, zaczął padać rzadki, kosmaty, bezszelestny śnieg. Śnieżynki parzyły mnie leciutko w twarz, łaskotały, było to przyjemne.

Wyszliśmy na wielką polanę. Mykoła zatrzymał się, stanął w poprzek trasy, wbił kijki w śnieg, zdjął rękawice. Jego włochaty czerwony sweter był z przodu całkiem biały od śniegu. Otrzepując sobie piersi rękawicami Mykoła powiedział:

— Odpocznijmy sobie.

Popatrzyłem na moją rękawicę. Leżał na niej płatek śniegu. Gwiazdeczka o niewiarygodnie pięknych i harmonijnych proporcjach. Zaraz spoczęła obok niej druga, jeszcze piękniejsza. Chyba od samego dzieciństwa nie

przyglądałem się płatkom śniegu. I zdumiałem się teraz — czy to rzeczywiście prawda, że wśród miliardów miliardów tych drobniutkich kryształków zamarznętej wody nie ma ani jednego, który byłby dokładną kopią jakiegoś innego?

Wciągnąłem głęboko w płuca mroźne powietrze. Pachniało czymś znajomym, czymś miłym. Tak już kiedyś było.

— Słuchaj — powiedziałem do Mykoły. — Dlaczego tu tak pachnie arbuzem?

— Arbuzem? — zdumiał się Mykoła. — Ja tego nie czuję.

— To śnieg — powiedział Wilia. — Świeży śnieg w lesie zawsze tak pachnie.

Słyszałem gdzieś czy czytałem, a może zresztą sam wymyśliłem, że wszystko w życiu trwa sekundy i minuty, a nie miesiące czy lata. Przyjdzie taka minuta, kiedy umrzemy, była taka minuta, kiedyśmy się urodzili, są minuty, kiedy dokonuje się odkryć. Świat Einsteina, świat chwil niewyraźalnie krótkich jest właśnie naszym rzeczywistym światem.

Teraz jednak zrozumiałem, że rzeczywistym światem człowieka jest świat wydarzeń, które trwają długo, odbywają się stopniowo i dlatego stają się czymś zwyčajnym i niezauważalnym.

Jeśli powiesz komuś, że zaprzyjaźni się z jakimś innym człowiekiem, ale zaprzyjaźni się naprawdę, będzie go szanował, a jednocześnie zdradzał go z własną żoną tamtego — to ten ktoś ci nie uwierzy. Powie: „To niemożliwe”. Ale kiedy to się stopniowo staje, kiedy to trwa długo, wtedy okazuje się, że nawet coś takiego jest możliwe.

Albo gdyby ktoś powiedział Mykole, kiedy przywią-

zywał do bagażnika pudło z jajkami i zapraszał na tylne siodło Olenę, że ta Olena będzie jego żoną i że niebawem urodzi im się córka, Marynka, że Mykoła przestanie jeździć na motocyklu, najpierw zawodniczo, a potem w ogóle, Mykoła odpowiedziałby, że interesuje go tylko fantastyka naukowa, bajek natomiast nie lubi. Tymczasem Marynka ma już dwa i pół roczku, a Mykoła tak się zmienił, że jest teraz zupełnie innym niż był kiedyś człowiekiem. I dzisiaj wyjeżdża z Kijowa. Na długo. Do Jałty. Z żoną. Z Oleną.

Po raz pierwszy zauważyłem, że coś z nim jest nie w porządku już chyba z miesiąc temu. Wracaliśmy z klubu. Piechotę. Mój silnik był rozmontowany, a Mykoła już wtedy nie jeździł. Ale jakoś nie przywiązywałem do tego znaczenia.

Kijów to miasto na wzgórzach. Prawie każda ulica prowadzi tu na dół lub pod górę. Szliśmy pod górę przez park. I nagle Mykoła powiedział z niezadowoleniem:

— Czemu tak pędzisz? Wybraliśmy się na spacer, a nie na biegi przełajowe.

Obejrzałem się na Mykołę. Był zdyszany. Twarz mu jakoś tak poszarzała, pokryła się drobniutkimi kropelkami potu.

— Co się stało?

— Ależ nic — machnął ręką Mykoła. — Trochę kiepsko się czuję.

I oto teraz musi jechać do Jałty. Lekarze rozpoznali u niego gruźlicę. Przekonany byłem, że tę chorobę w naszym kraju już zlikwidowano, zresztą czytałem gdzieś, że gruźlica to już dziś nic strasznego, że dysponujemy nowymi antybiotykami, które natychmiast ją leczą. Powiedziałem to wszystko Mykole.

Mykoła w odpowiedzi uśmiechnął się ze smutkiem

i powiedzieli, że jeśli nie pomoże mu Jałta, to w przyszłości będzie się leczył tylko u mnie.

Rodzice Oleny, jak się tylko dowiedzieli, że Mykoła ma gruźlicę, natychmiast wyjechali z wnuczką, Marynką, do Jessentuki. Może to i było słuszne — zabrać dzieciaka, żeby się nie zaraził. Ale jednak...

Znosiłem walizki do taksówki i uderzyła mnie jedna taka rzecz... Jak by to wytłumaczyć... Mykoła nie próbował mi pomóc. Po prostu stał i patrzył. Nie, jego pomoc nie była mi potrzebna, ale kiedy taki chłop jak Mykoła stoi i patrzy, jak kolega dźwiga walizy i układa je w bagażniku taksówki, to to znaczy, że bardzo źle się czuje.

Mykoła jakby odczytał moje myśli.

— Ile cegieł tam włożyłeś?

— Pełną walizkę — odpowiedziałem.

Przypomniał sobie, jak kiedyś wyprawialiśmy Wilię do kołchozu. Na akcję pomocy w pracach rolnych. Wilię wziął ze sobą wielką pustą walizę i oświadczył, że kiedy wróci, ta waliza będzie pełna szynki, kiełbas domowego wyrobu i innych smakowitości. Ja odwróciłem uwagę Wili, odciągnąłem go do kiosku z piwem, a Mykoła tymczasem napełnił walizę cegłami. Porządnie się Wilię namęczył, nim dotarł do pociągu, ale konsekwentnie musiał udawać, że walizka jest zupełnie pusta. Ale kiedy powiedział po raz ostatni „Salud, chłopaki!” i chciał wytwornie podniósłszy swój kufer skoczyć z nim na stopień wagonu, okazało się, że nie jest w stanie oderwać walizy od wyasfaltowanego peronu. Ależ miał wtedy minę! Ledwo go wcisnęliśmy do pociągu. Razem z cegłami.

Nie mogłem wykombinować, w jaki sposób pogadać z Oleną w cztery oczy. Wyglądała na bardzo przestraszona i zagubiona w tym wszystkim, ale nie budziło to mego współczucia tylko chęć potrząśnięcia nią i powie-

dzenia: „Trzymaj się, weź się w garść, bądź mężna! Przecież na widok tej twojej przerażonej twarzy na pewno serce mu się kraje”. Musiałem z nią pogadać. I udało mi się to.

— Chodźmy — powiedziałem. — Trzeba zabrać stamtąd jeszcze jedną rzecz.

Zdziwiona Olena poszła ze mną na klatkę schodową, a Mykoła jakby w ogóle nie dosłyszał.

— Widzisz — powiedziałem, zatrzymując ją na schodach. — Widzisz... Co do mnie, jestem przekonany, że to nie potrwa długo. — Olena popatrzyła na mnie jak na wariata. — Raz dwa go wyleczą. Rozmawiałem z bratem, a mój brat jest, jak wiesz, profesorem. Powiada, że to w ogóle drobnostka... Ale różnie w życiu się zdarza. No, może potrzebna będzie jakaś pomoc. Napisz list, a my już tu załatwimy wszystko, co będzie potrzebne. Mogę nawet przyjechać. Nic prostszego, mam przecież motor. Jeden dzień i jestem w Jałcie. Znasz mój adres?

— Nie — powiedziała Olena. — Nie znam.

— Mykoła go zna. Ale na wszelki wypadek... Gdzie ci go zanotować? Żebyś nie zgubiła...

— Nie zgubię — powiedziała Olena. — Ale nie zapisuj. Wystarczy, jeżeli mi powiesz, zapamiętam. Mam dobrą pamięć do cyfr. Mam taką mnemotechniczną metodę. Cyfrę trzeba skojarzyć z jakimś wydarzeniem. No, na przykład... Ty mieszkasz pod którym?

— Pod siedemdziesiątym czwartym.

— Siedemdziesiąt cztery — powtórzyła Olena. — Siedemdziesiąt cztery lata miała moja babka, kiedy umarła. To już pamiętam. A mieszkania?

— Siedemdziesiąt siedem.

— Dwie siódemki. Dwa tygodnie. Zapamiętam, że mam do ciebie napisać za dwa tygodnie. Mam nadzieję...

Nie skończyła.

Co to znaczy: mieć nadzieję? — zastanawiałem się. — Mama mawia: „Nadzieja to dobre śniadanie, ale kiepska wieczerza. Trzeba się leczyć, a nie mieć nadzieję”. Ale Olenie nic nie powiedziałem.

Jak bardzo niepodobna była do tej dziewczyny, którą ja i Mykoła spotkaliśmy kiedyś na Kreszczatiku, do tej dziewczyny, którą Mykoła odwiózł na motocyklu wraz z pudłem jajek ze sklepu spożywczego. Jakże się zmieniła! Jak bardzo zmieniliśmy się wszyscy!

Listu po dwóch tygodniach nie dostałem. Nim go dostałem, minął przeszło miesiąc. Zresztą nie był to właściwie list, ale parę słów na kartce wyrwanej z uczniowskiego zeszytu w kratkę. Ołówkiem.

„Mykoła ciągle cię wspomina. Codziennie. Jeżeli możesz, przyjedź jak najszybciej. Lekarze mówią, że to nie gruźlica. Rozpoznali sarkomę. Mówią, że to koniec. Olena”.

Do Fiedy nigdy się nie można dodzwonić. Wiadoma rzecz. Telefon zawsze jest u nich zajęty. Łatwiej jest tam pojechać, niż się dodzwonić. A kiedy wreszcie mimo wszystko dodzwoniłem się, usłyszałem, że Fiedia przed chwilą pojechał do instytutu. Zadzwoiłem do instytutu i poprosiłem, żeby profesor Puzo koniecznie zadzwonił do brata do domu, jak tylko zjawi się w instytucie. Po kwadransie zabrakło mi cierpliwości i znów zadzwoniłem do instytutu do Fiedy.

— Dopiero co wszedłem — powiedział Fiedia, kiedy poproszono go do telefonu. — Co się tam u ciebie takiego stało?

— Co to jest sarkoma? — zapytałem.

— Sarkoma? — Fiedia zamilkł i tylko jakby szybciej oddychał w słuchawkę. — A o co chodzi?

— Ależ nic... Jeden z moich kolegów chyba...

— Jaki lekarz go badał?

— Nie wiem. On jest w Jałcie.

— Sarkoma to rak tkanki łącznej. Z reguły rozwija się bardzo szybko.

— Świetnie — powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

W naszej fabryce otrzymanie urlopu bezpłatnego jest rzeczą nieomal niemożliwą. Nie miałem pojęcia, że będę napotykał tyle przeszkód. No bo kiedy człowiek prosi o bezpłatny urlop? Kiedy coś się stało. Robotnik nie bierze urlopu, za który nikt mu nie zapłaci, bo taką ma pańską fantazję. Powinno więc być tak, że wszystkie papierki załatwia się błyskawicznie. A ja musiałem się porządnie nachodzić od zwierzchnika do zwierzchnika, nim otrzymałem zezwolenie na dwutygodniowy urlop bezpłatny.

Nim wyjechałem, doprowadziłem mojego konisia do porządku. Sczyściłem nagar z tłoków i z tłumika. Przemycyłem bak i karburator, dolałem do akumulatora elektrolitu.

Sprawdziłem też synchronizację pracy cylindrów, wyregulowałem luz kierownicy, oczyściłem wszystkie kontakty, naciągnąłem szprychy, dokręciłem śruby.

Motocyklista nie może zabrać ze sobą w drogę dużego asortymentu części zamiennych ani narzędzi. Bóg też raczy wiedzieć, co się w drodze może przytrafić. Ja w każdym razie zawsze zabieram ze sobą zapasowe świece, kondensatory, uszczelki, komplet linek, pierścienie, szprychy, zapasową dętkę. Wszystko to miałem już przygotowane i spakowane.

Zamierzałem wyjechać o czwartej rano. Ale wyjechałem o piątej. Jechałem powoli. Rankiem na tej szosie trudno rozwinąć większą szybkość, w obie strony sunie nieprzerwany sznur ciężarówek, odnosi się takie wrażenie, jakby cały kraj, cała jego ludność usiadła raptem za kierownicami. Samochody jadą jeden za drugim, nie zachowując nawet koniecznego dla bezpieczeństwa jaz-

dy dystansu, wiozą żelazo, cement, prefabrykaty do budowy domów, krowy, jadą cysterny z mlekiem i wywrotki, jedzie łączność i pogotowie.

Diabli wiedzą dlaczego — nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło — zauważałem każdego człowieka za kierownicą, który mijał mnie z szybkością, jakiej nie zobaczy się nawet w kinie podczas projekcji przyspieszonych zdjęć. Ten ma w zębach papierosa. Temu spod rozpiętej wełnianej kurtki wyziera marynarska pasiasta koszulka. Prowadzi furgonetkę pełną skrzynek pomidorów. Wstał o drugiej nad ranem. Przede wszystkim zapalił. „Cześć i pamiętaj o mnie” — powiedział do swojej dziewczyny. Rozespanej. I ciepłej. Sam pomagał załadować skrzynki. Żeby było prędej. Mitygował: „Delikatniej, delikatniej. Kadry przemysłu socjalistycznego czekają na pełnowartościową zakąskę”. Przez wieś jechał z najwyższą ostrożnością. Żeby pomidory się nie poobtlukiwały. Ale na szosie dał gaz do dechy. Kończy pierwszą dziś paczkę papierosów. „Pamirów”.

Nie myślałem o tym wszystkim, po prostu jakoś tak od razu, w jednej chwili to zobaczyłem, a w chwili następnej widziałem już kobietę z dzieckiem na ręku obok kierowcy mińskiej wywrotki. To nie mąż. Sąsiad, w starszym wieku. Nie lubi dzieci. Nie lubi też ludzi. Ani samochodu. Kopnął oponę i pojechali. Nie zabraliby ich, ale głupio wobec sąsiada. Mimo wszystko kolega, kierowca. Ale, z drugiej strony, ja nigdy nikogo o nic nie proszę. A do mnie przychodzą z prośbami wszyscy. Po co ona chce jechać do miasta? Szkolne ubranko mogłaby córeczce kupić i tutaj. I w ogóle — po co mundurować dzieciaki? Co to, strażacy czy straż więzienna? Kobieta śpi, oparła głowę o drzwi — żeby przynajmniej zamki miał w porządku, drań — ale dziewczynka nie śpi, ma wyostrzony nosek, ledwie widoczne spod chustki zawiązanej tak, jak je sobie wiążą

staruszki, rzadkie, jasne brwi. Chciałaby mieć kredki. Nic jej po kijowskich teatrach i ulicach, od których nie ma piękniejszych na świecie. Nic jej po motocyklach „Jawa” i po aparatach fotograficznych „Kijów” z automatycznym nastawianiem. Niepotrzebny jej nawet mundurek szkolny. Ona chce mieć tylko kredki, dwadzieścia cztery kredki w pudełku, wszystkie kolory tęczy.

Bzzzu — wywrotka, bzzzu — „Wołga”, dokąd to tak wcześniej? Bzzzu — autobus, bzzzu — nowiutki „ZIŁ”, jeszcze bez numerów rejestracyjnych. W skrzyni „ZIŁ-a” jakaś maszyna, wielka, niepojęta. Nigdy już się nie dowiem, co to była za maszyna, do czego służy, dokąd ją wieźli.

Wszyscy, tysiące, a w całym kraju — miliony, wstali przed świtem, pędzą po drogach, każdy ma własne sprawy, własne radości i własne smutki, takie same jak moje albo inne, takie, których ledwo mogę się domyślać, jakby przymierzając każdego z nich do siebie, a oni wszyscy jakby przymierzają się do mnie, któryś z mijających mnie myśli: ledwie się rozwidniło, a chłopak jedzie od swojej dziewczyny, zasuwa do pracy, do ośrodka maszynowego, mechanik natrze mu uszu za spóźnienie. A jakiś inny, taki, co zauważył, na jakim motocyklu jadę i jak ten motocykl idzie, myśli: „Ręcznie, drań, polerował teleskopy”. A ktoś jeszcze inny... Nie, nikomu nie przyjdzie do głowy, że jadę do przyjaciela, który ma raka, ale ktoś nagle zauważy coś takiego, coś takiego nagle mignie przed kimś, że ten ktoś przypomni sobie siostrę, która zachorowała na ten przekłęty paraliż dziecięcy i teraz chodzi o kulach powłócząc bezwładnymi nogami...

Ja tymczasem, sam sobie tego nie uświadamiając, pewnie przemykałem się pomiędzy samochodami, wyprzedzałem je dokładnie w tych ułamkach sekund, kie-

dy można było i trzeba to zrobić, pokazałem też język jakiemuś dyrektorowi w czarnej „Wołdze”, który ani rusz nie mógł wyrwać się z kolumny, podczas gdy ja go bez trudu wyprzedziłem. Słyszałem równą pracę mego silnika, czułem wiatr wiejący z lewa i spychający mnie na pobocze i niżej pochylałem się nad kierownicą.

Czas już był uzupełnić paliwo. Na stacji benzynowej wypilem butelkę kefiru — jeść mi się nie chciało — napełniłem bak, zajrzałem do silnika. Tak sobie. To nigdy nie zawadzi. Zresztą — przyjemnie popatrzeć. Wszystko było w porządku. Nie przegrzał się ani trochę. Co to znaczy dobre wyregulowanie!

Podeszła do mnie dziewczyna w granatowych wełnianych spodenkach, w czerwonej bluzce, z plecakiem. „Uczennica — uznałem. — Siódma klasa. Co ona tu robi z tym plecakiem?”

— Może w kierunku Melitopola? — zapytała.

— Należałoby dodać: „wujku” i „bardzo przepraszam” — powiedziałem mentorsko.

Lubię wychowywać takie zbyt pewne siebie moskiewskie pannice.

— Podwieźcie mnie do Melitopola, wujku. Znudziły mi się szoferki. Wolałabym na motocyklu. Jadę autostopem.

— A gdzie twój tatuś i mamusia? Jak was wszystkich zmieszczę na motocyklu?

— Tato i mama są w domu — dziewczyna zaczynała się wściekać.

— A więc uciekłaś z domu? I chcesz pojechać autostopem na biegun północny? Ale to w przeciwnym kierunku.

— Nie — cierpliwie odpowiedziała dziewczyna. — Chcę się dostać do Melitopola. Podróżuję. Wyznaczyłam sobie taką marszrutę.

— A kogóż ty tam masz, w tym Melitopolu?

— Nikogo. Ale czytałam, że tam jest Kamienna Mogiła, taki kurhan kamienny, a w nim pieczara... A na ścianach tej pieczary rysunki ludzi pierwotnych.

— Skoro tak, to jasne, że pojedziemy — powiedziałem. — To całkiem inna sprawa. Jak można żyć bez rysunków ludzi jaskiniowych? Do której klasy chodzisz?

— Jestem studentką... Technikum...

— No, wiesz... Który rok się uczysz?

— Trzeci.

— Jesteś z Moskwy?

— Nie, z Podolska. Ale uczę się w Moskwie.

— Cóż to, otworzyli w Moskwie technikum archeologiczne?

— Chodzę do technikum piekarskiego.

— Też nieźle. No, to jedziemy.

Zdjąłem swój biały kask.

— Włóż to — powiedziałem dziewczynie.

— A wy... — Dziewczyna parsknęła krótkim śmiechem i dodała: — Wujku?

— Ja go włożę w Melitopolu.

Usiadła za mną nie zdejmując plecaka. Nie miała gdzie go przytroczyć. Na bagażniku ulokowałem moją starą, sfatygowaną walizeczkę, a w niej mydło, golarkę, ręcznik, splotki i inne drobiazgi. Przymocowałem ją do bagażnika gumami od sprężyn gimnastycznych. Robiłem to za poradą motocyklisty Ksawieriewa z Gruzji, z miasta Samtriedia. Zapamiętałem jego nazwisko, bo napisałem do niego list z podziękowaniami i otrzymałem odpowiedź. Dawniej przywiązywałem walizkę do bagażnika sznurkiem, ale kiedy pada deszcz, w żaden sposób nie można rozwiązać węzłów. Miesięcznik „Za kierownicą” wydrukował niewielki artykuł tego Ksawieriewa, który donosił, że zdjął z ekspandera gumki z karabinkami na końcach i używa ich do przymoco-

wywania bagażu do bagażnika. Drobiazg, a jakie wygodne.

Dziewczyna siedziała spokojnie, ale tak się we mnie wczepiła, że wiedziałem, iż się boi, a na motocyklu jedzie może po raz pierwszy w życiu.

— Może byśmy się poznali? — wykrzyczałem nie oglądając się, kiedy przejechaliśmy już z pięćdziesiąt kilometrów. — Jak masz na imię?

Dziewczyna coś wymamrotała.

— Głośniej — wrzasnąłem.

— Aleutyna — wrzasnęła mi w ucho.

Też pomyśl, żeby nazwać córkę Aleutyna!

— A ja Roman. O nazwisko cię nie pytam. Ale i swojego ci nie powiem.

Nie lubię mówić przypadkowo poznanym dziewczynom, jak się nazywam.

Kto ją puścił w taką podróż autostopem? I czemu jest taka pewna, że nikt jej nie skrzywdzi? Czemu bez chwili namysłu wsiadła na mój motocykl? A gdybym był jakimś sukinsynem? Gdybym się raptem zaczął do niej dobierać...

Przez cały czas wyczuwałem plecami jej małe twarde piersi. Jeszcze mocniej przekręcałem wtedy rączkę gazu. A ona? Czy zdawała sobie sprawę z tego, że wpiera się piersiami w moje plecy?

Obejrzałem się. To nie były piersi. Ona trzymała swój plecak przed sobą i to jej plecak wpierał mi się w plecy.

Hipnoza drogi. Senne otumanienie. Otępienie. Przyhamowanie. Tak się zazwyczaj określa stan, kiedy podczas dłuższej jazdy wszystko nagle zaczyna cię usypiać — wstrząsy pojazdu, migotanie słupów i drzew. Wreszcie wyłączasz się na chwilkę. A wtedy — koniec.

Rzecz w tym, że ty sam, jadąc, nie odczuwasz zmęczenia. Jakiś belgijski inżynier skonstruował specjalne urządzenie zabezpieczające przed skutkami hipnozy drogi. Wkłada się na rękę specjalną bransoletkę. Zmyślne urządzenie tranzystorowe odbiera sygnały nadajnika rejestrujące bicie serca, temperaturę, stopień pocenia się. Sygnały są przekazywane na karburator. Przy silnym zmęczeniu kierowcy urządzenie przerywa dopływ benzyny.

Ale dopóki motocykle nie będą fabrycznie wyposażane w takie urządzenie, tak jak teraz wyposażane są w latarnie, poprzysiągłem sobie, że po każdych trzech godzinach za kierownicą zatrzymam się na pięciominutowy odpoczynek. Odpoczywam gimnastykując się. Najprostsze ćwiczenia, biegi, skoki, przysiady, kilka wprawek oddechowych i czujesz się jak nowo narodzone dziecko. Możesz zasuwać dalej. W ogóle przekonałem się, że szybkość ponad dziewięćdziesiąt na godzinę na dużych odległościach się nie opłaca. Zużycie paliwa jest większe, trzeba się częściej zatrzymywać, żeby napełnić bak. Teraz jednak gnałem, jak mogłem.

Na poboczu stały dwa motocykle inspekcji drogowej i rozbity „Moskwicz”. Zahamowałem i zatrzymałem się na chwilę. Właściciel „Moskwicza”, chłopak w nieopisanie pięknej koszuli z naramiennikami i kieszonką na ramieniu oraz jego dziewczyna z dwoma warkoczykami i wyskubanymi brewkami nie odnieśli najwyraźniej żadnych obrażeń, ale byli śmiertelnie przerażeni i oglądali ze zdumieniem słup telegraficzny. Na tym właśnie słupie wylądował „Moskwicz”.

Inspektor, niemłody już kapitan z ponurym humorem pouczał właściciela samochodu:

— Tych anegdotek możecie mi nie opowiadać. Słup

telegraficzny nigdy pierwszy nie uderzy samochodu. Jest na to za dobrze wychowany.

Kapitan zrobił do mnie oko. Uśmiechnąłem się, pomachałem mu i pojechałem dalej.

Ilość wypadków drogowych wzrasta za każdym razem, kiedy zwiększa się ilość plam na słońcu. Dowiódł tego za pomocą statystyki uczony japoński Siro Masamura. Był u nas odczyt na ten temat.

Ciekawe, czy ten chłopak, który wyróżnął swoim „Moskwiczem” w słup, domyśla się, że powodem tego wypadku były plamy na słońcu?

Wiatr niósł z przeciwka wilgotny zapach Siwaszu. Czongar. Tamy i mosty.

Tato podczas Wojny Narodowej służył w trzydziestej dywizji i kiedy jest w dobrym humorze, zwłaszcza po paru kieliszkach, chrapliwie śpiewa stary marsz trzydziestej:

*Ural, Sybir i Kirgizja
Marsz trzydziestej zna —
Tajgą, tundrą szła dywizja,
Dniem i nocą szła.
Sponad Uralu zimnych wód
Na Dniepr, pod Czongar, do przeprawy
Bojowy szlak trzydziestej naszej wiódł
Przez ogień — do sławy.*

Szosa jest z Moskwy do Czongaru tysiąc trzysta kilometrów. A z Syberii? Nie jechali przecież na motocyklach. W marszach, w bojach, „przez ogień do sławy”. Ciekawe byłoby obejrzeć te miejsca. Gdzieś tutaj był obelisk. Ale postanowiłem, że go obejrzę, kiedy będę wracał.

Drogowskaz poinformował, że z Dżankoju do Symfepola jest dziewięćdziesiąt trzy kilometry. Za Dżankojem zaczął się step równy jak stół, winnice i prastare mogiły, kurhany.

Na stacji benzynowej w Symferopolu napełniłem bak i w kawiarni wziąłem butelkę skwaśniałego wprawdzie, ale za to zimnego kefiru i kanapkę z serem.

W kawiarni dziewczęta w kremowych spodniach piły lekkie białe wino, wszystkie miały niewiarygodnie jaskrawe bluzki.

A przy jednym stoliku siedziało pięcioro małych, niewydarzonych stworzeń w starych, spranych spodniach z szarej kosmatej flaneli i w spranych, zielonych, wypuszczanych na spodnie koszulach. Chłopaczki. Mieli po dziesięć, dwanaście lat. Głowy im opadały to na jedno ramię, to na drugie. Patrzyli jak przez mgłę, mówili z wielkim trudem. Jakaś choroba. Jakaś choroba nerwowa.

Była z nimi młoda wychowawczyni. Niewysoka, smagła dziewczyna, oczy miała tak rozumne, jakich się po prostu nigdy nie widuje. Chyba że u psów. Może zresztą nie wychowawczyni. Może pielęgniarka. Dokąd ona ich prowadziła?

Chłopcy pili żółty napój cytrynowy i jedli ciastka z zielonym kremem o nieprzyjemnym kolorze chemikaliów. Ręce ich były brudne. A może mi się tak tylko wydawało.

Wszyscy mieli jednakowe twarze, pod krótko przystrzyżonymi grzywkami niskie czoła, małe, rozpląszczone nosy, ruchy niepewne.

A przed nimi była ciemność.

Ale może to jest uleczalne?

Przemknąłem po moście przez Sałgir i skręciłem na szosę na lewo od gór.

W Kijowie, w kiosku z gazetami koło naszego domu kupiłem przewodnik po Krymie. Stary. Wyczytałem w nim, że pod górą Kastel w pobliżu Ałusztzy na przestrzeni czterech kilometrów jest dwieście zakrętów. Ale

teraz było tam tylko pięć łagodnych zakrętów. Jak w Kijowie na alei Piotrowskiej.

Od Symferopola do Jałty miałem na szybkościomierzu siedemdziesiąt osiem kilometrów. Trolejbusy tam jeżdżą jak po ulicy. Tyle że może trochę szybciej. Zatlócone. Wydało mi się, że w trolejbusach, które wyprzedzałem, pasażerowie mieli twarze bielsze, ale i wesejsze, niż w tych, które jechały z przeciwka. W tamtych przeważały twarze opalone na Murzyna, ale jakby zamyślane. Koniec urlopu.

Zahamowałem na przełęczy, na trzydziestym ósmym kilometrze za Symferopolem, koło fontanny. Stoi tam pomnik Kutuzowa. Tu właśnie, w tym miejscu, został ranny podczas wojny z Turcją, to tutaj stracił oko.

Wzdłuż całej szosy stały drogowskazy, a napisy na nich zachęcały do tego, żeby się zatrzymać, odpocząć, zwiedzić. Przełęcz Czuczelska. Gurzuf. Altanka Wiatrów. Księżycowy Kamień. Kamienny Brzeg. Złote Źródła. To robi wrażenie.

A za Ałusztą zaczęły się zupełnie fantastyczne okolice — Wiedźmia Góra, Massandra, Liwadia. Trzeba tu kiedyś przyjechać bez żadnych spraw do załatwienia.

Przyjechałem wieczorem. Nie byłem zmęczony. Jazda na motocyklu nigdy mnie nie męczy i nie rozumiem, jak można być zmęczonym podróżą. Po jałtańskich jezdniach sunęły stadami kobiety-centaurzyce, miały ludzkie głowy i końskie zady opięte najrozmaitszymi cienkimi, jaskrawymi, pobłyskującymi metalicznie tkaninami. W Jałcie było tylu wczasowiczów, tyle dorosłych par, które za przykładem młodzieży chodziły obejmując się, że nie sposób było ani przejść, ani przejechać. Wszystko to byli przyjezdni i nikt mi nie umiał

powiedzieć, gdzie jest zaułek Wąski. Ugrzązłem w tłumie, w gwarze, w śmiechu, w muzyce pop wyrywającej się z setek tranzystorów i czułem, że aż mi się gardło ściska od dziwnego, niedobrego przeczucia. Jakoś tak z miejsca otępiałem, jak człowiek, który znalazł się nagle w obcym, nieznanym i niemiłym mu świecie.

Olena i Mykoła wynajmowali pokój w parterowym drewniak z werandami na głucho zarośniętymi dzikim winem. Drewniak miał takie werandy ze wszystkich czterech stron. W sadzie stały łóżka polowe z aluminiowych rurek, pomiędzy dwoma drzewami wisiał hamak, także i tutaj śpiewały w tranzystorach trąbki, a perkusiści łomotali swymi pałeczkami. Pomyślałem sobie, że energia atomowa to wcale nie jedyny przykład czegoś, co człowiek wymyślił, a co się potem natychmiast obróciło przeciwko niemu.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że Mykoła jest ciężko, śmiertelnie chory i że musiał się przez ten czas jakoś zmienić, ale nie mogłem przewidzieć, że będą to tak dziwne i straszne zmiany.

Na łóżku leżał stary, źle ogolony człowiek, o twarzy pooranej zmarszczkami i o uśmiechu kogoś, kto cię może i dostrzegł, ale nie poznał i nie życzy sobie poznać.

Ale jeszcze bardziej zdumiały mnie zmiany, jakie zaszły w Olenie. Nie można było po prostu powiedzieć, że schudła. Ona stała się jakaś nieważka, jakaś bezcielesna. Sukienka wisiała na niej jak worek, trudno się nawet było zorientować, czy pod tą suknią jest w ogóle jakieś ciało.

— Dobry wieczór — powiedziałem.

Najbardziej bałem się tego, żeby nie poznali po mojej twarzy czy po głosie, jak bardzo mnie przeraził ich widok.

— Cześć, cześć — odpowiedział Mykoła, rozkaszłał się, otarł usta wierzchem dłoni, zaproponował: — Sia-

daj, rozgość się. Gdzie go ulokujemy? — zwrócił się do Oleny.

— Zaraz porozmawiam z gospodynią — Olena patrzyła na mnie uważnie, z niepokojem i jakby onieśmielona, jakby szukała potwierdzenia zmian, które zaszły w niej i w Mykole, a których nie mogłem nie zauważyć. — Weźmiemy łóżko i położymy cię w ogrodzie, pod magnolią. Tu jest doskonale, powietrze... Tutaj prawie wszyscy tak śpią. Zwłaszcza ci bez przydziałów.

— Świetnie — zaaprobowałem propozycję. — Ale nie róbcie sobie kłopotu, jakoś się sam urządzę.

— Nie, nie — powiedziała Olena. — Zaraz pogadam. Wyszła z pokoju. Chciała najwidoczniej, żebym porozmawiał z Mykołą w cztery oczy.

— Słuchaj, Romek — powoli, z wysiłkiem powiedział Mykoła. — To nie jest gruźlica. Oni nic mi nie mówią, ale wiem, że to nie gruźlica. Gdyby to była gruźlica, to by mi dawali PAS, ftiwazid, zastrzyki ze streptomycyny. A oni mi nic nie dają. Domyślam się, że to rak. No, tobie zresztą powiedzą.

Wiedziałem, że muszę coś powiedzieć, że trzeba go jakoś uspokoić, przekonać, że lekarze najlepiej wiedzą, jak go leczyć, może nawet zażartować z jego domysłów. Ale nie mogłem... Milczałem i nie byłem w stanie powiedzieć ani słowa.

— Na długo przyjechałeś? — zapytał Mykoła.

— Na dwa tygodnie.

— Jak droga?

— Normalnie.

— Dobrze, żeś przyjechał. Odpoczniesz, popływasz sobie. Tu jest fajnie. Wesoło.

Nie pamiętam już, kiedy po raz ostatni płakałem. Może w pierwszej klasie, a może zanim jeszcze poszed-

łem do szkoły, w przedszkolu. Ale teraz nagle coś mi przesnuło oczy, coś dławilo w gardle.

Wróciła Olena.

— Załatwione — powiedziała. — Jeżeli chcesz, możesz spać na werandzie. Tam wprawdzie śpi już jeden gość, marynarz z flotylli wielorybniczej. A jeśli wolisz, to możesz po prostu w ogrodzie.

— Wszystko mi jedno — odpowiedziałem. — Może lepiej w ogrodzie.

— Co tam słyhać w Kijowie? — zapytał Mykoła. — Jak tam nasi?

— W porządku — powiedziałem. — Normalnie. Gosza się ożenił.

— Jaki Gosza?

— Nie pamiętasz go? Taki mały grubasek... Ma „IŻ-a”.

— A, pamiętam — powiedział Mykoła.

— A poza tym niby nic nowego.

— Dobra — powiedział Mykoła i nie odwracając głowy zwrócił się do Oleny. Do niej mówił zupełnie innym tonem, może teraz zawsze mówi takim głosem: — Zrób mi zastrzyk. Nie widzisz, że znów mnie boli?

— Już — skwapliwie odparła Olena. — Tylko wygotuję strzykawkę.

— Może pomóc?

Popatrzyłem na Olenę, ale zobaczyłem tylko oczy pełne bólu, współczucia i przerażenia. Nic nie odpowiedziała.

— Nie trzeba — znów powiedział Mykoła. — Ona sama da sobie radę.

Wyszedłem do sadu. Mimo woli nasłuchiwałem i usłyszałem to, czego oczekiwałem. Słaby jęk. Usłyszałem go mimo wrzasku tych wszystkich tranzystorów.

Zapaliłem papierosa i zacząłem kłać. Po cichu, szep-tem wypowiadałem najwulgarniejsze i najbzdurniejsze przekleństwa, jakie tylko istnieją. Nie chciałem, żeby on umierał. Nie chciałem, żeby istnieli na świecie ludzie, którym nie można pomóc. Którym nikt nie może pomóc.

Podeszła do mnie Olena.

— Chodź na kolację — powiedziała. — I kładź się. Odpocznij. Musisz być chyba bardzo zmęczony.

— Dziękuję. Już jadłem kolację.

Rzeczywiście nie chciało mi się jeść, choć w Symfe-ropolu wypilem tylko butelkę kefiru i z trudem prze-łknąłem starą kanapkę z serem.

— Nie, nie, musisz coś zjeść. Zrobię ci jajecznicę. Chcesz? Z szynką?

— Co mówią lekarze? Może trzeba by... do szpitala?

— Nic nie mówią. Mówią, że jest źle. Mówią, że me-dycyna jest bezradna.

— O, cholera — powiedziałem.

Nie mogłem przełknąć tej jajecznicy. Mykoła wpoół leżał, wpoół siedział podparty poduszkami. Po zastrzyku poczuł się lepiej. Zaczął nagle mówić o wierszach, o tym, że nigdy nie lubił poezji, ale teraz okazało się, że pozostało mu w pamięci ze szkolnych czasów bar-dzo wiele wierszy i że wiersze to bardzo dziwny ro-dzaj twórczości. Że można napisać grubą książkę, a jednak książka ta nie wzbudzi w człowieku takiego uczucia i takiego nastroju, jaki niesie ze sobą ta jedna zwrotka:

*Szczyty gór wyniosłe
W nocnej ciszy śpią,
Śpią ciche doliny
Wypełnione mgłą.*

*Nawet liść nie zadrży,
Droga w ciszy śpi...
Poczekaj, niebawem
Odpoczniesz i ty.*

Zamilkł i zrozumiałem, dlaczego słowa: „poczekaj, niebawem odpoczniesz i ty” on teraz odbiera zupełnie inaczej, niż zamierzał poeta, kiedy pisał ten wiersz. A może poeta również rozumiał te słowa tak, jak rozumie je teraz Mykoła? Myślałem też o tym, że to rzeczywiście dziwne wiersze, bo człowiek pod ich wpływem staje się jakiś spokojniejszy, już nie pragnie wskoczyć na motor, skrócić do końca rączkę gazu i gnać szosą w noc wyprzedzając samochody, byle dalej, byle dalej, byle uciec od tego, byle tylko uciec od tego wszystkiego, byle tylko o tym wszystkim nie myśleć.

Olena nałożyła sobie na talerz trochę jajecznicy, ale nie zjadła i tego, nie tknęła też chleba, wypła tylko parę łyków herbaty.

Długo nie mogłem zasnąć, paliłem, patrzyłem w gwiazdy, w czarne niebo, które tu właściwie nie jest czarne tylko tak ciemnogramatowe, że wydaje się być czarne. Spacerowały po mnie mrówki. Aż do samego mojego łóżka przykicała mała żabka. W ciemności wydawało się, że jej oczy są czerwone. Posadziłem ją sobie na dłoni, siedziała spokojnie, dyszała ciężko, boki jej pulsowały.

Zasnąłem w końcu, ale po godzinie czy po dwóch obudziłem się z dziwnym uczuciem. Strasznie mi się chciało jeść. Wydawało mi się, że nigdy jeszcze nie byłem tak głodny. Wstałem po cichutku, podszedłem do motocykla, zdjąłem z bagażnika walizkę, w której miałem spory kawał szczerstwiającego białego chleba kijowskiego, napoczęte pęto mińskiej kiełbasy i parę przywiedłych ogórków. Zjadłem to wszystko. W oka mgnieniu. Gdyby była tam jeszcze jedna taka porcja,

pochłonałbym i ją także. Diabli wiedzą, co się ze mną działo tej nocy.

Rano przyszedł lekarz. Młody, wysoki, dobrze zbudowany. Na oko ważyć musiał co najmniej ze sto dwadzieścia kilo. Był krótko ostrzyżony, oczy schowane miał za ciemnymi okularami. Kiedy wszedł, zdjął na chwilę te szkła, coś przekręcił, a kiedy znów je włożył, ciemne szkła sterczały jak ochronny daszek przeciwsłoneczny. Mówił powoli, był wesoły i zachowywał się tak naturalnie, że gdybym nie wiedział, jak źle sprawy stoją, byłbym absolutnie przekonany, że wszystko jest w porządku i nic niedobrego się nie dzieje.

Podobało mi się to, że się temu lekarzowi nie śpieszyło. Uważam, że tak powinno być, lekarz, który przychodzi do chorego, nie powinien się śpieszyć.

Nieśpiesznie wyjął z kieszeni ogromną złotą cebulę na grubym łańcuszku — teraz takie zegarki można zobaczyć chyba tylko w muzeum — otworzył wieczko i ujął przegub Mykoły.

— Doskonale — powiedział. — Widzicie, tętno jest dziś lepsze, równe, wypełnione. Co to znaczy dobrze się wyspać.

Mykoła nic nie odpowiedział, ale przed przyjściem lekarza Olena mówiła mi, że tej nocy prawie w ogóle nie zmrużył oka.

— Brat? — zwrócił się do mnie.

— Nie — odparłem. — Po prostu... przyjaciel. Przyjechałem z Kijowa.

— Na urlop — domyślił się lekarz. — Piękny czas na urlop. Co prawda jest trochę za duże słońce, radzę w pierwszych dniach uważać, możliwe są porażenia... Widzę, że zainteresował was mój zegarek?

— Tak — powiedziałem. — Ciekawy zegarek.

— Cudowny! Korzystał z niego jeszcze mój dziad, potem mój ojciec i miejmy nadzieję, że kiedyś będzie i mój syn... Jest już w pierwszej klasie — lekarz zwrócił się do Mykoły. — I taki jest, wicie, żywy, że przez niego obaj omal nie zostaliśmy bez tego zegarka. Przedwczoraj położyłem zegarek na stole i na chwileczkę wyszedłem z pokoju, ale mój syn nie zasypiał gruszek w popiele. Stał na stole czajniczek. Parzyliśmy herbatę i właśnie zalaliśmy ją wrzątkiem. I mały w mgnieniu oka wpuścił zegarek razem z łańcuszkiem do tego czajniczka. Oboje z żoną rzuciliśmy się na ratunek, ale to wrzątek, ręką się zegarka nie wyjmie. Czy uwierzycie, że ani kropla wody nie przedostała się pod koperty, choć ten zegarek ma już z pewnością ponad sto lat.

Mykoła nie uśmiechnął się.

— Cóż, trzeba wam będzie zrobić zastrzyk — powiedział lekarz. — Proszę przygotować strzykawkę, sam zrobię — zwrócił się do Oleny.

— Wyjdź lepiej — powiedział do mnie Mykoła. — To nie potrwa długo.

Wyszedłem do ogrodu. Na wąskiej alejce gruba kobieta o nogach jak rury od piecyka grała w badminton z chłopczykiem mniej więcej dwunastoletnim, zapewne jej synem. Biała lotka z furkotem przelatywała między matką a synem, słychać było głucho kłapanie o naciąg, ilekroć uderzano ją rakieta. Otyła dama znakomicie opanowała podania, z góry czy z dołu, z backhandu, z forehandu, bezbłędnie trafiała w lotkę i rakieta zawsze leciała dokładnie tam, dokąd ona ją poryła.

Obserwowałem grę i czułem, że coś się dzieje z moją twarzą. Jakbym dostał na twarzy gęsiej skórki.

Wyszedł lekarz.

— Pacjent ma serce jak dzwon — powiedział do

mnie jakoś jakby niechętnie. — To może długo potrwać.

— Jak długo?

— Nie wiem. Tydzień. Dwa. Miesiąc. Z każdym dniem bardziej będzie się męczył. Niczym tu pomóc nie można... O, niech to diabli, gdybym nie był lekarzem... — powiedział z wściekłością. — Ja bym mu dał morfinę. Żeby to się prędzej skończyło. Żeby się tak nie męczył. Nie mogę na to patrzeć! — huknął na mnie. — Nie mogę na to patrzeć!...

I jakby nie widząc drogi, potrącając krzaki ciężko poszedł do furtki.

Przypomniałem sobie przysięgę Hipokratesa, którą czytał mi kiedyś mój brat Fiedia. Było w tej przysiędze coś w rodzaju „nie dam nikomu środków uśmiercających, o które by mnie prosił, i nie wskażę nikomu drogi w takim zamiśle”. I tak pozostało po dziś dzień, albowiem ludzie zawsze liczą na cud, nie chcą się pogodzić ze śmiercią. Lekarz nie może dać choremu trucizny. Jakiegokolwiek byłoby męczarnie chorego. A może nagle wyzdrowieje na przekór medycynie?

Wróciłem do pokoju. Mykoła po zastrzyku najwyraźniej poczuł się znowu lepiej.

— Usiądź bliżej — zaproponował. — Pogadamy.

Zaczął mówić o teorii gier.

— Pamiętasz, opowiadałem ci kiedyś o Johnie von Neumannie. Matematycy do dziś nie mogą odżałować, że Neumann zmarł tak wcześnie. W pięćdziesiątym siódmym miał pięćdziesiąt cztery lata...

Milczałem.

— John von Neumann jest twórcą nowej dziedziny matematyki, którą nazywa się niewinnie — teorią gier. Chodzi o opis matematyczny i rozwiązywanie sytuacji konfliktowych. Dowolnych. Wszystkich, jakie można sobie wyobrazić. Teoria ta zajmuje się wyszukiwaniem

optymalnego wariantu zachowania się człowieka w warunkach istnienia przeciwdziałającego przeciwnika. Najistotniejsza w teorii gier jest strategia. Posunięcia, których dokonuje grający, by osiągnąć określone rezultaty. Rozumiesz to?

— Rozumiem — odpowiedziałem niezbyt pewnie.

— A więc w teorii gier spotykamy się z takim twierdzeniem matematycznym... Wyrażone słowami wyglądałoby to mniej więcej tak: „W wypadku, gdy każda możliwa strategia prowadzi do przegranej, przegrana minimalna staje się ekwiwalentna maksymalnej wygranej”. Tak to jest.

To rozumiałem. W grze, w którą on grał, każda możliwa strategia prowadziła do przegranej. Śmierć zapewne zawsze oznacza przegraną. Ale co można uważać za maksymalną wygraną? Możliwie najdłuższe życie? Więc co z tymi, którzy giną w walce? Którzy umierają na posterunku? W obronie słusznej sprawy? Jak to śpiewano w jakiejś arii? „Czymże jest życie, jeśli nie grą?” Masz tobie matematyczną teorię gier...

— Wiesz co? — powiedział Mykoła. — Tylko mi nie odmawiaj. Zabierz Olenę i idźcie na plażę. Aż do obiadu. Mnie się nic tu nie stanie. Posiedzi przy mnie sąsiadka. Jest tu taka jedna, strasznie gruba... Marzy o tym, żeby schudnąć. Pod tym względem ja jej bardzo dobrze robię. Poproś tu Olenę.

Olena stała w ogrodzie nad prymusem naftowym. Cuchnęła naftą i przypaloną kaszą manną. Płakała.

— Nie mogę sobie z tym poradzić — mówiła. — Pali się tylko z jednej strony. Nic mnie tak nie męczy, jak to właśnie.

— Daj mnie — powiedziałem oschle. Było mi jej tak strasznie żal, że chciało mi się płakać i głaskać ją po głowie. — To drobiazg. Zaraz to załatwimy — zgasiłem prymus i brudząc sobie palce czarną oleistą naftą

podciągnąłem końcem noża knot. — Mykoła chce, żebyśmy poszli na plażę. Mówi, że przy nim posiedzi sąsiadka.

— Nie chcę iść na plażę — powiedziała Olena. Może po prostu posiedzimy w ogrodzie, a jemu powiemy, że byliśmy na plaży? Albo idź sam. — I widząc moje zdziwione spojrzenie dodała: — Tu na plaży są takie tłumy... A poza tym obawiam się, że mój kostium kąpielowy będzie na mnie, no... za luźny.

— Jak chcesz. Ale Mykoła prosił.

Znów zapaliłem ten śmierdzący prymus. Palił się równym płomieniem, nie kopcił.

— Takie to było proste? — powiedziała Olena. — Dobrze, chodźmy na plażę.

Chodziłem wtedy do siódmej klasy. W lecie pojechałem na obóz pionierów. Do Puszczy-Wodicy, pod Kijów. Codziennie prowadzono nas do kąpieli, kąpaliśmy się w stawku. Dobrze umiałem pływać. Zaraz pierwszego dnia dałem nura między nogi naszych opiekunów i wynurzyłem się nieomal na środku stawu. Co się wtedy działo! O mało nie odesłali mnie do domu.

Odechciało mi się po tym kąpieli na długo. W wodzie tuż przy brzegu stawu ustawiali się łańcuszkiem wszyscy nasi opiekunowie. Drużyna wchodziła do wody i w tej ogrodzonej ich ciałami kałuży — głęboko tam było po pas — pionierzy taplali się i ochlapywali wodą, a opiekunowie bez przerwy krzyczeli: „Sidorenko, wyjdź z wody! Uprzedzam cię po raz ostatni...”

Kąpiel na tej jałtańskiej plaży przypomniła mi stawek w Puszczy-Wodicy. Na granicy gruntu rozstawione były wzdłuż brzegu boje i na tak oddzielonej od morza przestrzeni kąpiący się, niczym sardynki w puszcze, ocierali się wzajem o siebie. Dalej, za linią boi, leniwie

huśtały się łodzie ratowników, ratownicy uzbrojeni byli w megafony i co chwila słychać było ich żelazne głosy: „Obywatelu, proszę zawrócić! Proszę wracać albo zapłacicie mandat!” Zaganiano w ten sposób do ogrodzenia tych, którym się zachciało wypłynąć nieco dalej.

Jakaś dziewczyna dała nura pod łódkę ratowników i nie bacząc na ryk megafonu mistrzowskim crawl'em z szybkością godną zawodniczki wypłynęła za boje. Natychmiast podpłynął do niej biały wodolot, silne ramiona ratowników wciągnęły ją na burtę, wygłoszono do niej krótkie kazanie, a następnie zwolniono, uprzedzając przez megafon, że następnym razem zapłaci mandat. Najwidoczniej ratownicy tutejsi patrzyli na każdego, kto wchodził do wody, jak na potencjalnego topielca.

Płynąłem żabką niemal nie poruszając nogami — bałem się, że mogę kogoś kopnąć — z głową ponad wodą, a jednak potrafiłem jakąś damę o bardzo umalowanej twarzy, w wietnamskim, stożkowatym słomianym kapeluszu na głowie.

— Nie jesteście tu sami! — wrzeszczała za mną owa dama.

Pomyślałem sobie, że ludzie niekiedy mówią bardzo dziwne rzeczy. Tutaj doprawdy nikt nie był w stanie ani przez moment pomyśleć, że jest sam.

Olena płynęła obok mnie, zwinnie wymijała kąpiących się. Dobrze pływała. Ale jakimś dziwnym stylem. Na boku. Krótkimi, szybkimi szarpnięciami. Jak krewetka.

Dopłynęliśmy do boi i natychmiast opalony na czarno chłopak z łodzi ratowników wrzasnął przez megafon: „Obywatele, wracajcie natychmiast!”

Splunąłem do wody i zgruntowałem. Przy samej boi woda sięgała mi do brody.

— Chodźmy, Olena — powiedziałem. — Taka kąpiel

na piechotę może być rzeczywiście niebezpieczna. Można się utopić. Ze złości.

Wróciliśmy na brzeg, usiedliśmy na drobnym żwirze tuż przy strądzie. Nikt nie miał tu tak białej skóry jak Olena i ja.

Koło nas leżał na ręczniku jakiś brodaty jegomość. Był czerwony jak rak. Na piersiach wytatuowanego miał brodatego Karola Marksa.

— Uważaj, żeby cię zanadto nie przypiekło — powiedziała Olena. — Trzeba było zabrać ze sobą krem. Jest taki specjalny krem do opalania.

— Damy sobie radę i bez kremu — powiedziałem.

Położyłem się na brzuch i zacząłem rękoma wygrzebywać jamę w drobnym przybrzeżnym żwirze.

— Czemu się pode mnie podkopujecie? — kokieteryjnie zapytała opasła sąsiadka.

Ciasno na tej plaży.

— Może już pójdziemy? — zaproponowała Olena. — Nie przeszkadzają ci te tranzystory?

— Nie — odparłem. — Tranzystory są tu wszędzie. Już się do nich przyzwyczaiłem.

Olena włożyła sukienkę na mokry kostium kąpielowy, sukienka jeszcze bardziej przez to obwisła. Łopatki zaznaczyły się jej na plecach niczym skrzydełka kurczęcia.

Wchodząc na podwórze oboje, jakbyśmy się zmówili, przyspieszyliśmy kroku. Nasłuchiwaliliśmy, patrzyliśmy uważnie. Ale wszędzie panował spokój. Z zapartym tchem przeszliśmy przez werandę do pokoju, który po oślepiającym słońcu na ulicy wydał mi się ciemny i duszny.

— Jak się czujesz? — zapytała Olena.

— Dobrze — powiedział Mykoła. — Czemu tak szybko wróciliście?

— Rozstrzeliwują tam każdego, kto chce się prze-

kraść przez granicę — oświadczyłem jak najpoważniej i opowiedziałem, co się dzieje na plaży.

— Po coście tam w ogóle poszli? Osiodłałbyś swojego bułanka, wziął Olenę i poturlał się wybrzeżem gdzieś dalej od ratowników.

— A można tu jeszcze znaleźć miejsca, gdzie jest pusto?

— Ile dusza zapragnie.

— Cóż, to jest myśl. Ale to już kiedyś innym razem.

— Nie, nie kiedyś... Nie innym razem. Jedźcie dziś, teraz.

— Nie mam ochoty — nieoczekiwanie kategorycznie powiedziała Olena.

— To nic, to nic — dziwnie popatrzył na nią Mykoła. — Nie kapryś. Wyrok jest ostateczny i nie podlega zaskarżeniu. Bardzo was proszę, dzieci... Bardzo was proszę.

Zaparkowaliśmy motocykl przy szosie, w miejscu gdzie stało już parę „Moskwiczów”, stary, pamiętający bardzo zamierzchłe czasy „Zundapp” z przyczepą i parę skuterów „CZ”. Jeden z tych skuterów cały oklejony był kalkomaniami, które nasi chłopcy nazywają kogucikami, choć te na skuterze przeważnie przedstawiały skąpo odziane dziewczyny.

Raptem zobaczyłem przedziwny motocykl emaliowany na zielono i na brąz. Wyglądał jak żuk, który się nazywa kruszczyca złotawka. Lśnił cały. Przyciągnął mnie jak magnes.

Był na zagranicznych numerach. Odnalazłem markę — „M-600”. Włoski. Nigdy o takim nawet nie słyszałem. Cud techniki. Silnik — czterocylindrowy czterotakt. Pięćset centymetrów sześciennych. Dwa karburatory. Podwójna rurowa rama. Maksymalna szybkość — sto osiemdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. I to nie jest chwyt reklamowy. Taki motor wyciągnie tyle. Ta-

kiego motoru nie wyprzedzi sportowy samochód. Kosztuje też na pewno nie mniej niż samochód. Maszyna pierwsza klasa.

Kiedy indziej doczekałbym się na właściciela. Pogadałbym z nim. Ale teraz tylko pogłaskałem lśniący zielono błotnik i poczułem, że sparzył mnie jak rozpalona patelnia.

Zresztą o czym ja bym miał rozmawiać z właścicielem, skoro on i tak o niczym nie miał pojęcia. Nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, na czym jeździ. Nowe opony były tak zdarte, że bieżnik zachował się tylko pośrodku, po bokach były zupełnie łyse. Nawet koła nie umiał porządnie napompować. Podstawowe obciążenie przejmowały brzegi opony. Mógłbym iść o zakład, że gdybym zdjął tę oponę, zobaczyłbym w środku czarne pręgi. O czym miałbym rozmawiać z człowiekiem, który nie potrafi się posługiwać manometrem i nie jest w stanie utrzymać w oponie właściwego ciśnienia? Zresztą nie to mi teraz było w głowie.

Stromą ścieżką zeszedliśmy nad morze, weszliśmy do wody i popłynęliśmy omijając skały. Przy każdym wydechu dwukrotnie odpychałem się nogami, a jednak Olena nie pozostawała za mną w tyle, sunęła obok jak cieniutka strzała.

Odpłynęliśmy tak z pół kilometra od brzegu. Przenurkowałem pod wielką meduzą, pęk jej macek rozwiewał się w wodzie jak rudy płomień.

— Poczekaj — powiedziałem do Oleny. — Czujesz? Co to tak pachnie?

— Arbuzy — odparła Olena.

Twarz jej jakoś zdumiewająco wyładniała i ożywiła się, jakby omyta żywą wodą, zrobiła się znowu taka, jaką pamiętałem z naszego pierwszego spotkania w Kijowie przed tysiącem lat.

Położyłem się na plecach, rozwarłem ramiona.

— Arbuzy? Skąd tu arbuzy?

— Czyste morze zawsze tak pachnie — powiedziała Olena.

Czułem już kiedyś ten zapach, ale nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie i kiedy, wiedziałem tylko, że kojarzy mi się on z czymś bardzo dobrym, bardzo czystym i ogromnie ważnym. Był to jakiś osobliwy, uszczęśliwiający zapach. Jakoś zdumiewało mnie teraz, że Mykoła jest sam i że powiedział: „Wyrok jest ostateczny i nie podlega zaskarżeniu”. Te słowa znajdowały się w wyroku odczytanym jego ojcu i w wyroku na niego, Mykołę, tu zaś była piękna, przejrzysta i chłodna woda, morska woda, która zdaje się być przedłużeniem twego ciała, jest bowiem taka, jak krew i taka, jak łzy i nie trzeba w niej zamykać oczu, bo ta woda omywa i uspokaja oczy i pachnie czymś szczególnym, czymś najlepszym ze wszystkiego, co było dotąd w moim życiu.

Wszystko to było tak niepojęte, że jakoś po nowemu popatrzyłem na Olenę, zanurzyłem głowę, dałem nurka, wypłynąłem i zaproponowałem w sposób, który wykluczał sprzeciw:

— Dość tego. Wracajmy.

Gruba sąsiadka powitała nas w progu pokoju. Przyłożyła palec do ust:

— Cicho. Zasnął.

— Idźcie na spacer — powiedział Mykoła. — Poleżę tu sam. Niech Olena złapie trochę świeżego powietrza.

— Nie mam ochoty — powiedziała Olena z tym dziwnym wyrazem twarzy, który zobaczyłem po raz pierwszy po naszej wspólnej kąpieli w morzu.

— To nic, to nic, przejdźcie się. Zupełnie nie wychodzisz na powietrze.

Wyszliśmy do ogrodu. Nie drgnął ani jeden listek. W ogrodzie było duszno, grały cykady, skądś z daleka dobiegał kobiecy śmiech i słychać było piosenkę z magnetofonu — pod gitarę i perkusję śpiewał mocny, nieco schryply głos.

Olena jakoś tak się zachwiała i przylgnęła do mnie dziwnym ruchem. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego to było dziwne... Było to tak, jakby chciała skryć się we mnie przed całym swoim lękiem, przed swoim przeżeniem, przed tą nadciągającą śmiercią. Była tak drobna, tak chudziutka, tak biedna, że człowiek miał ochotę wziąć ją na ręce i nieść w kurzu wiejskiej drogi lulając jak dziecko, byle dalej od tych spraw nieodwołalnych, które się tu działy.

Zostałem w ogrodzie, Olena wróciła do domu. Długo siedziałem na mojej zdezelowanej polówce, paliłem zapamiętałe, niewidzialny po ciemku dym wydmuchiwałem na ognik papierosa.

Nazajutrz, kiedy Olena zabierała się do zrobienia Mykole zastrzyku, Mykoła powiedział nagle:

— Zostań, pomożesz jej przewrócić mnie.

Zrozumiałem, dlaczego nie chciał, żebym był przy tym obecny. Nie można było na niego patrzeć. Nogi i ciało miał takie, jakie widziałem kiedyś na jakiejś fotografii czy może rysunku przedstawiającym więźniów Oświęcimia. Martwych. Najstraszniejsze były jego nogi. Cienkie patyki zakończone wielkimi stopami nie mogące już utrzymać ciężaru człowieka.

Odwrociłem go na brzuch. Nie patrzyłem ani na niego, ani na Olenę. Nie płakałem. Po prostu miałem ochotę się powiesić.

Po zastrzyku Mykole zrobiło się lepiej. Olena wyszła.

— Kiedyś mi się zdawało — mówił Mykoła patrząc w przestrzeń przed siebie — że umrę — i będzie po wszystkim. Przystanie dla mnie istnieć świat, Olena,

przyjaciele i w ogóle wszystko. Ale teraz... Życie to coś tak niepojętego i zdumiewającego, że wydaje mi się teraz, iż może istnieć życie pozagrobowe. Ale nawet z punktu widzenia tego życia pozagrobowego... Prosić o to nie można. Nie może o to prosić nawet ktoś, kogo już jutro nie będzie. Nawet kogoś takiego jak ty. A jednak... Widzę, jak Olenka na ciebie patrzy. Nie masz nawet pojęcia, jak jej jest źle. A może zresztą masz... Nie zostawiaj jej samej. Nie obiecuj mi niczego, ale jeżeli tylko będziesz mógł — nie zostawiaj jej samej.

Popatrzył na mnie dziwnie i pomyślałem sobie, że on to mówi tylko po to, żeby mnie coś ułatwić. Zdawało mi się, że on myśli nie o Olenie, ale o mnie. Ale może tylko tak mi się zdawało.

Przypomniałem sobie plakat behape wiszący u nas w fabryce. Napis czarnymi literami na żółtej blasze: „Widząc porażonego prądem krzyknij »podskocz!«, ale nie dotykaj go!”

Nie wolno dotykać człowieka, którego poraził prąd. Trzeba tylko krzyknąć doń: „Podskocz!”, żeby oderwał się od ziemi.

Pomyślałem sobie, że my wszyscy, i ten doktor, i Olena, i ja, i gospodyni tutejsza, ciągle krzyczymy do Mykoły „Podskocz!”, a on nie może podskoczyć, on już nie może podskoczyć. A rękami złapać go nie można. Nie ma za co.

Umarł w sobotę. W dzień. Po zastrzyku, który zrobiła mu Olena.

Nie od razu zrozumieliśmy, że umarł. Olena przysunęła mu do ust lusterko. Czytała gdzieś widocznie, że tak się robi, żeby stwierdzić, czy człowiek żyje czy umarł. Lusterko nie zaszło mgłą.

Ale ja mimo wszystko jakoś nie mogłem uwierzyć, że Mykoły już nie ma, i ukradkiem przysunąłem i sobie do ust to samo lusterko, małe, okrągłe lusterko

z wizerunkiem dwóch całujących się kotków na odwrocie. Zobaczyłem, że ono i przy moich ustach nie zachodzi mgłą.

A potem zaczęły się kłopoty, od których nic chyba na tym świecie nie jest bardziej upokarzające. Gruba sąsiadka płakała w ataku hysterii. Gospodyni mówiła, że przecież uprzedzała Olenę, że trzeba coś zrobić zawczasu. Było jasne, że Mykoła długo już nie pożyje, a tu taki upał, a trumna nie zamówiona, miejsce na cmentarzu nie załatwione, a dziś sobota i wszystko pozamykane. Lekarza nie było w domu, a lekarz był niezbędny, musiał wystawić świadectwo zgonu.

Trzy razy objechałem całą Jałtę. Raz zapłaciłem mandat za to, że przejechałem czerwone światło, drugi raz przedziurawili mi kupon za to, że wjechałem w ulicę mimo zakazu wjazdu. Nie wdawałem się w wyjaśnianie, dlaczego jestem taki półprzytomny, wydało mi się to upokarzające, żeby się usprawiedliwiać śmiercią przyjaciela, po prostu zapłaciłem mandat i pojechałem dalej.

Dopiero przed ósmą wieczór zrozumiałem, że nie nie zdołam załatwić. Nie mogłem nawet dostać lodu. Z rozpaczy postanowiłem zwrócić się do miejskiego komitetu Komsomołu.

— Gdzie jest miejski komitet Komsomołu? — podjechawszy do krawężnika zapytałem napotkanego chłopaka.

— Nie wiem, jestem nietutejszy.

Wszyscy mówili, że są nietutejsi, można było odnieść wrażenie, że na stałe w Jałcie w ogóle nikt nie mieszka.

Wreszcie jakiś niemłody już jegomość w słomkowym kapeluszu powiedział:

— A, wiem, wiem.

Zaczął dreptać w miejscu, wskazał ręką kierunek, w którym jechałem:

— Do komitetu można tędy... A można i tędy...

Pokazał przeciwny kierunek.

Nie byłem w nastroju do żartów. Powiedziałem więc tylko ponuro:

— Jeden i ten sam komitet nie może być i tu, i tam.

Mój rozmówca zaczął dreptać jeszcze żwawiej, zdjął kapelusz, machnął mi nim przed nosem.

— Można jechać prosto, a potem skrócić w prawo. Albo też można zawrócić do rogu i skrócić w lewo. To niedaleko.

Ruszyłem nawet nie podziękowawszy.

W komitecie była tylko woźna czy sprzątaczką, nie wiem kto. Długo mi tłumaczyła, jak mam trafić do mieszkania sekretarza, który nazywał się Potapienko. Znalazłem to mieszkanie. W progu powitała mnie dziesięcioletnia dziewczynka, zapewne córeczka sekretarza. Powiedziała:

— Dobry wieczór! Prosimy, prosimy do środka.

Wzięła mnie za kogoś innego.

Wszedłem do pokoju. Przy stole tak ustawionym, żeby wszyscy mogli patrzeć na ekran wielkiego telewizora, siedziało siedem czy osiem osób. Na stole stały talerze, kieliszki, butelki wina.

Obejrzałem się na drzwi. Miałem ochotę uciec stąd. Ale chłopak w białej koszuli i o rudym uwłosieniu tak gęstym, że aż mu ono napinało tę koszulę na piersiach, wstał od stołu i zapytał, niezadowolony:

— Wy do mnie?

— Nie wiem — odpowiedziałem. — Wy jesteście Potapienko?

— Tak.

Nie wiedziałem, co powiedzieć i patrzyłem w milczeniu na ekran telewizora. W kulistej klatce mknęły tam po przecinających się trasach dwa motocykle. W telewizorze nie sposób było rozpoznać, jakiej są

marki. Z pewnością montowane z różnych części. Transmitowano program cyrkowy.

— A o co chodzi?

— Widzicie... — powiedziałem. — Nie jest to sprawa, która by do was należała... Ale po prostu...

— Dobrze — powiedział sekretarz. — Chodźmy na balkon. Tam porozmawiamy.

Wyszliśmy na balkon zarośnięty szlachetnym winem. Zwisły spomiędzy liści wielkie granatowe grona pokryte jakby matowym nalotem.

— Jak się nazywasz? — zapytał sekretarz.

— Puzo — odpowiedziałem. — Ale nie o to chodzi... Sekretarz odchrząknął i spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

— Więc o co?

Opowiedziałem o wszystkim. Sekretarz komitetu miejskiego Komsomołu słuchał mnie jakby z niezadowolaniem.

— On był komsomolcem? — zapytał o Mykołę.

— Nie — powiedziałem. — Bezpartyjny.

— No, to nie ma znaczenia — zdecydował się sekretarz. — Dobrze, zaraz się do tego zabierzemy. Jedź tam, do domu, a my się już tym zajmiemy.

Wróciłem do zaułka Wąskiego. Ktoś przyniósł do pokoju gałęzie cyprysu i kwiaty. Gospodyni powiedziała, że Mykoła już jest umyty, leżał na łóżku ubrany, w szarym garniturze.

— Nie macie elektrycznej maszynki do golenia? — zapytała mnie gospodyni.

— Gdzieś tu powinna być — odpowiedziałem.

— Trzeba by ogolić nieboszczyka.

Nic nie odpowiedziałem. Pomyślałem, że to przecież nie ma sensu. Zresztą nie byłem w stanie tego zrobić.

Koło dziesiątej wieczorem przyjechał sekretarz Komsomołu, nie sam, było z nim jeszcze paru chłopaków,

wydało mi się, że rozpoznaję między nimi i tych, którzy siedzieli u sekretarza przy stole. Zdjęli z ciężarówki trumnę.

— Nie zapytałem, jakiego był wzrostu — wzięwszy mnie na bok powiedział sekretarz. — Na wszelki wypadek wzięliśmy największą trumnę, jaka była. Musieliśmy wyciągnąć z domu kierownika zakładu pogrzebowego. Zresztą wszystko jest załatwione. Mamy też już miejsce na cmentarzu. Jutro go pochowamy. Powiadasz, że był to fajny chłopak? — zapytał sekretarz, tak, jakby dla nie dość fajnego chłopaka nie warto było podejmować tych wszystkich starań.

— Normalny — odpowiedziałem.

Jak mu miałem wytłumaczyć, jaki był Mykoła?

Upał od rana był taki, że po prostu nie było czym oddychać. Mimo wszystko włożyłem moją czarną kurtkę skórzaną. Zmarłego przyjaciela nie wypadało odprowadzać na cmentarz w samej koszuli.

Sekretarz Komsomołu Potapienko przyjechał „Moskwiczem”, ale potem wsiadł razem z nami na ciężarówkę, na której ustawiliśmy trumnę.

Olena nie płakała. Odniosłem wrażenie, że w ogóle nikogo nie widzi. Włożyła szary prochowiec i wiatr wydymał jej ten prochowiec, kiedy jechaliśmy stojąc i trzymając się boków skrzyni. Chłopcy, którzy przyjechali z sekretarzem, mieli twarze poważne i smutne, ale mimo woli spoglądali na zegarki, nie dlatego, żeby się któremuś z nich specjalnie śpieszyło, ale po prostu dlatego, że chcieli, żeby się to wszystko jak najprędzej skończyło. Ja chciałem tego samego.

Opuściliśmy trumnę do dołu, a potem zaczęliśmy rzucać na jej wieko grudy gliny z przyzmy wykopanej ziemi. Dziwny to obyczaj. I wstrętny. Ale rzucaliśmy tę glinę, a następnie dwaj pracownicy zarządu cmentarza zasypali dół.

— Chcę powiedzieć kilka słów — surowo popatrzył na nas wszystkich Potapienko. Ne wiadomo dlaczego poprawił węzeł krawata i ciągnął patrząc gdzieś za nasze plecy: — Zmarł nasz towarzysz, człowiek, który mógł zrobić jeszcze wiele dobrego dla naszej ojczyzny. Dla ludzi, którym był bliski, jest to ogromne nieszczęście, ogromny cios. Ale i dla nas, którzyśmy się z nim nie stykali, jest to cios i bolesna strata. Żyjemy w takich czasach, kiedy nasza radziecka nauka czyni gigantyczne postępy, poznaje to, co dotąd było nie zbadane. I niezadługo bez wątpienia będziemy dysponowali skutecznymi metodami walki z chorobą, która zabrała nam naszego towarzysza... — zastanawiał się przez moment, ale nie udało mu się przypomnieć sobie nazwiska. — A wtedy nie będą się już zdarzały takie nieszczęśliwe wypadki. Śpij spokojnie, drogi towarzyszu!

Ocierając kark chustką do nosa sekretarz Komsomołu podszedł do mnie i szybko powiedział:

— To by było wszystko. Was i żonę waszego przyjaciela odwiezie do domu mój kierowca. Zna drogę. Do widzenia.

Uścisnął mi rękę, podszedł do Oleny, powiedział jej, że powinna być dzielna i poszedł razem ze swoimi chłopakami. Do końca więc nie poznałem żadnego z nich.

Chciałem wracać jeszcze tego samego dnia, ale sporo było roboty z rzeczami, które należało nadać na bagaż.

— Może lepiej by było, gdybyś wróciła pociągiem — powiedziałem do Oleny. — To męcząca droga...

— Nie, nie — przeraziła się Olena. — Pojadę z tobą. Jeśli tylko się zgodzisz...

— Dobrze. Ale włóż jakąś cieplejszą bluzkę i płaszcz.

— Oczywiście — zgodziła się Olena.

— I jeszcze jedno... Tak to wyszło... Zdaję sobie sprawę, że to nie jest moment odpowiedni... Ale chcę, żebyś wiedziała. Nie zostawię cię, dopóki sama tego nie

zażadasz. Mykoła rozmawiał ze mną o tym. Tuż przed śmiercią.

— Wiem. Ze mną także o tym rozmawiał. Ale gdyby... Gdyby on jeszcze żył...

— Tak — powiedziałem. — To by było lepiej.

Pod płotem w głębi ogrodu podpompowałem opony, podokręcałem śruby. Dokoła wyły tranzystory. Czytałem gdzieś, że zbudowano takie urządzenie — jest to nieduże pudełko, włączasz je i wszystkie tranzystory w promieniu stu metrów przestają działać. Warto by się dowiedzieć, jak takie coś jest zbudowane i samemu sobie coś takiego zmajstrować.

Za sztachetami babcia od sąsiadów rozmawiała z kimś.

— Pochowali go jak psa — dobiegło do mnie.

„Dlaczego jak psa? — zastanawiałem się. — Że nie było orkiestry? Wieńców? A jakież to ma znaczenie?”

Skończyłem. Podniosłem z trawy moją czarną kurtkę skórzaną. Na bieli prawego naramiennika zobaczyłem ślad brązowej bejcy — to było wszystko, co pozostało po moim przyjacielu.

A w gruncie rzeczy, jaki to wszystko ma sens? Całe to nasze życie? Czy tylko taki, że jak zwariowani motocykliści pędzimy z szybkością czterech i pół tysiąca uderzeń serca na godzinę ku czarnej otchłani?

Prowadziłem motocykl ostrożnie, starałem się nie wyprzedzać, uważnie patrzyłem na boki. Nawet przyhamowywałem mego konika. Pierwszy raz w życiu byłem na Krymie i niczego tu nie zdążyłem zobaczyć.

Teraz wydawało mi się, że poznaję różne miejsca — widywałem je w kinie albo na pocztówkach. Wszystko było bardzo podobne, bardzo znajome. Tylko barwy były inne, nie tak wyraziste, zwyczajniejsze. Choć na

przykład na kraciastym ogrodzeniu jakiejs kawiarni, przed którą przystanęliśmy, żeby się napić wody, rosła pnąca aksamitka, ale kwiaty miała trzy razy większe niż się widuje w Kijowie, ich kolor był intensywniejszy, nie niebieski i nie granatowy, ale właśnie jakiś taki szczególny, przypominający aksamit. Pomyślałem sobie nawet, że dobrze by było dostać nasiona i spróbować wyhodować tę odmianę u nas na balkonie. Pogadałem o tym z bufetową, ale powiedziała, że nic z tego nie wyjdzie, że wielu już próbowało, ale okazało się, że aksamitka ma takie kwiaty tylko wtedy, kiedy rośnie na Południu. W dodatku to nie aksamitka tylko ipomea, czyli powój indyjski.

Przed Symferopolem na prawo od szosy zidentyfikowałem według przewodnika i pokazałem Olenie górę Demerdzi, czyli, jak ją inaczej nazywają, Jekatierin-gorę. Przewodnik informował, że szczyt tej góry przypomina piersi carycy Katarzyny.

— Przypomina? — zapytałem Olenę.

— Nie — odpowiedziała i wstrząsnęła ramionami, jakby jej było zimno.

„Wyprzedzaj spokojnie!” — pokazał mi ręką kierowca nowiutkiego czystego autobusu ze Lwowa, kiedy próbowałem go wyprzedzić. Sympatyczny chłopak. Siedzi wysoko, ma lepsze niż ja pole widzenia. A w ogóle sygnał dany ręką to zupełnie co innego niż migaczem. To tak jak podanie ręki przy powitaniu.

A z przeciwka jechał nowiusieńki „Mercedes” pomalowany w abstrakcyjne plamy, każda z nich obwiedziona była kolorową obwódką, wyglądało to jak materiał na damską sukienkę. Też pomysły!

Za Symferopolem pracowały w polu kobiety, same kobiety, sprzątały z pola coś, co przypominało kukurydzę. Zatrzymałem motocykl na poboczu i podszedłem do tych kobiet.

— Co to takiego zbieracie?

— To się nazywa szczec polna albo szczotka sukienicza — odpowiedziała mi wielkooka, poważna dziewczyna.

— Szczotka? A co się z tym robi?

Nigdy w życiu bym nie przypuścił, że mogą być części maszyn, które się hoduje na polu. Dziewczyna — potem przyłączyła się do niej jeszcze jakaś nieco starsza kobieta — powiedziała mi, że w tkalniach używa się w specjalnych maszynach do tak zwanego drapania gotowych tkanin tej szczeci — włókniarze nazywają ją szyszką draparską. Drapie się nią wełny, żeby je odpowiednio zmechanic. Najważniejszą częścią maszyn draparskich są właśnie te szyszki, które przypominają kolby kukurydzy, tyle że są mniejsze. Dawniej sprowadzaliśmy je z zagranicy za dewizy, teraz hodujemy już sami. Każda szyszka pokryta jest drobnymi elastycznymi haczykami. Próbowano je w tkalniach zastąpić szczotkami z drutu, ale jak dotąd to się nie udało.

Dostaliśmy z Oleną na pamiątkę parę takich szczotek sukienicznych.

Dawno już opuściliśmy Krym. Szosa Moskwa—Symferopol szła między równiutkimi łąkami zbóż, aż nagle zobaczyłem niedaleko szosy niewielkie jeziorko, łąkę, a na łące chłopaka pobłyskującego kosą w równych pokosach. I nagle dziwnie i wyraziście przypomniała mi się piosenka, którą śpiewała matka.

*Ponad łąkom zielonym,
Ponad łąkom zielonym
Brała wdowa lon drabnomyj.*

Co wtedy pomyślałem? Że ta wdowa jest młoda, że jest może taka jak Olena. I oto Olena jest rzeczywiście wdową. I jedzie na motocyklu siedząc za moimi plecami. I ja naprawdę zamierzam się z nią ożenić, jak ten

Wasył z piosenki. I moja mama też będzie przeciwna temu małżeństwu. Na pewno będzie mu przeciwna. Nie ma mowy o tym, żeby Olena przypadła jej do serca.

*Wczaruwała męża swoho,
Wczaruwała męża swoho,
Pryczaruje j syna moho...*

— słyszałem wyraźnie głos mamy. Ale cóż, ostatnie słowa tej piosenki były takie:

*A ja czariw ne bojusia,
A ja czariw ne bojusia,
Ta j na wdowi ożeniusia.*

Nie mogłem sobie przypomnieć, choć usiłowałem, czy mama śpiewała te ostatnie słowa piosenki, słowa jakby przewidujące moją przyszłość. Czy może nie śpiewała? Teraz wydawało mi się, że nie śpiewała. I myślałem, że pomijała te słowa właśnie dlatego, że nie chciała, aby syn — nawet w piosence — nie posłuchał matki i ożenił się z wdową.

„A może mama naprawdę umie wróżyć? — pomyślałem zdumiony. — Może wcale nieprzypadkowo udawała wróżkę?”

Olena od czasu do czasu podstawiała twarz pod wiatr. Odchylała się w bok, zamykała oczy i łowiła wiatr wpółotwartymi ustami. Ani rusz nie mogłem jej zmusić, żeby coś zjadła. Jakby trochę wróciła do siebie, ale ani chwili nie mogła być beze mnie, a kiedy zbliżali się do niej obcy ludzie, milkła, zamykała się w sobie i patrzyła na nich jak zwierzątko, które bardzo się czegoś boi.

W Połtawie chciałem obejrzeć pomnik wzniesiony na pamiątkę słynnej bitwy pod Połtawą. Olena oczywiście wolałaby niczego nie oglądać, ale ponieważ absolutnie nie była w stanie zostać sama, poszła ze mną.

W śródmieściu Połtawy stoi kolumna, na kolumnie siedzi orzeł. Jest to właśnie Pomnik Sławy upamiętniający zwycięstwo wojska rosyjskiego pod tym miastem. Zaś na skwerze Kotlarewskiego stoi nowy pomnik żołnierskiej chwały. Jest to rodzaj monumentalnej alei. Po prawej stronie płyty granitu na mogiłach, na głazach nad nimi wykute emblematy poszczególnych rodzajów broni. Do samego pomnika wiodą granitowe schody, na ich szczycie wznosi się wysoki na siedem pięter obelisk z granitu. Obok sześciometrowa postać — żołnierz, który trzyma w rękę tarczę z herbem Połtawy. Przed nim znicz Wieczystej Chwały.

Za Połtawą pojechałem trochę szybciej. Motor spisywał się doskonale, przez całą drogę silnik ani razu się nie przegrzał, nie kaprysił. To nie maszyna, ale niezawodny koń.

Wyliczyłem, że przyjedziemy do Kijowa jeszcze za widna, ale byliśmy dopiero przed Browarami, kiedy na dobre się ściemniło. Włączyłem światło, topole po obu stronach drogi jakby podcięte smugą mojego reflektora pochylały się gwałtownie i jakby zwały mi się na motor, szosa chrobotła pod kołami, strzelała drobnym żwirkiem. Przed nami wzeszedł nad lasem księżyc. Jadące z przeciwka samochody i motocykle włączały światła mijania i przemykały obok mnie z owym szczególniejszym dźwiękiem, na który składała się moja osiemdziesiątka i ich osiemdziesiąt na godzinę.

I nagle mimo woli zacząłem hamować. Z przeciwka sunęły ku nam w świetle mojego reflektora widma. Wymachiwały rękoma i mknęły ponad szosą, niepowstrzymane a nieważkie.

— Co to takiego? — przestraszyła się Olena.

Zatrzymałem motocykl na poboczu. Nie miałem pojęcia, co to takiego.

Widma sunęły, były coraz bliżej nas, zobaczyłem, że

są to ludzie, którzy machając rękami lecą w niepojęty sposób, chyba w ogóle nie dotykając szosy.

Ale po chwili zorientowałem się, że jedno z tych widm po prostu jedzie na wrotkach, inne uchwyciło się za bagażnik wyprzedzającego je motocykla i zrozumiałem wreszcie, w czym rzecz. To byli narciarze na treningu. Motocykle rozpędzały ich na szosie, a potem już sami sunęli na wrotkach siłą inercji.

— Trening narciarzy — powiedziałem do Oleny. — Widzisz, są na wrotkach.

— Jak widma — wydusiła z siebie Olena i przywarła do mnie tak, jakby chciała się we mnie schować, przyłgnęła tak, jak tamtego wieczoru w ogrodzie przed domem, w którym umierał Mykoła. I objąłem ją, tak jak tamtego wieczora.

Wszystko to bynajmniej nie jest proste. Ona ma za ledwie trzy latka. Właściwie nawet jeszcze nie skończyła. Nie mam pojęcia, co sobie myśli. I czuję się jakoś głupio, kiedy Olena mówi jej o mnie „to twój tato”, bo chce przyzwyczać małą, że jestem jej tatusiem. Mała nazywa mnie już „wujek tato”.

A rodzice Oleny nie mogą się nacieszyć, kiedy na to patrzą. Widzę, jak patrzą na siebie z rozczuleniem, jak wymieniają uszczęśliwione uśmiechy. Chyba nigdy jeszcze nie byłem tak kochany i nie dogadzano mi tak jak tutaj. U nich nie pali się w mieszkaniu, a ja palę. Więc porozstawiali po całym mieszkaniu popielniczki. Rano zobaczyłem, że popielniczka stoi nawet w łazience, a nuż będę chciał zapalić podczas kąpieli.

Mają ogromne mieszkanie, czteropokojowe. Dwa najładniejsze pokoje oddali mnie i Olenie, przy czym teściowa, Anastazja Lwiwna, wymogła, by jeden z tych pokoi, ten, którego okna wychodzą na park, był

moim gabinetem. Kiedy układam się w tym moim gabinecie na tapczanie, choćby z naszą gazetą zakładową „Fabryka fabryk”, w całym mieszkaniu zapada cisza, wszyscy milkną, teść, Anatolij Petrowicz, wyłącza telewizor, Anastazja Lwiwna zabiera do siebie naszą Marynkę.

Podczas obiadu teściowa nie spuszcza oka z mojej twarzy — a nuż coś mi nie będzie smakowało, i zmuszony jestem chwalić nawet fasolę, choć w domu do ust jej nie brałem — ani tato, ani ja nie lubimy fasoli.

Anatolij Petrowicz gawędzi ze mną o historii, o filozofii, o literaturze. Kiedy przychodzą goście — profesorowie, członkowie korespondenci Akademii Nauk i członkowie Akademii Nauk, ludzie, których nazwiska znaleźć można w stopkach redakcyjnych wielu czasopism naukowych — wszyscy oni z niezwykłą uwagą słuchają moich wynurzeń. Gdyby któryś z nich spróbował mówić w ten sposób o obrabiarkach, na których znają się oni tak mniej więcej jak ja na starych kronikach i latopisach, nie byłbym tak wyrozumiały wobec ich wypowiedzi.

Prawdę mówiąc na razie Anatolij Petrowicz i Anastazja Lwiwna mają tylko dwa zmartwienia. Pierwsze to motocykl. Anatolij Petrowicz z miejsca oświadczył, że kupi mnie i Olenie samochód. Ale muszę raz na zawsze skończyć z motocyklem, ponieważ oni oboje mają już swoje lata i nie daje im spokoju myśl, że leżą gdzieś na szosie ze zmiażdżoną czaszką — dopóki mam motocykl, dużo ich kosztuje każda chwila mojej nieobecności w domu.

Cóż mogłem na to odpowiedzieć? Powiedziałem, że bardzo niewiele mi brakuje do tego, aby zostać mistrzem sportu, a statystyka dowodzi, że mistrzowie sportu motocyklowego mają wypadki nie częściej, niż członków Akademii pozbawia się ich tytułów naukowych. Po-

wiedziałem, że jeżdżę bardzo ostrożnie i przede wszystkim, że ani mnie, ani Olenie samochód nie jest do niczego potrzebny.

Anatolij Petrowicz bardzo się zmartwił, ale nie dał tego po sobie poznać, powiedział natomiast, że nie uważa tego za moje ostatnie słowo.

— Ludzie chcąc uniknąć rzeczywistego niebezpieczeństwa — zauważył Anatolij Petrowicz — często wmawiają sobie, że to niebezpieczeństwo w ogóle nie istnieje. Dotyczy to nie tylko motocykla. Dlatego też pozwolę sobie jeszcze wrócić do tego tematu.

A o drugim zmartwieniu nikt nie mówi, nikt nie da po sobie poznać, że to tak poważne zmartwienie... Chodzi o stosunek mojej mamy, a zresztą i ojca, do Oleny i do jej rodziców.

Nie wyprawialiśmy żadnego wesela, ale po załatwieniu formalności w Urzędzie Stanu Cywilnego poprosiłem, żeby mama i tato przyjechali do nas na wspólny obiad. Przez całe popołudnie mama nie otworzyła ust, tylko patrzyła z tak jawną dezaprobatą, że wszyscy czuli się, jakby coś przeskrobali.

Nic nie zauważył, jak mi się wydało, tylko Dmytro Wołodimirowicz Zagorski, siwy dziadunio z nosem jak kartofel, profesor, specjalista od literatur Zachodu, który zupełnie przypadkiem zasiadł z nami do tego uroczystego obiadu. Wpadł w jakiejś sprawie do Anatolija Petrowicza, a kiedy usłyszał szczęknięcie talerzy, powiedział z roztargnieniem, że chętnie zostanie u nas na obiedzie, ponieważ jakoś nie zdążył dziś nawet zjeść porządnego śniadania. W rozmowie zwracał się głównie do mojego taty, którego, jak mi się wydało, wziął za historyka czy też archeologa. Zagorski miał na sobie zamszową kurtkę, która byłaby stosowniejsza dla motocyklisty niż dla profesora, pił machinalnie, nie zwracając uwagi ani na smak, ani na moc tego, co pije, pił,

co mu nalewano, i patrząc na tatę mówił z przejęciem, okrągłymi zdaniami człowieka, który często ma wykłady:

— Moim zdaniem jedna z podstawowych przeszkód w kwestii popularyzowania literatury ojczystej zasadza się na trudnościach wynikłych z tego, że z biegiem lat ogromnym zmianom uległ język. Jako przykładem można się posłużyć twórczością Hryhorija Skoworody. Skoworoda był bez wątpienia wybitnym filozofem i doskonałym pisarzem.

— Wasze zdrowie — powiedział Anatolij Petrowicz.

— Obyśmy byli zdrowi — odparł Dmytro Wołodirowicz, wychylił swój kieliszek i nie zakąsiwszy ciągnął: — Nie można powiedzieć, że jest dziś zapomniany. W każdą okrągłą rocznicę urodzin czy śmierci ukazują się podniosłe artykuły, nawet w gazetach prowincjonalnych i powiatowych. Ale Skoworoda mimo wszystko należy do tych autorów, których, zdaniem Lessinga, raczej się czci, niż czyta. Jego myśl nie koresponduje z naszymi czasami, z naszą problematyką.

*O, najcenniejszy życia czasie,
Przecz cię w tak małej cenie mamy,
Iż jak brzemienia, co nam zda się
Na nic, tak ciebie się zbywamy?
Jakby chwila przeżyta mogła jeszcze wrócić,
Jakbyśmy kupić mogli dodatkowe lata,
Jakby strumienie mogły do źródeł zawrócić,
Jakby z nieprzeliczonych dni żywot się splatał!
O, przyjaciele moi mili,
Czas zerwać z gnuśną beczynnością!
Niechaj wre praca od tej chwili,
Bo czas z niezwykłą mknie szybkością!
Bo nie należy do nas chwila przeminiona
Ni to, co będzie w jeszcze nie nadeszłej porze.
Jeno dziś — nasze, j u t r a nadzieja jest płonna,
Bo kto wie, co dzisiejszy wieczór przynieść może?*

Te słowa odrobinę nas śmieszają, nie są też może całkiem zrozumiałe. Tymczasem utwory Goethego, Schillera, Woltera, Rousseau, Smolletta, Sheridanana bynajmniej nie wydają się nam czymś archaicznym. Dlaczego tak się dzieje?

Dmytro Wołodimirowicz machinalnie posolił kotlet, odciął kawałek kotleta widelcem, zjadł go, znów posolił to, co zostało na talerzu, i mówił dalej:

— Możliwe, iż chodzi tutaj o to, że współcześni tłumacze przekładając utwory powstałe w językach obcych uciekają się do języka współczesnego i w ten sposób przybliżają te utwory czytelnikowi współczesnemu. Może należałoby tak samo przekładać na język współczesny wiersze Hryhorija Skoworody? — Dmytro Wołodimirowicz zwrócił się z tym pytaniem do taty.

— Z tą beczynnością i z tym, że dużo czasu się marnotrawi, to prawda — powiedział tato. — Zwłaszcza młodzież w tym celu...

Tato zaczął się rozwodzić nad tym, że młodzież powinna być poważniejsza i — tato wyraził się nagle niesłychanie uczenie — „fanatycznie oddana sprawie”.

— Że oddana — zgoda — błysnął okularami Anatolij Petrowicz. — Ale nie fanatycznie. Był taki filozof Jung, który pisał, moim zdaniem całkiem słusznie, że fanatyzm to superkompensowanie wątpliwości.

— Co to znaczy superkompensowanie? — zapytała Olena.

— Człowiek zawsze ma wątpliwości — powiedział Anatolij Petrowicz. — To jedna z tych cech, którym ludzkość zawdzięcza swój rozwój. Ale ludzie walczą ze swymi wątpliwościami. I to także jest słuszne. To nawet zbawienne. Gdyby było inaczej, świat stanęłaby w miejscu. Dlatego ludzie często muszą siebie wzajem — a także samych siebie — przekonywać o czymś. Niekiedy jednak wątpliwości bywają tego rodzaju, że

mogą stoczyć człowieka jak kornik. Zdarza się też, że człowiek nie ujawnia swoich wątpliwości, że skrywa je przed ludźmi, a nawet przed samym sobą. Nie chce o nich wiedzieć. Swoim zachowaniem nie tylko kompensuje wątpliwości, ale właśnie superkompensuje. Wtedy właśnie staje się fanatykiem.

— Nie wiem, kto i co kompensuje — tato był sceptyczny — ale kiedy jest za dużo wątpliwości, to za mało się robi. Nam zaś jest potrzebne, żeby młodzież robiła, a nie miała wątpliwości.

— Potrzebne jest i jedno, i drugie — łagodnie powiedział Anatolij Petrowicz. — Musimy ich nauczyć, żeby więcej myśleli, żeby szerzej patrzyli na świat. Mimo wszystko bardzośmy zawinili wobec tego pokolenia. Zbyt często myliliśmy się, postępowaliśmy nie tak, jak nam dyktowało sumienie, sami w sobie wychowywaliśmy fanatyków.

Mama jeszcze mocniej zacisnęła usta.

— Nie wiem, jak wy — patrząc w stół powiedział tato — ale ja tam nie czuję się winny. Myślę, że Romek też nie uważa mnie za winnego. Myślę, że odnieśliśmy zwycięstwo w wojnie i że przekazaliśmy im dobre, pokojowe czasy. A oni powinni je wykorzystać do pracy, a nie do zwątpienia.

Nie przypadli sobie do gustu. Tato zapytał Olenę, co właściwie ona studiuje w konserwatorium i wyznał, że lubi operę „Carmen”, a zwłaszcza arię toreadora, wyjaśnił też, dlaczego współczesne opery mniej mu się podobają, choć moim zdaniem współczesne opery tato oglądał najwyżej w telewizji i zawsze wyłączał telewizor w połowie opery. Tato jest analfabetą muzycznym. A mama, która lubi i rozumie muzykę, mama, która, kiedy jest sama w domu, nastawia sobie płyty z Czajkowskim, nawet wtedy, gdy Olena usiadła do fortepianu, twarz miała kamienną i nieporuszoną.

Do siebie rodziców Oleny nie zaprosili i do nich też już więcej nie przyszli. Zresztą wszystko jest u nas w porządku. Cicho, spokojnie. Moi nowi rodzice bardzo się rozczulają, kiedy wychodzę na spacer z Marynką. Różnych sukienek, paltocików, bucików, sandałów Marynka ma tyle, że moim zdaniem wystarczyłoby tego dla średniej wielkości przedszkola. Kiedy wychodzi ze mną, babcia wiąże jej we włosach jakąś nieopisanie jaskrawą kokardę. Kokardy robi się teraz z kapronowych wstążek, sterczą na główce dzieciaka jak ogromny motyl. Kiedy już wychodzimy z Marynką na ulicę, widzę Anatolija Petrowicza i Anastazję Lwiwną stojących w oknie za firanką, patrzą na nas z rozczuleniem. Wydaje im się, że z ulicy ich nie widać.

Marynka to poważny facet. Niezależny. „Ja sama”. Kiedy ktoś próbuje ją karmić, odpowiada: „Ja sama”, kiedy biorę ją na ręce, żeby ją przenieść przez jezdnię, też mówi: „Ja sama”, kiedy próbuję ją podsadzić na żelazną drabinkę w parku przed naszymi oknami, też słyszę: „Ja sama”, obija sobie boleśnie kolanka, ale sama wchodzi na samą górę.

Bardzo bym chciał przewieźć ją na motocyklu. Przypuszczam, że po pierwszej przejażdżce oświadczyłaby, że następnym razem pojedzie sama. Ale nie odważam się zabrać jej na motor. Nie chcę sprawiać przykrości ludziom, którzy na to nie zasłużyli. Przecież gdyby teściowie dowiedzieli się, że ją wozilem na motocyklu, nie mogliby sobie miejsca znaleźć, ile razy wyszedłbym z nią z domu.

Również często jak inne dzieci pytają: „dlaczego?” Marynka pyta: „a jaki z tego pożytek?” Jaki jest pożytek z trolejbusu, z kota, z kranu, z czajnika, z drzewa, ze wszystkiego na świecie.

— A jaki jest z ciebie pożytek? — zapytałem kiedyś.

— Ja dobrze jem babci — odpowiedziała Marynka bez namysłu.

Tej nocy działo się ze mną coś takiego... Ni to półsen, ni to majaczenie. Przyśniło mi się zadanie logiczne. Zadał mi to kiedyś Mykoła. Nie umiałem tego rozwiązać. Coś nam wtedy przeszkodziło i Mykoła nie zdążył mi powiedzieć, jakie jest właściwe rozwiązanie. Potem obaj żeśmy o tym zapomnieli i nigdy już nie próbowałem tego zadania rozwiązać.

Ale we śnie zobaczyłem to wszystko z ogromną wyrazistością. Wielki kwadratowy pokój o białych ścianach, z białym sufitem i białą podłogą. Linoleum. Drzwi nie ma. Nie ma też okien. Nie widać także źródła światła. Ale jest to równe światło, dzienne. Na środku pokoju stoją dwa jednakowe fotele, podobne do foteli dentystycznych. Są to krzesła elektryczne. Jedno z nich podłączone jest do sieci, drugie nie.

Pomiędzy fotelami stoi kat. To Mykoła. Ale niepodobny jest do siebie, jest niższy, ma na sobie biały fartuch do samej ziemi, na głowie biały kucharski czepiec i twarz ma białą, jakby upudrowaną.

Wszystko zależy od tego, który fotel wybiorę. Mogę zadać Mykole tylko jedno pytanie. Jedno jedyne. On na nie odpowie tylko „tak” albo „nie”. Ale ja wiem, że kat jednego dnia mówi prawdę, drugiego zaś kłamie. Czy dziś akurat mówi prawdę — tego nie wiem. Muszę znaleźć to jedyne pytanie, które mogłoby mnie uratować.

Wyobraziłem sobie, jak wszystkimi nerwami przechodzi gorąca fala prądu elektrycznego, jak nerwy skracają się i czernieją i nagle spadło na mnie owo słynne serendipiti. Olśniło mnie. Zrozumiałem, jakie to musi być pytanie.

Należy wskazać jeden z foteli i zapytać: „Czy wczor-

raj powiedziałbyś, że ten fotel jest podłączony do sieci?”

Oznaczmy teraz ten fotel literą „A” i założmy, że jest on pod prądem. Założmy też, że wczoraj Mykoła mówił prawdę. W takim razie wczoraj powiedziałby „tak”, ale ponieważ dziś nie mówi prawdy, powie „nie”. W takim razie powinienem wybrać fotel „B”. Jeśli jest inaczej, jeśli Mykoła wczoraj kłamał, to znaczy, że o fotelu „A” powiedziałby wczoraj, że nie jest pod prądem, dziś jednak powie „tak”. Tak samo z fotelem „B”. A zatem powinienem wybrać ten fotel, o którym Mykoła powie „nie”.

Wszystko to zrozumiałem w oka mgnieniu. Ale zamiast zapytać: „Czy wczoraj powiedziałbyś, że ten fotel jest podłączony do sieci?” zapytałem Mykołę, mego kanta: „Czy ona cię kochała?” Obojętne mi było, na którym fotelu usiądę.

Obudziłem się, sięgnąłem po leżące na nocnym stoliku papierosy. Olena spała na sąsiednim łóżku, nie słyszałem jej oddechu. Nasze łóżka były zsunięte. To takie nowoczesne łóżka z wezglówkami na wysoki połysk, robią je gdzieś w NRD. W dzień zaścielone są aksamitną narzutą i wyglądają jak jeden wielki, kwadratowy tapczan.

— Która godzina? — zapytała z roztargnieniem Anastazja Lwiwna.

— Dziewiąta. Za piętnaście dziewiąta.

Teściowa pokiwała głową.

— A jaki to dziś dzień?

— Piątek.

Człowiek, który pracuje w fabryce, zawsze wie, jaki dziś mamy dzień. Można być pewnym, że się nie pomyli. Nie pomylą mu się też dekady miesiąca. Robota

mu przypomni, jaka to dekada. W każdym razie w naszej fabryce.

— W jakimś opowiadaniu fantastyczno-naukowym — powiedziała Anastazja Lwiwna — czytałam... Rzecz się dzieje na jakiejś dalekiej planecie. Planeta ta obraca się znacznie szybciej niż ziemia. Dlatego nieustannie dzień przechodzi tam w noc, noc w dzień. Doba trwa bardzo krótko. A ja czytałam o tym i myślałam sobie, że tak właśnie mknie czas dla ludzi w starszym wieku.

— Michajło, nasz fryzjer, powiada — zaprotestowałem — że i dla młodych czas pędzi jak rower po pochyłości, pędzi naprzód i nie ma tylnego biegu.

— Jak rower — uśmiechnęła się teściowa. — Może inaczej. Jak wasz motocykl. Albo jak samolot. Z wiekiem zmienia się też zupełnie poczucie czasu — zamysliła się. — Zresztą wszystkie inne uczucia, w każdym razie u kobiet, pod sześćdziesiątkę zostają takie same, jak były w dwudziestym roku życia.

— Jak to — wszystkie?

Popatrzyłem na Anastazję Lwiwnę z powątpiewaniem.

— A tak. To jest właśnie najtrudniejsze, najprzykrejsze ze wszystkiego, co czuje starsza kobieta. Uczucia są te same, co w osiemnastej wiośnie, ale możliwości — całkiem inne.

— I to dotyczy wszystkich?

— Przypuszczam, że wszystkich.

Jakoś inaczej niż dotąd popatrzyłem na moją teściową. Nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Ale jeżeli to, co powiedziała, to prawda — a po cóż by miała kłamać? — to z pewnością musiała wyczuwać, że zarówno Olena, ja i nasi przyjaciele traktujemy ją jak istotę całkiem innego niż my gatunku. A ona czuje się taka sama, jak my. Trzeba coś z tym zrobić.

*

Mówią, że jest na świecie miasto bardzo podobne do Kijowa. Rio de Janeiro. Jeżeli to prawda, to Rio de Janeiro musi być całkiem miłym miastem.

W Kijowie postukują o asfalt spadające z drzew kasztany. Przechodnie je zbierają. Równie chętnie robią to dzieci, jak ludzie starzy. Wszyscy podziwiają lśniącą, wypolerowaną powierzchnię takich świeżych kasztanów, piękną grę odcieni koloru, który nie ma innej nazwy prócz „kasztanowy”.

O pięknej porze roku sypią się z drzew Kijowa kasztany — we dnie jest już całkiem ciepło, a liście drzew są ze złota, z brązu, z zaśniedziałej miedzi i z nadzartego przez rdzę żeliwa.

Znowu nadchodzi jesień. To już rok, odkąd nie ma wśród nas Mykoły. Bardzo rzadko ktoś go wspomina. Olena czasem płacze po nocach. Kiedy pytam ją, co się stało, odpowiada mi, że miała straszny sen. No i ja go wspominam. Jadę czasem na motocyklu i nagle widzę na chodniku znajomą sylwetkę, hamuję, chcę zawołać: „Mykoła!” No i jeszcze na ścianie przy barku wisi jak dawniej obraz Linkego „Most”. Jedna z postaci, które spadły z tego przeklętego mostu, przypomina mi w jakiś sposób Mykołę. Staram się nie patrzeć na tę reprodukcję. W ogóle wydaje mi się, że ciągle jeszcze wisi ona na ścianie tylko dlatego, że wszyscy się do niej przyzwyczaili i nikt już jej nie zauważa. Ale jeżeli się nad tym zastanowić...

Olena wysłała mnie na bazar, miałem kupić dużego królika, marchew, cebulę, pietruszkę, a także jabłka i śliwki. Tylko żeby śliwki były naprawdę ładne. Anastazja Lwiwna według specjalnego przepisu udusi tego królika w czerwonym winie. To się nazywa „królik à la zajac”. Potem goście będą ogryzali każdą kosteczkę i nieomal własne palce. W niedzielę zawsze przychodzą do nas przyjaciele. Moi motocykliści dawno już

przemieszali się i zaprzyjaźnili z pianistami i wokalistkami Oleny. Anastazja Lwiwna jest w siódmym niebie — wszyscy wiele sobie obiecują po jej króliku. Wszyscy dużo jedzą, a i piją niemało. Moi chłopcy przyjeżdżają trolejbusem, mają więc rozwiązane ręce.

Wstąpiłem do sklepu, ale była tam tylko „Moskowskaja”. Za szkłem osłaniającym ladę wisiała tabliczka: „Dziś obsługuje was sprzedawczyni M. W. Ignatienko”.

— Rozpoznałem cię, piękna maseczko — powiedziałem do sprzedawczyni. — Masz na imię Marusia.

— Nie zgadliście. Maja.

Sprzedawczyni patrzyła na mnie spod grzywki z demonstracyjnym brakiem zainteresowania.

— Czy nie znalazłoby się parę butelek „Stolicznej”?

— Tylko „Moskowskaja”. Nie widzicie?

— Potrzebna mi jest do szpitala — powiedziałem. Na obojętnej twarzy Mai odmalowało się zdziwienie. — A „Moskowskaja” nie nadaje się dla chorych. Musi być coś lepiej oczyszczonego...

Zart, który nie od razu dociera, kiedy wreszcie dotrze, potrafi oddziaływać doprawdy magicznie. Co się stało z brakiem zainteresowania na twarzy Mai? Parsknęła śmiechem, zniknęła na zapleczu i niebawem wróciła z dwiema butelkami „Stolicznej”.

Ostatnimi czasy coraz częściej przychodzi do nas młody poeta Leon Kowalow. Przyjaźni się z Oleną. Pianiści i wokaliści patrzą w niego jak w tęczę. Z moimi chłopakami Kowalow też bez trudu znalazł wspólny język.

— On jeszcze będzie wielkim poetą — powiedziała mi o nim Olena. — To będzie Lermontow naszych czasów. Albo Szewczenko. Jeżeli tylko nic mu się nie stanie.

— A co mu się może stać?

— Wielkiemu talentowi zawsze grozi wiele niebez-

pieczeństw. Wypadek samochodowy. Albo zwyczajna grypa. Wypadki samochodowe zdarzają się i zwykłym ludziom. Ale dopiero kiedy zginie wielki talent, geniusz, zaczynamy naprawdę zdawać sobie sprawę z tego, jak wiele niebezpieczeństw w ogóle grozi człowiekowi.

— Jeszcze lepiej zaczynamy zdawać sobie z tego sprawę — zaprotestowałem — kiedy się to przydarza nam albo komuś z naszych najbliższych.

Olena nic mi nie odpowiedziała. Ona również przypomniała sobie o Mykole.

Kiedyśmy już zjedli tego niebywale smacznego królika, kiedy zapaliliśmy i tylko Wilia jeszcze leniwie popijał ze swojej szklanki wino zmieszane z wodą mineralną — Wilia nie wiadomo dlaczego zawsze tak miesza wino z wodą — Nadijka, nowa dziewczyna Wili, o skośnych mongolskich oczach, poprosiła Leona:

— Proszę przeczytać wiersze.

To mi się w tym poecie podoba, że nigdy się nie certuje, zawsze czyta swoje wiersze chętnie. I z taką miną, jakby to była jakaś ciężka praca.

Leon oparł się o fortepian, jego przyciszony i odrobinę schrypnięty głos zdradzał podniecenie i przejęcie:

*Nie urwiemy się z orbity danej,
Ale niech mi kto pieśń podpowie
W ukochanej, na wpół zapomnianej,
Ukraińskiej ojczystej mowie.*

*I w pokoju, gdzie dziś tak jak ongi,
Obce twarze jak chleby białe
Eksplodują niczym czarne pąki
Serca, zda się zakamieniałe.*

*A ja spojrzę w otchłań, o, współcześni,
I tę gorzką prawdę ulowię,
Ze na świecie nie ma nic, prócz pieśni
W ukraińskiej ojczystej mowie.*

Wszyscy milczeli.

— Że wszystko na świecie jest, że tak powiem, pieśnią — powiedział wreszcie Wilia — to rozumiało. Ale dlaczego akurat po ukraińsku?

I jakby coś zepsuł, zniszczył w tym wierszu.

— Nie potrafię tego wyjaśnić — odparł Leon, który tak naprawdę to ma na imię Leontij. — Tak to odczuwam. Jeżeli traktować poezję jako jeden ze sposobów autointerpretacji, to musimy się pogodzić z tym, że ja akurat tak się autointerpretuję.

Wilia twierdzi, że wiersze pisze się wtedy, kiedy człowiek nie potrafi się wyrazić w prozie, i zawsze cytuje w takich wypadkach Tołstoja, który ponoć powiedział, że ktoś, kto pisze wiersze, zachowuje się tak, jak ktoś, kto by idąc za pługiem próbował zarazem tańczyć. Ale cokolwiek by cytował Wilia, poeci potrafią precyzyjnie wyrazić to, co sam czujesz na dobrą sprawę, ale z czego nie zdałeś sobie jeszcze sprawy. Ja na przykład zawsze czułem, że moje życie jest jakoś związane z ukraińskimi pieśniami, które śpiewała mama, czułem, że we wszystkich tych pieśniach jest mowa jakby o mnie, że te pieśni nawet jakby potrafią przepowiadać moją własną przyszłość. Przecież tak właśnie było ze śpiewaną przez mamę pieśnią „Ponad ługom zeleneńkim”.

— A czy moglibyście powiedzieć — z niezdrową ciekawością zwróciła się do Leona Kowalowa Nadijka Wili — dlaczego ciągle tak na was napada krytyk Briuczenko?

— Nie wiem — odrzekł poeta. — Sądzę, że po prostu nie rozumie moich wierszy.

— Spotykaliście się z nim?

— Nie. On nie jest z Kijowa.

— Ale kto to taki, ten Briuczenko? Stary, młody?

— Podobno młody. Handluje po trosze swoim sumieniem. Maksimum zysku na minimum towaru.

Broń Boże dostać się na język takiemu poecie. Ale zasunął — „na minimum towaru”.

Wilia posiłkując się rozlicznymi cytatami zaczął mówić o tym, że poezja podobnie jak cała literatura powinna dawać możliwie precyzyjny obraz świata, model świata i że godząc się na takie ujęcie sprawy trudno nie przyznać, iż krytyka wierszy Leona Kowalowa jest po części słuszna.

Leon Kowalow polemizował z cytatami Wili. Tego Leona żadną cytata się nie przygwoździ. Wszystko, cokolwiek on mówi, samo brzmi jak cytaty z jakichś klasyków.

— Poezja tym się różni od nauki — powiedział Leon — że w nauce te same przyczyny powodują zawsze te same skutki. W poezji natomiast nigdy się tak nie dzieje. Albo nie mamy do czynienia z poezją.

Obawiam się, że Wilia niedługo będzie się cieszył tą swoją Nadijką. Nadijka tajała na samą myśl, że siedzi obok tak wybitnego poety.

— A jaki jest wasz stosunek do poezji mechanicznej? — zapytała. — Dziś na przykład będziemy słuchali muzyki mechanicznej...

— Jestem pewien, że poezja mechaniczna jest możliwa — chętnie odpowiedział jej poeta. — W każdym razie teoretycznie jest możliwa. Z czasem niewątpliwie zajmie należne jej miejsce w kulturze. Ale nigdy nie powstanie proza mechaniczna. Ludzie nigdy nie będą czytali prozy napisanej przez maszynę, przez komputer.

— Dlaczego? — zapytał Wilia.

— Poezja jest zawsze związana z rytmem i z rymem — odparł Leon. — Nowoczesny wolny wiersz to w ostatecznym rachunku także proza, tyle że wymyślona. Poeta zawsze uzależniony jest od rymu. A ponieważ musi poszukiwać tego rymu, ponieważ musi ogra-

niczać wiersz do pewnego określonego metrum, o niejednym decyduje w wierszu przypadek. To właśnie te przypadki poeci nazywają natchnieniem. Mówiąc ściślej właśnie dlatego, że poeta musi szukać rymu, krystalizują się w nim pewne myśli, obrazy, porównania, na które, jak mu się wydaje, sam by nie umiał wpaść, które go jakby olśniewają. Te przypadki wyrobiły w poetach szczególną zdolność do podświadomych poszukiwań, do podświadomych działań. Poezja zawsze jest tworzona, jest organizowana w znacznej mierze właśnie przez podświadomość.

— A proza? — powiedział Wilia.

— Z prozą zupełnie inna sprawa. Przypadki zdarzają się tu rzadko i pozbawione są większego znaczenia. Może to być kalambur, który nagle przyszedł prozaikowi do głowy, jakaś przypadkowa zbieżność w słowach bohaterów, jakieś rytmy. Ale w zasadzie prozaik posługuje się kategoriami logiki. Jego narzędziem, by tak rzec, domeną, jest świadomość, a nie podświadomość. Istotne znaczenie ma tu również to, że poezja zawsze — jakoś tak się złożyło — w znacznej mierze apeluje właśnie do podświadomości czytelnika, podczas gdy proza przeciwnie, z reguły adresowana jest do jego świadomości.

Ponieważ jesteśmy przekonani, że istnieje coś takiego, jak oddziaływanie czytelnika na pisarza — a oddziaływanie takie istnieje ponad wszelką wątpliwość — zgódźmy się, że czytelnicy jak gdyby zamawiają utwory u pisarza, jak gdyby zmuszają go, by pisał tak, a nie inaczej. Pisarz z kolei — są to bardzo skomplikowane współzależności — oddziałuje na czytelnika... W tym ujęciu związek poezji z czytelnikiem jest zupełnie innej natury niż prozy. Poezja to coś nader skomplikowanego. Wygląda na to, że podświadomość czytelników wpływa na podświadomość poety i z kolei podświadomość

me odkrycia poety docierają do czytelników. W prozie związki te są wyraźniejsze, zamówienie społeczne jest bardziej sprawdzalne.

Wyobraźmy sobie teraz maszynę elektronową, w którą włączono ogromną ilość informacji, rozmaitych zbitek słownych, którą poinformowano o pewnych miarach wierszowych, rymach, wyposażono w duży zapas słów. Możemy sobie wyobrazić, że w takim wypadku przypadkowo znalezione rymy mogą pociągnąć za sobą pewne obrazy, a pewien zapas obrazów otrzymanych w tak przypadkowy sposób da w efekcie wiersz. Ostatecznie taka maszyna będzie funkcjonowała mniej więcej tak jak poeta, pod warunkiem oczywiście, że zostanie odpowiednio sprawnie zaprogramowana. W przypadku prozy natomiast będzie to zupełnie niemożliwe, ponieważ przypadek odkrywa w prozie niepomierne mniejszą rolę. Tu konieczna jest logika, niezbędna jest świadoma konsekwencja.

— A więc poezja jest czymś gorszym od prozy? — zdumiała się Nadijka.

Leon Kowalów wzruszył ramionami.

— Bynajmniej. Są to po prostu różne gatunki literackie. Ale ponieważ istnieje wiele gatunków pośrednich między nimi, wiele umownych podziałów różnego rodzaju, granica między poezją a prozą stała się niewyraźna, zanikła, nie zwraca się na nią uwagi...

On i Wilia kontynuowali jeszcze tę dyskusję, ale ja już nie słuchałem, bo zająłem się naprawą magnetofonu. Nic poważnego, pękła sprężynka w przełączniku szybkości. Te wieczory u nas zazwyczaj kończą się muzykowaniem — Olena gra na fortepianie, ktoś z obecnych odśpiewa romans Dargomyżskiego, a potem jakąś odeską balladę złodziejską. Albo słuchamy jazzu z magnetofonu. Przeważnie tytanów jazzu. Teraz już bez trudu odróżniam Benny Goodmana od Counta Basie,

Counta Basie od Fletchera Smack Hendersona, Fletchera Smack Hendersona od Davida Roy Eldridge, a wszystkich ich razem wziętych od Duke Ellingtona.

Dziś słuchaliśmy muzyki skomponowanej przez maszynę. Jakaś nudna i doskonała suita na kwartet smyczkowy. Nazywało się to „Suita Illiac”.

A potem nastawiliśmy taśmę, którą przyniósł Leon Kowalow. Jacyś Paragwajczycy. Z gitarami. Leon dobrze zna hiszpański. Kończył filologię hiszpańską na uniwersytecie. Tłumaczył nam słowa.

Ładnie śpiewają ci paragwajscy chłopcy. Trudno ich słuchać spokojnie. Naprawdę wierzy im się, że w chwili gdy śpiewają, nie istnieje dla nich na świecie nic oprócz ich pieśni. Są jak skowronki, które zawisły na błękitnie nieba i nie posiadają się ze szczęścia.

A słowa tych pieśni są takie, że trudno wyjść z podziwu. Ależ ludzie potrafią sformułować!

Przy akompaniamencie tej cudownej muzyki Leon Kowalow tłumaczył nam uskrzydłone słowa pieśni:

— Kobieto! Jeżeli kiedykolwiek spotkasz Pana Boga, zapytaj go, czy ktoś kochał cię bardziej niż ja... A morze...

Tu oni zaśpiewali o tym swoim morzu coś takiego, że nawet tłumacz się poddał i tylko rozłożył ręce:

— No, w ogóle, że miłość jest jak morze.

Popatrzyłem na Olenę, która z ustami na wpół otwartymi oddychała śpiesznie i słuchała tych paragwajskich chłopaków nie patrząc na Leona, popatrzyłem na Leona, który nie patrząc na Olenę tłumaczył słowa pieśni, a twarz miał bladą i pełną determinacji i nagle przyszła mi do głowy straszna myśl, która odtąd miała mnie już prześladować.

„Kobieto! Jeżeli kiedykolwiek spotkasz Pana Boga, zapytaj go, czy ktoś kochał cię bardziej niż ja”. Dobrze powiedziane. Ale pod warunkiem, że ktoś to mówi

nie do twojej żony. On zaś zwracał się do Oleny. I Paragwajczycy śpiewali po hiszpańsku o jego miłości, która jest jak morze. O jego miłości, nie o mojej. Kocham Olenę. Ale nie tak, jak śpiewali Paragwajczycy. Inaczej. W inny sposób. A jednak coś ohydneho dra-
pało mnie w gardle.

Wyszedłem do kuchni. Tam przy małym rozsuwanym stole siedzieli naprzeciwko siebie Anatolij Petrowicz i Anastazja Lwiwna. Anatolij Petrowicz czytał gazetę, teściowa czytała książkę, wyglądali na spokojnych i szczęśliwych, a mimo to pomyślałem, że tak być nie powinno. Nie powinno być tak, żeby oni tu siedzieli, podczas gdy my tam puszczaemy taśmy z tymi Paragwajczykami, którzy zapewne nie budziliby w Anatoliju Petrowiczu żadnych uczuć poza uczuciem obrzydzenia. Doskonale wiedziałem, że Anatolij Petrowicz nie lubi muzyki popularnej, aczkolwiek mówi o niej z powściąganą pobłażliwością. Moim zdaniem on traktuje ją po prostu jak zło konieczne.

Otworzyłem lodówkę i wyjąłem butelkę wódki.

— Napijmy się — zaproponowałem Anatolijowi Petrowiczowi i Anastazji Lwiwnej.

Teść spojrział na mnie ze zdumieniem, sponad okularów, ze skrywanym niepokojem.

— Bardzo chętnie — powiedział. — Tylko zdejmę tę kurtkę i włożę smoking.

Siedział w kuchni w górze od piżamy, ale pod nią miał zapiętą pod szyję białą czystą koszulę ze starannie zawiązanym ciemnogranatowym krawatem w złote prążki.

W chwilę później teść przyszedł do naszego pokoju. Był w marynarce, jak sam kiedyś określił, koloru mokrego asfaltu.

— Napijmy się — zaproponowałem.

Obecni przyjęli moje słowa tak, jakbym odgadł ich

najskrytsze życzenie. Ci Paragwajczycy śpiewają, jakby naumyślnie tak, żeby człowiek nabrał ochoty na kielicha. Te ich piosenki warto by puszczać w restauracjach. Sprzedaż napojów alkoholowych wzrosłaby o kilkaset procent.

Dobrze ochłodzona wódka nie jest zła. Nie czuje się tego ciężkiego zapachu spirytusu, w ustach — lód, ale potem opuszcza się do żołądka powolna grudka ciepła, rozgrzewająca się coraz to bardziej i promieniująca ciepłem aż do rąk i nóg.

Anatolij Petrowicz trącił się z Oleną i popatrzył na stół, niby nie zauważając, jak szybkim ruchem Olena podniosła do ust kieliszek, jak go opróżniła odchyliwszy głowę, jak się zmieniła na twarzy. Twarz jej znowu była taka jak wtedy, kiedy ja i Mykoła zobaczyliśmy ją po raz pierwszy na Kreszczatiku.

Leon Kowalow uśmiechnął się dziwnie i pił kieliszek po kieliszku, równo ze mną. Tak też nalewałem: jemu — sobie, jemu — sobie, jemu — sobie. Paragwajczycy zaś śpiewali o tych swoich kobietach, które mają się zobaczyć z Panem Bogiem, i o tym swoim morzu, i o swoim Paragwaju, o którym, prawdę powiedziawszy, nie wiem, gdzie by też leżał.

Anatolij Petrowicz z uśmiechem pociągał gorzałkę z kieliszka i nagle ogarnęło mnie jakieś współczucie dla niego.

— Napijmy się, ojczy — zaproponowałem.

— Z przyjemnością — odparł Anatolij Petrowicz, trącił się ze mną i znów pociągnął ze swego kieliszka. I nagle spojrział na mnie jakoś szczególnie przenikliwie i właśnie współczująco. Czy też może tak mi się tylko wydało? Potem przyplątał się Wilia. Wilia, kiedy sobie podpije, musi krytykować wszystkich naokoło. Wzywając na świadka Anatolija Petrowicza zaczął mnie zawstydząć, że nie rosnę, nie rozwijam się, nie uczę,

że dwa lata nie mogłem zaliczyć roku w instytucie, że pozostaję z tyłu, że jestem zanadto zadowolony z siebie i z wszystkiego, co mnie otacza, a bez świętego niezadowolenia nie ma postępu w niczym. I natychmiast znalazł stosowne cytaty z Platona, z Sokratesa, ze swego ulubionego Epikteta i z jakichś jeszcze bliżej nieznanych filozofów. Co prawda mieszanka wina i wody mineralnej podziałała na niego znacznie bardziej piorunująco niż na mnie wódka — wszystkie te cytaty nie miały nic wspólnego z tematem jego demaskatorskiej mowy.

Leon Kowalow milczał z obojętną twarzą, pogrążony w sobie słuchał cytatów Wili z akompaniamentem paragwajskich gitar, aż wreszcie pożegnał się pośpiesznie i wyszedł.

Olena odprowadziła go do przedpokoju. Długo nie wracała. Nie widziałem w tym niczego dziwnego, ale jednak huknąłem na Wilię, żeby się zamknął razem ze swoimi filozofami. Wilia jak zwykle w takich wypadkach nadał się i oświadczył, że niepotrzebnie rzucał perły przed wieprze, przy czym wyjaśnił, że mówiąc o wieprzach ma na myśli bynajmniej nie wszystkich obecnych, ale jedynie mnie, że jego noga więcej tu nie postanie — i ruszył do przedpokoju, a za nim jego Nadijka, no i ja. Kiedy weszliśmy do przedpokoju, Wilia obejrzał się na mnie i twarz mu wykrzywił straszliwy grymas, a jeszcze przedtem zobaczyłem Olenę tulącą się do poety Leona Kowalowa. Tym samym ruchem. Tak samo, jak wtedy, wieczorem, tuliła się do mnie.

Podaliśmy rękę Leonowi, Wili, Nadijce, uśmiechnąłem się do Oleny i wróciliśmy do naszego pokoju, gdzie przy stole nadal siedział Anatolij Petrowicz i powoli popijał wódkę ciągle jeszcze z tego samego kieliszka.

Kiedy chodziłem jeszcze do przedszkola, często jadłem śnieg. Wiedziałem, że nie wolno tego robić. Ale

robiłem to. Ukradkiem. Nie mogłem się powstrzymać, śnieg był taki czysty, biały, roziskrzony. Nie mogłem się powstrzymać, zwłaszcza od chwili, kiedy zobaczyłem kiedyś, jak ktoś na takim styczniowym śniegu rozłożył flagę, która na błękitnawych śnieżnych srebrościach płonęła radośnie i zwycięsko.

Ale nasza wychowawczyni, Berta Pawłowna, dała kiedyś na spacerze mnie i jeszcze jednej dziewczynce łopatkę i poleciła nam nabrać nimi śniegu do miseczki i zanieść go do przedszkola. Berta Pawłowna postawiła tę miseczkę na kuchence elektrycznej i zamiast śniegu zobaczyliśmy mętną, brudną wodę.

— Widzicie teraz, dzieci, coście jadły — powiedziała nasza wychowawczyni.

„Oto jest to, cośmy jedli” — myślałem i drapało mnie w gardle coś, co było suche i kłujące.

Nasz fryzjer Michajło opowiadał kiedyś wcale niesmieszoną anegdotę o tym, jak stróż dowiedział się, że gospodarz sypia z jego żoną — chodził, wymachiwał miotłą to w jedną, to w drugą stronę, i mówił: „I tak — źle, i tak — źle”. A potem stróż przespał się z żoną gospodarza, więc chodził i wymachując miotłą mówił: „I tak — dobrze, i tak — dobrze”.

Kiedy Wira była ze mną, wiedziałem przecież, co by czuł Wiktor, gdyby się o tym dowiedział. A teraz sam to czuję. Dobrze mi tak. Mam za swoje.

Niedawno zobaczyłem na biurku Oleny przepisany na maszynie wiersz Leona Kowalowa z odręczną dedykacją: „Olenie”.

Cudzym potem mi pachnie twe ciało, kobieto z Magdali.

Cudze usta zmiążdżyły twe usta, kobieto z Magdali.

Cudze żądze spaliły twe serce, kobieto z Magdali.

Kochając cię nienawidzę ciebie, kobieto z Magdali.

Uwięziono nas w świecie, z którego nic nas nie wskrzesi.

I krzyżują nas drzewa, i nikt nas zaprawdę nie wskrzesi.

*Ukrzyżowaniem jest każde skrzyżowanie, i nikt nas nie wskrzesi.
Żywi są martwi, a martwych nic już zaprawdę nie wskrzesi.*

*Cóż mam począć z imieniem twoim czułym, o Mario?
Cóż mam począć ze smutnym sercem twoim, o Mario?
Cóż mam począć z twym życiem, które martwe jest, Mario?
Kochając cię nienawidzę ciebie, o Mario, o Mario.*

Przejdą do historii nawet ci, którzy go zaledwie prze-
lotnie poznali. Wiadomo przecież, jak Herakliusz An-
dronikow tropi ślady każdej osoby, o której choćby
wspomniał Lermontow. Może rzeczywiście Leon Ko-
walow będzie kiedyś Lermontowem naszych czasów.
Ale tacy ludzie nie powinni być chciwi, nie powinni
odbierać niczego innym.

Ale może on sam sobie nie zdaje sprawy z tego, że
jest jak Lermontow, nie wie, że na domach, w których
mieszka albo po prostu bywa, wmurowane zostaną kie-
dyś tablice pamiątkowe? I dlatego żyje tak, jak inni?

A Olena... Olena już widocznie jest taka, że potrze-
buje, by kochano ją inaczej, niż mogę ją kochać ja. Wi-
docznie nie wystarcza jej to, że jest kochana. Widocz-
nie potrzebuje nie tego, by ją ktoś kochał, ale tego, by
ktoś był w niej zakochany. Wtedy zmienia się jej
twarz. Ładnieje. I może jest jeszcze coś, co trafnie
uchwycił ten poeta, kiedy zwracał się do niej jako do
„kobiety z Magdali”?

Jeżeli ktoś mnie zobaczy, z pewnością pomyśli, że
jestem szpiegiem. Po drabince pożarowej wlałem na
płaski, betonowy i brudny dach trzypiętrowego domu,
położyłem się na samym skraju dachu na rozścielonej
gazecie i nastawiłem moją lornetkę. Właściwie to nie
moją, bo pożyczyłem ją od kierownika wydziału, od
Łukjanienki. Łukjanienko jest ornitologiem, jego arty-

kuły o ptakach przedrukowują z naszych pism naukowych czasopisma zagraniczne, jakiś angielski informator naukowy nazwał go nawet przy takiej okazji „profesorem Łukjanienko”. Nie wiedzą tam, że Jurij Jurijowicz nie jest żadnym profesorem, tylko zwykłym inżynierem, który po prostu ma takie hobby, że interesuje go życie ptaków.

Pewnie, że nie mogłem zrobić większego świństwa, niż poprosić Łukjanienkę, żeby mi pożyczył lornetkę. Skorzystałem z tego, że nikogo akurat nie było w pobliżu, bo inaczej ucho od śledzia bym zobaczył, a nie lornetkę Łukjanienki. Jestem przekonany, że łatwiej by mu przyszło oddać mi całą swoją miesięczną wypłatę albo jedyny płaszcz, jaki ma — skórzany, bułgarski. Ale przyniósł mi tę lornetkę, cudowną, leciutką, zeissowską, sześciokrotnie powiększającą, z podświetleniem szkieł. I nawet nie zapytał, po co mi ona. Nawet nie powiedział: „Uważaj, nie potłucz”, choć wiem, że miał te słowa na końcu języka.

Dziwna to rzecz taka lornetka. Ciekawsza niż niejeden film. Twarz człowieka nagle znajduje się tuż obok ciebie, tak blisko, że wydaje ci się, że wystarczy sięgnąć ręką, a dotkniesz. Widać każdy włoszek, każdą zmarszczkę na tej twarzy, obserwując ruch ust można się nawet domyślić, co człowiek mówi. Jest tak, jakbyś patrzył przez szkło powiększające i widział szczegóły, których inni zobaczyć nie mogą.

Otynkowany mur z kolumnkami wzniesiono zapewne jeszcze przed wojną. Przez lornetkę widziałem każde pęknięcie tynku, widziałem cegły, z których tynk się osypał. Wiatr, słońce i deszcz sprawiły, że cegły te były zwietrzałe.

A za murem było niewielkie podwórko, na którym rosły młode klony, stały dwie skrzynie pełne szarego piachu, niskie ławeczki, wkopane w ziemię żelazne dra-

binki, na których można wykonywać nieskomplikowane ćwiczenia gimnastyczne. Na podwórku bawiły się dzieci. Przeniosłem lornetkę z twarzy na twarz — buzie skupione, buzie rozbawione, buzie poważne. To było bardzo ciekawe. Ale Marynki tam nie było. Już się zaniepokoiłem, czy aby nie zachorowała, czy nie zatrzymano jej w domu. A kiedy grupa jej pod wodzą starej, otyłej wychowawczynie ukazała się na ganku, serce mi zakolało.

Obserwowałem twarz Marynki i przychodziły mi do głowy dziwaczne myśli. Wydawało mi się, że Marynka jest podobna nie do Mykoły, nie do Oleny, tylko do mnie. Miała moje spojrzenie. I taki jak ja wyraz twarzy. Tę twarz miałem teraz całkiem blisko. Bardzo pragnąłem nachylić się do niej, jak to robiłem kiedyś, i zanurzyć usta w jej delikatnych, miękkich włosach.

W naszym domu wszystko wyglądało inaczej. Nigdy w życiu, nawet wtedy, kiedy byłem zupełnie malutki, mama nie pocałowała mnie ani nie objęła. Co prawda tato, kiedy jeszcze chodziłem do szkoły, czasem głaskał mnie po głowie, a kiedy byłem jeszcze całkiem mały, podnosił mnie i podrzucał aż pod sufit.

A u nich... U nich nikt się nie obawiał popieścić dziecka, nikt się nie bał, że to zrobi z dzieciaka „mazgaja”. Nie słyszałem też tu przysłowia u nas w domu nieustannie powtarzanego: „Dawaj swyni jak kryczyt’, dytyni jak płacze, budesz maty sytu swiniu i dytia czortiacze”.

Oni mieli do tego zupełnie inny stosunek. Nie dlatego, że to była dziewczynka. W ogóle. Co prawda Marynka nie bardzo pozwalała się obcałowywać i nosić na rękach. Samodzielna dziewczynka. Ale ze mną czuła się dobrze. Tęskniłem też przede wszystkim nie do Oleny ani nie do jej rodziców, którzy traktowali mnie jak rodzzonego syna, ale do tej żywej jak iskra dziewczyn-

ki, która umiała swym śmiechem wywołać uśmiech na każdej twarzy.

Niepokoilem się, jak jej będzie w przedszkolu, czy dobrze sobie ułoży stosunki z dziećmi, czy nie zarazi się od nich odrą, szkarlatyną czy świnką. Niech tam mówią, co chcą, ale wydawało mi się, że przedszkole dla dzieciaka to coś jak ta robota, o której mówił Wiliam, dla dorosłego — praca jako sposób utrzymania się przy życiu. Każdego ranka, niezależnie od tego, jaka na dworze pogoda, trzeba wstawać o tej samej godzinie i iść do pracy, w której codziennie robi się jedno i to samo. A jednak dorosły ma lepiej — może zmienić miejsce pracy, wybrać sobie zajęcie możliwie najbardziej mu odpowiadające. Dziecko nie ma wyjścia, nikt nie liczy się z tym, czy podoba mu się w przedszkolu.

Leżałem na dachu, obserwowałem Marynkę przez sześćokrotnie powiększającą lornetkę i myślałem, jak doskonale teraz rozumiem ojców, którzy najpierw się rozwodzą, a potem, po rozwodzie, wykradają swoje dzieci: po cichutku łapią je, kiedy dziecko wychodzi z przedszkola na spacer ze swoją grupą, wsadzają do czekającej taksówki, przywożą do domu, chowają nos i oczy w ciepłych włosach dziecka i czują wtedy może, że człowiekowi nic więcej do szczęścia nie potrzeba. Tak, jak temu chłopakowi o muskulaturze ciężarowca, którego widzieliśmy kiedyś z Wirą w ogrodzie botanicznym... A potem przychodzi milicjant z pełnomocnikiem, z papierkiem z sądu, zabierają dziecko, mówią, że nie wolno tak postępować, że matka się rozchorowała, dziecko płacze, jest roztrzęsione i nie może nic zrozumieć z tego dorosłego życia, w którym wszystko jest rzeczywiście takie niepojęte, że sam diabeł by się w tym nie połapał.

Jakiś chłopak starszy od Marynki i ostrzyżony tak, jak się strzyże ludzi, którzy dostali piętnaście dni od-

siadki za drobne wykroczenie o charakterze chuligańskim, chłopak o wielkich i odstających uszach podszedł do Marynki, coś do niej powiedział i pchnął ją w pierś. Marynka nie zasypiała gruszek w popiele i oddała mu, uderzyła go dłonią po pięści.

O, do diabła! Jak to niedobrze, że nie nauczyłem jej bić się. Nie zdążyłem. Trzeba jej było pokazać chociaż parę chwytów. Choćby tych najprostszych. Bo chłopak znowu uderzył ją, tym razem pięścią w brzuch, w splot słoneczny, Marynka nie mogła złapać tchu, ale nie rozplakała się, tylko coś głośno powiedziała i cofnęła się o krok.

Mimo woli pomacałem dach wokół siebie — czy nie znajdę jakiegoś kamienia czy kija. Odjąłem lornetkę od oczu i zobaczyłem, że oni są strasznie daleko ode mnie i że nawet gdybym krzyknął ze wszystkich sił, chłopak nie usłyszy mojego głosu.

Znów podniosłem lornetkę do oczu. Chłopak wykręcał Marynce rękę w taki właśnie sposób, jakiego nie zdążyłem jej nauczyć. Złapał jej dłoń tak, że od wewnątrz przykrył ją swoją dłonią, a wielkim palcem wparł się w wierzch jej dłoni — i wykręcił. Marynka przysiadła, a ja poczułem, że coś się ze mną dzieje, poczułem, że zdrętwiała mi prawa ręka.

Marynka siedziała na ziemi, schwyciła chłopaka lewą ręką, przyciągnęła go do siebie, a potem zobaczyłem, jak jej równe białe ząbki wpijają się w to odstające, sterczące jak liść łopianu ucho, jak tryska krew, jak jej prześladowca szeroko otwiera usta i najwidoczniej głośno płacze.

Natychmiast na podwórku zaczął się popłoch, nadbiegła owa gruba stara wychowawczyni, podniosła z ziemi Marynkę, postawiła ją na nóżki i kilka razy z całej siły przylała jej po siedzeniu. Tego już było za wiele. W domu nikt nigdy nie tknął Marynki pal-

cem. Nie chciałem, żeby mała była bita. To się nazywa wychowywaniem? Zszedłem z dachu i skierowałem się do przedszkola.

Drzwi były zamknięte. Ostrożnie nacisnąłem guzik dzwonka i odczekałem kilka minut. Nikt do drzwi nie podszedł. Zatem zacząłem naciskać guzik raz za razem. Dzwonek się nie odzywał. Był najwidoczniej zepsuty. Zacząłem walić w te drzwi. Po bardzo długiej chwili dały się słyszeć szurające kroki, głos, który musiał należeć do starej kobiety, zapytał:

— Kto tam?

— Proszę otworzyć — zażądałem. — Swój.

— Jaki swój?

— Ojciec dziewczynki... Muszę się widzieć z wychowawczynią.

— Lekarz nie kazał nikogo wpuszczać. Proszę przyjść po piątej. Wychowawczyni wtedy do was wyjdzie. A z którą wychowawczynią chcecie się widzieć?

— Nie wiem. Z taką grubą.

— Katerina Dementiiwna? Przyjdźcie po piątej.

I — oddalające się kroki.

Powoli odszedłem od drzwi. Najśluszniej byłoby, oczywiście, nie wdawać się w to. Co mogłem zrobić? Domagać się, żeby Marynkę zabrano z tego przedszkola? A pozostałe dzieci? Domagać się, żeby zabrano i pozostałe? Jakoś tu sobie przecież dają radę i nic strasznego się z nimi nie dzieje. W dodatku Marynka przecież rzeczywiście ugryzła tamtego chłopaka w ucho. Mieli ją za to pogłaskać po główce?

Przypomniałem sobie jednak wyraz twarzy tej Kateriny Dementiiwnej, kiedy biła moją Marynkę, i poczułem, że nie jestem w stanie tak po prostu pójść sobie stąd. Zawróciłem i ruszyłem wzdłuż ogrodzenia.

Mur wokół przedszkola ozdobiony był występami, które na dobrą sprawę mogły przypominać schodki.

Nietrudno było go sforsować. Wlazłem na mur i wtedy zauważyłem, że z wierzchu sterczą z tynku kawałki tłuczonego szkła. Ciekawe, co się tutaj kiedyś mieściło? Czyżby więzienie?

Zeskoczyłem z muru i podszedłem do Marynki. Siedziała w kucki i wznosiła z piasku jakąś budowlę.

— Marynka! — zawołałem. — Marynka!

Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem i poszła w moim kierunku, ale natychmiast się zatrzymała i znowu popatrzyła na swoją kupkę piasku.

— Witaj, Marynka — powiedziałem i wyciągnąłem do niej rękę.

— Witajcie — odpowiedziała Marynka i znowu popatrzyła na piasek.

Co musiała jej o mnie opowiadać Olena, że teraz mała powiedziała mi nie „witaj”, ale „witajcie”, że się nawet do mnie nie uśmiechnęła? Opowiadała jej, że jestem ludożercą czy co?

— Jakżeście się tu znaleźli? — usłyszałem za sobą śpiewny głos.

Obejrzałem się. Katerina Dementiiwna patrzyła na mnie zdziwiona, uśmiechnięta życzliwie.

— To nie ma znaczenia — odparłem powściągliwie.

— Jesteście ojcem Marynki? — ucieszyła się wychowawczyni. — To bardzo dobrze, żeście do nas zajrzeli. — Uśmiechnęła się ledwie zauważalnie i zrozumiałem, że doskonale wie, którądy się tu dostałem. — Wasza córeczka ma kłopoty z dostosowaniem się do kolektywu. Zaczepia dzieci, mówi brzydkie słowa, a jest tu też pewien młody człowiek imieniem Pietia, któremu przed chwilą próbowała odgryźć ucho. Sami rozumiecie, że rodzice tego chłopczyka nie będą zachwyce ni, jeśli ich dziecko któregoś dnia wróci z przedszkola z odgryzionym uchem. Trzeba na to jakoś reagować.

— Trzeba — odpowiedziałem. — Ale nie tak, jak wy. Widziałem, jak Marynka była bita.

Katerina Dementiwna zaczerwieniła się.

— A co wy byście zrobili na moim miejscu? Pewnie, że macie rację. Bardzo żałuję, że zanim ochłonęłam, dałam Marynce klapsa. To rzeczywiście nie jest właściwa metoda... Ale wyście powinni poświęcać jej więcej uwagi... Powinniście zadbać chociażby o to, żeby Marynka nie słyszała w domu takich słów, jakie potem przynosi do przedszkola.

— Ależ ona nie słyszy w domu żadnych słów... Przeciwnie, to tutaj się ich nauczyła.

— Nie wiem. Bardzo wątpię. Ale jeśli nawet tak, to wyście powinni jej wytłumaczyć, że nie wolno używać takich wyrazów. A już zwłaszcza przezywać takimi wyrazami dzieci.

— Jakimi wyrazami? — nie wytrzymałem.

— No, chodzi o nazwy niektórych części ciała... takich, których nie wystawiamy na widok publiczny. Jeśli się tym nie zajmiecie, będziecie musieli zabrać dziecko z przedszkola.

Milczałem.

— W ogóle nieraz już stwierdziłam, że rozkład rodziny fatalnie wpływa na dzieci — ciągnęła Katerina Dementiwna. — Jesteście jeszcze młodzi i może nie rozumiecie, jakie dożywotnie urazy powoduje u dziecka rozłąka z jednym z rodziców, któtnie, awantury rodzinne, jak dziecko się zmienia, jakie robi się złe...

— U nas nie było żadnych awantur — powiedziałem.

— Może — Katerina Dementiwna popatrzyła na mnie z powątpiewaniem. — A teraz proszę się pożegnać z córeczką. Wychodzi się tamtędy. Trzeba wejść na ganek i przejść przez budynek.

Spojrzałem na Marynkę. W dalszym ciągu przykucnięta grzebała w piasku, jak gdyby nic nie słyszała.

— Do zobaczenia, Marynka — powiedziałem.

Nawet nie podniosła głowy.

Nim wszedłem na ganek, zatrzymałem się i obejrzałem. Marynka, dzieci i Katerina Dementiwna były całkiem blisko, ale patrzyłem na nie jak przez odwróconą lornetkę.

Demagogia. Trzeba mu dać nauczki. Nie zna granic. Krytykanctwo. Anarchizm. Uprawia autoreklamę. Antypaństwowe wystąpienie. Wpatrzony w siebie jak w tęczę. Nic, tylko by krytykował, aby krytykować. Oszczyerca. Myśli, że jest najmądrzejszy na świecie. Podgryza. Jest opryskliwy. Byle co go wyprowadza z równowagi. Niebezpieczny człowiek. Niedojrzały. Nie ma dla niego nic świętego. Marnuje czas na bzdury. Brudne plotki. Rozbestwił się.

To wszystko o mnie. Po tym, jak zabrałem głos na zebraniu. Co prawda muszę przyznać, że im porządnie popsułem nabożeństwo.

Wieczorem Wilia wstąpił do Fiedi, u którego teraz mieszkam, wysłuchał mojej relacji i nie cytując tym razem żadnych filozofów, wytłumaczył mi wszystko:

— Powiedzmy, że w jakimś pięknym ustroniu zebrało się towarzystwo, żeby gotować uche. Nad rzeką. Ryba jest. Trochę złowili, trochę kupili, trochę podebrali z cudzych więcierzy. Ucha wyszła — palce lizać. Jeden skosztował i powiada: „Doskonała. Tylko, na mój gust, nie zawadziłoby dodać odrobinę soli”. Drugi: „Rozpływa się w ustach. Ale po wnikliwym rozważeniu wszystkich »za« i wszystkich »przeciw« dodałbym jeszcze jeden listek bobkowy. Ta ucha godna jest warzynu”. A trzeci: „Nie, liści bobkowych jest dość. Ale można by dodać troszeczkę kopru. Kopru w usze i pieńdzy w kieszeni — nigdy nie za wiele”. A czwarty...

Czwarty tylko mlaskał smakowicie: „Bursztyn, prawdziwy bursztyn”. A tu nagle tyś się nachylił im nad głowami i naplułeś do kociołka... „Nie ma dla niego nic świętego” — to jeszcze łagodnie powiedziane.

Tak właśnie było. Na to przedświąteczne zebranie przyjechali aż z ministerstwa. Dali premie. Chwalili nasze obrabiarki za to, że ich jakość pozwala na nawiązanie walki konkurencyjnej z najbardziej znanymi firmami na świecie. Odbiorcy zagraniczni ustawiają się po nie w kolejce jak ludzie przed naszym spożywczym w Sylwestra po wódkę. Na wystawie międzynarodowej zakłady zdobyły „Grand Prix”.

I co przemówienie to podziękowania dla ministerstwa, podziękowania dyrektorowi generalnemu, podziękowania przodownikom pracy.

Wreszcie dano mi głos. Jako przodownikowi pracy. Tak właśnie zostało powiedziane: „Obecnie zabierze głos przodownik pracy, ślusarz naszych zakładów, Roman Ołeksijowicz Puzo”. Tato chciał, żebym został ustawiaczem, a żeby nim zostać, musiałem przejść wszystkie szczeble pracy w fabryce. Tokarkę miałem już opanowaną, więc teraz byłem ślusarzem, pracowałem przy montażu maszyn.

Przeprosiłem zebranych: „Chwileczkę. Chciałbym ilustrować moje wystąpienie”. Przygotowałem wszystko zawczasu. We dwójkę z Andrijem Liwniem. Andrij pracował w biurze projektowym i umiał robić piękne karykatury. Kilka pociągnięć i już możesz poznać człowieka. Karykatury Andrija drukowali nawet w „Wieczornym Kijowie”. Andrij mnie co prawda uprzedził: „Tylko, żeby nikt nie wiedział, kto to wszystko rysował. Nie chciałbym odchodzić z tej fabryki”. Obiecałem mu, że końce w wodę.

Arkusze z karykaturami umieściłem w takiej ramie, co została od jakiegoś starego KWN. Wyjmuje się jeden

arkusz, a tam pojawia się następny. Zainstalowałem tę ramę na scenie przy mównicy i nie wdając się w żadne wstępy, bez tych wszystkich „aczkolwiek zakład nasz ma nie dające się zbagatelizować osiągnięcia, to jednak trudno nie zauważyć też pewnych niedociągnięć” zacząłem prosto z mostu — od szturmowszczyzny. Powiedziałem, że szturmowszczyzna jest na rękę kierownictwu naszego zakładu i że jest z tego powodu sztucznie podtrzymywana.

To by mi może nawet i uszło na sucho, gdybym nie zdarł arkusza, który był na samym wierzchu, i nie pokazał wszystkim zebranym karykatury dyrektora generalnego naszej fabryki, naczelnego inżyniera i naczelników wydziałów podczas szturm.

Karykaturom tym towarzyszył mój komentarz. Mówiłem, że niezdolność do zajmowania się autentyczną działalnością inżynierską czy też administracyjną krytykowani przeze mnie ukrywają za szturmowymi zrywami w trzeciej dekadzie każdego miesiąca, przy końcu każdego kwartału i przed każdym świętem. Bowiem łatwiej jest szturmować, niż właściwie zorganizować pracę wydziałów i całej fabryki. Za dużo jest teraz w zakładach specjalistów od zdobywania materiału i oprzyrządowania oraz majstrów od namawiania robotników, żeby zostali przy maszynach na drugą zmianę.

Rysunki były rzeczywiście śmieszne, ale nikt na sali nawet się nie uśmiechnął. Zbyt duże wrażenie wywarło to, co powiedziałem.

Następnie przeszedłem do tego, jak wygodne jest takie urwanie głowy dla chałturszczyków. Pod koniec miesiąca mogą sobie niewąsko zarobić. Wtedy nikt nie kontroluje jakości tego, co oddają — byle szybciej na montaż. A płacą wtedy, że daj Boże zawsze tak. Więc zarabiają na tym tacy, jak Chorunżij. Chorunżij zawsze ma wtedy zachomikowany potrzebny osprzęt, narzę-

dzia, ma nawet schowane gotowe części. Właśnie dlatego zarabia więcej niż ktokolwiek inny. I mają go za przodownika pracy.

Karykatura Chorunżija wywołała śmiech na sali. Andrij narysował go w postaci ostu o dwóch długich, podkreślonych w górę wąsach. Był bardziej do siebie podobny niż na fotografii.

Następna karykatura poświęcona była temu, jak to się u nas gra w „kozła”. W pierwszych dniach miesiąca ludzie często po prostu nie mają nic do roboty. Kiedy się przechodzi obok wydziału, słychać taki stukot, jakby kto rozbijał asfalt młotem pneumatycznym. To grają w domino. Trzyma się na wydziałach więcej robotników niż potrzeba, byleby tylko miał kto podganiać plan w ostatnim tygodniu.

Powstawaniu pod koniec miesiąca takich sytuacji podbramkowych sprzyja kierownik Wydziału Kontroli Technicznej towarzysz Malimon. Odśloniłem karykaturę Malimona i całego Wydziału Kontroli Technicznej. W WKT panują takie porządki, które sprawiają, że jakość naszej produkcji, jakość wyrobów z topolą i pszczołą nie podnosi się, ale przeciwnie, spada. Montażysta znajdzie na przykład jakiś drobny brak w gotowej części i idzie z tym do majstra. Majster nie ma wtedy głowy do tego, żeby się zajmować jakimś drobnym brakiem, sprawdza więc tylko, czy to nie sam montażysta uszkodził część i odsyła go razem z częścią do WKT. Nim sporządzą odpowiedni dokument braku, nim montażysta odbierze na tej podstawie z magazynu nową część, mija tyle czasu, że prościej jest wmontować brak do maszyny, bo przecież od tego zależą zarobki. Ale towarzysz Malimon woli nie widzieć tego aspektu sprawy. Pokazałem im jeszcze jedną karykaturę Malimona.

Ale zasadnicza przyczyna szturmowszczyzny to nasze zasady obliczania wysokości zarobku — według te-

go, coś zdał do magazynu wyrobów gotowych. Wydawałoby się, że to jest rozsądne. Jak dbasz, tak masz. Więcej zrobiłeś — więcej dostaniesz. Ale w gruncie rzeczy jest to głupie. Przy obliczaniu zarobku według ilości zdanych wyrobów zawsze muszą istnieć prace korzystniejsze i mniej korzystne. Każdy chciałby dostać taką korzystniejszą. W okresie szturm jest zawsze mnóstwo prac dobrze płatnych, bo łatwo przekraczać normy dając kiepską jakość, wtedy nie zwraca się na to tak dużej uwagi jak zwykle.

A taki na przykład Grigorij Michajłowicz Bojczenko nie przekracza normy nawet w okresie szturm, choć nie ma w fabryce drugiego takiego tokarza jak on. Cokolwiek wychodzi z jego rąk, jest najwyższej jakości. Dlatego też pozostaje zawsze w tyle za chałturszczykami, jest stratny. W dodatku śmieją się z niego.

Powinno być tak — masz zrobić tyle i tyle. Sztywna norma. Więcej od ciebie nie chcemy. Mniej sam nie zrobisz, bo ci wtedy nie zapłacą. Ale to, co robisz, ma być najwyższej jakości. Wtedy dostajesz swoje pieniądze. W ten sposób położyłoby się kres całej tej szturmościznie i można by przy okazji zlikwidować w fabryce towarzysza Malimona razem z całym jego wydziałem. Pokazałem karykaturę. Andrij Liwień niezbyt delikatnie narysował, jak mianowicie będzie zlikwidowany towarzysz Malimon.

Co się wtedy zaczęło! Pierwszy zabrał po mnie głos Malimon. To on powiedział: „Demagogia. Trzeba mu dać nauczkę. Nie zna granic. Antypaństwowe wystąpienie” i tak dalej. Nie nadażyłem z zapisywaniem. Tato siedział w prezydium i patrzył w stół. Ani du-du. Ani pary z ust.

A nasz generalny dyrektor Paszko stwierdził w podsumowaniu, że nawet takie zapalone głowy jak młody towarzysz Puzo przynoszą fabryce pożytek. One, że tak

powiem, nie pozwalają spocząć na laurach, nawet wtedy, gdy pewna, spowodowana nieświadomością, przesada w ich wystąpieniach szarga osiągnięcia kolektywu. W dodatku rozstrzyganie problemu, jak powinien być ustawiony problem płac, nie należy na razie do zakresu kompetencji kierownictwa zakładów ani nawet ministerstwa.

Nikt nie poparł mnie i mojego wystąpienia. Ani jeden człowiek. A przecież w fabryce dużo się mówiło o tym, o czym powiedziałem z mównicy. Tyle, że bez karykatur. Ale wątpię, czy to szło o karykatury.

Następnego dnia przyszła do hali cała komisja z przewodniczącym naszego komitetu zakładowego na czele, Pawłem Panasowiczem Mokijenko, który umiał tak cicho chodzić i nosił magnetyczną bransoletkę.

— Gdzie masz tę „czarną kasę”? — zapytał mnie Pawło Panasowicz ocierając łysinę chustką, która od razu zwilgotniała.

— Nie mam żadnej „czarnej kasy” — powiedziałem tępo.

Miałem tę kasę. Zbierałem na wydziale podwójne składki związku zawodowego. Za jedne wklejałem znaczki do legitymacji związkowych, a te drugie zostawały u mnie i kupowaliśmy za to prezenty odchodzącym na emeryturę, upominki ślubne albo po prostu wypłacaliśmy z tego zapomogi chorym. Kiedyś podjęto takie zobowiązanie i dotąd wszyscy chętnie płacili składki w podwójnej wysokości.

— Dość tego udawania — wtrąciła się niemłoda dama z personalnego. — Jesteście jeszcze młodzi. Jeśli nie chcecie z nami porozmawiać szczerze, przekazemy sprawę organom śledczym. A to oznacza kryminał. Gdzie macie rozliczenia?

Otóż to. Z rozliczeniami było u mnie całkiem kiepsko. Początkowo robiłem notatki, ile i na co wydałem,

ale potem przestałem to notować. Nigdy nie pomyślałem, że komuś może przyjść do głowy, że mógłbym sobie przywłaszczyć takie pieniądze.

W końcu pokazałem im notatki, jakie miałem, potem pisałem wyjaśnienia i oświadczenia, ale nie mogłem do nich dołączyć ani jednego paragonu, bo w ogóle nie wiedziałem, że powinienem je przechowywać. Musiałem chodzić i zbierać oświadczenia na piśmie od emerytów i od młodych małżeństw. Potem było zebranie związkowe. Dopiero na nim dowiedziałem się, jak bardzo szkodliwą prowadziłem robotę, brak dokumentacji rozchodów rzucał cień na mnie i na cały wydział, sprawa powinna znaleźć się w sądzie, ale można też było poprzestać na naganie z wpisaniem do akt, konieczne też było wybranie innego, stateczniejszego przewodniczącego komitetu wydziałowego, pieniądze zaś, które jeszcze mi pozostały, pójść powinny na poczet przyszłych składek związkowych tych osób, od których je zbierano.

Natychmiast po zebraniu złożyłem podanie o zwolnienie mnie z pracy. Na własną prośbę. Okazało się, że nie muszę nawet odczekać ustawowych dwóch tygodni. Następnego dnia otrzymałem ostateczne rozliczenie.

Ciekawe rozmowy można usłyszeć w naszym barze.

Przy nowoczesnym stoliku w kształcie antałka od piwa siedziało dwóch mężczyzn. Mieli już swoje lata. Twarze ludzi, którzy wiele czasu spędzili pod gołym niebem — promieniste zmarszczki idące od oczu. Pomarszczone i ogorzałe szyje.

— Ja się go nie boję — powiedział jeden, kiedy wypił pół szklanki wódki i na zagrychę pociągnął piwa z kufła. — W oczy mu to powiem. Czego się mam bać? — Niepewną ręką klepnął rozmówcę po ramie-

niu. — I ja, i ty zrobiliśmy już wszystko, cośmy mieli do zrobienia. Nawojowaliśmy się, że daj Boże. Byliśmy ranni. Ordery i medale — mamy. Dziewuchy? Mielismy i dziewczyny. Na trzech by wystarczyło. Dzieci mamy. Wychowaliśmy. Posłaliśmy na studia. Gorzały wypiliśmy za dziesięciu. Teraz już tylko resztki wylizujemy. Czego mamy się bać?... Co nasze, tośmy już wzięli. Pełną garścią.

A przy innym stoliku, pod ścianą obitą płytami wiórowymi, jakiś znacznie młodszy mężczyzna w granatowym kombinezonie — elektryk? — skarżył się dwóm pochmurnym, milczącym kompanom:

— Przez całe życie marzyłem o motocyklu. Z przyczepką, z wózkiem, jak to się mówi. Wózki już były. Trzy po kolei. Ale motocykla się nie dorobiłem.

Miałem ochotę wtrącić się, powiedzieć, że gdyby mniej przecierał spodnie po barach, to by się już dorobił nawet własnego helikoptera. Ale nic nie powiedziałem. Co tam takiemu tłumaczyć? Zwłaszcza że jego ponury kompan, który na palcach prawej dłoni wytatuowane miał „K-o-l-a”, powiedział ochryple, ni w pięć ni w dziewięć:

— Wiesz, że wypić to ja mogę. Kilo obciągnę — i nic. A wczoraj...

Nasz fryzjer Michajło mawia, że pić umie wcale nie ten, co się nie upija. Uważa, że przeciwnie, wypić umie ten, któremu wystarczy sto gram, żeby był zabzdryngolony, to znaczy ten, co najmniejszym kosztem i nakładem umie osiągnąć największe wyniki.

Dziadek Petro siedział na swoim stałym miejscu, w kącie.

— Tobie z syropem? — mrugnął na mnie.

— Z syropem — powiedziałem tym razem.

Dziadek Petro przysunął mi kufel.

— Już gotowe. Możesz pić.

Wypiłem duszkiem. Mocna to rzecz piwo z gorzałką. Zapiera dech. A jest tam zaledwie sto dwadzieścia pięć gramów na pół litra piwa.

— Kto to widział tak pić? — popatrzył na mnie z przyganą dziadek Petro. — Piwko lubi rozmowę.

— To zamówimy jeszcze.

Wyjąłem z kieszeni ćwiartkę, postawiłem ją pod stołem i przyniosłem jeszcze dwa kufle piwa.

— Można — zaaprobował dziadek Petro.

Drugi kufel wydał mi się już nie tak mocny.

— Odszedłem, dziadku Petro. Z fabryki.

— Słyszałem — powiedział dziadek Petro i pociągnął z kufła.

Długo milczeliśmy.

Jakoś nie kleiła się ta rozmowa, którą „piwko lubi”.

— Był u nas w sąsiedniej wsi, w Andruszewce, znaczy się, taki chłopak, Hryćko — powiedział dziadek Petro. — Dawno to było. Jeszcze mój ojciec mi o tym opowiadał... — Dziadek Petro upił trochę piwa. — Przygłupi był ten Hryćko, ciągle psy po wsi ganiał, robił jako pastuch. Aż któregoś dnia przyszedł ci on do dziadka Gordija i powiada, że chce się swatać.

— A z kim cię swatać?

— A z Natalką Kuchlenko.

— Gdzie ci tam do niej.

Ta Natalka to była pierwsza partia we wsi, ładna dziewczucha, pracowita, a jej ojciec miał trzy pary wołów.

— Ale ja do niej mrugałem.

— A Natalka?

— A Natalka do mnie.

— No, jak mrugała, to inna sprawa. Chodźmy. Tylko nie zapomnij się swatowi odwdzięczyć.

Przyszli.

„Iszli myslywci, bigła wid nych kunycia, to ne kunycia, a krasna diwycia...”

A Natałka stoi, chichoce i rozpala pod kuchnią.

— A któż to ci myśliwcy? — pyta się sam Kuchlenko.

— A to właśnie jest myśliwiec — pokazuje dziadek Gordij na Hryćka.

— Hryćko? Ach-żeż wy tacy-owacy!

Hryćko oberwał raz i drugi po grzbiecie, czapkę dziadka Gordija wyrzucili za próg, na ulicę. Podniósł dziadek czapkę, włożył, i dalej biadać:

— Jakie to nieszczęście, jaka hańba! Pięćdziesiąt lat już swatam, niedługo jubileusz, ale coś takiego jeszcze mnie nie spotkało!

A Hryćko na to:

— To prawda... Ale ja się zemściłem. Zrobiłem im psikusa.

— Jakżeś to się ty zemścił?

— Napaskudziłem im na środku chaty.

— A toś zuch — ucieszył się dziadek Gordij. — Ale jak tyś to tak zgrabnie zrobił, że nikt nic nie zauważył?

— A bo ja w spodnie.

Nie, nie udała nam się rozmowa, którą tak „lubi piwko”.

— Naprawdę nie macie zwykłych czarnych trzewików? — zapytał z niezadowoleniem Pawło Hermanowicz.

— Nie mam.

— Dajemy kombinezon i czapkę. Ale o trzewiki musicie się już sami zatroszczyć. W półbutach nie można. Nie ten wygląd.

Z miejsca wydali mi kombinezon z połyskliwego gra-

natowego materiału. Miał kieszenie na piersiach i poniżej kolan.

— Z wszystkich kieszeni muszą sterczeć narzędzia — uprzedził mnie Pawło Hermanowicz.

Na głowie mam kaszkiet z takiego samego materiału jak kombinezon. Kaszkiet ma lakierowany daszek i lotniczy znaczek.

— Dobrze, jutro będę miał trzewiki.

— Może nie macie pieniędzy? — zapytał Pawło Hermanowicz. — Możemy dać zaliczkę.

— Nie... Pieniądze mam.

Pracuję w „beczce”. Jako mechanik. Stoję na dnie, przed każdą jazdą postukuję kluczem po oponach.

„Płacić płacą, tylko nie wiadomo za co” — powiedział nasz fryzjer Michajło. To on mi poradził, żeby się tu zgłosić. Atrakcja z wesołego miasteczka, „Nieustraszeni Jeźdźcy”. Szukano tam doświadczonego mechanika motocyklowego, a Michajło zawsze wie, gdzie i kogo potrzebują. Dziwna rzecz, wszędzie urzędują kierownicy wydziałów kadr ze swymi pracownikami, z kartotekami i ankietami i nawet im nie przychodzi do głowy, że problemy kadrowe załatwia im w gruncie rzeczy fryzjer Michajło.

Pawło Hermanowicz Diakonow jest kierownikiem „Nieustraszonych Jeźdźców”. Ma już z pięćdziesiątkę, jest całkiem siwy, ale po ścianie jeździ bardzo dobrze, pewnie. Kiedyś był w wojsku lotnikiem, a taka rzecz zostawia w człowieku ślad na całe życie.

Mają motocykle montowane z różnych części, ze sztywną amortyzacją — siła odśrodkowa przyciska motocyklistę do ściany.

„Beczka” jest zrobiona ze szczelnie do siebie dopasowanych grubych dech, na górze jest galeria dla publiczności. Publiczność wchodzi tam i potem wychodzi po schodach, które przypominają trapy, jakie podstawia

się do samolotów. Motocykle pędzą po tej ścianie z szybkością dochodzącą do stu kilometrów na godzinę, galeria z publicznością z lekka dygoce, co wywiera na widzach ogromne wrażenie.

Zaraz pierwszego dnia poszedłem na galerię. Dziewczyny krzyczały i popiskiwały z przejęcia. Wszyscy są szczególnie zachwyceni, kiedy Tamara — Tamara wygląda na zupełnie dziecko, zresztą rzeczywiście dopiero co skończyła dziesiątą klasę — pędzi po ścianie nie trzymając kierownicy. W dodatku oczy ma przewiązane czarną chustką. Wszyscy wtedy wstrzymują oddech. Sam wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to szyfonowa chusteczka, przezroczysta, i wszystko przez nią widać.

Emocje widzów rozgrzewa muzyka przed występami. Ale tak w ogóle to jest rzeczywiście pasjonujący widok, kiedy motory jadą z taką szybkością po prostopadłej do ziemi ścianie. „Beczka” rezonuje, warkot motorów nie osłoniętymi rurami wydechowymi jest taki, że własnych myśli byś nie usłyszał.

Nawet niektórzy motocykliści są zdania, że tłumiki w dwutaktach zmniejszają hałas, ale zmniejszają też i moc silnika. Zdarzają się tacy mędrkowie, którzy wyciągają rurę wewnętrzną z tłumika swojej „Jawy”. Ich motocykle hałasują jak wyścigowe, milicjanci z drogówki nie mogą nastarczyć książeczek z pokwitowaniami za nałożone mandaty, a szybkość tych motorów jest mniejsza niż szybkość zwykłych „Jaw”.

Oczywiście, że tłumik tłumii. Dlatego tak się nazywa. Ale tłumik tłumii nie tylko dźwięk, ale także ciśnienie w systemie odprowadzania. A to, rzecz jasna, sprzyja lepszemu wypełnieniu cylindrów.

Próbowałem to wszystko wytłumaczyć Pawłowi Hermanowiczowi. Ale on ma takie pojęcie o dwutaktach jak mała o chrście, że zacytuje powiedzonko mojej mamy.

— A dlaczego wszystkie sportowe motocykle strzelają?

— Bo w ich tłumikach nie ma w środku żadnego wkładu i żeby zwiększyć ładowanie cylindrów, trzeba specjalnie dobierać kształt i długość tłumika.

— No to dobierzcie.

W końcu Pawło Hermanowicz oświadczył, że jazda po ścianie na zwykłych, nie hałasujących motocyklach, nie wywarłaby należytego wrażenia na widzach.

Zaraz pierwszego dnia mojej pracy w „beczce” zacząłem prosić Pawła Hermanowicza, żeby mi pozwolił potrenować trochę na ścianie.

— Ściana to nie cross — wtrącił się do naszej rozmowy Andrij Dżura.

Ten Andrij uchodzi za jednego z najlepszych jeźdźców na pionowej ścianie. Przystojny wysoki chłopak o nieprawdopodobnie długich czarnych rzęsach pędzi pod samym relingiem odgradzającym galerię, tuż przed twarzami widzów.

— Pewnie, że trzeba będzie spróbować — powiedział jednak Pawło Hermanowicz. — Ale nie pali się.

— Żeby mu się w głowie nie zakreśliło — machnął ręką Andrij.

Sprawdziłem silniki, dołałem paliwa do baków, na galerię wpuszczono publiczność. Kolejny pokaz jazdy zaczął się jak zwykle od krótkiego przemówienia Pawła Hermanowicza.

Andrija najwyraźniej denerwowało, że stoję na dnie „beczki” nie mając nic, ale to nic do roboty, a w dodatku robię oko do Tamary. Tamara podobała się i jemu. Andrij kopnął butem oponę.

— Podpompuj — powiedział z rozdrażnieniem.

Sprawdziłem ciśnieniomierzem obie opony. Ciśnienie było prawidłowe. Ale nie powiedziałem nic, tylko na-

chyliłem się nad wentylem i udałem, że nadmuchuję koło ustami.

Z galerii na górze dobiegły śmiechy. To mi dało ostrogę, więc kiedy Andrij rozdzielił ukłony publiczności, wsiadł na motor i pomknął po ścianie to wzlatając aż pod reling, to zjeżdżając aż na sam dół, podniosłem ręce udając, że próbuję go złapać niczym muchę. Teraz chichoty były jeszcze głośniejsze.

Pawło Hermanowicz spojrział na mnie bystrym, uważnym okiem i także się roześmiał. Po jeździe powiedział do mnie:

— Nieźle wam to wychodzi... Róbcie ten numer za każdym razem. Powiadają, że śmiech to zdrowie. I dla widzów, i dla nas. Przez ten czas, kiedy się śmieją, można odsapnąć. Co o tym sądzicie?...

— Doskonale — zgodziłem się. — A kiedy na ścianę?

— Choćby jutro.

Podczas następnej jazdy zademonstrowałem wszystkie swoje wygłupy, a poza tym udałem na dokładkę, że zębami dokręcam mutry motocykla Andrija Dżury.

— Błazen — cicho powiedział Andrij.

Coś mi się zdaje, że to przezwisko będzie szło za mną przez całe życie.

Przy motocyklu jest jedna czynność brudna i nieprzyjemna, to mycie i smarowanie łańcucha tylnej przekładni.

Mykoła wypracował kiedyś własną metodę, która pozwala na zdjęcie, umycie, przesmarowanie i ponowne założenie łańcucha w ogóle bez zabrudzenia rąk. Posłużyłem się właśnie tym jego sposobem. Najpierw połączyłem łańcuch zapasowy z łańcuchem motocykla i tak długo przekręcałem zębatkę prowadzącą, aż cały brudny łańcuch ułożył się na rozścielonych na podłodze ga-

zetach. Potem zaczepiłem łańcuch haczykiem z drutu i przeniósłem go do puszkę po konserwach, którą uprzednio podziurawiłem gwoździem, puszkę zaś zanurzyłem w wiadrze pełnym benzyny. Łańcuch wymoczył się tam, a potem rozwiesiłem go, żeby wysechł. W innej blaszance przygotowałem tymczasem gorącą mieszaninę solidolu i proszku grafitowego. Wykąpałem łańcuch w tej mieszance i znowu w ten sam sposób zacząłem go zakładać, gdzie należy.

Jeśli nie brać pod uwagę tego, że miałem na twarzy czarną smugę od sproszkowanego grafitu, nie zabrudziłem się ani trochę.

Moim czynnościom uważnie przyglądał się Andrij Dżura.

— Dawniej przed moją jazdą — mówił do mnie melancholijnie — puszczali płytę i z wszystkich głośników Georg Ots grzmiał: „Na mokry piasek roni płatki zwiędłe kwiecie. Mejsamotności nie przeczuwa nikt na świecie”. A tyś to, Romku, wszystko obrócił w błazenadę.

Zaprzyjaźniłem się z Andrijem Dżurą. Okazało się, że to wspaniały chłopak. Już wcześniej zauważyłem, że wśród uprawiających sport motocyklowy, wśród cyrkowców, którzy pracują na trapezach pod kopułą — a może zresztą także wśród innych ludzi mających fach związany z ryzykiem — rzadko spotyka się ludzi zazdrosnych, chciwców albo gadatliwych. Nie mają do tego głowy. Andrij nauczył mnie jeździć po ścianie, cieszył się, że dobrze mi idzie, pokazywał, dodawał ducha.

Zmartwił się tylko, kiedy Pawło Hermanowicz podchwycił moją propozycję, żeby do programu ściany śmierci włączyć jazdy komiczne. Ja miałbym przedstawiać milicjanta i gonić Andrija, a potem na dole udawać, że biorę od niego mandat za przekroczenie dozwolonej szybkości. Sprowadziłem z fabrycznego biura pro-

jektowego Andrija Liwnia, który wymalował lakierem na ścianach „beczki” jakby zwinięty w trąbkę Kreszczatik.

Nasz numer był pod koniec programu. Z początku Andrij Dżura robił swoje „górne ce”, potem pędził po ścianie stojąc na motorze. Wtedy ja — już w mundurze milicjanta — gwizdałem, wskakiwałem na mój motocykl i ruszałem w pogoń za nim. Wszystko mieliśmy wyliczone — kiedy Andrij zjeżdżał na dół, ja śmigalem na górę, kiedy on na górę, ja — na dół. Teraz już i ja od czasu do czasu puszczałem kierownicę i udawałem, że chcę go schwycić ręką podczas jazdy.

W tych dniach była u nas cała komisja z Głównego Zarządu Cyrków z Moskwy. Na jej czele stał wysoki, bardzo już wiekowy dziadunio, głowa mu się bez przerwy trzęsła. Nazywał się Arturo i jak mi powiedziano, był wybitnym reżyserem cyrkowym.

Oklaskiwał nas, a po występie zaproponował mi, że bym przeszedł do innej pracy. Powołano do życia „Cyrk na lodzie” i potrzebny był tam kłown-motocyklista, który potrafiłby występować na lodowisku.

Pawło Hermanowicz zaniepokoił się:

— Jakże to tak? Człowiek się ledwie zdążył przyzwyczaić, zdobył poważny cyrkowy fach... A wy kaperujecie...

Powiedziałem, że się nad tym zastanowię.

Tu u nas rzeczywiście nieźle płacą, ale ten Arturo zaproponował mi stawkę doprawdy zbyt kuszącą.

Jak pensja ministra.

„Kobieto! Jeżeli kiedykolwiek spotkasz Pana Boga, zapytaj go, czy ktoś kochał cię bardziej niż ja”.

Nie umiem się uwolnić od tej melodii. „Kobieto! Jeżeli kiedykolwiek spotkasz Pana Boga...”

Ale co to znaczy — kochać? Kogo Kochamy? Jaka musi być ta kobieta? Ładna?... Wira była bardzo ładna. Wira przyjechała z Moskwy i powiedziała mi, że zrobiła to specjalnie po to, żeby się zobaczyć ze mną. No to się zobaczyliśmy. Żadne z nas nie było tym spotkaniem zachwycone.

— Dawniej byłeś przecież taki wesoły — powiedziała Wira. — Byłeś najweselszym człowiekiem, jakiego znałam.

Wymigałem się maminyim powiedzeniem, że na patelni tylko ryba tańczy... Ona także się zmieniła, ale ani słówkiem o tym nie wspomniałem. Nie, nie, żeby się postarzała, wyglądała jeszcze lepiej niż dawniej i kiedy szliśmy ulicą, wszyscy się za nią oglądali. Co prawda teraz to już nie wyprowadzało mnie z równowagi i nie przyglądałem się tym, co się za nią oglądali. Zmieniły się ręce Wiry. Jej ręce teraz w ogóle nie pasują do jej twarzy i figury. Nie wiadomo dlaczego zrobiły się takie, jak ręce mojej mamy. Są to ręce starej kobiety. Dziwnie to wygląda. A w ogóle to nie mieliśmy o czym rozmawiać.

— Żałujesz, że nie jesteście już ze sobą? — zapytała Wira.

— Bardzo żałuję — odparłem, starając się powiedzieć to w sposób możliwie najbardziej przekonywający. Żeby jej nie obrazić. Ale naprawdę wcale nie żałowałem.

...Piękna?... Święta Fiedia jest bardzo piękna. I dobra, i wesoła. I kocha ją Fiedia nieprzytomnie. Teraz, kiedy mieszkam u nich, widzę to jeszcze wyraźniej. Ale też widzę wyraźniej, jak Fiedia czerwieni się i patrzy w bok, kiedy Święta rozmawia z którymś z jego kolegów lub aspirantów, którzy często przychodzą do nich do domu. Jest zazdrosny, czy co? Dlaczego miałby nie mieć do niej zaufania? Przecież pod każdym innym względem jest bardzo ufny ten mój starszy brat, Fiedia.

I przychodzą mi do głowy niedobre myśli. A może było między nimi coś takiego? Może właśnie dlatego, że Fiedia coś zauważał, mają teraz tyle dzieci? Może on sobie z tego nie zdaje sprawy?

W końcu nie uroda jest ważna, bo co dla jednego jest ładne, dla drugiego nie jest. Powiadają, że zakochanemu najpiękniejszą ze wszystkich kobiet wydaje się właśnie ta, którą on kocha.

Rozum? No, za rozum to można kogoś szanować. Ale kocha się za coś innego.

Postanowiłem się nie gimnastykować, bo bolał mnie krzyż tak, jakby zanosilo się na grypę, miałem też katar. Długo się zastanawiałem, na zjedzenie czego mianowicie miałbym w tej chwili ochotę, ale nic mi nie przychodziło na myśl. Jest to najlepszy sposób przekonania się, czy człowiek nie ma grypy. Jeżeli znikł apetyt i ochota na papierosa, możesz być pewien, że się przeziębiesz.

— Romku, śniadanie — zawołała mnie z sąsiedniego pokoju Swieta. Okupowałem gabinet Fiedi.

— Jakoś mi się nie chce jeść — odpowiedziałem.

— Nie mów głupstw — powiedziała Swieta. — Tak się starałam. Królewskie śniadanie. Kasza manna, jajka na miękko, szynka, dżem i kawa.

Milczałem.

— Dzieci bez ciebie nie będą chciały jeść.

— Lepiej, żeby nie jadły przy mnie. Zdaje mi się, że zaczyna mi się grypka.

— Zmierz temperaturę — zaproponowała Swieta. — Zaraz ci przyniosę termometr.

Usiadła przy mnie i podczas gdy mierzyłem gorączkę, ona pokrzykiwała na dzieci, które usiłowały też do nas wejść.

— Trzydzieści sześć i siedem — powiedziała Swieta. — Symulant.

Usiadłem do śniadania.

Odkąd się tu przeprowadziłem, Swieta nie może się nacieszyć. Mówi, że teraz jest w stanie więcej zrobić w ciągu tygodnia niż przedtem przez miesiąc. — Swieta jest mikrobiologiem. Że ja umiem sobie cudownie radzić z dziećmi i że jeśli się od nich wyprowadzę, to ona niechybnie wyskoczy przez okno. Zapewnia, że nie jest zazdrosna o stosunek chłopców do mnie, ale bardzo mi zazdrości, że mam taką szczęśliwą do nich rękę.

Rzeczywiście jest mi dobrze z chłopakami Fiedi, radzę sobie z nimi bez trudu. Wcale się z nimi nie nudzę, choć ani Fiedia, ani Swieta nie mogą tego zrozumieć. Biję się z chłopakami, gramy, biegamy, puszczaemy latawce, chodzimy na „Nieustraszonych Jeźdźców”, gdzie te moje niebożęta tak wrzeszczą: „Romek!”, że nie słychać motorów. Poza tym marnujemy czas w kawiarni, w której podają lody.

Pewnie, że dla Swiety jest to wielka wyręka. I tak nie mogę wyjść z podziwu, kiedy ona nadaża pracować, gotować, sprzątać i jeszcze dawać sobie radę z czterema chłopakami. Kobiety potrafią nas zdumiewać.

W ogóle to i Swieta, i Fiedia są bardzo zadowoleni z tego, że u nich mieszkam. Za to moi rodzice...

Kiedy wyniosłem się od Oleny, wprowadziłem się do Fiedi. Nie chciało mi się wracać do domu. Miałem i tak dosyć zgryzot, a moja mama nie jest człowiekiem, który by mógł coś przemilczeć i nie powiedzieć wszystkiego, co sobie myśli o mnie, o Olenie i o jej rodzicach.

Zarówno tato, jak mama jakby się w ogóle nie zdziwili, kiedy przeniosłem się do Fiedi. Ale kiedy wywołałem ten skandal na zebraniu i wziąłem zwolnienie z fabryki, moi rodzice przyjechali wieczorem. Z tego smartwienia wypilem właśnie z dziadkiem Petro jego „jeża” i byłem w takim nastroju, że, jak to mówią, choć ty, siadłszy, płacz.

Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ojciec był taki rozdrażniony i zasepiony jak tego wieczora.

— Co za hańba! — powiedział przybity. — Wstyd ludziom w oczy spojrzeć.

— A cóż to, nieprawdę mówiłem, czy co?

— Nieprawdę — wyrębał tato. — Co ty się tam na tym rozumiesz? Wiesz, co my mamy z kooperantami? Łożyska kulkowe przywozimy do montażu z Moskwy samolotami. A jak jest z dostawami instalacji elektrycznych? A silniki? Oto, skąd się bierze szturmowszczyzna! Gdybyśmy nie mieli kłopotów z zaopatrzeniem... A ty — na ludzi. Z tymi śmierdzącymi rysunkami.

— To niech lepiej ustawią zaopatrzenie! Po to czytają gazety i za to im się płaci — rozeźliłem się.

— Robią to. I nie uważają siebie za najmądrzejszych na świecie. Nie podskakują. Wszyscy milczeli. Jeden się tylko w całej fabryce znalazł mądrala. Ale i ten już się wyniósł za bramę.

— Tak! Bo mi to wszystko obrzydło. Obrzydli mi ci ludzie, co „nie podskakują”. I cała ta teoria: pilnuj swego nosa. Ja tam uważam, że albo wszystko, albo nic.

— „Albo wszystko, albo nic” — to nie jest hasło — poczerwieniał tato. — Tylko dla takich jak ty to może być hasło. Ale ci, co się zajmują poważnymi sprawami, ci, co stoją bliżej steru, zawsze muszą iść na kompromis. Niekiedy wbrew własnemu sumieniu, niekiedy wbrew cudzemu. Tak, jak każdy członek rodziny musi iść na kompromis, a nie chować się przed ojcem i matką!

W odpowiedzi zacząłem mówić coś o ludziach, którym się wydaje, że grunt to nie wyróżniać się spośród innych, o tym, że tacy ludzie w każdej sytuacji bez namysłu przyłączają się do zdania większości i zawsze postępują „tak, jak inni”, i chętnie udają, że nie widzą wo-

kół siebie niczego, co byłoby nie w porządku. I że ja takim być nie chcę.

Mama jeszcze mocniej zacisnęła usta. Czekałem, kiedy powie jakieś swoje przysłowie, ale mama odwróciła się w milczeniu i poszła do drzwi. A tato — za nią.

Gryzę się tym wszystkim. Nie wiem, jak z tego wybrnąć.

Zadzwoił telefon.

— Romku, to do ciebie — powiedziała Swieta.

Podszedłem do telefonu. Myślałem, że to mama. Ale dzwonił Andrij Dżura. Kichając w mikrofon powiedział, że się przeziębił, że dziś nie przyjdzie, że wezwał lekarza, że telefon Pawła Hermanowicza nie odpowiada, więc żebym mu to wszystko przekazał.

Nie powiedziałem Andrijowi, że sam źle się czuję. Jakoś głupio mi było. Przecież miałem normalną temperaturę. A poza tym kto będzie występował, jeśli wszyscy się pochorują? Zwłaszcza że Pawło Hermanowicz sam nigdy w życiu nie chorował i absolutnie nie był w stanie pojąć, jak ktoś inny może być raptem chory.

*„O, najcenniejszy życia czasie,
Przecz cię w tak małej cenie mamy?...”*

Na galerii pełno już było ludzi, rozmawiali i starali się ulokować możliwie najbliżej bariery, żeby mieć lepsze pole widzenia, żeby nic nie uronić z tego spektaklu. Nie miałem ochoty dziś występować, czułem, że jazda po pionowej ścianie straciła nagle dla mnie cały swój sens i urok.

„Po co oni tutaj chodzą?” — zastanawiałem się myśląc o widzach. Otóż i znajoma twarz. Niestary jeszcze mężczyzna o jasnych oczach, w których, jak mi się zdało, tało się szaleństwo. Ten przychodzi tutaj co ty-

dzień. I stoi na galerii przez trzy lub cztery jazdy. Za-
wczasu kupuje po kilka biletów. Jedne wartości wy-
mienia na inne.

Co go tu sprowadza? Ryzyko motocyklistów, które
może oglądać na własne oczy? Życie to największe
osiągnięcie przyrody na Ziemi. Dlatego też powinno być
ono wartością najwyższą. A tu ktoś za psi pieniądz, za
parę kopiejek ryzykuje tym życiem. Przecież właśnie
po to, żeby stworzyć pozory ogromnego ryzyka warko-
czą tak i strzelają nasze motocykle, a Tamarze zawią-
zujemy oczy czarną szyfonową chusteczką.

Albo ta garbata staruszka w czerni. Niania albo bab-
cia. Przychodzi z dzieckiem, z dziewczynką, może pię-
cioletnią. Ją też widziałem tu już kilka razy. Po co ona
tu przychodzi? Wargi jej poruszają się przez cały czas,
szepcze coś. Modlitwę? Jaka?

Anatolij Petrowicz opowiadał kiedyś, że poeta Jurij
Odarczenko napisał w Paryżu taki wiersz:

*Chcę pomodlić się za okręt ze stali.
Anioł szepce mi na ucho: „Wielkie nieba,
Tę modlitwę odmawiasz nie tak, jak potrzeba!
Lepiej za mną cichutko powtarzaj, kochanie:
Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie,
Temu okręcikowi ze stali”.*

Może modlitwa tej staruszki była właśnie taka? Bo
jak inaczej można wyjaśnić istnienie tak wstrętnego
widowiska, jak walka byków? Doznaniem estetyczny-
mi widzów? Ale gdyby chodziło tylko o doznania este-
tyczne, bykom należałoby odpiłować rogi, a matadorowi
dać do ręki szpadę zakończoną pędzelkiem. Niechby ro-
bił farbą punkcik w tym miejscu, w które niegdyś wbi-
jał szpadę, przecież w ten sposób równie dobrze udo-
kumentowałyby swoje mistrzostwo. Ale tak przecież

się nie robi. Matadorzy mordują byki, byki kaleczą matadorów. A widzowie to oklaskują.

Albo akrobaci pod kopułą cyrku? „Odwaga, młodość, piękno”. Gdyby publiczności rzeczywiście chodziło tylko o odwagę, młodość i piękno akrobatów, to akrobaci popisyaliby się tuż nad areną, nie pod samą kopułą, i to w dodatku bez siatki.

Albo boks. Wszyscy są w siódmym niebie, kiedy walka zostanie zakończona nokautem, kiedy bokser przewraca się i nie jest w stanie się podnieść, a sędzia ringowy przy akompaniamencie wycia publiczności macha ręką i odlicza do dziesięciu. Jakie potrzeby estetyczne zaspokajają takie widowisko?

A my, kiedy hasamy po pionowej ścianie? Prawda, że nasze ryzyko nie jest wcale takie duże. Nie jest w każdym razie większe niż ryzyko zawodnika na pierwszym lepszym crossie motocyklowym. Siła odśrodkowa przyciska motocykl do ściany. Chyba, żeby pękła dętka... Ale dbamy o dętki. Zakrztusi się silnik? Wystarczy ci szybkości, żeby siłą inercji zjechać na dół. Poza tym zaproponowałem, żeby zdublować zapłon — jeżeli coś zawiedzie, zawsze jeszcze będzie można przełączyć w biegu na zapasowy zapłon.

Ale może patrzę na to wszystko z niewłaściwego punktu widzenia? Może publiczność patrząc na matadorów, na akrobatów przelatujących pod kopułą czy też na nas, po prostu jakby się z nami utożsamia, może widzowie czują się wtedy także ludźmi odważnymi, zdolnymi do takich karkołomnych sztuczek? Do Andrija Dżury napisała list pewna dziewczyna, która ma na imię Żanna: „Nawet kiedy tańczę walca, kręci mi się w głowie i nie rozumiem, jak możecie tak się kręcić na tym motocyklu. Kiedy patrzę na was, serce mi obumiera. Strasznie się boję, że zwalicie się na dół. Bardzo

bym się chciała z wami zapoznać. Jesteście moim ideałem”.

Może nie tylko ta Żanna, ale także i inni szukają tu jakichś swoich ideałów, jakichś wartości?

Ale jak odróżnić wartości rzeczywiste, autentyczne, od wartości fałszywych, pozornych? Wilia powiada, że każda nauka rozpatruje świat taki, jaki on jest w rzeczywistości, pragnie poznawać świat obiektywny. Ale czym innym jest badanie rzeczy, przedmiotów, zjawisk świata zewnętrznego, czym innym zaś problem znaczenia wszystkich tych rzeczy, przedmiotów i zjawisk dla człowieka. Poznanie ich wartości.

Wystarczy o tym pomyśleć, a od razu czujesz, żeś się znalazł na grząskim gruncie. Wszystko tutaj jest umowne i niezrozumiałe. To, co jeden uważa za ładne, innemu wydaje się potworne, to, co dla jednego jest smaczne, dla drugiego jest wstrętne, jeden coś uważa za słuszne, inny za haniebne. Nie istnieje waga, na której dałoby się to wszystko zważyć i precyzyjnie określić, co ma większą wartość, a co mniejszą. W dodatku przecież każda wartość ma sens tylko w porównaniu ze swoim przeciwieństwem: dobre w porównaniu ze złym, zdrowie w porównaniu z chorobą, bogactwo — z biedą, miłość — z nienawiścią, szczerłość — z obłudą.

A skoro nie dysponujemy przyrządem, przy pomocy którego dałoby się to wszystko zmierzyć i wyważyć, to każdy człowiek uznaje za punkt wyjścia wartości ogólnie przyjęte i akceptowane także przez niego osobiście, indywidualnie. Wilia powiada, że wartości to są nasze ideały. Nie jest to nic, co istnieje, ale coś, co powinno istnieć. Kiedy ludzie określają wartość czegokolwiek, to jak gdyby porównują to coś z tym, co jest pożądane, co być powinno, porównują to jak gdyby z przyszłością.

Ale przecież żyjemy w teraźniejszości, a nie w przy-

szości. I choć nieodzowne jest ulepszanie tej terażniejszości, przekształcanie jej tak, by upodabniała się do przyszłości, człowiek zarazem musi być porządnie osadzony w swoim terażniejszym, pełnokrwistym, możliwie dobrym i możliwie radosnym życiu. Ja zaś żyłem teraz nieciekawie i niezbyt wesoło.

Pawło Hermanowicz wygłosił swoje słowo wstępne. Trzeba było zaczynać jazdę. Dziś zamiast Andrija Dżury rozpoczynałem ja.

Interesujące by było porozmawiać z którymś z kosmonautów i zapytać go, czy zdarzało mu się trenować na tej ich centryfudze, kiedy był przeziębiony. I co wtedy czuł. Bo ja czułem się normalnie, dopóki nie wjechałem na ścianę. Ale jak tylko przycisnęło mnie do siodełka, wszystko dokoła mnie zrobiło się czerwonomalinowe — „beczka” i publiczność, i Pawło Hermanowicz, który stał na dole.

Dodałem gazu i odchyliłem się cokolwiek w prawo. Chciałem wspiąć się wyżej, by potem gwałtownie zmniejszywszy gaz zjechać na dół pod odpowiednim kątem. Ale motocykl strzelił jak świeca i wyrzucił mnie na stalową linę.

Przewidujący człowiek wymyślił tę zabezpieczającą stalówkę. Gdyby nie on, nie doliczylibyśmy się dzisiaj paru osób spośród publiczności. Przede wszystkim tej garbatej staruszki. Zobaczyłem ją wprost przed sobą. Była teraz nie w czerni, ale w czerwieni. Motocykl ściałby i ją, i jej sąsiadów tak, jak pręt w rękę chłopaczka ścina dmuchawce. Ale mój motocykl uderzył o tę stalówkę. Lina odrzuciła mnie do środka „beczki”. Zobaczyłem przed sobą przeciwległą ścianę, potem dno i przerazenie na twarzy Pawła Hermanowicza. Zamknąłem oczy.

W ogóle to coś jest, takie połączenie szybkości motocykla i sprężystości stalowej liny. Ledwie zamknąłem

oczy, a już je otworzyłem, aliści okazało się, że leżę wcale nie na drewnianej podłodze „beczki”, tylko na szpitalnym łóżku. Głowa mnie trochę bolała, ale nie bardzo. Koło mnie siedziała mama i Fiedia.

— Co sobie połamałem? — zapytałem.

— Ciszej — odpowiedział Fiedia. — Nie wolno ci jeszcze mówić. Nic sobie nie połamałeś. To tylko potłuczenie.

Nie uwierzyłem mu. Znowu zamknąłem oczy i zacząłem obmacywać się w myśli od czubków palców u nóg aż po czubek głowy. Nic mnie specjalnie nie bolało, choć potem przekonałem się, że całe ciało mam w sińcach. „Wylewy krwawe”, jak mawiała nasza szkolna lekarka Rozalia Benediktiwna. Wiedziałem też, co zrobię przede wszystkim, kiedy tylko wyjdę ze szpitala. Zmuszę Andrija Dżurę, żeby wkładał kask. Dla fasonu jeździł zawsze bez kasku.

W nocy poczułem się gorzej. Mdlilo mnie. Łóżko, na którym leżałem, huśtało się i spadało dokądś po spirali. Ilekroć otwierałem oczy, widziałem koło siebie mamę. Była zupełnie inna niż zazwyczaj, zdumiewająco tkliwa, energiczna, nawet jakby wyładniała. W tych szpitalnych dniach zobaczyłem ją taką, jakiej nie widywałem nigdy dotąd. Taki właśnie powinien być człowiek, kiedy zdarza się prawdziwe nieszczęście. Dopiero teraz zrozumiałem, co miał na myśli Serhij Arkadijowicz, kiedy mówił, że mama to człowiek, jakich mało.

Fiedia także odwiedzał mnie codziennie. Przywiózł jakiegoś stareńkiego profesora, neuropatologa, który zmuszał mnie, bym z zamkniętymi oczyma trafiał palcem w czubek własnego nosa, okropnie łaskotliwie drapał mnie jakimś żelaziwem w wewnętrzną stronę stopy, sprawdzał refleksy pukając mnie młotkiem w kolana i powiedział wreszcie, że dobrze by było wsadzić mnie

do słoja, zalać spirytusem i pokazywać studentom jako przykład człowieka o absolutnie zdrowych nerwach.

Zdumiał mnie tato. Przyszedł z Wilią i przyniósł mi upominek, portatywny magnetofon. Kupił mi go, że-
bym się nie nudził w szpitalu. Andrij Dżura, Tamara
i Pawło Hermanowicz także przychodzili codziennie
i przynosili mi tyle kwiatów, ile przynosi się moim
zdaniem tylko do kliniki położniczej. Ale mimo wszyst-
ko oświadczyłem, że nie wrócę do szeregów „Nieustras-
zonych Jeźdźców”.

Pawło Hermanowicz uśmiechnął się ze zrozumieniem.

— Zwykły uraz psychiczny. Niedługo minie. Czło-
wiek, który nigdy nie spadł, to dopiero połowa moto-
cyklisty. Nie śpieszcie się z decyzją. Zastanówcie się
jeszcze.

Powiedziałem, że jeszcze się zastanowię.

W miarę tego, jak następowała poprawa, mama za-
częła przychodzić rzadziej.

— Mamo — zapytałem pewnego razu. — Mama się
na mnie nie gniewa?

— Oj, Romciu — uśmiechnęła się mama. — Jakiś ty
jeszcze dziecinny...

Mama nie wiedziała, że właśnie tutaj, w szpitalu, po
raz pierwszy w życiu poczułem się naprawdę dorosły.
Bo dopiero tu zrozumiałem, jak bardzo mama jest mi
potrzebna. I jak bardzo ja jej jestem potrzebny. W dzie-
ciństwie się tego nie rozumie. W dzieciństwie traktuje
się te sprawy jako coś zupełnie naturalnego, a więc
zwykłego i nie wartego uwagi.

Myslałem także o tym, że tak, jak mawiał Mykoła,
trywialne zdania z gazet i z książek, gdzie Matka i Oj-
czyzna zawsze ze sobą sąsiadują, to jednak nie pusto-
słowie. Moja Ojczyzna też była czymś szczególnym
i też nikomu nie chciała się wydawać piękniejsza, niż

jest w rzeczywistości. Była mądra i surowa, i władcza. Można było na niej polegać. Była dobra. I nie lubiła głupich dowcipów.

Kiedy wróciłem ze szpitala do domu, zrozumiałem, że niejednego muszę się wyzbyć. Przede wszystkim więc tego poczucia, które ostatnimi czasy towarzyszyło mi nieodłącznie, poczucia, że jestem pokrzywdzony przez życie, przez los, przez otaczających mnie ludzi. To bardzo wygodne stanowisko: „Nie powiodło mi się w życiu”. „Jestem pokrzywdzony”. „Obrażam się zatem”. Wygodne, ale nie najmądrzejsze.

Pod jednym względem Wira miała najzupełniejszą rację — skoro się już żyje, to trzeba żyć wesoło. I nie uważać się za pokrzywdzonego. A także pamiętać, że

...nie należy do nas chwila przeminiona.

Ni to, co będzie w jeszcze nie nadeszłej porze.

Jeno d z i ś — nasze...

— Mam dosyć „Nieustraszonych Jeźdźców” — powiedziałem zwracając się do mamy i do taty. — Wróć do fabryki.

Popatrzyli po sobie i udali, że nie oczekiwali niczego innego, ale oboje bez wątpienia odetchnęli z ulgą.

— Teraz będziesz już chyba... ustawiaczem — powiedział tato. — Już pora.

Nigdy bym się nie spodziewał, że w fabryce przyjmą mnie tak dobrze. Z otwartymi ramionami. Ale już pierwszego dnia pracy przyszła goniec i powiedziała, że zaprasza mnie do siebie sam generalny dyrektor Wołodimir Pawłowicz Paszko. Zjeżyłem się.

Generalny dyrektor zadziwił mnie. Zaproponował mi, jak sam się wyraził, „inżynierskie stanowisko”. Stworzono w zakładach specjalną grupę operacyjną do walki ze szturmowszczyzną. Paszko uważał, że powinienem

wejść w skład tej grupy, ponieważ są tam potrzebni ludzie „z niewyparzoną gębą”, jak powiedział.

— Pojeździsz sobie po naszych kooperantach, to się dowiesz, skąd się bierze szurmowszczyzna i jak łatwo jest z tym walczyć.

Z wielkim trudem wymogłem na dyrektorze generalnym, żeby pozostawił mnie na stanowisku ustawia-cza.

— Przemawia się łatwo — powiedział mi na ostatek dyrektor generalny. Nie wytrzymał. Nie zapomniał karykatury.

Kiedy wracałem z biura, zatrzymałem się przed rozwieszonym pod szkłem na białej ścianie naszym sztandarem fabrycznym. Miały na niego chrapkę muzea, ale dyrektor generalny nie oddał sztandaru. Ten stary, wypłowiały sztandar był w niejednych rękach i w niejednym niebezpieczeństwie, kiedy ukrywano go przed Niemcami w okupowanym Kijowie. Ale przechowano go. Ludzie wierzyli w to, że ten sztandar wróci jeszcze na swoje miejsce. I wrócił.

I do mamy, i do taty przychodzi wielu ludzi. Krewni, sąsiedzi, znajomi i nawet tacy, którzy po prostu kiedyś się z tatą czy z mamą zetknęli. Ale inni ludzie przychodzą do mamy, inni do ojca. Do mamy przychodzą tacy, którzy mają jakieś kłopoty. Jakieś nieprzyjemności. Albo tacy, co muszą podjąć jakąś trudną decyzję. Przychodzą po poradę. A do taty przychodzą, żeby pochwalić się sukcesami, żeby opowiedzieć o swoich sprawach.

Mój stryjasek, wiceadmirał Michajło Iwanowicz Pazow, oświadczył, że będzie w Kijowie tylko jeden dzień, że wpadł tu przejazdem po drodze do Sewastopola, że od dawna zamierzał wypić z tatą po kieliszku, ale z pewnością przyjechał stryj raczej do mamy. Od razu

to wyczułem, choć trudno by mi było powiedzieć dla-
czego.

Stryjaszek jest niższy niż tato i na oko młodszy od taty, choć naprawdę starszy jest o cztery lata. Tato włosy ma gęste, strzyże je krótko, siwizny prawie nie widać, a stryj jest łysy, gruby, rumiany, ale zachowuje wojskową postawę i dlatego uniknął tego, tak widocznego u taty, przygarbienia.

Poszedłem ze stryjem przejść się po Kreszczatiku. Lubię z nim chodzić. Przechodnie zatrzymują się, oglądają się za nami. W Kijowie rzadko się widuje marynarza. Cóż dopiero wiceadmirała. Odpowiada to stopniowi generała-lejtnanta w wojskach lądowych. A może wiceadmirał to nawet więcej niż generał-lejtnant. Przecież mniej mamy admirałów niż generałów.

Stryj najwyraźniej stęsknił się za językiem ukraińskim. Z nami rozmawia tylko po ukraińsku, używa przy tym słów, które dziś już rzadko można usłyszeć: „szlachetnij”, „herbata”, „bursztin”.

Stryj i mama rozmawiają wyłącznie za pomocą przysłów. Jakby się licytowali, które z nich więcej ich pamięta. Mają bzika pod tym względem.

Mama lubi stryja i w związku z jego przyjazdem przygotowała znakomity obiad.

Co prawda spóźniłem się na ten obiad. Zasiedziałem się w instytucie. Kiedy przyszedłem, oni już wypili po jednym, a może nawet i po dwa.

— Tobie to dobrze — mówił stryj do taty. — Ty jesteś robotnik. Hegemon.

— Dlaczego dobrze? — obruszył się tato.

— Znowu ci się zegarek późni? — przerywając tę ich dyskusję jadowicie zapytała mnie mama. Najwyraźniej nie chciała, żeby kontynuowali tę rozmowę w mojej obecności.

— A dlatego dobrze — z uporem ciągnął stryj — że

nie masz tego nieustannie cię prześladowającego uczucia, że to nie zrobione, tamto nie skończone, w czymś tam się nie połapałeś, coś tam przegapiłeś.

— To nie przegapij — powiedział tato. — Przegapisz ty, a po karku dostanie Romek.

— O tym właśnie mówię — kontynuując rozpoczętą przed moim przyjściem rozmowę ciągnął stryj. — Niech Roman sam broni swojego karku. I twojego. I mojego.

— Pijcie, ludzie, wódkę, a wy, gęsi, wodę, żeby ludzie nie mówili, żeśmy niscy rodem — powiedziała mama.

— Nam na zdrowie, a wrogom na bezhołowie. — Stryj Michajło wychylił kieliszek, skrzywił się, zakąsił słoninę.

— Kto pije, ten się krzywi, kto nie dostał, ten się dziwi — zauważyła mama.

— Póki do nieba pójdziemy, jeszcze po jednym golniemy — nie pozostawał dłużny stryjasek. — Wypijcie, Halu, i wy do dna, bo na dnie młode dnie.

— Chłop przepije i wołu, jak ma mocną głowę, a kobiecie nie wolno nawet przez połowę — powiedziała mama.

— Co to było z tą łodzią podwodną? — zapytał tato.

— Z jaką łodzią?

— Atomową. Amerykańską.

— Zatoneła. Z całą załogą.

— Tyle to i ja wiem. Ale dlaczego?

— Nie wiem. Myślę, że za głęboko się zanurzyli. Ciśnienie. Metal nie wytrzymał. A może po prostu byli nazbyt pewni siebie. Zapomnieli, gdzie się znajdują. A morze tego nie lubi.

— U nas coś takiego nie mogłoby się zdarzyć?

— Jak dotąd Pan Bóg strzegł. Ale, jak to mówią, Bóg dopomaga przewoźnikowi, ale wiosłować trzeba.

Mama przyniosła wielką misę pełną pierogów i pół-

misek racuchów, przykryty haftowanym lnianym ręcznikiem.

Zabierając się do pierogów stryj powiedział:

— Jak byłem młody, to zjadałem po czterdzieści pierogów, a teraz męczę się, męczę, a zjem najwyżej pięćdziesiąt.

A mama w odpowiedzi:

— Jedzcie, jedzcie, na brzuchy nie uważajcie, byle skóra wytrzymała.

— Niech diabli wezmą skórę, byleby dary Boże się nie marnowały — odpowiedział stryjek.

Wilia często powtarza: „Wiele jest rzeczy na niebie i ziemi, przyjacielu mój, Horacy, o których nie śniło się filozofom”. Nie wiem, jak jest z innymi rzeczami, ale takie na przykład pierogi z pewnością żadnemu filozofowi się nie śniły. Są tak smaczne, że rzeczywiście trudno przestać je jeść.

Uporawszy się z pierogami stryj huknął:

— Gdzieżeście, racuchy? Są tu wasi wrogowie.

Mama przysunęła półmisek, masło, śmietanę i natychmiast dodała:

— Grzech to śmiertelny jeść racuchy bez omasty.

Przypomniałem sobie, jak Francuzi, którzy kiedyś byli u nas w gościach, ani rusz nie mogli zrozumieć, dlaczego do racuchów prócz masła trzeba jeszcze brać śmietanę. „Wystarczy albo to, albo to — mówili. — Za tłuste, za ciężkie. Po takim obiedzie nie pójdziesz na barykady”. — „Kiedy będziecie się wybierali na barykady — odparł tato — poczęstujemy was naszym sałamurem. Mamy i taką potrawę”. Sałamura to taki sos z octu z dodatkiem utłuczonego czosnku, pieprzu i soli. Podaje się go do gotowanej ryby.

Odsuwając racuchy stryj powiedział:

— Alem się najadł, jak dureń na chrzcinach.

— Jak człowiek ma dużo krewnych, to albo je siedem obiadów, albo ani jednego — powiedziała mama.

A o czym stryj rozmawiał z mamą, tego dotąd nie wiem. Zdaje się, że o jakichś kłopotach rodzinnych. Córka stryja, moja stryjeczna siostra, niedawno wyszła za mąż. To jakieś niezbyt udane stadło. Może nawet była mowa o rozwodzie, bo mama ni w pięć, ni w dziewięć powiedziała: „Małe dzieci — mały kłopot, duże dzieci — duży kłopot”, a stryj na to: „Pięć minut radości i pięć lat przykrości”.

Jeszcze jedna nieudana miłość.

„Kobieto! Jeżeli kiedykolwiek spotkasz Pana Boga, zapytaj go, czy ktoś kochał cię bardziej niż ja”.

Wydawało mi się kiedyś, że kochałem Wirę właśnie tak, jak się to śpiewa w tej paragwajskiej pieśni. Ale co to właściwie znaczy: „kochać”? Wira zdradzała męża, codziennie go okłamywała, nauczyła i mnie kłamać. A przecież wszystko to mogło być na odwrót. Ja mogłem być jej mężem, a Wiktor kochankiem. Wtedy Wira okłamywałaby mnie. Jak Olena. Obłuda, obłuda, i jeszcze raz obłuda.

Wyjrzałem przez okno, popatrzyłem na drzewo rosnące przed naszym domem. Sądziłem kiedyś, że to klon. Taki, z jakiego robi się bandury. Teraz wiem, że to paklon.

Gdyby spotkać dziewczynę, do której można by było mieć absolutne zaufanie! Ale jak taką znaleźć?... Już się sparzyłem. A jednak przecież musi gdzieś istnieć taka dziewczyna. Tyle, że nie wiem, jak ma na imię.

Przede wszystkim trzeba było zwrócić pieniądze naszemu fryzjerowi Michajle. I to nie byle jaką kwotę, sześćdziesiąt rubli. Michajło chętnie pożyczal pieniądze, ale lubił, żeby mu je zwracano w terminie.

W ogóle ta delegacja do Charkowa spadła mi z nieba. Uznałem, że jeśli dadzą mi choćby setkę jako zaliczkę na delegację, to wszystko będzie w porządku.

Wypisano mi jednak delegację zaledwie na dziesięć dni i księgowość dała mi tylko sześćdziesiąt rubli jako zaliczkę: diety po dwa sześćdziesiąt za dobę, po rublu ryczałtu za nocleg, a reszta na przejazd. Zaliczki na delegację główny księgowy zawsze podpisywał niechętnie, sam sprawdzał kalkulację na liczydłach.

Wstąpiłem do fryzjera. Michajło zobaczył mnie w lustrze, podniósł na powitanie brzytwę i nie oglądając się zauważył:

— Punktualność jest grzecznością królów.

Przesłonił mgiełką wody kolońskiej długowłosego pryszczatego chłopaka, obmachał go serwetką — tak w przerwie między rundami sekundant wachluje swego boksera — i zwrócił się do mnie:

— Wasza kolej.

Usiadłem.

— Podstrzyc?

— Podrównać.

Michajło okrył mnie przezroczystym fartuchem i błysnął nade mną brzytwą. Kiedy strzyże, używa brzytwy, nie nożyczek. Jest to szczyt fryzjerskiej elegancji. Choć strzygę się u niego od dawna, to przecież za każdym razem boję się, czy aby nie obetnie mi ucha.

— Słyszałem nowy dowcip. O właścicielu samochodu. Najpierw pod samochód wlaź kierowca; potem jego żona, która też znała się na samochodzie jak...

Opowiedział swoją niezabawną anegdotę — to już mu przeszło w nałóg — podgolił mnie za uszami i zapytał:

— Odświeżyć?

— Nie, nie trzeba.

Nadział wateę na metalowy grzebień i uczesał mnie

szczękając przy tym nożyczkami i wyrównując, gdzie to było konieczne. Mówił przy tym z zadowoleniem:

— Ślicznie, główka całkiem okrągła.

Inni fryzjerzy wyłażą ze skóry, żeby nie pozostawać w tyle za stale zmieniającą się modą, Michajło jednak ma tylko tę zasadę, o charakterze raczej geometrycznym — jeżeli głowa jest okrągła, to wszystko w porządku.

— Widzisz — powiedziałem — oddam ci dziś czterdzieści rubli. A dwadzieścia trochę później. Przy wypłacie. Co ty na to?

— Proszę cię bardzo — chętnie przystał na to Michajło, wyjął z kieszeni oprawny w czerwoną skórę notesik, z niego cienki jak zapalka ołówceczek. — Zapiszemy to.

A w ogóle to mama ma rację — nie pożyczaj, zły obyczaj.

Dostałem nowiutką, błyszczącą kurtkę skórzaną z zamkami błyskawicznymi i z naramiennikami ze skórzanej plecionki. Parę dni temu przyszła na moje nazwisko paczka z Nowosybirsk. W paczce były wytworne rękawice motocyklowe, motocyklowe buty, ale nie sznurowane, też na zamki błyskawiczne, i ta kurtka skórzana. Taka jak moja stara, tyle że bułgarska, a nie australijska. Widocznie taka jest światowa moda. W rękawicy znalazłem liścik od Serhija Arkadijowicza: „Niech ci się dobrze nosi”.

Tym razem włożyłem pod kurtkę białą nylonową koszulę i krawat. Po raz pierwszy w życiu jechałem do obcej fabryki jako ustawiacz, więc w roli, która zawsze wydawała mi się niezmiernie ważna i pociągająca. W charkowskich zakładach jakoś nie mogli sobie dać rady z autooperatorem — z mechanicznymi rękami, które podają półfabrykaty w naszej nowej automatycznej sześciowrzecionówce. Obrabiarka powinna obra-

biać jednocześnie sześć detali i co osiem sekund kończyć nową porcję. Miałem wyregulować autooperator i nauczyć tamtejszych ustawiaczy, jak należy się obchodzić z tym naszym robotem.

Konstruktorzy maszyn mawiają: „Obrabiarka bez ustawiacza to ćwierć obrabiarki”. Praca ustawiacza jest absolutnie samodzielna. Pracowała cała fabryka, a teraz wszystko zależy od ciebie jednego. Człowiek aż się czuje trochę nieswojo. W każdym razie zanim się nie przyzwyczai.

Postanowiłem wyjechać jeszcze przed świtem, póki jest chłodek, ale zanim się wygrzebałem, zanim zmieniłem olej, rozwidniło się już na dobre, niebo było bez jednej chmurki, miejskie polewaczki wyruszyły już na miasto, dozorczy wzięli się do mioteł.

Sprawdziłem przed wyjazdem tłoki, choć właściwie mógłbym tego nie robić — nie słyszałem żadnych stuków, silnik płynnie pracował, równo, ślicznie.

W moim motocyklu, który teraz nieco za twardo reagował na nierówności nawierzchni, po remoncie zostało niewiele części z pierwotnymi numerami fabrycznymi. Chyba tylko rama. Moje cylindry miały znacznie więcej żeberek niż w silniku seryjnym, żeberka ułożone były nieco inaczej. To się wszystkim rzucało w oczy.

Pochylony jak zazwyczaj nad kierownicą wstrzymywałem bieg mego czerwonego konika — dalsze jego losy zależały od tego, jak zostanie dotarty.

Przy szosie stała „Jawa-350”. Motocyklista, chuderlawy niski chłopak w czarnym hełmie skórzanym, jaki noszą czołgiści, i z papierosem w zębach — patrzył na przejeżdżające obok niego pojazdy. Zahamowałem i podjechałem do niego.

— Co się stało?

— Wszystko w porządku. Dziękuję. Chciałem po prostu zapalić — sięgnął do kieszeni. — Zapalisz?

— Spiesz mi się.

Chłopak przyjrzał się mojej „Jawie”, jednocześnie uśmiechnęliśmy się ze zrozumieniem, ruszyłem.

Rozpoznajemy się od razu. Lakier „Jawy” nie boi się ani deszczu, ani słońca, nie obłazi i nie pęka. Ale tym, co dużo jeżdżą, ciemnieje. Z jasnoczerwonego jak pomidor robi się wiśniowy. Tak jak mój. Albo jak jego.

Na stacji benzynowej w Połtawie wziąłem paliwo, potem poprosiłem w bufecie o butelkę kefiru i o jajecznicę z szynką. Bufetowa uśmiechnęła się do mnie jak do starego znajomego, na wpół pytająco, a na wpół twierdząco powiedziała: „Turysta” i wyjęła kefir z lodówki. Jajecznica pływała w maśle. Chleb był świeży, dopiero co nakrojony.

Od chwili, kiedy dostałem delegację, w której w rubryce „stanowisko” napisane było „ustawiacz”, nie opuszczało mnie miłe i troszkę głupie poczucie własnej ważności, sprawiało ono, że wszystko w tej podróży stawało się jakby bardziej ważne — i pełne zrozumienia spojrzenia kierowców, którzy na stacji benzynowej zgromadzili się wokół mego motocykla, i uśmiech bufetowej, i to, że wyjęła dla mnie kefir z lodówki, choć widziałem przedtem, że jakiemuś niemłodemu mężczyźnie w zamszowych dżinsach, który podjechał własną „Wołgą” z moskiewską rejestracją, dała kefir, który stał na ladzie. I gdy na punkcie kontrolnym zatrzymał mnie inspektor drogowy, wraz z prawem jazdy wyciągnąłem z kieszeni także i moją delegację służbową.

Gruby niski lejtnant, niespodziewanie ospowaty — na tak młodych twarzach obecnie nigdy już się nie wi-

dzi dziobów po ospie — przejrzał delegację, uśmiechnął się z powagą i powiedział:

— A co będziecie ustawiać, jeśli to nie tajemnica?

Kiedy indziej normalnie powiedziałbym inspektorowi, że po Łopani w Charkowie niebawem zacnie kursować atomowy statek i że jadę, by właściwie ustawić pracę reaktora, ale teraz powiedziałem, że mam się uporać z naszym robotem-autooperatorem, który obsługuje sześciowrzecionową obrabiarkę automatyczną.

— Ciekawy macie motor — powiedział lejtnant. — Samiście go tak udoskonalili?

— Z kolegami.

— Ładny motor — powtórzył lejtnant.

Tato mówił kiedyś, że każdego zwierzchnika witają tak samo, ale żegnają na różne sposoby. Nie wiedziałem jeszcze, jak będą żegnali mnie, ale powitali mnie słowami, które pasowały jak ulał do mojego nastroju:

— Nie mogliśmy się na was doczekać. Zaraz was rozlokujemy i — zabierajcie się do roboty. Ale najpierw chodźmy do hotelu. Są kłopoty z miejscami w hotelu, ale dla was mamy najładniejszy pokój w hotelu „Charków”, w śródmieściu. Jest już zarezerwowany.

Choć na biurku recepcjonisty stała jak zwykle tabliczka „Wolnych pokoi nie ma”, kiedy powiedziałem swoje nazwisko, dano mi do wypełnienia króciutką ankietę i powiedziano, że pokój dla mnie jest zarezerwowany. Ludzie, którzy z walizami i z teczkami siedzieli w hallu, popatrzyli na mnie z zazdrością.

— Za ile dni płacicie? — zapytała recepcjonistka, powolna i niezwykle pewna siebie kobieta. — Macie rezerwację na dziesięć dni. Wolelibyśmy z góry.

— A ile kosztuje doba?

— Dwa pięćdziesiąt.

— Na razie zapłacę za pięć dni. A potem zobaczymy.

— Proszę bardzo. Jeszcze za zameldowanie...

Zapłaciłem, dostałem rachunek i resztę... Ta reszta to było wszystko, co mi zostawało na życie w Charkowie.

Pokój był nieduży, nowoczesnie umeblowany i podobnie jak u nas w domu łazienka była w jednym pomieszczeniu z ubikacją. Rozebrałem się, wziąłem prysznic. Moją nylonową koszulę postanowiłem uprać wieczorem. Dobrze przynajmniej, że nie trzeba jej prasować. Wytarłem nogi, żeby nie zostawić śladów na parkiecie, ale w ogóle nie wycierałem się — lubię schnąć powoli, czuć, jak chłodzi skórę parująca woda. Potrzebny mi był ten najlepszy hotel jak dziura w moście. I za co właściwie tu zdzierają aż po dwa pięćdziesiąt? A skąd mam wziąć pieniądze, żeby zapłacić za następne pięć dni?

Obliczyłem, że gdybym nawet wydawał dziennie za ledwie po czterdzieści kopiejek na jedzenie i w ogóle nie palił, to nawet wtedy pieniędzy mi nie wystarczy.

Nie ma innej rady, tylko muszę stąd wyjechać jak się da najprędzej. Gdybym tak zrobił, co do mnie należy, w pięć dni... Bo jeśli nie, to pozostanie mi tylko depeszować do domu. Żeby przysłali pieniądze.

Układ hydrauliczny autooperatora montowano u nas na stałocieplnym w niezmiennej temperaturze dwudziestu stopni i z dokładnością do paru mikronów. W charkowskiej fabryce ten układ zupełnie rozregulowano. Zdawałem sobie sprawę z tego, że będę musiał nieźle się pogimnastykować, zanim doprowadzę go do porządku.

Dodano mi do pomocy trzech tutejszych ustawiaczy. Kiedy stanęli obok siebie, przypominali krzywą wzrostu wydajności pracy: jeden był całkiem niziutki, miał poważną, skupioną twarz i zdumiewająco czyste ręce, wyglądał, jakby chodził najwyżej do ósmej klasy; drugi był średniego wzrostu, twarz miał całą w zmarszczkach i najwyraźniej był to ostatni rok jego pracy przed

przejściem na emeryturę; trzeci natomiast wyglądał na typowego koszykarza, miał małą główkę i ogromne łapska.

Doglądał naszej pracy zastępca kierownika wydziału, inżynier Fedoriw, okropnie ruchliwy i niespokojny. Fedoriw z miejsca zaczął mnie wypytywać:

— Czy to prawda, że u was w operze Jarosław Nużnyj, kiedy nie mógł wziąć wysokiego ła, podrzucił zamiast tego w powietrze kapelusz z piórem?

— Nie wiem — odpowiedziałem niepewnie. — Może się coś takiego zdarzyło, ale ja przy tym nie byłem.

Jeśli mam być całkiem szczery, to nie tylko nie było mnie przy tym, ale nawet nigdy w życiu nie słyszałem, że mamy w operze takiego śpiewaka, Jarosława Nużnego. Ostatnio byłem w operze na „Carmen”. Chodziłem wtedy do szóstej klasy.

— A czy to prawda, co mówią o poecie Łubockim? Że po pijanemu połknął konia szachowego? Chodziło o zakład?

— Nie — odpowiedziałem zdecydowanie. — Nic takiego się nie zdarzyło.

Ten dryblas, nazywał się Wilen Sosniak, okazał się wcale nie koszykarzem, tylko motocyklistą. Tak go zainteresowała moja „Jawa”, że najchętniej rozkręciłby ją na czynniki pierwsze.

On miał „Iż-a”. Cokolwiek by mówić, nie ma na świecie motocykla solidniejszego i trwalszego. Wilen ma tego swojego „Iż-a” już jedenasty rok. Przejechał na nim sto czterdzieści tysięcy kilometrów. A przejedzie jeszcze drugie tyle. I przy takim przebiegu Wilen nie wymienił jeszcze ani jednej szprychy. Oglądałem ten jego motor — instalacja elektryczna w porządku, silnik zapala za pierwszym razem. Tylko farba oblaża.

Pogadaliśmy sobie. Okazało się, że Wilen skończył

wieczorowe technikum budowy maszyn, przez cztery lata ani razu nie był w kinie, nie przeczytał ani jednej książki z literatury pięknej, ale ze wszystkich przedmiotów miał same piątki.

— Czemu nie zostałeś majstrem? Po technikum?

— Jako ustawiacz więcej zarobię. A ja mam rodzinę.

— To po coś tak się męczysz?

Wilen popatrzył na mnie niepewnie, zawahał się. Ale ten chłopak należał do ludzi, którzy w ogóle nie potrafią kłamać ani też uchylać się od odpowiedzi.

— Mam syna — powiedział. — Chodzi do drugiej klasy. Ciągle o coś pyta. A teraz to mam dyplom, może nie najlepszy, ale zawsze. I potrafię mu odpowiedzieć.

Pogadałby Wilen z moją mamą. Mama nie ma żadnego dyplomu, ale też by mu potrafiła odpowiedzieć.

Na obiad poszedłem ja z tym Wilenem Sosniakiem do stołówki. Strasznie mi się chciało jeść i nie pomyślałem o tym, żeby się jakoś wykręcić. Nie mogłem sobie tego potem wybaczyć. Wybiłem sobie czek tylko na kawałek chleba za kopiejkę i na szklanekę kefiru za osiem kopiejek. Gdybym był sam, to wziąłbym więcej chleba.

— Cóż ty tak mało? — zdziwił się Wilen. — Odchudzasz się? Jak moja żona?

— Nie — odpowiedziałem wymijająco. — Mam coś z żołądkiem...

On sobie oczywiście wziął sznycel, trzy kompoty, a potem po namyśle jeszcze dwie porcje serdelków.

I ja za to wszystko zapłaciłem! Wilen protestował, ale ja zapłaciłem. Nie mogłem zrobić inaczej. Bądź co bądź to ja tu byłem starszy, on był moim uczniem, ja go uczyłem, jak się reguluje autooperator.

Jaki smaczny jest chleb, kiedy człowiek jest głodny, a chleba jest tylko kromka! Wprost nie do wiary! Gryzłem go powoli, żeby, na ile się da, przedłużyć tę przy-

jemność i żeby doczekać się, kiedy wreszcie ten Wilen zeżre swój sznycel i swoje serdelki. Kefir także popijałem powolutku, kulturalnie, małutkimi łyżkami. Ależ mi się chciało jeść! Jak nigdy w życiu!

Dotąd nie zdawałem sobie sprawy z tego, ile na ulicach poniewiera się papierosów. Nie niedopałków, całych papierosów. Leżą na trotuarze i na jezdni przy każdym przystanku trolejbusu. Człowiek zapali, zaciągnie się dwa razy, a tu nadjeżdża trolejbus, więc papierosa się rzuca. Jeden papieros, w dodatku „BT”, leżał nawet w ogóle nie nadpalony. Ktoś go upuścił i leni się czy też brzydził podnieść. To najlepsze papierosy, jakie są u nas w sprzedaży, pudełko kosztuje czterdzieści kopiejek. A więc sztuka dwie kopiejki. Niezbyt wygórowana cena za czternaście i pół minuty życia człowieka.

Cóż to takiego wielkiego — podnieść papierosa? Przecież mogłem go ja sam upuścić. A jednak ani rusz nie mogłem się na to zdecydować. Przeczekałem już trzy trolejbusy, udawałem, że drapię się w kostkę, potem, że muszę zawiązać sznurowadło, ale za każdym razem wydawało mi się, że ktoś na mnie patrzy, i znów się wyprostowywałem. Wreszcie wpadłem na pomysł, żeby zwinąć w rurkę kawałek papieru, przypominało to papierosa, upuściłem ten papier, a zamiast niego podniosłem to przekłete „BT”. Tak, jakbym ukradł tego papierosa. Był troszkę zawilgły, niemniej zapaliłem go z ogromną przyjemnością.

Dawniej, kiedy ktoś mnie częstował papierosem, brałem go odruchowo, sam sobie z tego nie zdając sprawy. Wielkie rzeczy, papieros! A teraz, kiedy ktoś w fabryce podsuwał mi paczkę, mówiłem:

— Dziękuję, przed chwilą skończyłem palić.

W ogóle doszedłem do wniosku, że każdy w naszym kraju powinien przynajmniej przez pięć dni w roku żyć

za czterdzieści kopiejek dziennie. Ten i ów lepiej by wtedy zrozumiał, co to jest chleb, co to jest mięso, co to tytoń i jakiego zadowolenia może to wszystko dostarczyć pod warunkiem, że jest tego mało.

Żrą ananasy, jarzabki żują...

Nie rozumiem, dlaczego te ananasy i jarzabki miałyby być lepsze od jabłek i kiełbasy. Może burzuje dlatego uważali je za coś tak smacowitego, że nie każdy mógł sobie na te rzeczy pozwolić, że nie każdy mógł to jadać. Teraz, kiedy w naszym spożywczym sprzedają ananasy, ustawia się kolejka. Kupiłem kiedyś. Trochę za kwaśne. Mam wrażenie, że zrywa się je, kiedy nie są jeszcze dojrzałe. Banany są smaczniejsze.

Jarzabki? Tato opowiadał, że kiedy był mały, u nich na wsi, jeśli dziecko kaprysiło i nie chciało jeść, pytano je: „Jarzabka ci się zachciało?” Tato myślał wtedy, że to chodzi o ich kudłatego kundla, który się wabił Jarzab. Był już dorosły, kiedy to nieporozumienie wreszcie się wyjaśniło.

Gdyby nie ten wiersz Majakowskiego, którego uczono nas jeszcze w szkole, nigdy w życiu nie przysłoby mi do głowy jeść jarzabka. Ale ze względu na ten wiersz zamówiłem kiedyś jarzabki w restauracji. Nic specjalnego. Ale teraz pożerałbym nawet jarzabki, tak że tylko kostki by chrupały. I ananasy także. Oczywiście, gdyby nie było świeżego razowca i sporego pęta kiełbasy amatorskiej. Hej-hej, aż ślinka człowiekowi idzie.

Kiedy wróciłem do hotelu, dyżurna na piętrze, zalotna dziewczyna z gatunku tak zwanych blondynek, zapytała mnie:

— Jak wasze nazwisko?

— Puzo — powiedziałem. — A wasze?

Dyżurna zmieszła się.

— Jest dla was przekaz pieniężny. Moje nazwisko Gridniewa. Ale ja nie dlatego...

— Ja też nie dlatego — przerwałem jej. — Dajcie no ten przekaz. Jedliście już obiad?

— Jadłam.

— A drugiego byście nie zjedli?

— Jak to?... Przecież jestem w pracy.

— Jak chcecie. Nie ma was kto zastąpić?

— Miałby kto, ale ja nie mogę...

— Skoro tak, to do widzenia.

Nie poszedłem już do pokoju, tylko prosto na pocztę. Ale poczta już była zamknięta. Dobrze, że dyżurna zjadła przedtem obiad.

Pieniądze odebrałem nazajutrz rano. Byłem pierwszy przy kasie. Tato przysłał pięćdziesiąt rubli. Cztery od razu wydałem najrozsądniej, jak można. W spożywczym koło hotelu kupiłem trzy długie bułki, pół kilo kiełbasy amatorskiej, dwie butelki napoju „Wystawowego” na sokach naturalnych, marmoladę i papierosy. Alem się najadł za wszystkie czasy!

A autooperator już na czwarty dzień działał bez zarzutu. Cała fabryka przychodziła i podziwiała. Bo też było co podziwiać! Wszyscy oglądali naszego robota i naszą obrabiarkę, a mnie niby to nikt nie zauważał. Ale to mi ani trochę nie przeszkadzało. Przecież kiedy reżyser filmowy nakręci dobry film, to publiczność przychodzi, żeby obejrzeć film, a nie jego reżysera.

— Idź do spożywczego i kup chleba — powiedziała mama. — Czarnego, ukraińskiego. A może mam sama chodzić po chleb?

— Już idę.

Wziąłem jakąś starą gazetę, żeby zawinąć w nią chleb. Machinalnie przejrzałem na czwartej kolumnie

tabelę rozgrywek piłkarskich. Była to stara tabela, nasza drużyna od tego czasu ulokowała się na lepszym miejscu. Znacznie lepszym. I nagle poniżej artykułu komentatora piłkarskiego zobaczyłem małą notatkę złożoną tłustym drukiem. Przeczytałem ją i od razu o niej zapomniałem. Ale kiedy już kupiłem chleb i zamierzałem go zawinąć, niespodziewanie dla siebie samego wydarłem kawałek gazety z tą notatką, złożyłem go i schowałem do kieszeni.

Notatka ta była zatytułowana: „Odznaczenie za męstwo”. A treść jej była następująca: „W nocy z piętnastego na szesnastego kwietnia we wsi Zalesie w powiecie czernihowskim zapaliło się obejście A. Gołobużko. W płonącej chacie spała małżonka A. Gołobużki Hanna i troje dzieci. A. Gołobużko, kierownik kolchozowej fermy, przebywał w sąsiedniej wsi. Pierwsza spostrzegła pożar uczennica dziesiątej klasy szkoły średniej komsomołka Ludmiła Petrenko. Petrenko bez chwili wahania wybiła szybę w oknie, wskoczyła do palącego się domu i ryzykując własnym życiem rzuciła się na ratunek śpiącym dzieciom. Matka dzieci, Hanna Gołobużko, straciła przytomność. Jako pierwszą wyniosła Luda najmłodszą dziewczynkę, trzyletnią Oksankę. Ubranie Ludy zaczęło się tlić, zapaliły się jej włosy. Ale nie bacząc na to wróciła do płonącego budynku, wyniosła drugie dziecko, po czym mimo poparzeń raz jeszcze skoczyła w ogień i uratowała życie pięcioletniemu Pawlikowi. Następnie wyciągnęła przez okno ich nieprzytomną matkę i zajęła się jej cuceniem, choć sama potrzebowała pomocy lekarskiej. Pierwszej pomocy udzielili jej nadbiegający do pożaru mieszkańcy wsi. Wszyscy mieszkańcy wsi ofiarowali swą krew do transfuzji i własną skórę do zrobienia koniecznych przeszczepów. Obecnie zdrowiu Ludmiły nic już nie zagraża, Petrenko czuje się dobrze.

Za męstwo i odwagę, okazaną przy ratowaniu trojga dzieci i ich matki podczas pożaru, Prezydium Rady Najwyższej Ukraińskiej Radzieckiej Republiki Socjalistycznej w imieniu Prezydium Rady Najwyższej Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich odznaczyło uczennicę klasy dziesiątej szkoły średniej w Zalesiu w powiecie czernihowskim Ludmiłę Petrenko medalem »Za ofiarność i odwagę«.

Myślałem sobie o tym, że Luda Petrenko to dziewczyna, na której można polegać. We wszystkim. Rozumiem, że można raz skoczyć po dziecko w ogień, poparzyć się, ale wyciągnąć dzieciaka. Ona jednak zrobiła to czterokrotnie. Pewnie bardzo się bała, pewnie bolało ją. Kiedy palą się włosy, to przecież nie są żarty. Kiedy jeszcze byłem w ósmej klasie, zrobiliśmy z chłopcami rakiety, którą wyładowaliśmy siarką z zapalek. Z dziesięciu pudełek zapalek. Ogień z tej rakiety oparzył mi rękę. O mało się nie wściekłem z bólu. Wezwano lekarza. Dobrze, że skończyło się to na pęcherzu na palcu. A kiedy palą się włosy? Musiała przecież rozumieć, czym to grozi. Ale to jej nie powstrzymało.

Wieczorem postanowiłem napisać list do tej Ludmiły Petrenko. Nigdy bym nie pomyślał, że tak trudno jest ułożyć list. Próbowałem i tak, i owak, ale ciągle wychodziło mi coś w tym rodzaju „wasze sukcesy w ratowaniu życia dzieci podczas pożaru dowodzą, że kom-somolcy przodują w każdej dziedzinie”. W końcu napisałem, że dopiero teraz przeczytałem o jej czynie w gazecie i chciałbym z nią korespondować.

Otrzymałem odpowiedź dopiero prawie miesiąc później. Przez ten czas zdążyłem już zapomnieć o Ludzie i w pierwszej chwili byłem bardzo zdziwiony, kiedy dostałem list z powiatu czernihowskiego. Luda Petrenko pisała, że przeprasza za zwłokę, że odpowiada dopiero teraz, bo jest właśnie koniec okresu w szkole

i musi się dużo uczyć, że nie ma jak dotąd ani jednej trójki, a czwórek też mniej niż piątek, że trudno jej odpowiadać na listy od razu, bo otrzymała ich bardzo dużo, zwłaszcza od żołnierzy Armii Radzieckiej, nawet z Dalekiego Wschodu. Ale mimo wszystko chętnie będzie ze mną korespondowała.

List napisany był równym, starannym charakterem pisma, na kartkach z zeszytu w jedną linię. Wyobraziłem sobie dziewczynę, która siedzi przy stole oświetlonym lampą naftową, macza w kałamarzu obsadkę ze stalówką „86”, przedtem otrząsa atrament, żeby nie zrobić kleksa, i pisze do mnie list. Niepokoiły mnie tylko te listy od żołnierzy.

Należał mi się urlop. Tydzień zaległego urlopu. Wziąłem zaliczkę, kupiłem dwie bombonierki, tort „Kijowski”, butelkę odeskiego koniaku z trzema gwiazdkami, włożyłem to wszystko do swojej stareńkiej walizki, walizkę przymocowałem do bagażnika i o świcie wyjechałem do Czernihowa. Te listy od żołnierzy bardzo mnie niepokoiły. Wiedziałem, że są tacy, co listy piszą po mistrzowsku. Nie mnie się z nimi równać.

W miesięczniku „Nauka i społeczeństwo” czytałem o czernihowskim soborze Przemienienia Pańskiego. Przeczytałem, że został wzniesiony w jedenastym wieku, w tym samym mniej więcej czasie, co kijowski sobór Świętej Zofii, że obecnie trwa jego restauracja i że ta budowla odznacza się doskonałością, harmonią i surową prostotą.

Obejrzałem sobie ten sobór. Wszystko się zgadzało, było, że tak powiem, jak na dłoni. Harmonia i surowa prostota. Brakło tylko konserwatorów. Zresztą budowla była w najlepszym porządku. Nawet świeżo otynkowa-

na. Wszedł do soboru stary pop, za nim dwie leciwe babiny w czerni.

Sobór stał na wzgórzu, dokoła niego było parę grobów. Na jednej z mogił zobaczyłem na kamiennej płycie zdjęcie, owalny portret na porcelanie. Dwudziestoletni chłopak z czarniawym czubem. Zmarł w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym. I napis ze starą pozłotą: „Sądź nas, Panie, nie wedle uczynków naszych, ale wedle miłosierdzia Twego”.

Kim był ten chłopak? Mordercą? Zdrajcą? Czemu jego bliscy tak surowo osądzili jego życie? Czemu spodziewali się, że Pan Bóg będzie dlań miał więcej względów, niż mieli oni sami?

Ludzie niekiedy zwracają się do Pana Boga z dziwnymi prośbami... Przypomniała mi się ta paragwajska piosenka: „Kobieto! Jeżeli kiedykolwiek spotkasz Pana Boga, zapytaj go...” „Chłopcze, spoczywający pod murem tego słynnego soboru! Jeżeli kiedykolwiek spotkasz Pana Boga, zapytaj go...” Nie jest to prośba do Boga. Ani do ludzi. Do sumienia.

Zszedłem z pagórka i zobaczyłem coś bardzo dziwnego. Mężczyzna w niebieskim plastikowym kasku motocyklowym przyozdobionym pięknymi goglami z lekkim spoglądał na swój motor. Była to węgierska „Pannonia”. Rury wydechowe w całej gamie kolorystycznej, od żółci do ciemnego granatu. Fatalnie wyregulowany karburator. Albo za małe podawanie paliwa.

Przyjrzałem się motocykliście. Jego wąska twarz wyrażała przerażenie, lęk. Miała wyraz, jaki miewają twarze ludzi, których dotknęło jakieś wielkie nieszczęście.

— Co się stało? — zapytałem.

— Ona się nie zatrzymuje — ochryple powiedział mężczyzna.

— Jaka ona?

— „Pannonia”. Motor. Silnik. Widzicie, wyłączyłem

zapłon — pokazał mi kluczyki — a silnik pracuje w dalszym ciągu...

Wiedziałem, że jeśli się natychmiast nie roześmieję, to mogę na całe życie zostać jąkałą albo zacznie mi się na przykład trząść głowa. Na widok tej „Pannonii”, co się zbuntowała, i jej przerażonego właściciela każdy by wybuchnął śmiechem. Ale jakoś się pohamowałem.

— A gdybyśmy tak na początek zdjęli fajkę ze świecy?

— Och... Wiecie... Nie wpadłem na to. Postanowiłem poczekać, aż się skończy benzyna w baku. Ale bak mam prawie pełen. No, jasne, że trzeba zdjąć fajkę...

Zerwałem mu tę fajkę. Silnik parsknął i zgasł.

— Dziękuję... Ale co teraz zrobić?...

Znów zbierało mi się na śmiech.

— Zaraz zobaczymy.

„Pannonia” pobiera prąd z magneta. Zdjąłem reflektor i prawą pokrywę karтеру i zacząłem szukać uszkodzenia w układzie zapłonowym.

— Nie lądowaliście? — zapytałem.

— Jak to — czy nie lądowałem?

— Czy motocykl się wam nie przewrócił?

— Nie. A bo co?

— Tu jest przerwany obwód.

Poszedłem do mego bułanka, przyniosłem nóż, izolację i połączyłem przewody. Silnik parsknął parę razy. Wyjąłem kluczyki — natychmiast zgasł.

— Och, dziękuję — spojrzał na mnie z wdzięcznością właściciel „Pannonii”. — Myślałem już, że zwariuję... Coś takiego, raptem nie można wyłączyć silnika... Jesteście mechanikiem?

— Nie — odparłem. — Skąd... Po prostu dawno jeźdź. A wy?

— Jestem architektem.

— To może wy restaurujecie sobór Przemienienia Pańskiego? Co tu jest do restaurowania?

— Jaki sobór?

— No, ten. — Pokazałem ruchem głowy.

Architekt usiadł i zaczął się śmiać, jakby go opętało. Łzy płynęły mu spod okularów, pozostawiały ślad na zakurzonej twarzy.

— Jaki sobór?... Och, przepraszam... Nie mogę... To ma być Przemienienie Pańskie?... Sobór jest gdzie indziej... To zwykła cerkiew. Cerkiew, a nie sobór.

Trafiłem na wyjątkowo skłonnego do śmiechu architekta. To jakiś okropny wesolek. Popatrzyłby on lepiej na siebie, kiedy silnik jego „Pannonii” nie chciał przestać pracować, mógł się przecież przejrzeć w lusterku. Możliwe, że wtedy śmialibyśmy się na dwa głosy.

Jest taka stara ukraińska piosenka, którą często śpiewają motocykliści:

*Jak iszow ja z Debreczyna dodomu,
Zajszła meni czorna kura dorohu.
Idi, idi, czorna kuro, dodomu,
Ne zaważaj, ne zaważaj podorozi nikomu.*

Między Czernihowem a Zalesiem wiele razy przebiegały mi drogę kury. Ale nie było wśród nich ani jednej czarnej, ani czarnoszarej. Wszystkie były białe, nieduże, płochliwe. Chyba leghorny. Ciekawe, czemu na czernihowszczyźnie nie widzi się kur innych niż białe?

Choć mnie osobiście kury na drodze nie przeszkadzają. Mam na nie sposób. Niedawno zainstalowałem sobie na rurze wydechowej syrenę. Skonstruowaliśmy ją z Wilią, a potem już sam wykonałem dwie sztuki w ramach zajęć w instytucie. Jest to piekielna maszyna. Wyje tak, że serce człowiekowi skacze do gardła. Ale

co tam kury, każdy samochód na szosie zjeżdża na pobocze. W mieście oczywiście za taki numer odebrano by prawo jazdy, ale na szosie jak dotąd uchodzi to na sucho. Włączam tę syrenę nie nazbyt często, ale kiedy gna się przez wieś, gdzie za każdą ścianą czyha na ciebie jakieś niebezpieczeństwo, gdzie krowy tak się przyzwyczaiły do samochodów, że nie zwracają na nie więcej uwagi niż na muchy, a motocyklistę zawsze gotowe wziąć na rogi, to urządzenie jest niezastąpione.

Zawyla syrena, psy, które nie wiadomo czemu wybrały sobie sam środek drogi, by się tam w kurzu ułożyć do drzemki, w przerażeniu rozpierzchły się na wszystkie strony niczym kury, a żaden nawet nie zaszczekał. Wjechałem do Zalesia. Dopiero tu spróbowałem sobie wyobrazić moje spotkanie z dziewczyną, z Ludą Petrenko. Co powiem jej rodzicom? Do tej pory jakoś nie chciało mi się o tym myśleć, jak zawsze w takich wypadkach odkładałem to na ostatnią chwilę — a nuż samo mi coś nagle przyjdzie do głowy.

Teraz wyobrażałem to sobie mniej więcej tak.

Wchodzę do chaty. W progu wita mnie niemłoda kobieta zniszczona przez pracę w polu, matka Ludy Petrenko.

— Dzień dobry — mówię.

— Dzień dobry. Wy do kogo?

— Chciałbym się zobaczyć z Ludą. Czytałem w gazecie o jej bohaterskim czynie, a ponieważ jestem członkiem egzekutywy w naszej organizacji komsomolskiej, chciałbym się z nią zapoznać i porozmawiać jak komsomolec z komsomołką.

— Proszę bardzo — powiada matka Ludy. — Wejdźcie.

W chacie spostrzegam Ludę — hoża dziewczucha, lina-ny warkocz, niebieskie oczy. Twarz ma z jednej strony wykrzywiona, jeden policzek szerniałały po poparze-

niach. Stara się stać tak, by się odwracać do obecnych nie zeszpeconym profilem. Ale nie to mnie w tej chwili obchodzi. Szukam w dziewczętach urody ducha, a nie ciała.

— Dzień dobry, Ludo — powiadam. — Bardzo mi przyjemnie zobaczyć was i zapoznać się z wami.

Luda wyciąga do mnie rękę, ja ściskam jej dłoń i mówię, że chciałbym z nią porozmawiać. Idziemy do wiśniowego sadu koło chaty. No, a tam wszystko już będzie zależało, że tak powiem, od rozwoju sytuacji.

Nasz fryzjer Michajło lubi opowiadać taką anegdotę: „Czy to prawda, że Abramowicz wygrał na loterii »Wołgę«? — Prawda. Tyle, że nie na loterii, ale w preferansa, nie »Wołgę«, ale pięć rubli i nie wygrał tylko przegrał”.

Zaczęło się od tego, że wiejskie chłopaczki, których zapytałem, gdzie tu mieszka Luda Petrenko, podniosły radosny wrzask, że do Ludy znowu przyjechał dziennikarz. Nim znalazłem właściwy dom, a stał on za wsią, nad rzeczką, powitano mnie tam już jako dziennikarza. Potem okazało się, że Luda jest jeszcze w szkole, ale niedługo powinna wrócić. A w dodatku matula Ludy mogłaby brać udział w konkursach piękności, gdyby na Ukrainie konkursy takie organizowano. Ja co prawda nie przepadam za grubymi kobietami, a matka Ludy była dość tęga. Ale miała też ładną, krągłą twarz i takie brwi, i takie czarne włosy splecione w warkocz, i upięte w koronę na głowie, i taki szczególny matowy odcień smagłej skóry, i takie oczy, jasnokasztanowe i jakby dopiero co umyte, że aż się prosiło, żeby sportretował ją jakiś malarz. Ubrana była także odświętnie, miała na sobie bluzkę haftowaną czerwoną i czarną nicią i kaftanik z zielonego aksamitu.

Nasz fryzjer Michajło — najbardziej rozsądny człowiek, jakiego znam — często powtarza: „Jeśli dziew-

czyna przypadła ci do serca aż tak, że masz wobec niej poważne zamiary, powinieneś przede wszystkim poznać jej matkę. I dobrze sobie zapamiętać, że twoja dziewczyna będzie kiedyś właśnie taka, jaka teraz jest jej matka. Będzie miała takie same zmarszczki i taki sam głos, takie same ruchy, a nawet takie same poglądy. A następnie powinieneś się poważnie zastanowić, czy będziesz mógł żyć z taką żoną, jak twoja ewentualna teściowa, czy też może nie będziesz mógł. Jeśli nie będziesz mógł, to zawczasu daj dyla od swojej dziewczyny, a nie będziesz musiał później płacić alimentów”.

No, ta Luda Petrenko miała mamę całkowicie do-
rzeczną. Tatę zresztą też. Potężne chłopisko o czarnych,
zwisających na kozacką modłę wąsach, o otwartej, ogo-
rzałej twarzy, donośnym głose i o takim uśmiechu, ja-
ki widuje się niekiedy bez wyraźnego powodu na twa-
rzach fajnych ludzi.

I obejście mają jak z obrazka. Dom murowany, kry-
ty dachówką, z czymś w rodzaju mansardy na pierw-
szym piętrze, wokół domu sad, a w sadzie najrozmai-
sze drzewa, wiśnie, śliwy, grusze, jabłonie, a na każ-
dym drzewie tyle owocu, że niemal nie widać liści. Do
tego sadu właśnie mnie zaprowadzili, posadzili za sto-
łem, wokół którego były wkopane w ziemię ławki, i nie-
bawem zjawił się na stole półmisek pełen pomidorów,
różowa słonina na talerzu, pierogi z serem i wielgach-
na butla czegoś, o czym dotąd tylko czytałem w książ-
kach, ale czego nigdy jeszcze w ustach nie miałem.
Miód. Zdumiewający trunek — słodki, smaczny i nie-
wiarygodnie mocny.

O nic mnie nie pytali i dopiero kiedy opróżniłem mi-
chę pierogów i powolutku dopijałem trzecią szklan-
kę tego miodu, ojciec Ludy powiedział:

— No to cóż, poznajmy się. Ja, na ten przykład, je-

stem Ilja Gordijowicz, a moja żona — Oksana Mitrofaniwna. A wy?

— Roman, syn Ołeksy — odpowiedziałem jak zwykle i dopiero potem dodałem: — A nazwisko mam takie, że kiedy je powiem, nigdy już go nie zapomnicie. Puzo.

Ilja Gordijowicz i Oksana Mitrofaniwna popatrzyli po sobie, ale gospodarz nic nie powiedział. Jest to niezawodny test. Jeśli człowiek usłyszawszy moje nazwisko nie zażartuje, nie wysili się na jakiś głupi kalambur, to można być pewnym, że jest dobrze wychowany.

— Bardzo miło mi było się zapoznać — powiedział Ilja Gordijowicz. — Ja kieruję w naszym kołchozie sadową brygadę, a żona pracuje, znaczy się, pracuje na kurzej farmie. A wy, przepraszam, na ten przykład, kto będziecie?

— Ja jestem klasa robotnicza.

Stało się ze mną coś dziwnego. Ręce były mi posłuszne jak zwykle. Nie rozlałem ani kropelki miodu, kiedy jeszcze raz napełniałem sobie szklanekę. I głowa pracowała normalnie. Ale coś się działo z nogami. Jakby mi odjęło nogi i kiedy po słowach „ja jestem klasa robotnicza” chciałem się podnieść, żeby możliwie jak najuroczyściej powiedzieć, jak wielką rolę odgrywa klasa robotnicza w rozwoju ludzkości, poczułem, że nie jestem w stanie tego zrobić, i ogromnie mnie to zdumiało.

— Pracuję w zakładach budowy obrabiarek. Jestem ustawiaczem. A nasze obrabiarki w warunkach współczesnej techniki... Co to za miód? Jakoś tak rozbiera...

— Ano, tak mówią — skromnie odpowiedział gospodarz. — A w jakiej wy, że tak powiem, sprawie przyjechaliście na tej swojej „Jawie”?

— Sprawa jest jasna — odparłem. — Chcę się ożenić z waszą córką, Ludmiłą. To nic, że jeszcze się uczy. W razie potrzeby mogę poczekać. Póki nie skończy szkoły czy uniwersytetu, czy czego tam jeszcze.

Głowę miałem jasną, ale wygadywałem Bóg wie co. Język sam mówił jakieś rzeczy, których w ogóle się po sobie nie spodziewałem. Spojrzałem niepewnie na Ilję Gordijowicza. Gdyby chwycił mnie za kołnierz i pociągnął do furtki, nie mógłbym mu się nawet opierać, nogi całkiem odmówiły mi posłuszeństwa.

Ale Ilja Gordijowicz znowu spojrział na Oksanę Mitrofaniwnę, ona na niego, pociągnął łyk miodu ze swojej szklanki, pogłaskał wąż i powiedział z rozwagą:

— Sprawa godziwa. Tylko niech już córka swoje słowo powie. A wy tymczasem pomieszkajcie u nas, wy się, na ten przykład, zapoznacie z nami, my z wami. A potem, jak to mówią, będzie, co Pan Bóg da. A teraz może odpoczniecie po podróży?

Mówiłem, że wcale nie jestem zmęczony, że nie męczę się na motocyklu, ale przeciwnie, odpoczywam, taki już jestem. Mówiłem, że mogę wypić całą tę butlę miodu i nic mi nie będzie. Że kiedyś, jeszcze w szkole, wypilem nawet spirytus kamforowy, który tacie przepisano na okłady, i też nic mi się nie stało. Ale mimo wszystko zostałem zaprowadzony na pierwsze piętro, do małego czystego pokoiku, pokazano mi wąskie łóżko zaścielone białą kapą. Ależ się huštał ten pokój! I cały ten dom! Cała ziemia zresztą. Dobrze, że nie mam skłonności do morskiej choroby, bo chyba by mnie od tej huśtawki całkiem przenicowało. Ale jakoś mi się upiekło.

Obudziłem się o zmierzchu. Kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem nie znany mi pokój i ani rusz nie mogłem sobie przypomnieć, jak się tutaj znalazłem. Nie byłem w stanie poruszyć głową. To bardzo prawdziwe, bardzo realistyczne porównanie, kiedy powiadają, że głowa jest jak z żelaza. Wreszcie udało mi się ją odwrócić i przestraszyłem się. Ani rusz nie mogłem zrozumieć, jakim cudem znalazłem się aż na trzydziestym piętrze

jakiegoś nie znanego mi gmachu. Przecież doskonale pamiętam, że nigdzie nie wchodziłem po schodach, nie jechałem też windą. Ale teraz miałem przed sobą otwarte drzwi na niewielki balkon, balkon ten zaś znajdował się gdzieś bardzo wysoko, bo daleko w dole widać było stąd jakąś nieznaną rzekę, niebieszczejące pola i lasy.

Zmusiłem się do wstania z łóżka. Poniżej balkonu było urwisko nadrzecznej skarpy. Dom z niezmiernych wysokości opadł na ziemię. Wraz z nim opadłem i ja. Przypomniałem sobie, gdzie jestem, co wygadywałem, zrozumiałem też, że mam tylko jedno wyjście — zwięzać. Możliwie najszybciej stąd zwiać. Choćby nawet bez motocykla, pał go diabli. I mnie pał diabli. Było mi tak strasznie wstyd, czułem do siebie taki wstręt, że najchętniej bym się powiesił.

Koło balkonu, na który wychodziło też okno pokoju, w którym spałem, rosła stara wysoka topola. Przyjrzałem się jej i uznałem, że jeśli wejść na drewnianą balustradę i skoczę, to będę mógł się ucześcić jej gałęzi, a potem już jakoś po pniu zejść na ziemię. Ale jednocześnie uświadomiłem sobie, że przez okno parteru będzie widać, jak schodzę i uznałem, że ta droga jest dla mnie zamknięta.

Zastanawiałem się, kto może mieszkać w pokoju, w którym mnie ulokowano. Wydało mi się, że pokój ten nie nosi piętna czyjejs stałej w nim obecności. Łóżko przy ścianie, dwa krzesła, mały stolik, na którym leżał jedynie stary numer tygodnika „Ogoniok” z rozwiązana krzyżówką. Na ścianie nie oprawiony portret Szewczenki, najwyraźniej wycięty z tygodnika ilustrowanego.

Po cichutku otworzyłem drzwi i na palcach zacząłem schodzić z krętych schodów.

— Dobry wieczór — usłyszałem głos Ilji Gordijowicza. — Wypoczęliście? Chodźmy się umyć, kolacja już gotowa.

Wymamrotałem w odpowiedzi, że dziękuję, że nie jestem głodny, i klnąc w duchu naszą ukraińską gościnność poszedłem z Ilją Gordijowiczem myć się pod studnią za domem.

— Ej, córeczko, przynieś no ręcznik — zawołał Ilja Gordijowicz, kiedy już wylał mi na kark pół wiadra lodowatej wody studziennej.

Nie prostując się, żeby woda nie zmoczyła mi spodni, a zarazem poprawiając dłonią mokre włosy wpatrywałem się w węgiel domu, zza którego powinna była się ukazać Luda Petrenko. Ale nagle usłyszałem za plecami dziecięcy głos:

— Proszę, wycierajcie się.

Mała, chudziutka dziewczynka o krótko, po chłopięcemu ostrzyżonej czuprynce i o twarzy pełnej ufności podawała mi haftowany ręcznik.

„A więc mają jeszcze jedną córkę — pomyślałem. — Młodszą”. Bo ta dziewczynka nie mogła przecież wyciągnąć z płonącej chaty trojga dzieci i ich matki. Nie miała też na twarzy żadnych śladów poparzeń. To musiała być siostra Ludy.

Ale kiedy brałem od niej ręcznik, zobaczyłem, że ma na dłoni jakieś dziwne blizny i pomyślałem sobie: „Nie, to jednak ona”.

— Masz na imię Luda? — zapytałem.

— Luda.

— No, to witaj, Luda. To ja do ciebie pisałem. Mam na imię Roman.

— Wiem.

„Co ona tam wie? — myślałem. — Że bezczelnie oświadczyłem się jej rodzicom prosząc o rękę dziewczyny, której nigdy w życiu nie widziałem na oczy? Że spiłem się jak świnia tym podstępny miodem i po pijaku wygadywałem, co ślina na język przyniosła? Że marzę teraz tylko o jednym — skoro nie mogę się za-

paść pod ziemię, to niechbym przynajmniej możliwie jak najprędzej znalazł się z powrotem w domu, w Kijowie”.

Ale dziewczyna patrzyła na mnie poważnie i ufnie. Oddałem jej ręcznik, poszedłem z nią do domu. Po drodze nie wytrzymałem i zapytałem:

— Ile masz lat?

— Siedemnaście. Skończę na Zielone Świątki.

Przy kolacji Ilja Gordijowicz rozprawiał głównie o polityce międzynarodowej. Oksana Mitrofaniwna potakiwała mu i pytała, czy nie wyjeżdżałem kiedy na wycieczkę zagraniczną, bo ciekawe, czy za granicą są też takie kłopoty z hotelami jak w Kijowie. Potem jednak sprowadziła rozmowę na te kijowskie hotele, gdzie się który mieści, pytała, na jakiej ulicy mieszkam, czy dużą mam rodzinę i mieszkanie. Odpowiadałem po namyśle, starałem się nie sprawiać wrażenia, że się chwale. Na stole stała butla, znów aż po szyjkę wypełniona tym samym miodem, ale tym razem byłem ostrożniejszy i przestałem na tym, że nalałem sobie pół szklanki, po czym piłem to małymi łykami. Doskonały trunek. Wprawdzie głowa jest po nim ciężka, ale jednocześnie miód ten likwiduje wszelkie troski.

Luda przysłuchiwała się tym naszym rozmowom w milczeniu, uważna i poważna, ale kiedy rozluźniłem się i zacząłem demonstrować, jak koledzy pilnują, żeby do naszego kierownika wydziału Łukjanienki nikt się nie zwracał z żadnymi prośbami, a także, jakie wrażenie wywiera na wiejskich kundlach moja nowa syrena, twarz Ludy przybrała szczególniejszy wyraz. Malowała się na niej napięta uwaga człowieka, który nie chce uronić ani jednego słowa. A zarazem jakby duma. Jak Boga kocham! Święta prawda! Duma ze mnie.

Ale w oczach Ilji Gordijowicza, który tak się śmiał, że aż ocierał dłonią łzy, od czasu do czasu mimo wszy-

stko pojawiało się trzeźwe, taksujące spojrzenie: „Czyś ty, chłopcze, rzeczywiście taki?”

Stanąłem na uszach i opowiedziałem im o Wili. O tym, jak Wilia uczył się pływać. Jest to absolutnie niewiarygodna historia, ale niemal niczego w niej nie wymyśliłem.

Wilia nie umiał pływać. I okropnie się tego wstydził. Kiedy wybieraliśmy się nad Dniepr, Wilia zawsze wynajdywał sobie jakiś pretekst, żeby nie pójść się z nami kąpać — to go brzuch bolał, to musiał się przygotowywać do seminarium na temat „Wybór egzystencjonalny a wartościowanie kierunkowe”, to znów coś tam. Ale kiedy wyhodował sobie bródkę, uznał, że ten fakt nakłada na niego nowe obowiązki, i przede wszystkim koniecznie postanowił nauczyć się pływać.

Jak przystało na bibliofila, na początek przestudiował podręcznik, teorię pływania, i wykonał na podłodze wszystkie przepisane ćwiczenia. Na podłodze pływał doskonale zarówno czałkiem, jak stylem klasycznym, a nawet grzbietowym. Następnie sam poszedł nad Dniepr, wyszukał sobie stosowne odludne miejsce jak najdalej od plaży, rozebrał się tam i czepiając się nadbrzeżnych wiklin zsunął się ze stromizny do głębokiej wody. Gałąź wikliny, co było do przewidzenia, złamała mu się w rękę. Wilia zanurzył się razem z głową, i cała teoria z tej zanurzonej głowy nagle wyparowała. Poszedł na dno, odbił się nogami od mułu, wypłynął, znowu poszedł na dno jak kamień, znów wypłynął. Akurat przepływała tamtędy łódka i Wilia kurczowo chwycił jej burzę.

„Przyłać ci wiosłem po łapach?” — groźnie zapytał wiosłarz. Ale Wilia go właśnie poznał. Był to znajomy, chłopak z naszej fabryki, a nawet z naszego klubu motorowego, Wasyl Stupak.

„Dzień dobry, Wasiu — powiedział Wilia. — Jak się masz?”

„Skąd się tu wzięłeś?” — okropnie się zdziwił Wasyl.
„Mały spacer”.

Wasyl wziął na przejażdżkę dwie dziewczyny z naszego wydziału kontroli technicznej. Tylko kumoterstwo zrehabilituje braki, które wyszły z naszej obrabiarki. Oczywiście, że i Wasyl, i jego dziewczuchy odniosły wrażenie, że Wilia płynął za ich łódką, ale Wilia, który nagle poczuł grunt pod nogami, raptem puścił burzę ich łodzi, zrobił kilka kroków w kierunku brzegu, wpadł w jamę i... utonął. Wasyl nie od razu zdał sobie sprawę z tego, że ma do czynienia z nagłym topielcem, a kiedy sobie to wreszcie uświadomił, Wilia już płynął z prądem rzeki.

Zdrowo musiał się napić zarówno ten Wasyl, jak i jego dziewczyny z naszej kontroli technicznej, nim udało im się wyciągnąć Wilię z wody. Wilia chwilę sobie poleżał pod krzakiem, ale nagle patrzy, a tu, psia kostka, idzie wprost na niego kobieta z kosą. Taka samiu-teńka jaką na rysunkach ze starych książek wyobrażali śmierć. Poderwał się Wilia, nogi za pas, zniknął w krzakach. I dopiero w tych krzakach zrozumiał, że to po prostu jakaś baba przyszła kosić trawę dla swojej kozy.

Opowieść moja wywarła zgoła nieoczekiwane wrażenie zarówno na Ilji Gordijowiczu, jak na Oksanie Mitrofaniwnej i na Ludzie. Dotąd się śmiali, a teraz zaledwie uśmiechali się niewyraźnie. Może dlatego, że nie rozumieli, skąd niby wiem, że Wilia tak bardzo zląkł się tej kobiety z kosą, skoro nie było mnie przy tym. A może chodziło o coś innego.

— Byliście już kiedyś w kolchozie? — zapytał Ilja Gordijowicz, znowu odprowadzając mnie na pierwsze piętro, do tej samej mansardki. — Jak się wam podoba na wsi?

— Bardzo mi się podoba — odparłem lekkomyślnie. — Powietrze...

— Powietrze... Tak... — poparł mnie z rozczarowaniem Ilja Gordijowicz.

— Kto mieszka w tym pokoju? — zapytałem.

— Nikt — pośpiesznie odpowiedział gospodarz. — Może niewygodnie wam tutaj?

— Nie — powiedziałem. — Bardzo mi tu dobrze.

— Dobranoc.

— Dobranoc.

Długo nie mogłem zasnąć. Gdzieś w pobliżu trzy lub cztery głosy kobiece wyciągały znajomą nutę, ale słów nie dało się rozróżnić. Ja jednak znałem tę piosenkę.

*Posijała ohiroczky
Nyzko nad wodoju,
Sama budu polywaty
Dribnoju sliozaju.
Rostit', rostit', ohiroczky —
Czotyry lystoczki.
Ne baczyla myleńkoho
Czotyry hodoczky.
Tilky todi pobaczyla
Jak czeređu hnała
Ne skazała: „Dobryj wieczir”,
Bo maty stojała.*

Więc to tak. Przez cztery lata dziewczyna nie widziała swojego miłego. Wreszcie zobaczyła go na drodze, kiedy pędziła krowy do domu. Słońce zachodziło poza wsią, pachniało kurzem i dymem, w sadach grabiono liście, palono ogniska. A przecież dziewczyna nie powiedziała mu nawet „dobry wieczór”, bo koło furtki stała matka.

Mówi się u nas czasem: „cnotliwa dziewczyna”. Mawia się tak wtedy, kiedy mimo czteroletniej rozłąki

dziewczyna nie powie nawet „dobry wieczór”, bo koło furtki stoi matka.

Jeśli kogoś rzeczywiście uszczęśliwiłem moim tutaj przyjazdem, to miejscowych chłopaczków. Znają się na motocyklach tak, jakby sami je konstruowali. Znalazł się wreszcie ktoś, kto docenił moją czerwoną bryczuszkę. Jestem przekonany, że wieś Zalesie da jeszcze ojczyźnie pierwszorzędnym motocyklistów.

Dwunastoletni Serhijko, pierwszy uczeń w klasie i urwipoleć jakich mało, trzynastoletni Miszko, którego Serhijko ma na posyłki, mimo iż Miszko jest od niego o dwie głowy wyższy i dwa razy grubszy, Oleg, jąkała, który, mimo iż się jąka, nie milknie ani na moment, i jeszcze paru bystrych i dziarskich chłopaczków nie odstępowało mnie nawet na krok. Nawet gdybym mieszkał tu od dziesięciu lat, nie znałbym tak dobrze miejsc na szczupaka i cech tutejszych psów. Ci chłopcy nie mieli przede mną tajemnic. Spędziliśmy razem cały dzień, a następnie — tak się złożyło — całą noc.

Chłopcy opowiedzieli mi o lokalnych znakomitościach. A więc przede wszystkim o kowalu. Kowal, Pawło Iwanowicz Filimonienko, jeśli im wierzyć, mógłby, gdyby tylko zechciał, zrobić w swojej kuźni samolot. W każdym razie jakby nigdy nic zmajstrował Filimonienko elektryczny traktor. Chodziliśmy oglądać ten jego wynalazek. Filimonienko wykorzystał stary, spisany na straty traktor „Białoruś”. Jeden silnik obsługuje dwa generatory. Dwa silniczki elektryczne na półosiach tylnych kół. Nie ma wału Cardana, nie ma dyferencjału, jest tylko przełącznik, który zarazem umożliwia natychmiastowe wrzucenie wstecznego biegu.

Ot i całe kierowanie.

Doprawdy można zwariować. Ten niemłody, chudy,

schorowany kowal zaimponował mi — wstawia w łożyska kulkowe po dwie lub trzy kulki z plastyku. Sam je sporządza. Kulki te obracając się pozostawiają na pierścieniu cieniutką warstwę plastyku. To tworzywo sztuczne jest tak śliskie, że nie musi się już używać żadnych smarów. Przemysł nie produkuje jeszcze łożysk kulkowych, w których niektóre kulki byłyby plastikowe, ale traktor Pawła Iwanowicza w Zalesiu pracuje już dzięki takim właśnie łożyskom.

— Co z waszym kowalem? — zapytałem chłopców. — Na co on choruje?

— Wiadro wody raz wypił — powiedział Miszko. — Moja mama to widziała. Pojechał na pole, bo się traktor zepsuł, zreperował go, a potem wziął pełne wiadro wody i wypił. I od razu się przewrócił nieprzytomny.

— On ma cukrzycę — wtrącił się Serhijko. — Nie może jeść ani cukru, ani miodu. Trzy razy dziennie robią mu zamiast tego zastrzyki. Jakby chociaż raz nie zrobili, to by zaraz umarł.

Postanowiłem zapytać Fiedię, co to za choroba, czy nie można jej rzeczywiście wyleczyć?

Potem chłopcy opowiedzieli mi o zootechniku, o Iwanie Iwanowiczu Marczenko. Marczenko wpadł na pomysł, jak można karmić bydło porośniętą kukurydzą. Sypie kukurydzę do żłobów i pozwala jej porosnąć tak, że kielki osiągają kilka centymetrów długości. Gadzina zaczęła jak się patrzy przybierać na wadze. Z całego powiatu przyjeżdżają do Marczenki, chcą skorzystać z jego doświadczeń.

Wśród tutejszych wiejskich znakomitości był też ojciec Ludy, Ilja Gordijowicz, który sadi jabłonie w jakiś specjalny, szczególny sposób, Luda, odznaczona medalem „Za ofiarność i odwagę”, a nawet niejaki Ołeksandr Ołeksandrowicz Matwijczuk, który ponoć zbija majątek na tutejszych jabłkach, ale robi to tak,

że nikt go nigdy za rękę nie złapał. Chłopcy opowiadali mi o nim z niejakim podziwem.

— Jak on to robi? — zapytałem Serhijka.

Serhijko powiedział mi, że skrzynki z jabłkami zwozi się najpierw do szopy, a dopiero potem stamtąd wiezie się je do miasta. Matwijczuk ma w szopie zawczasu przygotowane siano, przyrzuca nim skrzynki z najładniejszymi jabłkami, a potem wywozi je stamtąd, ale nie do własnego obejścia, tylko gdzieś do sąsiedniej wsi, skąd przez trzecie ręce te jabłka trafiają na bazar.

Obejrzałem tę szopę.

Długa, stara szopa, wrota, na wrotach dwie potężne kłódki z tych, do których wkłada się kawałki papieru. Jeśli papier jest podarty to nieomylny znak, że ktoś dłużył w kłódce.

— Słuchaj, Serhijko — powiedziałem. — Ale to sekret. Umiesz dochować tajemnicy wojskowej?

— Umiem — odparł Serhijko z determinacją, która świadczyła o tym, iż tajemnicy wojskowej nie zdradziłby, nawet gdyby go torturowano.

— To doskonale. A byłeś chociaż raz w tej szopie?

— Byłem. I to nieraz.

— Można się tam spuścić z góry?

— Można. Na górze leżą makuchy. I jeszcze nawet drabina. Po tej drabinie można wejść.

— A mógłbyś skrzyknąć ze dwudziestu pewnych chłopaków? Chodzi o przeprowadzenie tajnej operacji X?

— Dwudziestu? — zamyślił się Serhijko. — Dwudziestu to nie. — Odliczał na palcach. — Szesnastu tak. A może wziąć dziewczyny?

— Nie, dziewczyn nam nie potrzeba.

Zdradziłem Serhijkowi mój plan. Choćbym szukał nie wiem jak długo, lepszego pomocnika nie mógłbym znaleźć. Zwołaliśmy chłopaków, Serhijko przeprowadził

odpowiednie szkolenie, a nawet trening. Ustalono, że wszyscy zejdą się o północy. A żeby nikt nie zasnął, każdy musi przywiązać sobie do dużego palca u nogi nitkę, której koniec znajdzie się za oknem. Serhijko i Miszko zobowiązali się do przejścia przez całą wieś i pociągnięcia za wszystkie nitki. Musiałem oddać Serhijkowi mój zegarek, musiałem też przywiązać sobie nitkę do dużego palca u nogi.

Ośmioletni mój imiennik, niejaki Romaś, podjął się nawiązać stosunki dyplomatyczne z pilnującym szopy psem. Romaś było to czarnookie stworzenie, niezmiernie zawzięte, każde zdanie zaczynało od „rrraptem”. „Rrraptem” znalazło się w jego ręku prawie nie naruszone pęto kiełbasy domowego wyrobu, pachnącej kminkiem i czosnkiem tak apetycznie, że wszystkim nam pociekła ślinka.

— To wszystko dla tego jednego Riabka? — zdumiał się Miszko. — Przeżre się. Daj kawałek.

— Z wyciągniętą ręką to idź pod cerkiew — obciął go Romaś. — Nie dla psa kiełbasa.

Riabko sprzedał za kiełbasę swój honor i swoje sumienie. Nie zaszczekał. Ja stanąłem pod szopą, Serhijko wspiął mi się na ramiona, potem stanął mi na dłoniach, ja go podniosłem, on się wyprostował, wspiął, chwycił za framugę okienka w dachu i zniknął w tym okienku. Potem zobaczyłem znowu jego głowę i ręce. Zarządził szeptem:

— Następny.

Następnego chwycił Serhijko za ręce i wciągnął. Wyprawiłem tak na górę sześciu chłopaczków, jednego po drugim. Bałem się przede wszystkim tego, czy nie upuszczą jakiejś skrzynki z jabłkami, kiedy będą wciągały te skrzynki z szopy na górę. Ale chłopcy dali sobie radę. Spuścili te skrzynki z góry na zawczasu przygotowanych sznurach.

— Więcej tam nie ma — powiedział Serhijko. — Matwiczuk widocznie zdążył już zabrać resztę.

Starając się nie hałasować i kryjąc się w cieniu drzew wynieśliśmy te jabłka na wioskową drogę. I zabraliśmy się do pracy.

Rankiem cała wieś zgromadziła się przed obejściem Matwiczuków. Strasznie dawno nie widziałem tylu naraz roześmianych twarzy. U Matwiczuków rosły za płotem dwie wysokie topole. Na każdej gałęzce tych topól zwisały czerwoniutki jabłka.

— Miczurinowiec — chichotał klepiąc się z uciechy po cholewach kołchoźnik w miękkim zielonym kapeluszu. — Ale Matwiczukowi obrodziło!

Musieliśmy pracować prawie przez całą noc, żeby uzyskać tak obfity plon. Okazało się, że o tempie pracy decyduje jej organizacja. Na grubych nitkach wiązaliśmy pętelki, w te pętelki wsuwaliśmy ogonki jabłek. Potem całą taką girlandę przymocowywaliśmy do dwóch gałęzi. Wszystko było zorganizowane jak na konwejerze i mogło służyć jako jeszcze jeden przykład dowodzący słuszności tezy, że konwejerystyka to metoda absolutnie przodująca.

Matwiczuk ani jego rodzina nie wysunęli nosa za próg. Siedzieli w domu, okna szczelnie poprzęsłani firankami. Ilja Gordijowicz przyszedł, pośmiał się, pokręcił głową i nagle żartobliwie trąciwszy mnie pięścią w bok zrobił do mnie oko:

— Więc powiadasz, żeś ty nie dziennikarz?

— Nie. Zwyczajny robotnik.

— Nie zwracaj głowy. Już ja wiem, jaka redakcja cię tu przysłała. „Pereć”. Jasna sprawa.

— Dlaczego tak myślicie?

— Już ja wiem, dlaczego. Już teraz wszystko jest dla mnie jasne. Jednego tylko nie mogę zrozumieć —

jak można było to zrobić w ciągu jednej nocy? Przecież to robota na tydzień.

Żyjemy w trójwymiarowym świecie. Wszystko, co wokół siebie postrzegamy, odbieramy trójwymiarowo. Wszystko to ma określoną długość, szerokość i głębokość. Sad kołchozowy jednak, do którego zaprowadził mnie i Ludę Ilja Gordijowicz, miał tylko dwa wymiary — długość i szerokość. Głębokość nie istniała. Drzewa płaskie były, jak liście w zielnikach, które musieliśmy zakładać, kiedy uczyliśmy się w szkole botaniki. Jabłonie sadzone tu były długimi rzędami, gałęzie drzew wspierały się na rozciągniętych pomiędzy pniami drutach.

Ilja Gordijowicz wyjaśniał: „złota reneta”, „słowianka”, „piękna z Boscoop”.

— A czemu tak się je rozpościera?

— Ma to swój sens. Nasz sad jest jeszcze młody. Gdybyśmy go posadzili zwyczajnie, zaczęłyby owocować w dziesiątym roku. Tak owocuje w czwartym. To po pierwsze. A po drugie — tak łatwiej jest zbierać owoce. Drzewa są niższe, bardziej rozłożyste. Ale przede wszystkim owocują wcześniej.

Uboga ziemia poleska, o której, jak przypomniał Ilja Gordijowicz, mawiano: „Lasu tyle, że tylko się bić, wody tyle, że tylko się myć, chleba tyle, że nic, tylko płakać” rodzi piękne jabłka.

— Tak to gospodarujemy — powiedział Ilja Gordijowicz. — Len, sady i kury.

Sady przypadły mi do serca, ale kury...

Zapytałem Oksanę Mitrofaniwnę jako fachowca, czemu to od Kijowa aż do Zalesia widzi się po wsiach tylko leghorny.

— A gdzieście widzieli leghorny? — zdziwiła się Ok-sana Mitrofaniwna.

— Wszędzie. Chociażby u was.

— To nie leghorny. Leghorny wyglądają inaczej. Ta rasa nazywa się „biała rosyjska”.

Pomyślałem sobie, że podczas wojny domowej „białe rosyjskie” kojarzyło się z czymś zupełnie innym.

— A skąd się wzięło tyle tych „białych rosyjskich”?

— Kołchozy hodują. Ludzie biorą pisklęta z inkubatorów. Podkładają jaja kwokom. Opłaca się. One się dobrze nosą. Dlatego też zanikły inne rasy.

Poszliśmy z Ilją Gordijowiczem i z Ludą na fermę kurzą. Cud organizacji. Piętnaście tysięcy kur, a zajmuje się nimi zaledwie pięć kobiet. Mają jednak z nimi sporo roboty. Karmi się je jak w sanatorium, cztery razy dziennie. Kury znoszą przeciętnie po sto osiemdziesiąt dziewięć jajek rocznie. Wszystkie te jaja trzeba zebrać, wszystkich kur trzeba doglądać, w dodatku kury chorują na swoje wymyślne kurze choroby, trzeba je wtedy leczyć, kurować. Kurczęta karmi się gotowanymi jajkami, serem, kaszą, daje im się antybiotyki i tran.

Nie można powiedzieć, żeby na tej fermie było cicho. I śmierdzi tam okropnie. U nas w odlewni jest chyba ciszej.

Spotkaliśmy przy fermie przewodniczącego kołchozu, Kyryła Iwanowicza Filimonienko. To młodszy brat kowala. Ale do brata w ogóle niepodobny — tęgi, ruchliwy, wesoły.

Przewodniczący zrobił oko do Ludy, przywitał się z Ilją Gordijowiczem, uściśnął moją dłoń, powiedział: „A jakże, a jakże, widzieliśmy, jak gruszki rosną na wierzbie” — i powiedział, uradowany, do Ilji Gordijowicza:

— Odmówili. Powiadają, że to niepotrzebna reklama.

— Przewidywałem, że tak będzie — odparł Ilja Gordijowicz.

Przewodniczący machnął ręką i nie żegnając się z nami szybkim krokiem poszedł na fermę.

A my poszliśmy do domu. Po drodze Ilja Gordijowicz opowiedział mi, że kołchoz ma niewielką wytwórnię konserw. Ich przetwory z owoców oraz grzyby marynowane cieszą się bardzo dobrą opinią. Lepszą niż wyroby wielu fabryk państwowych. Więc przewodniczący wpadł na pomysł, żeby zamówić w drukarni w Czernihowie kolorowe etykiety z takim oto tekstem: „Kołchoz imienia XVIII Zjazdu Partii we wsi Zalesie ręczy całym swoim majątkiem za wysoką jakość tych konserw”.

Ilja Gordijowicz odchrząknął, zmieszany.

— Przyszedł do was milicjant...

— Co za milicjant?

— Michajło. Tutejszy.

— Gdzie jest?

— W cieniu na was czeka. Pod gruszą.

Luda popatrzyła na ojca z wyraźnym napięciem, niepewnie.

Miejscowa milicja zainteresowała się widocznie jabłkami, które w ciągu jednej nocy wyrosły na topoli. Ja w każdym razie nie poczuwałem się do żadnych innych grzechów. A może chodzi o plakat, który się pojawił na kołchozowej oborze? Okazuje się, że dojarka Hanna Gołobużko, ta sama, którą Luda uratowała z ognia, dołała kiedyś wody do mleka. A chłopcy — było to jeszcze przed moim przyjazdem — powiesili koło wrót obory plakat z napisem: „Jak mleka nie miała, to wody dołała”. Nikt na ten plakat nie zwracał uwagi, ale nagle przyjechała jakaś zwierzchność z powiatu, z tych co to uważnie studiują wszystkie plakaty i obwieszczenia,

i zrobiła się straszna awantura. Wszyscy są przekonani, że miałem swój udział także w tej historii z plakatem. Jeszcze długo każdą taką historię będą tutaj wiązać z moim imieniem.

— Zaraz wyjdę — powiedziałem bez entuzjazmu.

Na ławeczce pod gruszą siedział niemłody już sierżant w odświętnie wyprasowanym mundurze, świeżo wygolony, a nawet upudrowany. Miałem wrażenie, że „Chypre” pachnie w całym sadzie. Na mój widok starszy sierżant podniósł się, włożył czapkę i podniósł dłoń do jej daszka.

— Starszy sierżant Aksionow.

Podał mi rękę.

— Dzień dobry — powiedziałem czujnie.

— Siadajcie — starszy sierżant znowu zdjął czapkę. — Wiem, oczywiście, w jakim celu przyjechaliście do nas, i jak to mówią, nie mam sumienia odrywać was od waszych spraw. Ale potrzebna mi jest niewielka konsultacja.

Milcząc czekałem na dalszy ciąg. Starszy sierżant też zamilkł na chwilę, ale nie doczekawszy się moich pytań powiedział:

— Mam „IŻ-a”. Ale ani rusz nie mogę wyregulować przekaźnika prądu zwrotnego. W rezultacie wyładowuje mi się akumulator. Byłem z tym już w warsztatach samochodowych, u mechanika gorzelni, radziłem się samego towarzysza Machini, a nawet jeździłem na kursy podnoszenia kwalifikacji kierowców. Do tamtejszych wykładowców. Powiedzieli, że może by pomógł tranzystor. Skombinowałem taki tranzystor, ale nikt nie ma pojęcia, gdzie i jak go wmontować.

Przypomniałem sobie, jak to Wilia pewnego razu wszedł do sklepu, do działu radiotechnicznego, i zwrócił się do ekspedientki: „Odsypcie mi za trzy ruble półprzewodników”.

— A jaki tranzystor dostaliście?

Milicjant wyjął spod podkładki czapki półprzewodnikową diodę.

Obejrzałem ją.

— Nada się — orzekłem. — Znajdzie się tam lutownica?

— Tak jest! — wyskandował starszy sierżant Aksionow.

— Przynieście ją tutaj. A gdzie wasz Pegaz?

— Widzieliście go już? Zgadza się, on jest srokaty. Zaraz go przyprowadzę.

Zastąpiłem diodą przekaźnik prądu zwrotnego i przy okazji wyremontowałem karburator.

Starszy sierżant Aksionow wyjął spod siodełka butelkę arabskiego rumu „Negro” z Murzynką na etykiecie i z rosyjskim napisem.

— To dla was, za waszą mistrzowską robotę.

— Patrzcie no — ze zdumieniem pokręcił głową Ilja Gordijowicz. — Więc Michajło umie nie tylko brać, ale i dawać!

Serhijko ciągle jeszcze paradował z moim zegarkiem.

— Która godzina? — zapytałem Lude.

— Szósta. Może wpół do siódmej. Mlecz już się zamyka.

— Cóż to, mlecz zawsze chodzi spać o tej samej porze?

— Zawsze. Nie tylko on. Wszystkie kwiaty.

— Nawet ognicha?

Nie przychodziły mi jakoś do głowy żadne inne nazwy kwiatów.

— Ognicha zamyka się o drugiej po południu. A budzi się o piątej rano. Jakby pracowała na kurzej fermie.

— A to? — pokazałem pierwszy z brzegu krzak.

— To głóg. Kładzie się spać o ósmej wieczór. Nie wierzysz?

— Wierzę.

Oni mają tu swój własny zegar. Kwiatowy. I, jak kwiaty, nie odmierzają czasu na minuty i sekundy, tylko na godziny i dni.

Szliśmy przez łąki pod lasem. Na łące pasło się z dziesięć krów. Za krowami niczym pastuchy chodziły dwa bociany.

— Tresowane te bociany, czy co?

— Prawie tresowane. Żaby chowają się przed nimi, gdzie mogą. Ale nadchodzące krowy straszą żaby, żaby skaczą, a wtedy ptaki je zjadają.

Na skraju lasu zobaczyliśmy sosnę, którą Luda tak bardzo chciała mi pokazać. Ciekawe drzewo. Może nie aż tak ciekawe, żeby miały do niego zjeżdżać wycieczki, ale interesujące.

— A dlaczego ta sosna ma nogi?

Luda wyjaśniła mi, że nasionko sosny trafiło w pęknięcie wysoko ściętego pnia i zakiełkowało tam. Pień zgnił potem, ale korzenie sosny dotarły tymczasem do ziemi i umocniły się w niej. Teraz po tamtym pniu nie ma już ani śladu, sosna zaś stoi na korzeniach niczym na szczudłach.

Na samym końcu wsi z za zbitego z nierównych desek malowanego parkanu wyskoczył na nas pies. Mały, niepokazny, czarny, rudo podpalany kundel. Szczekał przenikliwie. Powiadają, że najlepszy sposób na uspokojenie psa to nie zwracać na niego uwagi. Toteż nie zwracałem na niego uwagi, szedłem nie oglądając się.

Kundel ucichł, zabiegł nas od przodu, nawet zamierdał ogonem, a potem raptem capnął mnie za gołą nogę między butem a nogawką. I milczkiem pobiegł za swój parkan. Mimo woli schyliłem się — miał ostre zęby

i pociekło trochę krwi — podniosłem kawałek cegły i cisnąłem nim w psa.

Ależ on się rozwrzeszczał! Przerażliwie, głośno, jakby go zarzynano. Przyśpieszyłem kroku. Nie miałem ochoty na spotkanie z właścicielem tego bydłaka.

— Boli? — zaniepokoiła się Luda. — Może do lekarza?... On jest wprawdzie zdrowy, znam go, to pies Morozenków, zawsze każdego próbuje ugryźć.

— Drobiazg — powiedziałem.

Zacząłem się wygłupiać, pokazywałem, jak ten kundel pisze teraz skargę na mnie, w której utrzymuje, że to ja pierwszy cisnąłem w niego kamieniem, on zaś zmuszony był mnie ugryźć w obronie własnej. Ale nie patrzyłem na Ludę.

„Jakież to wszystko głupie — myślałem. — Człowiek dumnie myśli o sobie jako o homo sapiens, deklamuje o swoim powołaniu, ale wystarczy byle nierozumny kundel, który ugryzie cię powodowany tylko instynktem, a już niżasz się do jego poziomu. Dobrze, że nie pobiegłem za nim na czworakach. On mnie ugryzł, a ja mu przylałem kamieniem. I jesteśmy kwita”.

— Nieładnie to wyszło — powiedziałem do Ludy. — Nie myślałem, że go trafię. Jakoś to tak wyszło samo.

— On gryzie wszystkich — stanęła w mojej obronie Luda. — Więc co, ma tak dalej gryźć? Teraz może będzie się bał.

Zdaje mi się, że i ona współczuła temu głupiemu kundlowi. Tak żałośnie skowyczał...

Niebo zaczynało się tuż nad ziemią. I zajmowało w życiu ludzi znacznie więcej miejsca niż w mieście. Ale nie dlatego, że było go tutaj tak dużo. Po prostu rytm życia ludzi tutejszych związany był z tym, co się dzieje na niebie — czy dopieka słońce, nie przyćmione

najłżejszą nawet chmurką, czy leje deszcz, czy wiatr przygina wierzchołki drzew. Pogodę śledzą nie z prognoz w „Wieczornym Kijowie”: „W dniu jutrzejszym zachmurzenie będzie umiarkowane, możliwe przelotne opady, wiatry słabe z kierunków zmiennych”. Tutaj od pogody zależą plony, nastrój ludzi, ich sytuacja materialna.

Potrzebny był deszcz. Dziwna rzecz. U nas w domu był barometr. U Fiedi też. Skomplikowany zagraniczny przyrząd łączący w sobie barometr, termometr, zegar i urządzenie dokonujące pomiaru wilgotności powietrza, które, nie pamiętam, jak się nazywa, stał też u Anatolija Petrowicza na stole. I nikt nigdy na te barometry nawet nie rzucił okiem, najwyżej kiedy padał deszcz, patrzyło się, czy strzałka aby się nie odchyła w stronę „Pogodnie”. My mieliśmy stary barometr, z przedrewolucyjną jeszcze pisownią, z dziwacznym napisem na samym końcu skali: „Wielka susza”. Strzałka nigdy się do tego napisu nawet nie zbliżyła. Ale tutaj panowała teraz naprawdę „wielka susza”, a w całej wsi — pytałem o to — nikt barometru nie miał.

Mimo woli przypominałem sobie różne oznaki wróżebne, o których czytałem w książkach albo w rubrykach gazet zatytułowanych „Przeczytaj, to ciekawe”. Ale prawdę mówiąc dokładnie pamiętałem tylko tyle, że jaskółki przed deszczem latają tuż nad ziemią.

Ale nie wiedziałem już, czy zwiastują deszcz jaskółki, które nad wodą latają nisko, ale nad brzegiem od razu wyśmigują aż nad wierzchołki drzew. W ogóle jaskółki zachowywały się tutaj jak mewy. Roztrącały nawet piersiami wodę, bynajmniej nie bojąc się, że utoną. A przecież zdaje mi się, że jaskółki nie umieją pływać. Nad wodą śmigały ich tysiące, jaskółki przelatywały tak blisko twarzy, że nic prostszego jak chwycić je ręką; koziółkowały w powietrzu, robiły pętle i im-

melmany i w ogóle wszystkie chyba figury akrobacji powietrznej, jakie demonstrują nasi najlepsi piloci w dniu święta lotnictwa.

Nasza łódka to była dłubanka z jednego pnia, na wskroś przesycona smołą. Początkowo wydawało mi się, że ta łódź przy pierwszym nieostrożnym ruchu wywróci się do góry dnem, ale potem przekonałem się, że jest dość stabilna, choć oczywiście nie należy wykonywać w niej zbyt ryzykownych ewolucji. Luda siedziała z przodu, na sianie, twarzą do mnie, ja powoli wiosłowałem ciężkim krótkim wiosłem, które nieustannie wyślizgiwało mi się z rąk.

Na równym lustrze wody pojawiła się nagle przerywana smuga. Mknęła aż do samej burty naszego czółna, rozbiegały się od niej drobne falki. Kiedy się zbliżała, zobaczyłem, że to ryba, która płynąc rozcina nosem lustro. Stuknęła o burtę. Pochyliłem się, złapałem ją, zatrzepotała mi w rękach, upadła na siano. Miała zimną aluminiową barwę i była niewiele większa od dłoni.

— Co jej się stało? — zapytałem Ludę. — Czemu ryba tu sama pcha się do łódki?

— Wypuść ją, niech to będzie twoja złota rybka.

— Raczej aluminiowa.

Podniosłem rybę z siana i wpuściłem do wody. Odplynęła, zawróciła, znów podplynęła do burty, nadal pruća powierzchnię wody.

— Co się z nią dzieje?

— Nie wiem — odganiając dłonią rybę od łodzi powiedziała Luda. — Rybom to się niekiedy zdarza. Może chorują i tracą orientację. Albo coś takiego się dzieje z ich pęcherzem pławnym, że nie mogą już się zanurzyć, i mogą tylko pływać pod samym wierzchem. A może ryby wariują?...

— Jak się nazywa ta ryba?

— Tak naukowo?... Nie wiem. My ją tutaj nazywamy bubirem. Jest ich tu mnóstwo, tych bubirów. Powiadają, że z nich jest najlepsza ucha.

— Można je łapać na wędkę?

— Pewnie że tak. Saszko od sąsiadów codziennie przynosi ich do setki.

Nigdy się nie zastanawiałem, skąd się wzięły słoneczniki, których tyle rośnie pod każdym płotem w Zalesiu. Luda powiada, że słonecznik przywieziono do Europy z Ameryki dopiero w szesnastym wieku. Jako kwiat. U nas zaś ten kwiatek pojawił się jeszcze później, w wieku osiemnastym. Nie ma jeszcze stu lat, odkąd jakiś obszarnik spod Woroneża wpadł na to, że z pestek słonecznikowych można tłoczyć olej. A ja myślałem, że olej słonecznikowy jest u nas znany już od czasów Drewlan, Polan i Siewierzan. Nawet w jakiejś powieści historycznej czytałem o tym, jak to za czasów Iwana Groźnego polewano kiszoną kapustę olejem słonecznikowym. Ale Luda twierdzi, że także i kiszona kapusta pojawiła się znacznie później, dopiero za Piotra Pierwszego.

Bardzo wielu rzeczy nie wiedziałem. Nie wiedziałem, czy jaskółki latają tuż nad wodą na deszcz, nie byłem zresztą całkiem pewien, czy to są w ogóle jaskółki. Jakiś zbyt odważnie muskały piersiami wodę. Nie wiedziałem, jak się nazywa ta rybka. Nie potrafiłem odróżnić jednego gatunku jabłek od innego. Nie umiałem nawet odróżnić żyta od pszenicy. Wszystko to sprawiało, że wśród ludzi tutejszych byłem kimś obcym, robiło ze mnie jakiegoś jakby cudzoziemca, a to mnie gniewało. Nie wiedziałem, jak się z tym uporać.

— Płynmy do brzegu — powiedziałem zdecydowanie. — Nie ma sensu czekać tu na deszcz i patrzeć, czy jakieś tam jaskółki wysoko latają. Gdyby ludzie u was byli zapobiegliwsi, dawno by porobili zbiorniki na

deszczówkę, a wodę w rzece spiętrzyli. Chodźmy do domu. Zrobię wam w obejściu zbiornik na deszczówkę.

W pół godziny później siedziałem już na siodełku mojego motocykla. Luda obejrzała się, a potem, nie patrząc na mnie, powiedziała:

— Nie jedź.

— Niedługo wrócę — powiedziałem niepewnie. — Jutro będę tu ze wszystkim, co potrzebne.

Nie było mnie tylko przez trzy dni, ale miasto, jego ulice tak dobrze mi znane wydały mi się teraz jakies nowe, jakby bardziej niż zwykle ruchliwe i ciekawsze. Nie wstępując do domu pojechałem do fabryki. Zatrzymałem się przed fryzjernią. Michajło golił jakiegoś krągłolicego wielkoluda, takiego, od którego, moim zdaniem, należałoby pobierać podwójną opłatę ze względu na rozległość powierzchni, którą trzeba ogolić. Michajło swoim zwyczajem maznął klienta mydłem po ustach uniemożliwiając mu w ten sposób zabieranie głosu, sam zaś z ponurą twarzą opowiadał kolejny dowcip:

— A on mu na to: „A-ja-jaj, jak możecie w taki upał?” — usłyszałem.

Michajło pomachał do mnie brzytwą — już, jedną chwileczkę! — i zrosił swego klienta tak obfitym strumieniem wody kolońskiej, że też aż się skrzywił i zachnął, po czym powachlował klienta serwetą, wytarł mu twarz i głośno zwrócił się do mnie:

— Trwała ondulacja?

— Masz... chwilę czasu?

— Wybaczcie, obywatele — zwrócił się Michajło do dwóch chłopaczków, na oko z siódmej klasy, którzy czekali na swoją kolej, chcąc, by Michajło ostrzygł ich w sposób, w jaki strzyc się zwykli ósmoklasiści. — Odnalazł się mój brat. Rodzina myślała, że zaginął bez

wieści. Tylko się z nim wyciął na zapleczu i już wracam do moich obowiązków służbowych.

Żaden z nich się nie uśmiechnął. Przeszliśmy do nie-dużego pokoiku na zapleczu fryzjerni, gdzie na kuchence gazowej kipiały dwa czajniki wody.

— Ile? — zapytał Michajło.

— Dużo. Pięćdziesiąt rubli.

Michajło rozpiął fartuch, sięgnął do bocznej kieszeni marynarki, wyjął z niej czerwony skórzany portfel, otworzył go, wyciągnął plik banknotów i odliczył mi pięć czerwonych.

— A zatem — powiedział, wyjął z portfela malutki notesik i równie filigranowy ołówceczek, cienki jak zapalka. — Więc tak zapiszemy. Roman — pięćdziesiąt rb. Na jak długo?

— Na miesiąc.

— Więc tak zapiszemy: na miesiąc.

— Ale to nie wszystko. Są mi jeszcze potrzebne rury wodociągowe, co najmniej czterdzieści metrów bieżących. I pompa.

— W niektórych krajach Wschodu to się załatwia prościej — Michajło patrzył na mnie spokojnie, twarz miał nieprzeniknioną. — Tam się daje kałym, wielbłąda, dziesięć baranów i po wszystkim.

— Muszę mieć te rury, Michajło. I pompę.

— Jaką pompę?

— Choćby „Ukraina”.

— Kiedy?

— Najszybciej jak można. Dziś. Ostatecznie jutro.

— Dobrze, skombinujemy. Jutro o dwunastej. Tam znowu coś się pali?

— Tak — odpowiedziałem z wdzięcznością. — Pali się.

— Chodźmy — powiedział Michajło i wychodząc z zaplecza głośno powiedział:

— Czyja kolej?

Nie odważyłem się powiedzieć Michajle, że potrzebna mi jest jeszcze ciężarówka, żeby te rury przewieźć na miejsce. I to za darmo. Długo stałem przy moście Patona z wyciągniętą ręką, nim namówiłem żołnierza prowadzącego „ZIL-a”, żeby zechciał zabrać te moje rury. „ZIL” szedł pusty do Czernihowa. Najważniejsze było dla mnie, żeby przeskoczyć odcinek, na którym za każdym krzakiem mogła się przyczaić inspekcja drogową, od Czernihowa zamierzałem przymocować te rury po bokach motocykla. Pompę od razu przywiązałem do bagażnika.

Ależ ci żołnierze jeżdżą! Aż do samego Czernihowa chłopak w rozpiętej bluzie mundurowej ani na moment nie zdjął nogi z pedału gazu.

Jechałem tuż za nim starając się trzymać raczej z lewej strony. Obawiałem się, że „ZIL” może niespodzianie zahamować. Za Czernihowem wyładowaliśmy rury i zabrałem się do przymocowywania ich do motoru.

— No to cześć — powiedział żołnierz, a kiedy sięgnąłem do kieszeni po pieniądze, machnął ręką po królewsku. — Nie trzeba.

Mój motocykl wyglądał nader dziwacznie. Z przodu i z tyłu sterczały związane w pęczek rury. Zakręcać musiałem bardzo ostrożnie, wielkim łukiem, wyczekując, aż będzie pusto. Bałem się, że wyrznię w coś tymi rurami.

Narzędzia pożyczyłem od kołchozowego kowala, od Pawła Iwanowicza Filimonienki. Połączyłem rury mu-trami, na końcu sporządziłem coś w rodzaju filtru — wypełniłem żuzłem wielki dziurawy garnek. Od pompy poprowadziłem elastycznego węża, takiego samego jak te, którymi dozorczy polewają latem ulice. Poza tym na końcówce węża zamontowałem wygiętą na obu koń-

cach rurkę. Ciśnienie wody obracało ją, woda rozpryskiwała się równomiernie.

Prawdę mówiąc mój udział w sporządzaniu całej tej instalacji był minimalny, wszystko robili chłopczkowie z Zalesia. Oni też tak rozpropagowali wśród miejscowej ludności tę moją inwestycję, że przy jej uruchamianiu asystowało chyba pół wsi.

Zorganizowaliśmy to według wszelkich reguł sztuki inwestorskiej. Sądzę, że elektrowni wodnej na Jeniseju z pewnością nie uruchamiano uroczyście. Na starej akacji przy płocie w niewielkim pudełku umocowałem włącznik. Prowadzącą do akacji ścieżkę przegrodziliśmy czerwoną wstążką przywiązaną do dwóch wbitych w ziemię kołków. Bardzo mnie niepokoiła strona muzyczna imprezy, ale Serhijko przyniósł adapter i sporo płyt. Wybrałem pieśń „Jak zasiadut nasi koło czari” w wykonaniu Gmyry. Gdyby istniała międzynarodówka pijaków, pieśń ta mogłaby być doskonałym jej hymnem. Podłączyliśmy do adapteru dwa głośniki i głos Gmyry brzmiał dość przekonująco.

Nożyczki do przecięcia wstęgi uroczyście wręczyłem Oksanie Mitrofaniwnej. Zaczerwieniła się, zmieszała, ale wstążkę przecięła z miną jak najpoważniejszą. Włącznik natomiast przekreśliła przy akompaniamencie oklasków wszystkich obecnych Luda.

Kiedy zawirowała zamontowana przeze mnie na końcówce rurka i polało się na wszystkie strony, chłopcy zaczęli się wpychać nawzajem pod strumień wody. Jak mawia Wilia — ludzie pracy powitali z entuzjazmem...

W ten sposób stanąłem w rzędzie wybitnych osobistości wsi Zalesie.

Luda poprowadziła mnie za wieś, do niezbyt głębokiego jaru, w którym, jak mówiła, mieszkali niegdyś ludzie.

Przed paroma laty ekspedycja archeologiczna rozkopując głęboki lej pozostały tu jeszcze od czasu wojny natrafiła na skorupy gliniane. Po tym znalezisku archeologia stała się taką samą częścią składową życia wsi Zalesie jak troska o to, czy obrodzi len albo jak kopanie kartofli.

Okazało się, że pod grubą warstwą gruntu znajduje się cała osada z epoki brązu i że ludzie nagle porzucili tę osadę pod koniec drugiego tysiąclecia przed naszą erą. Archeologowie przeszkolili uczniów starszych klas miejscowej szkoły. Kopano rowy, aby wyznaczyć granice osady. Podobnie jak w wielu współczesnych wsiach siedliska naszych dalekich przodków ciągnęły się łańcuszkiem wzdłuż brzegu rzeki.

Te siedliska zagłębiały się na półtora metra w ziemię, a powierzchnia ich sięgała osiemdziesięciu metrów kwadratowych, była zatem większa niż w chatkach współczesnych. Prawie każda taka ziemianka podzielona była drewnianym przepierzeniem na dwie izby. Jedna z nich, głębsza, służyła, zdaniem archeologów, za sypialnię, w płytszej była kuchnia. Ściany z bali od środka wylepione były gliną. W każdej ziemiance stał w kącie wielki piec. Rozmieszczenie słupów służących jako podpórki świadczyło o tym, że ziemianki przykryte były dwuspadowymi dachami, zapewne z oczeretu.

Znaleziono w tych ziemiankach wiele narzędzi pracy: siekiery kamienne, krzemienne sierpy, żarna. Przy piecach znajdowano kości krów i owiec, świń i koni. Archeologowie byli zdania, że całe to terytorium zasiedlone było przez przodków Słowian, że właśnie tu formowały się pierwsze plemiona słowiańskie.

Znaleziono tu i przebadano trzydzieści trzy stanowiska mieszkalne. Zagładę przyniósł osadzie pożar. DREW-

niane ścianki i podpory były nadwątlone i jedynie dzięki temu przetrwały trzy tysiące kilkaset lat.

— Może także wtedy — powiedziałem — mieszkała wśród tych pierwotnych Słowian dziewczyna, która miała na imię Luda... To przecież słowiańskie imię: Ludmiła — ludziom miła... I też zachowała się tak po bohatersku w czasie pożaru, też uratowała życie żonie kierownika farmy. A tamta też dolewała do mleka krów, których kości znaleziono przy piecu, wodę z tej samej rzeki. Może to była nawet ta sama woda, bo jeżeli prawo zachowania materii, o którym uczyłeś się w szkole, jest słuszne, to od tamtych czasów nie uległa zagładzie ani kropelka, ani jedna cząsteczka wody. Ta pierwotna Luda tak samo jak ty robiła tej dojarce sztuczne oddychanie rozkładając jej ramiona na boki...

— Robiąc sztuczne oddychanie nie rozkłada się ramię na boki — zaprotestowała Luda. — Teraz to się robi zupełnie inaczej.

— Jak mianowicie? Pokaż mi to lepiej praktycznie. Powiedzmy, że straciłem przytomność...

Położyłem się na wznak na ziemi i rozłożyłem ręce.

— Naprawdę chcesz, żebym ci to pokazała? — popatrzyła na mnie Luda z ukosa, dziwnie, z lękiem, jakby miała się ważyć na coś bardzo trudnego.

— Pewnie że tak.

— Teraz robi się sztuczne oddychanie metodą usta-usta... Dwa razy wtłacza się powietrze w płuca i robi się piętnaście ruchów masujących klatkę piersiową. Masaż serca.

Uklękła i przywarła ustami do moich ust. To było jak pocałunek. Objąłem ją, moje ręce same chciały ją pogłaskać. Ale nie zrobiłem tego. Podniosłem ją ostrożnie i sam też zerwałem się na równe nogi. Serce waliło mi tak, że nie pomógłby żaden masaż.

Zmierzchało się. Wracaliśmy do domu. Luda szła obok mnie milcząca, jakby nagle wydorosłała.

Powietrze dobrze przemyte i oczyszczone przez filtry lasu, łąk i rzeki znieruchomiało, lśniło. Trwały w nim wszystkie nagromadzone przez cały dzień wonie i gdyby zapachy miały barwę, można by było zobaczyć, że oto wchodzimy w różowawy obłoczek woni czeremchy, w zieloną kałużę rozlaną od gąszczu pokrzyw, w brunatny strumyk grzybnych pleśni.

Mykoła mówił kiedyś, że postęp w nauce dokonuje się na trzy sposoby: albo na podstawie precyzyjnego planowania i ścisłego wykonywania wszystkiego, co zaplanowano, albo metodą prób i błędów, albo wreszcie dzięki nagłym olśnieniom, dzięki serendipiti.

Ale czyż nie tak samo mają się rzeczy w normalnym ludzkim życiu? I w miłości? W życiu także nie da się wszystkiego zaplanować, także trzeba się uciekać do metody prób i błędów, i dobrze, jeśli są to tylko tego rodzaju błędy, że dadzą się naprawić. A czasem na człowieka, na każdego człowieka, zstępuje serendipiti. Nie wyrzucasz strzępu gazety, który przypadkiem trafił ci do rąk, ale chowasz go do kieszeni, a potem okazuje się, że dziewczyna, do której przyjechałeś, jest ci przeznaczona przez los, zaś wszystko, co było przedtem, to były tylko próby. Próby i błędy.

Poczułem zapach chlewu. Uśmiechnąłem się. Luda zauważyła ten mój uśmiech i odwróciła się, urażona.

— Nie z ciebie się śmieję. — Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem i z wdzięcznością. — Z siebie samego. Przypomniało mi się pewne wydarzenie z mojej obfityjacej w różne przygody biografii.

Opowiedziałem Ludzie tę historię, o której sam nigdy nie lubiłem sobie przypominać. Może i teraz nie przypomniabymy mi się ona, gdyby nie ten zapach...

Chodziłem już wtedy do szkoły. Nie pamiętam, czy

do trzeciej czy do czwartej klasy. Na wakacje odwiedziono mnie do dziadka. Do ojca mamy, na wieś. Dziadek, Hnat Wasyliowicz, dziś już nieżyjący był to silny, milczący, spokojny mężczyzna.

W sobotę dziadek powiedział, żebym się wcześniej położył spać, bo pójdziemy na ryby. Mieliśmy we wsi staw, w stawie karpie, ale łowić ich, rzecz jasna, nie było wolno, na ryby jeździło się osiem kilometrów nad rzekę. Była to wielka frajda — jechać wozem, może samemu potrzymać lejce. I w dodatku jechać na ryby.

Obudziłem się, zanim się rozwidniło. Sam się obudziłem. Bo a nuż dziadek nagle się rozmyśli i nie weźmie mnie ze sobą? Ale dziadek się nie rozmyślił. Wstał jeszcze wcześniej niż ja, napił i zaprzągnął konia. Kiedy wyjechaliśmy na skraj wsi, dziadek zatrzymał konia i powiedział do mnie: „Nazbieraj robaków” — „A gdzie?” Dziadek popatrzył na mnie ze zdziwieniem: „Tam, w gnoju”. Pod ścianą chlewa leżała wielka kupa gnoju.

Znalazłem jakiś patyk i ostrożnie zacząłem grzebać nim w gnoju starając się tymże patykiem przerzucać robaki do starej puszeki od konserw.

Coś walnęło mnie w kark. Upadłem na gnój. Dziadek stał nade mną. Takim go jeszcze nie widziałem. Ani przedtem, ani potem. Twarz miał wykrzywioną z gniewu, z ust wraz ze słowami bryzgała mu ślina.

„Ty szczeniaku!... Ludzie przez całe życie babrzą się w tym gnoju!... A ten!... Kijaszkim!...”

Dziadek rękami rozgrzebywał gnój, nie patrząc na mnie nawybierał robaków do pudełka, zawrócił do wozu. Cisnął blaszankę pod koła, wsiadł na wóz, zaciął konia batem i zawrócił do wsi. Na mnie nawet nie spojrział.

Luda słuchała tego wszystkiego tak, jakby to,

o czym opowiadałem, przydarzyło mi się dopiero wczoraj. Poczzerwieniała, a nawet wtuliła głowę w ramiona.

— A skąd ty wiesz to wszystko? O sztucznym odychaniu? — zapytałem.

— Uczyli nas w szkole — dopiero po chwili odpowiedziała Luda.

„Nie wszystkiego można się nauczyć w szkole” — pomyślałem sobie.

Śpiewano kiedyś taką dziarską piosenkę:

*Gdy ojczyzna rozkaże bohaterem być,
Bohaterem zostanie na jej zew każdy z nas.*

Kryła się za tymi słowami bardzo idiotyczna myśl: „Nie podskakuj. Rób, co do ciebie należy. Jak będzie trzeba, to ci dadzą rozkaz. A wtedy zostaniesz bohaterem. Nie gorszym niż inni. Twoje bohaterstwo nie zależy od ciebie, tylko od tego, kto wydaje rozkazy. Ty jesteś tylko wykonawcą rozkazów, które mogą uczynić z ciebie bohatera”.

Ale w życiu jest niezupełnie tak, jak w pieśni, a raczej — jest zupełnie inaczej. Nie zostaje się bohaterem na rozkaz. I zapewne nawet nie każdy bohater uświadamia sobie, że jest bohaterem. Jak Luda.

A jacy byli ci bohaterowie naprawdę? Pisarze, którzy opowiedzieli nam, no choćby o bohaterach „Młodej Gwardii”, to ludzie poważni. Myśleli za swoich bohaterów i nadali im rysy pełne powagi. Ale naprawdę bohaterowie „Młodej Gwardii” byli inni niż ci pisarze. Byli tacy jak Luda. A może nawet tacy jak ja.

— Romku — powiedziała Luda. Patrzyła pod nogi. — W szkole uczono nas, że dziewczyna powinna się szanować... Ja zresztą sama to wiem... Ale muszę ci powiedzieć... Gdybyś wiedział, jak bardzo nie chcę, żebyś wyjeżdżał. Bez ciebie będzie nieciekawie.

— Mnie bez ciebie też byłoby nieciekawie.

Zdumiewająca dziewczyna. Naprawdę. Mówię poważnie. Nie można jej nie szanować. I zawsze będę ją szanował, bo zawsze szanuje się ludzi, którzy potrafią tak bez ogródek powiedzieć prawdę.

Po kolacji Ilja Gordijowicz poszedł ze mną do pokoju, w którym mieszkałem, usiadł na krześle i gładząc wąs powiedział:

— Rozmawialiśmy z żoną, z Oksaną Mitrofaniwną... I nawet z przewodniczącym rozmawialiśmy. Krótko mówiąc powiem wam, na ten przykład, że przydali-byście się tu nam w kołchozie. Ale to nie chodzi zresztą o kołchoz.

Milczał przez chwilę, wreszcie zdecydował się jakby i spojrzał mi prosto w oczy.

— Mamy taką, na ten przykład, propozycję, żebyście zostali u nas. Jeżeli poważnie mówiliście wtedy to o Ludmile. Pomieszkacie u nas jak syn, póki Luda nie dojdzie do przepisanego wieku. Chata — wasza. Nie dla siebie budowaliśmy, dla dzieci. Stiopa, prawda, nie dożył... To był jego pokój.

— A co się z nim stało?

— Utopił się.

A więc starszy brat Ludy utonął. Może dlatego z takim napięciem słuchali mojej opowieści o tym, jak to Wilia uczył się pływać? I może dlatego Luda więcej niż inni zapamiętała z lekcji o tym, jak się robi sztuczne oddychanie?

— Dziękuję — powiedziałem. — Ale...

Bardzo wiele chciałem powiedzieć. Chciałem powiedzieć i o tym, jak bardzo jestem wzruszony propozycją Ilji Gordijowicza i Oksany Mitrofaniwnej, żebym został u nich i zajął miejsce ich syna, i o tym, jak jestem wdzięczny za to, że uznali mnie za godnego ich

córki, choć prawdę mówiąc niewart jestem nawet jednego jej paznokcia. I o tym, jak bardzo oni oboje są mi bliscy. Ale zamiast tego wszystkiego powiedziałem tylko:

— A co z fabryką?

— No, z fabryką to teraz można przecież załatwić bez trudu — uśmiechnął się z ulgą Ilja Gordijowicz. — Złóżcie rezygnację i za dwa tygodnie już jesteście kołchoźnikami.

— Nie — powiedziałem — nie będę was oszukiwał. W kołchozie nie zostanę. Będę czekał na Ludę w mieście.

— Rozumiem — Ilja Gordijowicz podniósł się z krzesła, westchnął ciężko. — Ale ja i żona nie możemy się na to zgodzić. Z kim zostaniemy? Komu oddamy chatę?

Strasznie mu współczułem. Ale co mu mogłem powiedzieć? Że będziemy przyjeżdżali na lato? I postąpiłem roztropnie mówiąc to, co mawiał w takich wypadkach nasz przewodniczący komitetu zakładowego, Pawło Panasowicz Mokijenko:

— Nie śpieszmy się z decyzją. Czas pokaże.

Mój wyjazd najbardziej dał się we znaki kurom. Wiele z nich w ogóle go nie przeżyło. Ale za to obiad był znakomity. Pieczone kury pyszniły się na talerzach. Idąc za przykładem pierwszego zastępcy przewodniczącego Rady Ministrów zawczasu przygotowałem sobie butelkę z wodą ze studni, postawiłem ją przed sobą i choć przewodniczący kołchozu okropnie mnie namawiał, żebym zamiast wódki pił raczej miód, choć szklanceczkę, miód jest znacznie lepszy od wódki, to przecież namówić się nie dałem.

Luda zbierała ze stołu talerze, żeby porozstawiać czyste, i nagle wszystkie te talerze wysliznęły się jej z rąk, poleciały na podłogę. Jakże ona się, biedulka,

zmieszała, jak się zaczerwieniła! W oczach błysnęły jej łzy.

— To na szczęście, na wesele! — powiedział przewodniczący kołchozu.

— To nic — pocieszałem Ludę. — W tej warstwie kulturowej archeologowie przyszłości odszukają każdy kawałeczek, posklejają je pięknie i wystawią te talerze w swoich najważniejszych muzeach. I w rozprawach naukowych będą błogosławić twoje imię.

Prawdziwy sport to zawsze mocna rzecz. Ale niekiedy bywa to rzecz tak mocna, że aż mróz idzie po skórze.

Gdyby ktoś zapytał mnie, co było najpiękniejsze z tego wszystkiego, co zdarzyło mi się widzieć kiedykolwiek w moim życiu, odpowiedziałbym bez wahania. To było na meczu piłki nożnej „Dynamo” Kijów — „Spartak” Moskwa. Na stadionie głowa przy głowie, jak pestki w słoneczniku. W przerwie meczu na samym środku zielonego boiska rozścielono dywan. Widziany z trybun wydawał się nie większy niż chustka do nosa. Przyciszono głośniki, rozległa się „Pieśń Solwejgi” Griega. Głęboki głos kobiecy zlewał się z wiolonczelą. Na dywan wyszła dziewczyna, zaczęła wykonywać ćwiczenia dowolne.

Cóż to w ogóle takiego te ćwiczenia dowolne?

A cóż to takiego „w ogóle” literatura? Albo muzyka?

Ale ta dziewczyna i ta muzyka, i to zielone boisko, i te sto tysięcy widzów wpatrzonych w dziewczynę — wszystko to razem składało się na coś, co właśnie sprawia, że życie jest piękne, a ludzie stają się zdolni do podejmowania trudnych i mądrych decyzji.

A kiedyż to ja podjąłem taką decyzję? Przypomnia-

łem sobie, jak to siedzieliśmy z Ludą nad rzeką, na pomoście, na którym kobiety piorą bieliznę. Woda płynęła i chwiały się pod nią niczym na wietrze długie zielone włosy wodorostów. Na tej podwodnej łące połyskiwała chromem czereda malutkich rybek, wszystkie, jak strzałki kompasu, zwrócone były głowami w tę samą stronę. Nie bacząc na prąd rybki trwały w bezruchu. Potem nagle w ułamku sekundy wszystkie się odwróciły w inną stronę i znowu znieruchomiały.

Jak one się ze sobą porozumiewają? Dziwna historia. I zupełnie niepojęta. Wyobraźmy sobie, powiedzmy, współczesne, wyposażone w najnowszą aparaturę, w najdoskonalsze urządzenia łodzie podwodne. Albo samoloty. Czy nawet przy całej tej technicznej doskonałości mogłyby one tak błyskawicznie przekazywać sobie sygnały i jednocześnie wykonywać je, czy byłyby w stanie tak precyzyjnie koordynować swoje ruchy jak te rybki? W dodatku trwając nieruchomo w miejscu mimo wartkiego prądu?

A jak właściwie te malutkie rybki przekazują sobie rozkazy?

Widocznie mają jakiś narząd, który do tego służy. Jakiś zmysł. Albo coś innego, co pozwala im robić to tak błyskawicznie.

Powiadają — instynkt. Ale to jest tylko słowo. Cóż to takiego ten instynkt? Instynkt również powinien się w jakiś sposób materializować, powinien być przekazywalny, skoro dzięki niemu informacja może docierać tak szybko do innych rybek. Powiedzieć, że ryby robią to instynktownie, to znaczy nie powiedzieć nic.

A przecież gdyby człowiek dowiedział się, na czym ten fenomen polega, gdyby opanował to zjawisko, gdyby zrozumiał, jak się porozumiewają te malutkie rybki, to z pewnością dałoby się to wykorzystać, powiedzmy, przy automatycznym sterowaniu obrabiarkami. A także

w wojsku taki system łączności z pewnością byłby nie do pogardzenia. Można by dzięki niemu kierować samolotami albo grupami rakiet.

Pomyślałem sobie, że gdybym był prawdziwym mężczyzną, to bym rzucił wszystko, wszystko na świecie, i skoncentrował się na tym jednym, na wyjaśnieniu, jak się tym rybkom udaje dokonać takiego jednoczesnego zwrotu w wodzie, na próbie dowiedzenia się, jak one sobie przekazują nawzajem taką komendę. Możliwe, że jest to problem, któremu warto poświęcić całe życie.

Myslałem sobie także o tym, że już nigdy na to się nie zdobędę, nigdy się tym nie zajmę, albowiem podjąłem już moją najważniejszą decyzję.

Ktoś niepewnie zadzwonił do drzwi.

Dzwonek elektryczny to nieskomplikowane urządzenie. Nie ma w nim niczego takiego, co pozwoliłoby określić charakter i nastrój dzwoniącego. Ale kiedy dzwonek taki zainstalowany jest przy twoich drzwiach, jakoś zawsze wyczujesz, kto dzwoni. Jeśli naciska się guzik dzwonnka niepewnie, dzwonek dzwoni przerywanie, brzękliwie. Ma także znaczenie to, jak długo dzwoni.

— Wchodźcie, wchodźcie — tato i ja usłyszeliśmy głos mamy. — Drodzy goście...

Mama tak to powiedziała, że i ja, i tato podnieśliśmy się jednocześnie i poszliśmy do drzwi.

Zobaczyłem w przedpokoju Ilję Gordijowicza oraz Oksanę Mitrofianinę.

— Dzień dobry, dzień dobry — mówił Ilja Gordijowicz. — Nieproszeni, na ten przykład, goście... Przepraszamy, jeżeli nie w porę.

— W porę, w porę — mówiła mama. — Prosimy do pokoju.

— A po czym to nas poznaliście? — dziwił się Ilja Gordijowicz.

— Syn opowiadał.

Nic podobnego. To po prostu kolejne serendipiti mamy. Umysł mamy jest jakoś tak skonstruowany, że mama potrafi z jakichś nic nie znaczących kreseczek odtworzyć sobie w mgnieniu oka cały obraz i po sekundzie wie tyle, ile ktoś inny wiedziałby dopiero po dłuższym czasie.

Oksana Mitrofaniwna pięknie wyglądała w nowym wełnianym kostiumie. Życzliwie przyglądała się nam swymi czystymi oczyma i powtarzała zmieszana:

— Ależ nie róbcie sobie kłopotu, nie róbcie sobie kłopotu...

— Przywieźliśmy, na ten przykład, wieprzka do Kijowa, na sprzedaż — powiedział Ilja Gordijowicz. — Na bazar. Mięso, na ten przykład, słoninę. I postanowiliśmy z żoną, że wstąpimy, poznamy się...

— A Luda? — zapytałem. — Nie przyjechała?

— Luda została w domu — odparła Oksana Mitrofaniwna.

Mama tymczasem nakryła do stołu. Ależ ona się z tym umie uwinąć. Jakby się samo wszystko robiło.

— Przyjechaliście autobusem? — zapytał tato.

— Nie. Autobusem wieprzka, na ten przykład, przywieźć nie można. Samochodem, okazją. Samochód, na ten przykład, z naszego kołchozu. Wrócimy też nim — Ilja Gordijowicz pogładził wąs. — Przywieźliśmy wam — nie gniewajcie się — mały gościniec... Troszkę jabłuszek, troszkę miodu... Chwileczkę.

Ilja Gordijowicz wyszedł do przedpokoju, wrócił z wiklinowym koszem, wyciągnął z niego polietylenowy kanisterek miodu, ze dwa dziesiątki jabłek „pepin sza-

franowy” — teraz umiałem już rozpoznać ten gatunek jabłek — i owinięty w gazetę kawał słoniny, grubej — słowo honoru! — na dziesięć palców.

— Z tego wieprzka? — zapytał tato.

— Ano z niego — powiedziała Oksana Mitrofaniwna. — Mięciutka słonina i bezzębny by ugryzł.

— Ile ten wieprzek ważył? — zainteresował się tato.

— Dwa cetnary. Z hakiem — uśmiechnął się Ilja Gordijowicz.

Dziwna rzecz. Ani Ilja Gordijowicz, ani Oksana Mitrofaniwna nigdy w życiu nie widzieli moich rodziców, nie znali ich, ale przywieziony przez nich gościniec był właśnie taki, jaki moi rodzice mogli przyjąć bez wymawiania się i bez tego uczucia niezręczności, którego nie sposób uniknąć, kiedy ktoś ci wręcza prezent zbyt kosztowny.

Tato przyniósł wódkę z lodówki, nalał w kieliszki.

— Za wasz przyjazd i za miłą znajomość — powiedział.

Przez cały czas nie opuszczało mnie uczucie niepokoju: po co oni właściwie przyjechali? Zabili dwustu-kilogramowego świniaka i przywieźli go na bazar. Przecież prościej byłoby sprzedać go gdzieś bliżej, w Szczorsie, w Koriukowce, czy wreszcie w Czernihowie. Czy aby coś się nie stało z Ludą?

Mama postawiła na stole na chromowanej podstawce patelnię z zielonkawego szkła żaroodpornego pełną skwierczącej jajecznicy.

— Jedzcie, jedzcie, proszę bardzo... Gdybyśmy wiedzieli, że przyjedziecie... Ale czym chata bogata... Proszę, bierzcie sardynki, bierzcie kiełbasę.

Goście przypadli jej do serca.

— A cóż to nie wypijecie z nami kieliszeczka? — zapytał Ilja Gordijowicz. — Wódka bez gospodyni pita, na ten przykład, gorzka.

— Jak tu nie wypić? Pewnie że wypiję.

Mama powoli osuszyła kieliszek. Tego się doprawdy nie spodziewałem. W ogóle nie pamiętam, żeby mama kiedykolwiek napiła się wódki.

— Wspominają u nas Romana Ołeksijowicza — przyjaźnie patrząc na mamę mówiła Oksana Mitrofaniwna. — Można powiedzieć, że cała wieś go wspomina. I przewodniczący kołchozu się dopytywał, i brygadzista. A dzieciaki to już całkiem nie dają spokoju — a co pisze, a kiedy przyjedzie.

— A wy, przepraszam, dokąd jedziecie na urlop? — zwrócił się do taty Ilja Gordijowicz.

— Wybieram się do Kisłowodzka — odparł tato. — Do sanatorium.

— Trudno odmawiać, pewnie... Ale myśmy myśleli, ja i żona... że może byście tak do nas przyjechali? Całą rodziną. U nas można i ryby łowić, i jest, na ten przykład, sad.

— Dziękuję — powiedział tato. — Takiej możliwości, oczywiście, nie brałem pod uwagę... Zresztą obiecali mi już skierowanie... Powiadają, że trzeba się podleczyć. Ale pewnie, że co wieś, to wieś... Może kiedyś innym razem?... A jak tam u was wypadła dniówka obrachunkowa?

Ilja Gordijowicz zaczął opowiadać. O wsi. I tato, i mama wtrącali różne uwagi, ale mówili o wsi takiej, jaką sami pamiętali, dziwili się zmianom, jakie zaszły na wsi od tego czasu. Wyczuwałem, że ta rozmowa jest interesująca dla nich wszystkich, mnie zresztą też interesowała, ale jednocześnie nurtowało mnie pytanie podstawowe, sprawa, o której nikt nie wspominał nawet pół słowem, ale która przecież nie stawała się przez to mniej ważna: co dalej? Czy to wszystko ma się skończyć niczym? Im bardziej przypadali sobie wzajem do

serca moi rodzice i rodzice Ludy, tym oczywiście to podstawowe pytanie wisiało w powietrzu.

Nie wiem, jak na tych swoich konferencjach rozmawiają dyplomaci, ale przypuszczam, że ich dialogi nie są ani zręczniejsze, ani bardziej aluzyjne. Oksana Mitrofaniwna opowiadała, jaką ma piwniczkę i ile dzieżek grzybów, ogórków, kapusty wstawia do niej na zimę, mama zaś mówiła, że już niebawem skończę instytut samochodowy i że dzieci powinny się uczyć. Tato opowiadał o naszych obrabiarkach automatycznych, co to one potrafią, zaś Ilja Gordijowicz opowiadał o pasiece, o sadzie owocowym, o swojej krowie rasy simentalskiej, mleko której jest zdrowsze niż wszystkie wody mineralne Kisłowodzka razem wzięte. Ale o najważniejszej rzeczy, o tym, z powodu czego przyjechali, nikt się aż do samego końca nawet nie zająknął.

Goście zaczęli się zbierać, chociaż i mama, i tato, i ja jak najgoręcej namawialiśmy ich, żeby zostali u nas na noc — miejsce jest, nikomu nie sprawią żadnego kłopotu. Ale Ilja Gordijowicz zdecydowanie się wymówił — samochód wraca dziś, a jutro jest poniedziałek i robota w kołchozie czekać nie będzie.

Mama wyszła na chwileczkę do sąsiedniego pokoju, wróciła zaraz i wręczyła Oksanie Mitrofaniwnej — jak powiedziała, dla córki — pudełko cukierków „Asorti” z pomnikiem Bohdana Chmielnickiego na wieczku i kolorową chusteczkę z cienkiego jedwabistego materiału.

Nigdy tego nie zdołam zrozumieć. Przecież mama nie mogła się spodziewać, że rodzice Ludy nas odwiedzają. Więc jakim cudem zdążyła to wszystko przygotować?

Ożenię się z nią — i koniec!

Dostałem od niej list. Najkrótszy list z wszystkich,

jakie kiedykolwiek od niej otrzymałem. I najpiękniejszy: „Dłużej bez ciebie nie mogę. Nie chcę dłużej czekać. Przyjadę. Pierwszym autobusem. Tylko daj mi znać. Przyślij mi depeszę, jedno słowo: »Pozdrawiam«. Dla konspiracji”.

Wysłałem depeszę z tym konspiracyjnym słowem, a teraz szedłem przez miasto, a miasto pachniało świeżą trawą i liśćmi, i wodą.

Za przeszkloną ścianą kawiarni był pełen wieczornych świateł Kreszczatik, Kreszczatik pełen szurania podeszew po asfalcie, pełen pisku opon. Siedzieliśmy przy stoliku we trójkę: Luda, Wilia i ja. Każde z nas miało przed sobą porcję lodów i kieliszek. Na środku stolika stała butelka cierpkiego węgierskiego wina „Egri bikaver”. Prawdę mówiąc, to była już druga butelka.

Wilia się rozruszał i Luda patrzyła na niego z wesołym zaciekawieniem. Tak to już jest, że jeśli w towarzystwie znajdzie się ładna dziewczyna, choćby czyjaś dziewczyna, człowiek natychmiast zaczyna tokować jak głuszc.

— Przede wszystkim — mówił Wilia — jeśli nie ma to być jałowa dyskusja, musimy sprecyzować terminologię. Cóż to znaczy: człowiek? Wydaje się wam, że to jest samo przez się zrozumiałe. Tak jednak nie jest, uczeni długo się nad tym zastanawiali. Niektórzy odpowiadali na to pytanie: homo sapiens, człowiek rozumny. Inni akcentowali zdolność człowieka do mowy artykułowanej. Jeszcze inni mówili, że człowieka wyróżnia spośród innych stworzeń to, że ma on wolne kończyny przednie, czyli ręce. Pewien uczony skonstatował, że w całym świecie zwierzęcym tylko człowiek ma miękką część małżowiny usznej, a zatem proponował taką

definicję: „Człowiek jest to zwierzę o miękkich płatkach uszu”. Benjamin Franklin uważał, że człowiek jest to zwierzę umiejące wyrabiać narzędzia. Homo faber, człowiek techniki. Ja zaś uważam, że określenia „homo sapiens” czy „homo faber” są niewystarczające. Jakiś rodzaj rozumu czy też zaczątków rozumu mają również zwierzęta. Podobnie jest ze zdolnością wykorzystywania przedmiotów należących do świata zewnętrznego. Natomiast czymś właściwym tylko człowiekowi jest sumienie. Oto dlaczego ludzie tak marzą o komunizmie i tak go pragną. Całkowitego komunizmu. Kiedy obumrze państwo, kiedy człowiek nie będzie już sprawował władzy nad innym człowiekiem. Kiedy zniknie karierowiczostwo i łapownictwo, skąpstwo i kradzieże, zdrada i podległość, i zaprzaństwo. Kiedy człowiek we wszystkich sprawach będzie się powodował jedynie własnym sumieniem.

— Nie — zaprotestowałem. — Samo sumienie niczego nie rozwiązuje. Podobnie jak te twoje miękkie części ucha. Czytałem, że w Hiroszynie na pomniku ofiar bomby atomowej jest napis: „Śpijcie spokojnie, ten błąd się nie powtórzy”. Bzdura. Oni przecież nie śpią. Oni są tam pochowani. Zginęli. Nie żyją. I nie oni stanowią gwarancję, że to się nie powtórzy. Martwe gwarancje mogą wystarczyć jedynie martwym. Żywym potrzebne są gwarancje żywe.

— Jakie mianowicie? — zapytał Wilia.

— Rakiety. Bomby atomowe. Łodzie podwodne. Armia. Jeżeli naprawdę wierzysz w słuszność swojej sprawy, to musisz jej bronić. Inaczej ciebie zabiją, a twoja sprawa będzie przegrana. Zostanie zniszczona. Przy pomocy broni. Siłą. Ciebie uspią pięknymi słówkami o sumieniu i innych takich rzeczach i zniszczą siłą twoją sprawę. Skoro wierzysz w swoją sprawę, to

musisz być gotów do jej obrony. Do wojny. A ja — wierzę.

Napiłem się jeszcze trochę wina.

— Zmieniasz temat — powiedział Wilia.

— Nie. Nie zmieniam tematu. Bardzo to jest piękne — gołąbek pokoju z gałązką w dziobie. Ale to nie on broni naszej sprawy. Bronią jej samoloty z bombami na pokładzie. Rakiety. Czołgi. Nie możemy więc z nich zrezygnować. Nie możemy stać się wyznawcami idei niesprzeciwiania się złu... Pewnie, że przyjemnie jest popatrzeć na naszego kierownika wydziału Łukjanienkę. Na jego niesprzeciwianie się złu i na jego ornitologię. Można się też zachwycać Gandhim. Jego siłą ducha. Można też podziwiać naszego Tołstoja. Tacy ludzie jak Łukjanienko, a zwłaszcza Gandhi czy Tołstoj są temu światu potrzebni. Uczą ludzi sumienia. Własnym przykładem. Sprawiają, że ludzie stają się lepsi, bardziej ludzcy. Ale tacy ludzie mogą istnieć tylko tak długo, jak długo istnieją ci, co ich bronią. Gdyby faszyzm zapanował nad światem, nie byłoby ani Łukjanienki, ani Gandhiego, ani Tołstoja. Łukjanienkę by zabili, portrety Gandhiego zniszczyli, książki Tołstoja spalili na stosie.

Gandhi mówił, że bomby atomowej nie można zniszczyć za pomocą innych bomb atomowych, że nie można przemocą zniszczyć przemocy. Zniszczyć może i nie można. Ale bronić się przed zniszczeniem można i trzeba. Takie są warunki tej walki. A skoro takie są jej warunki, to ja chcę być na pierwszej linii. I ja, i Luda wiemy, gdzie jest punkt newralgiczny. Pewnie, że dobrze jest być filozofem. Prawdziwy filozof może dużo zdziałać. Dowiódł nam tego Marks, Engels, Lenin. Ale na filozofii ten świat się nie kończy. Jest jeszcze wojsko. Lotnictwo. Łodzie podwodne. Rakiety. I my podjęliśmy decyzję. Ja pójdę do szkoły oficerskiej. Po-

tem do akademii wojskowej. A Luda pójdzie na medycynę. Zostanie lekarzem wojskowym. Chirurgiem.

Mógłbym tak mówić jeszcze długo. Mógłbym opowiedzieć o moim dziadku, który podczas wojny domowej walczył pod rozkazami Szczorsa. O żołnierzach, o moim ojcu, o dziadku Petro i o wiceadmirałe Pazowie, o tych, co walczyli podczas Wojny Narodowej, i zwyciężyli, i pragną, żebyśmy nie zaprzepaścili tego ich zwycięstwa, zwyciężyli bowiem nie tylko dla siebie, ale i dla nas, a także dla wielu następnych pokoleń, dla wszystkich pokoleń, które przyjdą po nas. Mógłbym też powiedzieć, że ta moja decyzja nie zrodziła się dzisiaj, że dojrzewała od dawna, od chwili, gdy zrozumiałem, że kiedy się ryzykuje podczas crossu albo na ścianie śmierci „Nieustraszonych Jeźdźców”, to się ryzykuje tylko na swój własny użytek i w swoim własnym imieniu, ale kiedy się służy w wojsku, kiedy się jest na pierwszej linii, to wtedy ryzykuje się dla innych ludzi i w imię innych ludzi. I tylko wtedy to ryzyko ma sens.

Ale tylko zażartowałem:

— Zresztą i mnie, i Ludzie do twarzy będzie w mundurach.

Wilia się nie uśmiechnął.

— No, cóż — powiedział. — Może to jest i słuszne. Ale ja także podjąłem decyzję. Moje życie poświęcę nauce. Poświęcę je filozofii. Pragnę przekonać ludzi, że nie ma i nie może być takich wartości, które by usprawiedliwiały nową wojnę światową. Albowiem, jak wołał już przed tysiącem lat chiński filozof Li Taj Po: „Niech będzie przeklęta wojna! Niech będzie przeklęta broń! Mędrzec nie może brać udziału w tym ich szaleństwie...” Ale może zdarzyć się i tak, że jeszcze ci pozazdroszczę.

Spojrzałem na Ludę. Radość i miłość malowały się na

jej twarzy tak wyraziście, jak wyrazisty jest sztandar, który ktoś kiedyś rozpostarł na styczniowym śniegu.

A za przeszkloną ścianą po zawsze odświętnym Kreszczatiku szli ludzie i każdy z tych ludzi miał swoje problemy, własne radości i własne smutki, takie same jak moje i inne, takie, których mogę się jedynie domyślać, jak gdyby przymierzając je wszystkie do siebie, a któryś z tych przechodniów także z pewnością podejmował w tej samej chwili ważną decyzję, decyzję, która, być może, przesądzi o całej jego przyszłości, a także o przyszłości innych ludzi. Te ich decyzje to właśnie jest ich wolność, ich wybór. A każdy ich wieczór to zwykły wieczór ważnych decyzji.

Redaktor: HELENA BRON
Redaktor techniczny: JANUSZ KULIGOWSKI
Korektor: AGATA BOLDOK

Państwowe Wydawnictwo „Iskry” — Warszawa 1974 r.
Wydanie I. Nakład 15 000+275 egz. Ark. wyd. 16,9. Ark.
druk. 23,75. Papier druk. mat. kl. III, 70 g, 82×104.
Druk ukończono w lipcu 1974 r. Szczecińskie Zakłady
Graficzne w Szczecinie. Zam. 2567. W-109. Cena zł 20,—

